

„Każdego nowego szwedzkiego pisarza kryminalnego reklamuje się dziś jako następcę Stiega Larssona.

Przy Erikssonie ten numer nie przejdzie, bo to jeden z nauczycieli autora *Millennium*”.

Piotr Bratkowski „Newsweek Polska”

KJELL ERIKSSON

REKA KTÓRA ZADRŻY

Seria z bohaterką
KSIEŻNICZKI BURUNDI
NAJLEPSZEJ POWIEŚCI ROKU
według Szwedzkiej Akademii
Literatury Kryminalnej


AMBER



Ręka, która zadrży

Kjell Eriksson

Szanowany polityk z Uppsali wychodzi z zebrania rady miejskiej... znika. Nikt - rodzina, znajomi, policja - nie wie, co się stało. Dwanaście lat później ktoś spotyka go w Indiach pod innym nazwiskiem...

Były szef i mentor Ann Lindell, który kiedyś prowadził poszukiwania zaginionego polityka, skłania ją do wznowienia śledztwa – w tej i w innej nierozwiązanej sprawie sprzed lat: brutalnego zabójstwa poruszającego się na wózku starca, zagorzałego nazisty.

Tymczasem w pobliżu Öregrundmorze wyrzuca na brzeg odciętą kobiecą stopę. To znaczy, że Ann musi rozpocząć jeszcze jedno dochodzenie - boleśnie blisko miejsca, gdzie mieszka mężczyzna, którego kiedyś kochała. W odizolowanej osadzie, zamieszkaney przez zadziwiająco wielu samotnych mężczyzn...

Trzy sprawy łączą się tak jak przeszłość i teraźniejszość, splatając dziesięciolecia i życiorysy ludzi naznaczone historią i winami dziedziczonymi przez pokolenia. Stare grzechy wciąż obciążają sumienia, stare zbrodnie nie umierają i mają swój przerażający ciąg dalszy...

Korekta
Joanna Egert-Romanowska
Hanna Lachowska
Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok
Zdjęcie na okładce
© Michele De Souza/Arcangel Images
Tytuł oryginału
Den hand som skälver
Copyright © by Kjell Eriksson 2007
Published by agreement with Ordfronts Förlag AB,
Stockholm and Leonhardt & Høier Agency A/S, Copenhagen.
All rights reserved.
For the Polish edition
Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
ISBN 978-83-241-4904-9
Warszawa 2013. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl
Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Wysłano go, żeby przyniósł trochę chrustu. Powierzono mu ważne zadanie. Na dworze panowało przeraźliwe zimno, na podwórzu skrzył się śnieg, a wylatujący z komina dym unosił się nad wtopioną w zbocze wzgórza chałupą niczym duch w szarobiałej szacie.

Nagle podłoga w drewnutni pociemniała, pokryły ją kawałki kory i trociny. Przed chwilą Sven-Arne dołożył kolejną szczapkę do tych, które już trzymał w ręku. I nagle upuścił je, nie tylko ostatnią szczapkę, ale prawie wszystkie. Po prostu wyslizgnęły mu się z rąk.

– Pomóc ci?

Reszta drewna poleciała na podłogę.

– Przestraszyłeś się?

Pokręcił głową. Był tak zły, że nie mógł nic z siebie wydusić. Ante wszedł do szopy i zaczął się rozglądać.

– Ktoś zgromadził tu sporo drewna – powiedział i nieoczekiwanie się uśmiechnął.

Schylił się i podniósł kilka kawałków.

– Wyciągnij ręce!

Sven-Arne posłusznie wykonał polecenie.

Uklęknął. Jeśli przyniesie naprawdę dużo drewna, zasłuży na pochwałę. Chciał jak najszybciej wyjść z drewnutni i wrócić do chaty, ale stryj zagroził mu drogę.

– Pamiętam zimy podczas wojny. Wtedy to dopiero szło drewna.

– Podczas twojej wojny?

Ante pokręcił głową.

– Nie, tam było gorąco jak w piekle.

Sven-Arne marzył. Stąpął krzywo i zachwiał się.

– Kiedyś ci opowiem – odezwał się Ante.

U lewej ręki brakowało mu dwóch palców. Emil wspomniał kiedyś, że stracił je przez własną głupotę. Ale nikt jakoś nie miał ochoty opowiadać o wojennych przygodach Antego, on sam też nie. Dlatego obietnica, że kiedyś do tego wróci, była godna uwagi.

– Wydajesz się mieć głowę na karku, Olars niczego nie pojmuje.

Ola Persson był kuzynem Svena-Arnego, starszym od niego o dziesięć lat. Siedział teraz w chacie i pił kawę. Wysadzał skały i zawsze tak dziwnie pachniał, nawet kiedy się przebrał w coś eleganckiego. Ante uparł się mówić na niego Olars.

Sven-Arne czuł, że bolą go ręce, ale jego złość minęła w momencie, kiedy stryj zaczął krytykować kuzyna.

Nie mógł przestać wpatrywać się w lewą dłoń stryja, którą ten zręcznie wyszukiwał odpowiednie kawałki drewna. Sięgał to w lewo, to w prawo i po chwili umbaił całe naręcze.

– Wracamy?

Sven-Arne skinął głową. Próbował przesunąć drewno tak, by szczapki leżały bliżej ciała.

– Weźmiemy tylko brzozę – postanowił Ante, ściskając prawą ręką naręcze chrustu.

Kiedy skończyli, usłyszeli dźwięk dzwonek, a po chwili głuchy tętent kopyt stukających o zmarznięty żwir drogi.

– To Rosberg – oznajmił Ante, który miał dziwny zwyczaj przekrzywiania głowy, gdy czegoś nasłuchiwał.

Wyszli z drewnutni. Oślepiło go słońce. Zza krzaków bzu dojrzał sąsiada babci. Rosberg siedział na ułożonych na saniach wielkich balach drewna, na głowie miał przekrzywioną sfilcowaną kominiarkę, ręce trzymał, jakby powoził czterokonnym zaprzęgiem.

Blixt, niespotykane jasny koń ardeński, zaczął potrząsać łbem, kiedy sanie mijały chatę. Może nie lubił zapachu dymu, a może po prostu był podniecony bliskością stajni.

Sven-Arne nadal marzył, ale nie przeszkadzało mu to. W popołudniowym słońcu chatę było widać wyraźniej niż zwykle. Śnieg sięgał niemal do okien, komin był równie krzywy jak cała chata, w ostrym świetle lśnił w różnych odcieniach ciepłego brązu. Sven-Arne stłumił śmiech.

Dzwonki sań Rosberga wybrzmiały. Wokół rosnącego na środku podwórza jarząbu zebrało się stado gili. Z najniższej gałęzi zwisała huśtawka z białą czapą śniegu, jak czapka kucharza. Musiał przyznać, że nadal lubił się czasem na niej pohuścić, potężny jarząb chronił go niczym jakiś olbrzym. Nawet deszcz nie przenikał przez jego gałęzie. Kiedy wiał wiatr, odwracał smutno liście, pokazując ich srebrzyste mechate spody. Wiosną kwitł na białą, jesienią czerwienią się grona owoców, niekiedy tak liczne, że lśniły nawet z daleka. Czasem babcia brała kilka gron i wkładała je do szklanej miski z wodą. Drzewo zasadził jej dziadek, tak przynajmniej twierdziła, mimo że większość ludzi nie wierzyła, że może być aż tak stare.

– Blixt też był na wojnie – powiedział Ante, a Sven-Arne zaczął się zastanawiać, którą z wojen miał na myśli.

– Tylko konie i kretyni idą się bić – ciągnął stryj.

Ruszyli w stronę domu, Ante szedł przodem. Było szesnaście stopni mrozu. Splunął w śnieg, uśmiechnął się i pchnął drzwi do chaty.

– Szlag – mruknął, wchodząc do sieni.

Sven-Arne podejrzewał, że chodzi mu o mróz na zewnątrz. A może miał na myśli towarzystwo zebrane w babcinej kuchni.

Chociaż babcia napaliła w piecu, w pokoju było zimno, więc wszyscy zebrali się w kuchni. Byli tam jego rodzice, Erik i Lisbeth, stryj Emil, brat ojca, i jego synowie Ola i Tommy. Ich matka była w szpitalu, ale o tym nie wspomiano. Miała słabe nerwy.

Przy oknie siedzieli brat babci, Edvin, i jego dwie niezamężne córki. Majvor, wielka jak stodoła, oddychała ciężko i z wyraźnym wysiłkiem. Jak zwykle narzekała na wszystko i na wszystkich. Inga-Lisa bez przerwy proponowała, że pomoże babci Agnes, ale zakleszczona między Edvinem i Majvor nie bardzo mogła się ruszyć. Obie siostry działały aktywnie w stowarzyszeniu Przyjaciele Jerozolimy. Miały opinie nieco wścibskich, ale tolerowano je.

Na stolku obok nich siedziała sąsiadka, znana z tego, że nie opuszczała żadnej okazji do poczęstunku. Wpadała niby przypadkiem, wypijała kawę i zjadała kawałek ciasta.

– Jest nasz gagatek. Teraz już zawsze będziemy wysyłali Svena-Arnego po drewno – odezwał się Emil.

Kuzyni posłali mu obojętne spojrzenia.

Ante i Sven-Arne wrzucili opał do skrzyni na drewno.

– Twoi chłopcy będą musieli uzupełnić zapas – powiedział Ante.

– Pewnie tak – odpowiedział Emil dobrotliwie.

Agnes pogładziła Svena-Arnego po głowie.

– Ogrzej się trochę.

Chłopak usiadł przy krótszym końcu stołu, odwrócony plecami do pieca. Babcia otworzyła

drzwiczki i dołożyła drewna. Ante stał, trzymając w ręku filiżankę z kawą.

Panujące w kuchni ciepło rozleniwiło urodzinowych gości. Rozważania trójki mężczyzn, Erika, Emila i Edvina, przerwało wejście Antego i Svena-Arnego. Być może stryj poszedł do drewnutni nie tyle z chęci pomocy chłopcu, ale żeby nie musieć uczestniczyć w dyskusji, bo kiedy Emil coś powiedział, Ante westchnął ciężko i burknął coś pod nosem. Sven-Arne miał wrażenie, że powiedział: „Cholerne bzdury”.

Ante był inny. Nie tylko dlatego, że brał udział w wojnie i nie miał dwóch palców. Był sceptyczny niemal wobec wszystkiego. Emil nazywał brata „Zrzędą”, często się kłócili. Jakby toczyli odwieczny spór, który przerywali od czasu do czasu tylko dlatego, że nie mieli już siły słuchać swoich słów.

Znacznie później Sven-Arne rozumiał rozdrażnienie Antego i poczucie bezsilności, gdy słowa, które wypowiadał, nie były w stanie nikogo przekonać, nic zmienić. Kiedy i o nim zaczęto mówić, że jest jednostronny i nie dość elastyczny, był przekonany, że to geny Antego dają o sobie znać, bo na pewno nie Erika. Jego ojciec był „ugodowy”, zarówno prywatnie, jak i w pracy, w A&W, gdzie był drukarzem. Tylko podczas spotkań z bratem okazywał się bezkompromisowy.

Zwykle rzadko się odzywał, nigdy nie wybuchał, a jeśli w ogóle odpowiadał na zarzuty, to robił to tak ulegle i z uśmiechem, że zawsze rozbrajał ewentualnych oponentów. A może sądzili, że go przekonali?

Przez lata był sekretarzem miejscowego koła Związku Typografów, w oczach wielu był wzorowym mężem zaufania: cichy i obowiązkowy, dokładny i przewidywalny jak kalendarze, przy których produkcji pracował. Jego pomysły rzadko bywały sensacyjne, ale jego propozycje, jak je nazywał, zawsze były dobrze przemyślane i opracowane na czas, przedstawiał je nieco suchym i formalnym tonem, który jednak stanowił gwarancję rzeczowości i ciągłości. Protokoły były wzorem dokładności, kolejność paragrafów zawsze bez zarzutu.

Sven-Arne pił kawę z mlekiem. Skąd pochodziła kawa, tego nie wiedział, ale mleko było na pewno od krów sąsiada. Rosberg miał siedem mlecznych krów, stojących w rozsypującej się oborze, która w każdej chwili groziła zawaleniem. Wokół stołu dyskutowano, czy Sven-Arne i jego kuzyni mają iść i pomóc mu zgarniać śnieg z dachu. Od trzech dni padało niemal bez przerwy, a teraz zbliżała się odwilż. Śnieg robi się ciężki jak ołów i wystawi na próbę i tak już nadwyrężoną konstrukcję budynku. Ola i Tommy odmówili, Ola wyraził nawet opinię, że byłoby wręcz lepiej, gdyby obora się zawaliła. Powiedział to z taką oczywistością i w tak dorosły sposób, że nikt nie zwrócił mu uwagi. Sven-Arne zauważył, że dorośli mieli prawo mówić różne rzeczy i nikt nie przywoływał ich do porządku. Gdyby sam coś takiego powiedział, usłyszałby, że „pyskuje”.

Nawet babcia Agnes nie zaprotestowała, chociaż ona i Rosberg byli sobie bardzo bliscy, dwoje dobrych sąsiadów, którzy niemal całe życie mieszkali obok siebie.

Fakt, że Rosberg nie uczestniczył w przyjęciu, tylko pracował gdzieś na godziny, nie był niczym dziwnym. Wszyscy wiedzieli, że się zjawi, kiedy rodzina wyjedzie. Po wieczornym dojeniu umyje się i ruszy wydeptaną ścieżką do sąsiedniego gospodarstwa. Pewnie zjedzą kanapki i wypiją na spółkę jedno piwo. Może posłuchają też radia. Wymienią kilka zdań. Koło wpół do dziesiątej Rosberg podziękuje za wspólnie spędzony wieczór i wróci do domu.

Wiosną planował pozbyć się „młodzieży”, więc być może był to ostatni raz, kiedy Sven-Arne

pił mleko od krów Rosberga. Zawsze go lubił. Ciepło obory, spokojne odgłosy przeżuwania i zapach sieni, kiedy wchodził do domu sąsiada, nieodmiennie kojarzyły mu się z dzieciństwem.

Z łatwością mogliby zrzucić śnieg z dachu, uporaliby się z tym w ciągu pół godziny, ale woleli siedzieć w ciepłe i udawać nowoczesną młodzież z miasta, no i przecież byli już dorośli.

– Mogę pójść – powiedział.

– Dokąd? – zdziwił się stryj.

– Do Rosberga.

Emil nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. Agnes położyła rękę na ramieniu chłopca.

– Pójdziemy razem, chłopak i ja – odezwał się Ante.

– Chcesz, żeby spadł? – wszedł mu w słowo Erik.

– Krowy nie wejdą na dach – stwierdził Ante. – Staruszek też nie da rady. A śnieg trzeba zgarnąć. I ktoś musi to zrobić. To proste.

Widok z dachu obory Rosberga sprawił, że Sven-Arne robił długie przerwy w odśnieżaniu. Gdzieś na horyzoncie droga skręcała w stronę kościoła, a potem pochłaniał ją las. Tu, z góry, wąska szosa wyglądała całkiem inaczej, o wiele bardziej obiecująco, niż gdy jechało się nią wiejskim autobusem. Ax, kierowca, zwykle żartował sobie z niego i nazywał go „małym towarzyszem”. Kiedyś zdarzyło się, że Ax zatrzymał autobus, wyszedł i odlał się na przednie koło. Zawsze robił to, co chciał, ale ludzie go lubili. Był sumienny, dostarczał paczki nawet do najbardziej oddalonych chałup, a starszym, samotnym ludziom chętnie załatwiał w mieście różne drobne sprawy.

Dwa inne gospodarstwa też tu z góry prezentowały się bardziej okazale. Jakby odległość uszlachetniała. To, co z perspektywy ziemi, wydawało się mizerne, oglądane z wysoka nabierało większej godności. Sven-Arne widział, jak ktoś poruszał się na podwórzu gospodarstwa oddalonego o dobre kilkaset metrów.

Na podwórzu obok obory stał Rosberg i przytupywał na mrozie. Nie okazał żadnego zdziwienia, kiedy Ante i Sven-Arne pojawili się u niego z propozycją pomocy, tylko natychmiast poszedł zdjąć drabinę ze ściany.

– Mam nadzieję, że jesteście ostrożni! – zawołał.

Ante pomachał mu uspokajająco ręką, odwrócił się i uśmiechnął do chłopca.

– Zimno ci?

Sven-Arne pokręcił głową.

– Obwiążę cię sznurem, żebyś mógł zsunąć się do samej krawędzi.

Do ziemi było jakieś sześć metrów, ale ponieważ obora stała na wzgórzu i to o dość stromym zboczu, wysokość wydawała się znacznie większa. Sven-Arne zaczął się zsuwać po dachówkach, trzymając w ręku łopatę, którą strącał śnieg. Czuł sznur wokół pasa. Usłyszał głuchy huk, kiedy spadające masy śniegu uderzyły o ziemię. Odwrócił się i uśmiechnął.

– Dobrze – pochwalił go Ante. – Większość już zwałiłeś.

Rozległ się głuchy dźwięk i kolejna partia śniegu znalazła się na ziemi. Stryj podciągnął go, w stronę kalenicy, a potem znów spuścił niżej. Przypominał wodza armii, gdy tak stał w rozkroku, na zgiętych kolanach, z wyprostowanymi plecami. Sven-Arne był natomiast atakującym żołnierzem frontowym, wycofywał się na rozkaz, by po chwili znów przeć do walki z wrogiem.

– Szlag – burknął Ante, kiedy jedna z dachówek pękła, wydając metaliczny dźwięk. Wiosną

obora i tak miała iść do rozbiórki.

Być może słońce odbijające się w szybie drzwi wejściowych sprawiło, że Sven-Arne odwrócił głowę. I zobaczył ojca i kuzynów stojących na podwórzu domu babci.

– Widzisz to robactwo? – spytał Ante.

Miał im pomachać? Nie, niech sobie stoją i się gapią. Zaraz zaczną marznąć i wtedy wejdą do środka. Sven-Arne podświadomie zwolnił nieco tempo, oparł rękę na łopacie i splunął. Spojrzał na Antego.

– O co chodzi z tymi Węgrami? – spytał. – Bez przerwy się o to kłóćcie.

– Odsnieżaj – warknął Ante.

– Ale w czym rzecz?

Sven-Arne dostrzegł niezdecydowanie w oczach stryja. Gdyby nie znał go lepiej, pomyślałaby, że jest to wyraz bólu.

– Szlag! – rzucił nonszalancko.

Rosberg przeszedł na drugą stronę i śledził uważnie postępy w pracy. Nagle Ante usiadł na kalenicy, zdjął rękawice i położył je obok siebie.

– Siadaj – powiedział. Wykonał zachęcający gest ręką w stronę chłopca. – Usiądź na rękawicach!

Sven-Arne usiadł posłusznie. Stryj powiódł wzrokiem w stronę brzegu lasu.

– Słońce zachodzi – powiedział po chwili.

A potem zaczął opowiadać o wojnie, w której kiedyś brał udział. Sven-Arne nie wszystko rozumiał, ale nie chciał drażnić stryja pytaniami. Przyglądał się jego lśniącemu czarnemu zarostowi. Miał duży, ostro zaznaczony nos, wysokie kości policzkowe odziedziczył po matce. Mówił powoli, jakby szukał słów gdzieś w przeszłości. Niektóre powtarzał po kilka razy. Głównie nazwy miejscowości. Za każdym razem, kiedy Ante wymieniał nazwę jakiegoś miasta czy osady, Sven-Arne dochodził do wniosku, że chciałby tam pojechać.

Nagle powróciło poczucie dumy, którego doświadczył na podwórzu babci. Miał wtedy wrażenie, że każde słowo, które Ante wypowiadał, było ważne, jakby stryj wysyłał w przestrzeń jakąś wiadomość. Siedząc na dachu Rosberga, też wysyłał wiadomości. Kierował swoje słowa do lasu i do Svena-Arnego. Rosberg też je słyszał, ale ich nie rozumiał. Robactwo słyszało, ale też niczego nie pojmowało. Tylko on, Sven-Arne, potrafił odczytać przekazywaną wiadomość. Tylko jemu one coś mówiły, niosły wiedzę o tym, co naprawdę się wydarzyło.

Nagle stryj zamilkł, uśmiechnął się i spojrzał na niego.

– Widzisz, czasem nie chce mi się żyć – ciągnął. – Jakby już nic nie miało dla mnie znaczenia. Rozglądałam się i nie widzę niczego, co by mnie kusilo. Na mój ból nie ma żadnego lekarstwa. On tkwi tutaj – powiedział, wskazując na klatkę piersiową. – Wiedziałem, że to tak się skończy – dodał po chwili. – Wiesz, co miałem w plecaku, kiedy wyszedłem na ląd we Francji?

Sven-Arne pokręcił głową. Miał ochotę objąć stryja i go uściskać.

– Rysunki dzieci. Setki rysunków. Sny, marzenia, strach i dziecięcą tęsknotę. Wszystko to miałem ze sobą.

Ante odwrócił głowę i spojrzał w stronę kościoła i domu parafialnego.

Cisza, unosząca się nad chałupą Rosberga i całą wsią, była niemal monumentalna. Zimowe popołudnie spowite było ciszą. Powiedz coś jeszcze, prosił go w duchu Sven-Arne. Opowiedz

o dzieciach! Co to były za dzieci? Dlaczego zabrałeś ze sobą ich rysunki?

Miał wrażenie, jakby chodził po lodzie na stawie przy młynie. Jedno słowo mogło wszystko zmienić, przerwać nie tylko ciszę, ale i poczucie wspólnoty, podobnie jak jeden nieprzemyślany ruch wystarczył, by krucha warstwa lodu na stawie pękła.

Położył dłoń na ręku stryja.

– Nie jest ci zimno?

Ante pokręcił głową.

– Marzną mi tylko te palce, których nie mam.

Kiedy skończyli odśnieżać, Rosberg zaczął nalegać, żeby weszli do środka. Nalał kieliszek gorzałki Antemu, chłopcu dał kubek gorącego mleka.

– Na zdrowie! – powiedział, unosząc swój kieliszek.

Sven-Arne zauważył, że nie nalał sobie do pełna.

Stryj był czerwony na twarzy. Wypił gorzałkę jednym haustem i z hałasem odstawił kieliszek na stół.

W kuchni pachniało paleniskiem, oborą i mokrymi ubraniami.

– To mi się podoba – powiedział Rosberg. – Jeszcze jednego? – zaproponował.

Ante pokręcił głową.

– Więc rozstajesz się z nimi?

– Na wiosnę – potwierdził Rosberg.

– Dzięki za gorzałkę.

– To ja wam dziękuję.

– Przechodzisz na emeryturę?

– To nieludzkie – stwierdził Rosberg.

– Nie ma znaczenia, co się robi – zauważył Ante.

Sven-Arne, który przysłuchiwał się rozmowie, dziwił się, że chociaż tak niewiele zostało powiedziane, to jednak rozmowa sprawiała wrażenie ożywionej.

Rosberg dźwignął się z krzesła.

– Jeszcze jedno – powiedział i zniknął w izbie sąsiadującej bezpośrednio z kuchnią.

Ante spojrzał na chłopca.

– Rozgrzałeś się?

Sven-Arne skinął głową i wypił resztkę tłustego mleka.

Rosberg wrócił, trzymając w ręku zegar. Przeciągnął dłonią po sumiastych wąsach, na których iskrzyły drobinki topniejącego śniegu.

– Wiem, że mu się przyglądałeś.

Sven-Arne wiele razy podziwiał budzik. Krewny Rosberga kupił go w Ameryce wiele lat temu, być może jeszcze w dziewiętnastym wieku. Rosberg nie potrzebował budzika, który pełnił jedynie rolę dekoracyjną. Obudowa lśniła, jakby była z prawdziwego złota, wskazówki były czarne i ozdobne, podobnie jak cyfry na cyferblacie, ogromne dzwonki robiły straszliwy hałas. Z tyłu były specjalne kluczyki, jeden do nakręcania zegara, drugi do budzika, i niewielka dźwignia, którą można było ustawić w dwóch pozycjach: „Long alarm” i „Rep. alarm”.

Zegar tykał nerwowo, urywanie. Czasem miało się wrażenie, że wstrzymywał oddech, jakby milkł na chwilę, by w końcu dojść do wniosku, że musi nadać za czasem i wtedy powracał do swojego szalonego tempa, chcąc nadrobić chwilową bezczynność.

Tak czy inaczej był to przedziwny przedmiot, promieniujący szacownością. Przyciągał wzrok i to nie tylko swoim tykaniem. Niewykluczone, że spartańskie umeblowanie pokoju sprawiało, że błyszczał w jakiś szczególny sposób.

– Pomyślałem, że może... – zaczął Rosberg i podał budzik chłopcu, który przyjął go, wyraźnie zmieszany.

– Oczywiście, jeśli chcesz – dodał Rosberg.

– Mogę go wziąć?

– Po co ma tu stać.

Rosberg stał się nagle niezwykle rozmowny, zaczął opowiadać historię budzika, którą zresztą opowiadał już wiele razy.

– Na zawsze? – dopytywał się Sven-Arne.

Ante roześmiał się.

– Nic nie jest dane nam na zawsze – stwierdził.

Listopad 1993

Åke Sandström przedstawiał sprawę równie powoli i drobiazgowo jak zwykle. Sven-Arne Persson niemal zapomniał już, czego dotyczyła.

Że też można użyć tylu słów i nic nie powiedzieć, pomyślał w duchu, spoglądając na zegarek. Za kwadrans druga.

Zebranie trwało od wczesnego przedpołudnia, z przerwą na lunch.

– Jeśli uwzględnimy wszystkie okoliczności, to bardzo wiele zdaje się przemawiać za tym, iż realizacja projektu zgodnie z wcześniejszymi planami może być sprzeczna zarówno z literą, jak i z duchem ustawy gminnej, z drugiej strony nie ma chyba żadnych szczególnych powodów, żeby...

– Åke! Przejdźmy może do...

– Już przechodzę! Sprawa nie jest taka prosta, jak niektórym może się wydawać.

Sven-Arne Persson westchnął, demonstracyjnie zamknął aktówkę i zaczął myśleć o innych sprawach. O innych, czyli o kwestii zasadniczej, jak w duchu nazywał problem, który w ostatnim okresie coraz bardziej go pochłaniał.

Czy nadeszła pora? Czy bezduszna gadanina Sandströma była sygnałem, na który czekał? Westchnął ciężko, co sprawiło, że Sandström zamilkł. Jednak już po chwili niezrażony mówił dalej.

Sven-Arne Persson przyglądał się zebranym w sali. Wszystkich znał od lat. Niektórych mógł nazwać przyjaciółmi, innych jedynie partyjnymi znajomymi. Miał wrażenie, że coraz mniej osób słucha jego słów. Może odczucie to miało źródło w jego własnej frustracji i narastającej obojętności wobec spraw gminy, bo przecież nadal cieszył się szacunkiem partyjnych kolegów, a zgłaszane przez niego uwagi traktowano równie poważnie jak zawsze.

Ale nie lubili go, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Pewne cechy jego charakteru mogły być trudne do zaakceptowania. Za to był lubiany przez wyborców, swobodnie poruszał się po mieście, poznawał jego mieszkańców, zaprzyjaźniał się z nimi. Słuchał ludzi, pozwalał im się wypowiedzieć, nigdy nikomu nie przerywał, zawsze wydawał się autentycznie zainteresowany. Potrafił być poważny, ale potrafił też żartować, wszystko w zależności od sytuacji. Oczywiście,

jak wszystkie osoby publiczne, on też bywał niekiedy wyrachowany, jednak jego troska o tych, których reprezentował, była powszechnie znana. To go wyróżniało i czyniło pożytecznym. Nie postrzegano go jako partyjnego prominenta czystej krwi.

Wszystko się komplikowało, gdy przychodziło do spraw wewnątrzpartyjnych. Nagle jego elastyczność zniknęła. Doktor Jekyll i Mr Hyde lokalnej polityki, stawał się niecierpliwy, niekiedy uparty, i zawsze parł do szybkiego zatwierdzenia podjętych decyzji.

Pod koniec lat osiemdziesiątych grupa jego partyjnych kolegów i koleżanek, głównie ze Związku Kobiet, próbowała się go pozbyć. Gerda Lyth, jego największa oponentka, nazwała go żądną władzy męską szowinistyczną świnią.

Początkowo potraktował sprawę lekko. Wiedział, że Gerdzie jest trudno, ponieważ była osobą z zewnątrz, bez żadnego zakotwiczenia w mieście. Przeniosła się tu z południa kraju, więc odróżniała się nawet sposobem mówienia. Pracowała na uniwersytecie. Sven-Arne wywodził się z klasy robotniczej i zanim został rzecznikiem związkowym, a potem politykiem komunalnym, przez dobrych dziesięć lat pracował fizycznie, co w partii robotniczej było towarem deficytowym.

W sporze z Gerdą Lyth i jej zwolennikami świadomie wykorzystywał swoje pochodzenie klasowe, dość rzadkie w Uppsali, zdominowanej przez mieszczaństwo i środowisko akademickie. Dopiero znacznie później dotarło do niego, jak niewiele brakowało, by jego wrogom udało się odsunąć go od władzy i pozbawić wpływów w zarządzie gminy.

Gdy sytuacja stawała się podbramkowa, zawsze mógł wrócić do „prawdziwego” dialektu uppsalskiego z okresu dzieciństwa i młodości. Niektórzy twierdzili, że Uppsala nie miała swojego specyficznego dialektu. Nic bardziej mylnego, uważał Sven-Arne. Już po kilku zdaniach był w stanie rozpoznać prawdziwego mieszkańca miasta, wywodzącego się z miejscowej klasy robotniczej, chociaż przyznawał, że takich ludzi było już coraz mniej. W dzisiejszych czasach wszystko się mieszało, różnice językowe zacierają się. Dla partii robotniczej, flirtującej z klasą średnią, przynależność klasowa stawała się coraz bardziej nieporęcznym narzędziem walki. Język klasy robotniczej był jedynie rodzajem łącznika z dumną przeszłością, uprawniającym do przemawiania w imieniu innych. Natomiast w wewnętrznej walce o władzę mógł być swobodnie wykorzystywany, o czym Gerda Lyth przekonała się na własnej skórze.

Po pierwszych atakach, które Sven-Arne początkowo starał się ignorować, jego antagoniści zwarli szeregi i przystąpili do bardziej przemyślanej kampanii, zmuszając go do zajęcia stanowiska.

Zmobilizował więc swoich popleczników, skontaktował się z jednym z dawnych działaczy, cieszącym się poparciem starszych członków kół partyjnych w mieście, i zaczęto knuć. Nawiązano kontakt z mediami, Persson wystosował świetnie napisany osobisty apel, w którym domagał się większej „troski” o miasto i przeniesienia jego centrum. To ostatnie było całkowicie zrozumiałe zarówno z geograficznego punktu widzenia, skoro bastionem jego władzy były dawne dzielnice robotnicze, takie jak Salabackar, Tunabackar, Almtuna i Svartbäcken, jak i z czysto ideologicznego.

W apelu wspominał o „porządnej pracy”, jakby samo pojęcie było czymś niemal magicznym, cytował anegdoty z okresu, kiedy pracował jako hydraulik, używając przenośni, identyfikujących go z klasą robotniczą i tajemnym braterstwem rzemieślników, co, doskonale

to wiedział, przemawiało zarówno do wtajemniczonych, jak i do ignorantów.

Pisał o tradycji i odnowie, wyświechtane pojęcia, które jednak w tym kontekście wydawały się prawdziwe i które udało mu się umiejętnie powiązać nie tylko zresztą z jego własnym doświadczeniem szwedzkiej biedy, z tradycją, zapachem mokrej wełny, marzeniami o urlopach i dostępie do dentysty, ale także z nowymi technologiami w dziedzinie informatyki i badaniami biomedycznymi, które miały zapewnić Uppsali miejsce na mapie świata.

Natomiast starał się w ogóle nie poruszać kwestii „nowych Szwedów”, których prawdę mówiąc, nie znał. Wiedział jedynie, że na ogół mieszkali gdzieś na obrzeżach miasta. Wspomniawszy w tym kontekście o Karlu Oskarze z powieści Vilhemla Moberga, była też grecka feta, nie pojawił się natomiast żaden poważny problem i jakiegokolwiek zobowiązania do czegokolwiek.

Sven-Arne zaczął dostawać kwiaty. W jego gabinecie w ratuszu unosił się zapach lewkonii. Czytelnicy miejscowej gazety „Upsala Nya Tidning” pisali listy do redakcji, wszystkie bardzo pozytywne. „Nareszcie ktoś odważył się powrócić do ideologii”, pisał jeden z czytelników. „Znów rozpoznamy naszą socjaldemokrację”, zauważył drugi.

Opozycja okazała się na tyle rozsądna, że nie dała się wciągnąć w żadną dyskusję. Apel był zbyt ogólnikowy i utrzymany w zbyt retorycznym tonie, by dawać powód do jakiegokolwiek ataku. Główny oponent Perssona, Herbert Gunarsson (umiarkowana prawica), doskonale rozumiał, że apel był przeznaczony do „użytku wewnętrznego”. W głębi duszy nie znosił kobiet w polityce, a szczególnie tych spod znaku socjaldemokratów, i cieszył się, że ktoś utarł nosa Lyth, chociaż jej nazwisko nigdzie nie zostało wymienione.

Jedyną osobą, która skrytykowała apel, był Ante. Natychmiast po jego opublikowaniu zadzwonił do bratanka i roześmiał mu się w twarz. Nie dał się oszukać. Nie miał wątpliwości, o co naprawdę chodzi, a Sven-Arne przeklinał w duchu człowieka, z którym czuł się tak silnie związany. Słowa stryja zostały w jego ciele niczym zadra. Zawsze, gdy później posługiwał się retoryką apelu, językiem, który był przekonujący, ale i świadomie dwuznaczny, a którym on władał po mistrzowsku, czuł, jak wszystko znów odżywa.

Sven-Arne nie odpowiedział na zarzuty stryja. Nie było sensu upiększać kłamstwa. Wysłuchał jego sarkastycznej tyrady i spytał, jak jego biodro. To był czuły punkt stryja. Starszy pan nie mógł już poruszać się samodzielnie i jeśli miał do pokonania dłuższy kawałek, musiał prosić bratanka o pomoc.

W wyniku ofensywy Svena-Arnego Gerda Lyth musiała się poddać. Przez moment miał nawet wyrzuty sumienia, ale szybko się z nimi uporał. Był politykiem, musiał być silny, w jego działalności nie było miejsca na wątpliwości czy chwiejność.

Ani jedno słowo w jego tekstach nie było nieprawdziwe, a mimo to wiedział, że całość jest fałszywa. To nie był manifest ideologiczny, tylko orwellowskie oszustwo.

Po zwycięstwie odniesionym nad partyjną konkurencją Sven-Arne Persson pogrążył się w depresji. Stan ten trwał pół roku. Po orzeźwiającej walce o władzę została mu już tylko obojętność.

Jakby jego zakłamanie obnażyło nieprawdziwe wnętrze nie tylko jego, ale też i jego kolegów, tych którzy trwali przy nim, wspierali go i poklepywali po plecach. Wydawało mu się, że wszyscy powinni przejrzeć jego słowa. Zastanawiał się, czy jego kamuflaż był tak przekonujący, czy też tęsknota jego partyjnych kolegów za zabarwioną ideologicznie

argumentacją była tak wielka, że dali się zwieść fanfantom, które, gdy wybrzmiały, zostawiały po sobie pustkę, od której większość przecież pragnęła uciec.

Po niespełna roku Gerda Lyth porzuciła Uppsalę dla Göteborga, gdzie dostała posadę w administracji uniwersytetu. Kiedy Sven-Arne na jakiejś konferencji spotkał silnego człowieka göteborgskiej polityki, spytał go oczywiście o Lyth. Ale Göran Johansson nie potrafił mu nic powiedzieć. W ogóle o niej nie słyszał. Czyżby Gerda Lyth uznała, że ma dosyć polityki?

– Co o tym sądzisz?

Wyrwany z zamyślenia Sven-Arne spojrzał zdziwiony na Sandströma.

– Przyznaję, że nie słuchałem zbyt pilnie.

– Źle się czujesz? Jesteś blady.

– Boli mnie głowa. Zrobię sobie małą przerwę – powiedział Sven-Arne. – Jeśli można, oczywiście – dodał.

Nie oczekiwał żadnych protestów, więc wstał i opuścił pokój. A tym samym także swoją żonę, politykę, Uppsalę i Szwecję.

Na rogu Brigade Road i Mahatma Gandhi Road otrzymał pierwsze ostrzeżenie. Nie żeby był przesądny, wręcz przeciwnie. Jego życie zawodowe zawsze cechowała racjonalność. Dlatego niezbyt dobrze pasował do tego kraju, chociaż zawsze, a z czasem coraz bardziej, doceniał hinduski fatalizm. Ale powinien był dostrzec znaki ostrzegawcze.

Po pierwsze skojarzenie z „domem”. Kiedy myślał o „domu”, myślał zwykle o mieszkaniu w Bangalurze, znacznie rzadziej o segmencie w Uppsali. Jednak tym razem przed oczami stały mu kamienice wokół rynku Vaksala. Oczywiście zdarzało mu się wracać w myślach do okolic swojego dzieciństwa, ale tym razem wspomnienia pojawiły się z niespodziewaną siłą. Zatrzymał się, ktoś go popchnął i znalazł się przed wejściem do sklepu, w którym sprzedawano jedwab z Kaszmiru.

Mahatma Gandhi Road w niczym nie przypominała Uppsali. Absolutnie w niczym. Intensywny, niemal szaleńczy ruch, wieczne trąbienie i kłęby spalin unoszących się nad ulicą, były nie do wyobrażenia w okolicach Vaksala. Podobnie jak dziury w chodniku, niektóre tak głębokie, że sprawiały wrażenie, jakby prowadziły prosto do innego świata: czarna otchłań, w którą każdy mógł zstąpić, i strumień ludzi, którzy umiejętnie wymijali stojącego nieruchomo mężczyznę; sprzedawca „prawdziwych” roleksów i „policyjnych okularów”, który po prostu go ignorował, i ochroniarz firmy Guardwell, stojący na zewnątrz sklepu, który oferował znaczne upusty na szale i sari, a naprawdę doił zachodnich turystów, wyciągając od nich dodatkowe tysiące rupii. Nie były to jakieś przerażająco wielkie sumy, ale wystarczały, żeby mafia z północy robiła znakomite interesy. Tak przynajmniej twierdził Lester.

Zobaczył przed sobą dom, w którym dorastał, podwórko, gdzie co piątek grabiono żwirowe alejki, zadbane, starannie wytyczone trawniki, klomby róż i krzaki bzu, i obowiązkowy krzak jaśminu, i cuchnący buldenez w parku obok stacji kolejowej. Podwórka przy domach cechował surowy porządek. Poczucie niezmienności, wyjątkowe w obecnych czasach. Uderzyło go to, kiedy kilka lat temu zawitał tam całkiem przypadkowo podczas wizyty w kraju. Zmiany były niemal niezauważalne: na jednym z podwórek postawiono altankę na śmietnik, która zresztą zdecydowanie tam nie pasowała, poza tym żwir nie był tak starannie wygrabiony jak kiedyś, a maszt od flagi został usunięty, być może czasowo, bo podstawa pozostała. Potężne drzewa bzu pochylały się podejrzanie, można było odnieść wrażenie, że ich poskręcane pnie wily się ze strachu przed upływem czasu.

Sven-Arne Persson zobaczył to wszystko przed sobą, stojąc na chodniku na MG Road. Ochroniarz przyglądał mu się podejrzliwie, być może bał się, że starszy pan się przewróci i wtedy on będzie musiał podjąć jakieś działanie.

Sven-Arne uśmiechnął się uspokajająco. Ochroniarz skinął głową, ale jego twarz pozostała nieruchoma.

Czyżby zatęsknił za domem? Do tej pory nigdy nawet nie pomyślał, że mógłby kiedyś wrócić do Uppsali. Było to jak senne marzenie, jak kiedy wyobrażamy sobie, że fruujemy jak ptak, czy nurkujemy w głębinach jak ryba.

Pewnie doskwierał mu brak możliwości. Nie miał nawet ważnego paszportu. Zrobił kilka kroków, przede wszystkim by uniknąć baczego spojrzenia ochroniarza, zatrzymał się, a potem

ruszył powoli w stronę Marks Road.

Po chwili pojawiło się drugie ostrzeżenie.

Przeszedł ledwie kilkaset metrów, kiedy nagle zobaczył idącą w jego stronę parę. Był pewien, że to Szwedzi, chociaż nic – ani w ich ubiorze, ani zachowaniu – na to nie wskazywało. Jednak szedł dalej, nie przyszło mu nawet do głowy, żeby skręcić w jakąś boczną uliczkę. Mógł uciec, jak to robił wiele razy wcześniej, gdy nachodziło go przecucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Teraz jednak jego wyuczony mechanizm obronny, sprawdzający się przez ponad dziesięć lat, nagle, po dziwnym doświadczeniu, jakiego doznał, stojąc przed sklepem z jedwabiami, zaszwankował. Tak więc szedł im na spotkanie całkowicie bezbronny.

Dzieliło go od nich jakieś dziesięć metrów, gdy nagle ich spojrzenia się skrzyżowały. Kobieta przypatrywała mu się uważnie, powiodła wzrokiem po jego twarzy i po jego stroju, który zapewne uznała za dziwny, a potem obojętnie odwróciła wzrok. Gdy przechodzili obok siebie, Sven-Arne usłyszał, jak zwraca się do swojego towarzysza, mężczyzny w wieku około czterdziestu lat, który pocąc się w garniturze i koszuli z krawatem, szedł kawalek za nią.

Kobieta mówiła po szwedzku. Pochodzi z południowo-zachodniej Skanii, może z Helsingborga, pomyślał Sven-Arne. Jak zawsze, kiedy udało mu się rozpoznać czyjś dialekt, poczuł niemal dziecinną radość.

„Uważam, że powinniśmy spytać Nilsa”.

Powiedziała to stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Sven-Arne zdążył wyczuć niemy opór mężczyzny, który najwyraźniej nie miał ochoty pytać Nilsa o cokolwiek.

W momencie, kiedy się mijali, mężczyzna posłał mu szybkie spojrzenie. Sven-Arne miał wrażenie, że jego twarz drgnęła. Mężczyzna zwolnił, pozwolił, by odległość między nim a kobietą się zwiększyła. Zrobił to mimowolnie, jakby chciał powiedzieć: Proszę, pomóż mi się od niej uwolnić. Odwróć jej uwagę, żeby przestała myśleć o rozmowie z Nilsem.

Sven-Arne pospieszył dalej, nie oglądając się za siebie.

Hałas uliczny narastał, im bardziej zbliżał się do Marks Road. Jakaś riksza zderzyła się z motorowerem, dwóch mężczyzn kłóciło się głośno i zawzięcie. Obok motocyklisty stała kobieta i płakała. Z czoła leciała jej krew. Kierowca rikszy wykrzykiwał coś w gniewie, z ust tryskały mu fontanny śliny, gestykulował, jakby w ten sposób chciał podkreślić siłę swoich argumentów.

Kolizja spowodowała korek, zewsząd słyhać było trąbienie, ciężarówki wyły, żółte riksze piszczały żałośnie, manewrując między pojazdami. Sven-Arne zwolnił, ale nie zatrzymał się. Musiał się uporać ze swoją wewnętrzną kolizją.

Potem, kiedy już odpoczywał u Lestera, przeklinał własną głupotę. Powinien był uważniej odczytać znaki, a on, mimo wyraźnych ostrzeżeń, szedł dalej.

Jego celem była restauracja Koshy's, gdzie raz do roku, z powodów sentymentalnych, jadał obiad. Jedyne sentyment, na który sobie pozwalał.

Pewnego wieczoru w listopadzie 1993 roku, zdezorientowany i głodny, po tym jak wymiotował przez cały lot z Dehli, stanął przed budynkiem lotniska i poprosił kierowcę taksówki, żeby zawiózł go do jakiejś dobrej restauracji. Kierowca zabrał go do Koshy's.

Teraz wybrał się tam, żeby uczcić dwunastą rocznicę przybycia do miasta, które stało się jego domem. Początkowo było to dla niego przykre doświadczenie, jakby sam się zadreślał, jakby chciał sprawdzić, czy jest w stanie wytrwać.

Pierwsza wizyta nie była szczególnie udana. Rozplakał się. Był wykończony męczącą podróżą przez Europę, długimi lotami i napięciem. Głowa opadła mu na stół i zaczął bezdźwięcznie płakać. Kelner zauważył to i podszedł do niego, ale on odprawił go gestem ręki, wytarł łzy, sięgnął po kartę i ją otworzył.

Kiedy stał przed budynkiem lotniska, poczuł się obco, podczas krótkiej podróży do centrum miasta poczucie to wzmocniło się. Siedząc przy stole w restauracji, po raz pierwszy uświadomił sobie skalę swojego przedsięwzięcia. Do tej pory przemieszczał się mechanicznie, nie myśląc o skutkach. Z Uppsali udał się na lotnisko Arlanda, skąd poleciał na Heathrow w Londynie, a stamtąd do Dehli. Cały czas myślał tylko o jednym: żeby uciec.

Dlatego doroczna wizyta w restauracji była rodzajem próby. Zawsze siadał przy tym samym stoliku. Jeśli był zajęty, czekał cierpliwie. Potem zaczynał wspominać swoje pierwsze doświadczenia z Bangaluru. Niepewność i wątpliwości, czy aby na pewno dobrze zrobił. I za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: Postąpił słusznie. Bo jaki inny wniosek mógł wyciągnąć?

Zadowolony, że może uwolnić się od hałaśliwej ulicy i uniknąć kolejnych nieprzyjemnych zdarzeń, wszedł do restauracji. Skręcił w prawo, gdzie mieściła się bardziej ekskluzywna część lokalu, pchnął obrotowe drzwi i skierował się w stronę stolika, schowanego za kolumną i za plecami szefa sali. Tego samego przez wszystkie te lata, szerokiego w ramionach zapaśnika, o coraz bardziej przerzedzonych włosach, ale z imponującymi sumiastymi wąsami, dużymi dłońmi i ciężką, ponurą twarzą, której rysy potrafiły się zmienić w ciągu sekundy.

Szef sali rozpoznał go, uśmiechnął się, odszedł od kolumny i wykonał zapraszający gest. Szok był całkowity. Sven-Arne odwrócił się na pięcie i uciekł.

Jan Svensk uniósł się na krzesło i mimowolnie wyciągnął rękę, jakby chciał zatrzymać uciekającego, ale oczywiście natychmiast się zorientował, że nie ma to sensu. Drzwi wykonały kilka obrotów, mężczyzna zniknął.

To niemożliwe, pomyślał. Siedział chwilę jak sparaliżowany, po czym wstał i wybiegł na hałaśliwą ulicę. Uderzyło go gorąco. Rozejrzał się na wszystkie strony i przez matową plastikową szybę oddalającej się rikszy dojrzał siwą głowę. Kierowca przyspieszył i pojazd zniknął wśród innych w gęstym ruchu.

Wrócił do lokalu. Pozostali goście, w liczbie kilkunastu, przyglądali mu się z nieskrywaną ciekawością. Kelner spojrział na niego zdziwiony.

– Coś nie tak, sir?

Jan Svensk pokręcił głową.

– Miałem wrażenie, że... Ten mężczyzna...

– Ma pan na myśli „Grzecznego”?

– Zna go pan?

Kelner pokręcił głową. Jan Svensk nigdy nie potrafił powiedzieć, co ten ruch znaczył. Czy oznaczało to „tak”, czy „nie”, czy może coś pomiędzy, niezdecydowane „może”?

– Często tu bywa?

Kelner rozejrzał się, zobaczył zmierzającego w ich stronę kierownika sali.

– Kim on jest?

– Tego nikt nie wie, sir.

Kelner zrobił ruch, jakby chciał odejść od stolika, ale Svensk chwycił go za rękę.

– Często tu przychodzi? – powtórzył.

– Niezbyt.

Spojrzeli na siebie. Jan Svensk miał wrażenie, że kelner miał nad nim przewagę, być może dlatego, że stał. Zaczął się zastanawiać, ile mężczyzna mógł mieć wzrostu? Metr sześćdziesiąt pięć centymetrów, góra, pomyślał. On sam miał metr osiemdziesiąt jeden.

Kelner uśmiechnął się, poprawił rękaw i skupił uwagę na sąsiednim stoliku. Wcześniej jednak ponownie pokręcił głową, co Jan Svensk zinterpretował jako stwierdzenie: „To wszystko, co wiem”, czy raczej: „To wszystko, co mogę powiedzieć”.

Powrócił do jedzenia z niejasnym poczuciem, że został niesprawiedliwie potraktowany. Jedzenie mu nie smakowało. Przypominało odchody, chociaż nie, to, co wydalal w hotelowej toalecie, zachowywało swój pierwotny wygląd. Była to cuchnąca, brunatna, niekiedy lekko żółtawa masa, zostawiająca w jego przewodzie pokarmowym przykre uczucie pieczenia. Ta na jego talerzu miała konsystencję rzadkiej kaszy, pomyślał, mieszając łyżką w papce z soczewicy. Ale przynajmniej pachniała przyjemniej, pomyślał.

Czy to mógł być Persson? Jak on miał na imię? Pamiętał, że było podwójne i nieco staroświeckie. Sven-Arne, przypomniał sobie.

Jan Svensk wiedział z lektur, że czasem spotyka się sobowtóry, widywał w gazetach zdjęcia osób bardzo do siebie podobnych. Zwykle był to ktoś z Tierp czy z Alingsås, podobny do jakiegoś aktora czy celebryty.

Czy także Persson mógł mieć swojego sobowtóra? Jan Svensk pokręcił głową w milczeniu.

– Nie, na pewno nie – wymamrotał sam do siebie i rozejrzał się za kelnerem, który – był o tym przekonany – z pewnością miał więcej informacji na ten temat.

Do stolika podszedł kierownik sali, ubrany w nieskazitelny garnitur, koszulę i krawat.

– Wszystko w porządku? – wymamrotał.

Jan Svensk skinął głową.

– Zastanawiam się, czy mężczyzna, który tu wszedł... Czy pan go zna?

Kierownik sali wykonał przeczący gest ręką.

– Jadł u nas kilka razy, ale nie mogę powiedzieć, że bym go znał.

Chroni go, pomyślał Jan Svensk.

– To... dawny przyjaciel z mojej ojczyzny – powiedział głośno.

– Naprawdę?

Pewnie chce pieniędzy, pomyślał Szwed.

– Przyjaciel rodziny – ciągnął.

– Szkoda, że nie mieli panowie okazji zamienić choć kilku słów.

Drań! Dobrze wiesz, kim jest ten facet. Kierownik sali zniknął równie szybko, jak się pojawił. Kiedy Svensk się odwrócił, zobaczył, jak rozmawia z kelnerem.

Pomachał ręką, za chwilę przy stoliku zjawił się kelner.

– Rachunek, proszę.

Po dziesięciu minutach kelner zjawił się z rachunkiem. Jan Svensk dał mu dwa banknoty, po pięćset rupii każdy.

Kelner spojrzał na nie.

– To za dużo – zauważył, otwierając skórzane etui z rachunkiem.

Wynosił czterysta dwadzieścia rupii.

Kelner wyjął jeden banknot, położył go na stole.

– Wystarczy, dziękuję.

Roześmiał się. Jan Svensk się zaczerwienił.

– Pomyślałem, że...

– Rozumiem – powiedział kelner. – Ale nawet my, podobnie jak nasi goście, mamy swoją godność. Mam nadzieję, że jedzenie panu smakowało.

Riksza coraz bardziej oddalała się od Koshy's. Wsiadając, podał kierowcy swój adres, ale po kilku minutach zmienił zdanie i podał mu inny: South End Circle. W Jayanagar, na południe od Ogrodu Botanicznego Lal Bagh, mieszkał Lester. Tam będzie mógł przenocować. Robił to już wcześniej. Pewnego razu gdy praca w ogrodzie przedłużyła się, Lester zaprosił go do siebie na późny obiad, a potem zaproponował, żeby przenocował na kanapie w pokoju.

Potem stało się to swojego rodzaju tradycją, podobnie jak wizyty w restauracji. Lester zapraszał go do siebie kilka razy w roku. Zawsze z jakiejś okazji.

Tym razem zjawi się nieproszony. Był jednak pewien, że Lester zbytnio się nie zdziwi. A nawet jeśli, to nie da mu tego odczuć.

Zresztą Lester nie należał do ludzi, których było łatwo czymś zaskoczyć. Wszelkie zmiany, spodziewane czy nie, przyjmował z równym spokojem. Poza tym był jedynym człowiekiem, który wiedział dostatecznie dużo o jego przeszłości, by Sven-Arne mógł mu opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w restauracji. Lester z pewnością go wysłucha, pośle jednego z synów po piwo, i być może małą buteleczkę rumu, a potem udzieli mu kilku dobrych rad i przenocuje.

Ojciec Lestera był Anglikiem. Sven-Arne miał niekiedy wrażenie, że w pewnym sensie mu go zastępował. Biologiczny ojciec Lestera przybył do Bangaluru w połowie lat pięćdziesiątych i zamieszkał w jednym z nielicznych zadbanych domów w dość marnej dzielnicy wokół Russel Market. Z czego żył, tego nikt nie wiedział, być może z jakiejś renty. W czasie wojny został ranny, w walkach w Birmie, niedaleko Rangunu, nie miał jednej ręki, amputowano mu ją do łokcia, poza tym doznał urazu psychicznego. Lester opowiadał, że jako dziecko zdarzało mu się budzić, bo ojciec krzyczał, kiedy dręczyły go koszmary.

Ojciec Lestera nienawidził nie tylko Japończyków, ale w ogóle wszystkich Azjatów. Dlatego było zagadką, po co osiedlił się akurat w Bangalurze, i ożenił z kobietą z Madrasu, która w krótkim czasie urodziła mu trójkę dzieci. Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Lester miał osiem lat, jednoręki Anglik zniknął na dobre. Sześć lat później rodzina otrzymała wiadomość, że zmarł w szpitalu w Mombasie. Zostawił po sobie dom przy Noah Street i pięć tysięcy funtów na koncie w banku w Hongkongu.

Kwota ta umożliwiła Lesterowi i jego dwóm braciom zdobycie wykształcenia. Lester przez trzy lata studiował ogrodnictwo w północnych Indiach, powrócił do Bangaluru na swoje dwudzieste trzecie urodziny. Dostał posadę w Lal Bagh i został. Odpowiadał za pielęgnację drzew i nowe nasadzenia.

Lester otworzył drzwi, spojrzał na twarz Svena-Arnego, i nawet drgnieniem kącików ust nie zdradził żadnych emocji. Cofnął się nieco i zawołał do żony, że mają gościa, cały czas bacznie mu się przyglądając.

– Wszystko w porządku?

Sven-Arne skinął głową, zdjął sandały i postawił je koło drzwi, gdzie tłoczyły się razem z kilkoma innymi parami.

– Przychodzę niespodziewanie, ale coś się wydarzyło.

– Mam nadzieję, że nic poważnego – powiedział Lester, zapraszając gościa do jednego z trzech pokoi swojego mieszkania. Z pokoju obok dochodził ryk telewizora.

Z kuchni wyjrzała żona Lestera.

– Poprosimy herbatę – powiedział Lester.

Sonia zniknęła.

– Może jesteś głodny?

– Nie, dziękuję. Herbata wystarczy.

Głód nagle zniknął. Nadal był tak wstrząśnięty, że musiał bardzo się wysilać, żeby zapanować nad głosem.

– Z rodziną wszystko w porządku?

– Jak najbardziej – odpowiedział Lester. – Kilka dni temu John pisał test. Mam wrażenie, że dobrze mu poszedł. Lilian tryska energią. Jest u koleżanki. Uczą się. A Joseph kupił wczoraj skuter.

Lester zawsze posługiwał się krótkimi zdaniami. Jakby wyrzucał z siebie informacje. Wypowiadał jedno zdanie, otwierał swoje wąskie usta, nabierał powietrza, i wyrzucał z siebie następne. Sven-Arne zawsze uważał, że musiało to być nieco męczące, ale dziwny sposób mówienia przyjaciela już go nie stresował.

– Test na pewno poszedł mu znakomicie – powiedział. – John jest bardzo zdolnym młodym człowiekiem. Daleko zajdzie.

Lester pokiwał skromnie głową. John był jego ulubieńcem, chociaż starał się otaczać wszystkie swoje dzieci taką samą miłością.

Sonia wróciła, niosąc herbatę, czarną dla Lestera, i z mlekiem, i cukrem dla Svena-Arnego. Podała ją i wycofała się do kuchni. W innej sytuacji pewnie zostałaby kilka minut, przysłuchując się rozmowom mężczyzn, ale Sven-Arne zauważył dyskretny znak ręką, który dał jej Lester.

Pili w milczeniu. Z telewizora, nastawionego na lokalny kanał, dochodziły wiadomości. Lester wysłuchał skrótu, a potem ponowił pytanie, czy wydarzyło się coś szczególnego? Wiedział, że dwudziesty listopada był dla Svena-Arnego ważnym dniem, wtedy bowiem zawsze szedł do Koshy's.

– W Koshy's pojawił się mężczyzna z mojego dawnego życia.

Sven-Arne nie bardzo wiedział, co ma dalej mówić. Ile może powiedzieć? Lester wiedział, że Sven-Arne właściwie uciekł ze swojej ojczyzny, że był bezpaństwowcem bez żadnych dokumentów, jakby zawieszony w próżni. Nie znał jednak żadnych szczegółów. Sven-Arne niewiele mu opowiadał, a Lester nigdy nie nalegał.

– Był moim sąsiadem – powrócił do swojej opowieści. – Wówczas, czyli już dość dawno temu, był młodym mężczyzną, pewnie koło dwudziestki. Może nieco nieogarnięty, ale w porządku. Miły chłopak. Teraz wyglądał jak biznesmen podróżujący w interesach, i zapewne tak jest.

– Rozpoznał cię?

– Na pewno.

– Rozmawialiście ze sobą?

Sven-Arne wziął do ręki filiżankę, ale zaraz ją odstawił. Ręka mu drżała.

– Wyszedłeś – stwierdził Lester.

– Wybiegłem.

Lester roześmiał się, Sven-Arne domyślał się dlaczego. Było powszechnie wiadomo, że nie jest szczególnie energiczny, przyjaciele w Lal Bagh żartowali sobie z jego nieco ślamazarnego

sposobu chodzenia, nazywając go niekiedy „Ślimakiem”.

– Grozi ci to czymś?

– Ja nie żyję – odpowiedział Sven-Arne.

– Sprawa nie jest chyba aż tak poważna!

Lester położył dłoń na ręku Sven-Arnego.

– W Szwecji zostałem oficjalnie uznany za zmarłego.

– Ale tutaj żyjesz.

– Nie można być trupem w Szwecji i żyć w innym kraju. Szwecja lubi mieć kontrolę nad swoimi obywatelami.

– Oszukałeś Szwedów?

Pytanie zabrzmiało nieco humorystycznie, Sven-Arne roześmiał się. Tak, pewnie ich oszukał. Zagrał na nosie im wszystkim, żonie i przyjaciółom, i nie tylko im. Całej oficjalnej Szwecji, najróżniejszym obowiązkom i powinnościom, oszukał wszystkich. Nie w jakiś spektakularny sposób, ale właśnie znikając niezauważenie. Zrywając wszystkie więzy ze swoją ojczyzną, postawił się poza obowiązującym w Szwecji porządkiem, który przecież sam wspierał i rozwijał. Pod wieloma względami był jego rzecznikiem, wręcz go uosabiał. Dlatego jego ucieczka była podwójną zdradą. Nie był „nikim”, nie egzystował gdzieś na marginesie społeczeństwa, nie był niebieskim ptakiem bez żadnych zobowiązań.

Zatarł swoją tożsamość, zamienił się w Johna Mailera i zatopił w tłumie, czyli w Indiach. Stał się anonimowym pionkiem, dla królestwa Szwecji równie mało znaczącym jak wszyscy jego nowo poznani hinduscy przyjaciele. Byłem jednym z miliarda ludzi, tak nic nieznaczącym, że można go było pominąć, nie trzeba było się nim zajmować.

Sven-Arne chciał być taki jak Lester, stać się jednym z tych, wobec których świat w pewnym sensie pozostawał obojętny. A teraz Szwecja, pod postacią byłego sąsiada, dopadła go. Wiedział, że łatwo się nie wywinie. Chłopak Svenska był inteligentny. Jego ojciec, Rune Svensk, i Sven-Arne byli z tego samego rocznika, razem chodzili do szkoły, a potem, wiele lat później, zostali sąsiadami.

Jan, bo tak właśnie miał na imię młody Svensk, na pewno nie będzie milczał.

– John, przyjacielu – przerwał Lester jego rozważania. – Nie zamartwiaj się. Może twój dawny sąsiad wcale nie jest pewien, czy to rzeczywiście ty.

– Muszę uciekać – powiedział Sven-Arne.

– Dokąd?

– Najlepiej, żebyś nic nie wiedział. Poza tym jest jeszcze kilka spraw, które muszę załatwić.

– Co stanie się z twoją młodzieżą?

Sven-Arne niemal niezauważalnie poruszył głową. Ich też będzie musiał porzucić. Zniknie bez słowa, żadnego pożegnania, żadnego tłumaczenia. Co sobie pomyślą? Zmęczenie, głód, myśli o szkole i przyjaciółach w ogrodzie botanicznym, wszystko to sprawiło, że zaczął szlochać.

Lester nachylił się nad stołem. Sven-Arne poczuł jego czosnkowy oddech. Teraz wszystko się rozstrzygnie, pomyślał. Wszystko zależy od tego, co powie Lester. Ale przyjaciel milczał. Nawet głosy dochodzące z telewizora nagle jakby stały się cichsze, domyślił się, że żona Lestera skrzyła głos. Zrozumiał, że musiała niespostrzeżenie opuścić pokój.

Pili herbatę. Sonia zostawiła na stole talerz z herbatnikami. Uświadomił sobie, jak bardzo był głodny. W związku z planowanym wyjściem do Koshy's rano nie zjadł śniadania. Sięgnął po herbatnika, zerknął na Lestera, ich spojrzenia się spotkały.

Zastanawiał się, czy Lester domyślał się, że minie trochę czasu, zanim znów się spotkają, jeśli w ogóle. Że ich wieloletnia przyjaźń być może zakończy się tu, przy tym stoliku, na którym stały dwie filiżanki herbaty i talerz z herbatnikami? Sven-Arne wiele zawdzięczał Lesterowi. Lester okazał mu miłosierdzie. Słowo to wyszło z użycia, właściwie używali go już jedynie ludzie wierzący, a on nigdy się do nich nie zaliczał.

Lester znalazł mu pracę, unikając zręcznie hinduskiej biurokracji. Przedstawił go jako mężczyznę w średnim wieku, który potrzebował zmienić środowisko. Potem wróci do swojego kraju. Chociaż zapewne już wtedy, dwanaście lat temu, domyślał się, że ma przed sobą człowieka, który uciekł przed swoim życiem.

Sven-Arne nigdy nie spytał, dlaczego przyjął go z taką oczywistością. Wiedział, że nie ma żadnej rozsądnej odpowiedzi. Lester po prostu taki był. Poczulby się skrępowany pytaniem.

Nie chodziło o religię. Lester rzadko, a może w ogóle nie uczestniczył w jakichkolwiek ceremoniach religijnych, ale miłosierdzie mu pozostało. Początkowo Sven-Arne podejrzewał, że może jego częściowo brytyjskie pochodzenie tłumaczyło naturalnie przyjazne podejście do obcokrajowca, który po prostu chciał pomóc mu w pracy w ogrodzie. A może był tak zdumiony, że postanowił dać szansę obcemu człowiekowi. Sven-Arne wiedział, że nigdy się tego nie dowie i już dawno temu przestał się zastanawiać nad motywami, kierującymi przyjacielem. Jednak ciepłe wspomnienia pierwszego okresu w Bangalurze wracały.

Rozstali się bez żadnych ceregieli, podali sobie dłonie i po chwili kłopotliwej ciszy szybko się uściskali. Sven-Arne poprosił, żeby Lester uściskał od niego dzieci i życzył im szczęścia. Sonia stała w drzwiach kuchni i milczała. W ręku miała torbę z plackami naan i słoik marynat, które Sven-Arne bardzo sobie cenił. Bez słowa podała mu torbę i Sven-Arne zniknął za drzwiami.

Za każdym razem, kiedy wchodził do toalety, miał wrażenie, że wkracza w kadr z Monty Pythona. Mimo ruchu ulicznego i dziwnego, ciągle powracającego dźwięku, który brał za piszczenie własnej komórki, w pokoju hotelowym panowała względna cisza. Kiedy natomiast otwierał drzwi do toalety, miał wrażenie, jakby nagle znalazł się na rondzie, na które ze wszystkich stron nadjeżdżały samochody. Nie zdziwiłby się, gdyby nagle między brodzikiem a sedesem pojawiła się riksza, wykonująca jakiś dziwny manewr.

Siedział w hałasie i rozmyślał, śledząc jednocześnie mozolną wędrówkę owada po zasłonie prysznicowej. Spadł po raz trzeci i leżał teraz na plecach, rozpaczliwie machając odnóżami, po chwili odwrócił się i znów ruszył w stronę kabiny. Jan Svensk wyciągnął nogę i zmiażdżył owada stopą.

Rozdrażnienie spowodowane zachowaniem kelnera, a przede wszystkim kierownika sali, już mu minęło. Właściwie rozumiał ich. Nie mieli pojęcia, kim jest, podczas gdy Sven-Arne zapewne był ich stałym gościem. Wiernych klientów należy chronić, to proste. Dlaczego tak go to zdenerwowało?

Może powodem jego rozgoryczenia była ogólna frustracja hinduską rzeczywistością? Opuścił restaurację w złości, nie zostawiając nawet rupii napiwku. Teraz było mu wstyd.

Miał zatwardzenie, wbrew temu, przed czym wszyscy go ostrzegali. Ostatnie dwa dni spędził, wielokrotnie odwiedzając toaletę „na rondzie”. W końcu oddał gazy, zmieszały się ze spalinami, wpadającymi do pomieszczenia przez otwór wentylacyjny na ścianie pod sufitem. Odetchnął z poczuciem ulgi, ale i wyczerpania, oderwał długi kawałek papieru z rolki, podtarł się starannie, a potem trzykrotnie umył ręce. Miejscowi rzadko używali papieru, o ile zdążył się zorientować, podmywali się wodą. Nawet miał ochotę spróbować, ale został zbyt konwencjonalnie wychowany. Podejrzewał, że być może woda lepiej chłodziła delikatną skórę, ale mimo to miał wątpliwości.

Nie uważał siebie za osobę etnocentryczną. Teoretycznie zawsze podkreślał, jak ważne jest zrozumienie między ludźmi pochodzącymi z różnych światów. Pragnął widzieć w innych ludziach i w innych kulturach to, co dobre, nowe, inspirujące, niestety stwierdzał, że nieracjonalne, przynajmniej w jego oczach, Indie coraz bardziej go denerwowały.

Dlaczego? Jego koledzy, którzy byli tu już dłuższy czas, potrafili w naturalny sposób wtopić się w otoczenie i zaakceptować nawet najbardziej rażące, niekiedy wręcz idiotyczne zachowania. Ku jego zdziwieniu i oburzeniu.

Nie mogli tupnąć nogą? Jemu, nowemu, to nie wypadało. Uznano by to za brak wrażliwości, za obrazę. Reagował z niechęcią na obcą kulturę i tradycje. Po tygodniu spędzonym w Bangalurze czuł się zdezorientowany: obce kusilo go, ale jednocześnie pragnął czuć się równie bezpiecznie jak w Uppsali.

Opuścił toaletę, zamknął za sobą drzwi, spojrzął na zegarek i rzucił się na łóżko.

– Sven-Arne, co ty robisz w Bangalurze? – wymamrotał.

Powinien się zalogować i wysłać kilka maili, ale leżał i patrzył w sufit, rozmyślając o Perssonie, radnym gminy, który zniknął. Doskonale pamiętał całą historię, przede wszystkim dlatego, że rodzina Perssonów mieszkała w segmencie sąsiadującym z segmentem jego rodziny,

a żona Svena-Arnego i matka Jana przyjaźniły się.

Spekulowano, czy został zamordowany, większość była przekonana, że popełnił samobójstwo. Co prawda nie znaleziono żadnego listu pożegnalnego, a żona Svena-Arnego twierdziła, że jej mąż nie miał żadnych objawów depresji i nic nie wskazywało, że mógłby targnąć się na własne życie. Sytuacja finansowa pary była dobra, Sven-Arne robił karierę polityczną, wspomniano o miejscu w parlamencie, może nawet w rządzie.

I nagle, zwykłego dnia pracy podczas spotkania w ratuszu, radny przeprosił zebranych i opuścił salę obrad. Wszyscy byli przekonani, że wyszedł do toalety albo może musiał pilnie zadzwonić. Zebranie dobiegało końca, wszystkie ważne sprawy zostały załatwione, więc jego wyjście nikogo nie zdziwiło.

Dwadzieścia minut później zebranie się zakończyło pod nieobecność Perssona.

Godzinę później radny opozycyjny, Hellmark, miał umówione spotkanie z Perssonem. Mieli dyskutować na temat ewentualnego wspólnego stanowiska w kilku kwestiach.

Persson nie pojawił się. Jego sekretarka nie potrafiła podać powodu. Persson nie należał do osób, które zapominały o spotkaniach, czy były nonszalanckie. Przeszukano biuro, a następnie zadzwoniono do niego do domu.

Dziewiętnastego listopada 1993 roku o godzinie ósmej wieczorem jego żona skontaktowała się z policją. Wcześniej obdzwoiła wszystkich znajomych, rozmawiała z sąsiadami, telefonowała także na dyżur do szpitala akademickiego. Nikt nie widział jej męża, nikt nic o nim nie słyszał.

Aż do dzisiaj, dwanaście lat po całym zdarzeniu. Jan Svensk był coraz bardziej podniecony. Powoli zaczęło do niego docierać, jak niesamowite było spotkanie w restauracji. Bo nie miał żadnych wątpliwości, że to rzeczywiście był Sven-Arne. Reakcja mężczyzny, zdziwienie i strach, który widział w jego oczach, mówiły same za siebie.

Dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie wybrał właśnie Indie? Co tu robił? Z czego żył? Może powodem była kochanka? To dla niej porzucił rodzinę, pracę i swój kraj? A może sprzeniewierzył pieniądze gminy albo partii?

Jan Svensk leżał na łóżku, wpatrując się w wiatrak pod sufitem. Słuchając monotonnej litanii modlitewnej, dochodzącej z pobliskiego meczetu, postanowił, że musi spróbować rozwiązać zagadkę Svena-Arnego Perssona. Nie wyobrażał sobie, że wróci do Szwecji, niczego się nie dowiedziawszy. Uśmiechał się sam do siebie. To dopiero będzie sensacja. Żałował, że nie jest dziennikarzem. Już widział nagłówki gazet: Uznany za zmarłego polityk samorządowy ukrywa się w Indiach.

Postanowił zacząć poszukiwania. Tylko jak? Szukać kogoś w mieście takim jak Bangalur, to jakby szukać igły w stogu siana. Stare przysłowie nagle stało się jak najbardziej realne. Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle ma szansę wśród tej masy ludzi znaleźć Svena-Arnego, który co prawda wyróżniał się wyglądem, ale z drugiej strony zapewne robił wszystko, by nie rzucać się w oczy.

Nagle zgasło światło. Pokój rozświetlał teraz jedynie ekran jego laptopa, co przypomniało mu, że ma przed sobą jeszcze sporo pracy.

Wstał z łóżka i usiadł przy komputerze. Otworzył jeden z dokumentów, przejrzał go szybko, dodał kilka uwag, podłączył się do sieci bezprzewodowej i wysłał raport w świat. W tym momencie powróciło światło.

Jan Svensk otworzył kupioną na lotnisku Arlanda butelkę, przyniósł szklanę z toalety, nalał sobie szczerze whisky, usiadł w jedynym w pokoju fotelu i zaczął planować swoje działania.

Jeśli coś go przerażało, to fakt, że musiałby opuścić Bangalur na dobre. Gdzie się podzieje? Przez lata udało mu się stworzyć tu wątlą sieć bezpieczeństwa, zapewniającą mu względny spokój. Jednak przy najmniejszym ruchu jakaś nić mogła się zerwać i wtedy pochłonie go czeluść. Czyżby czekała go starość w biedzie, może nawet nędzy, i – co najgorsze – w samotności?

Lester i jego rodzina stwarzali mu namiastkę życia rodzinnego, w którym mógł uczestniczyć. Śledził dorastanie dzieci Lestera, jakby były jego własnymi, cieszył się ich sukcesami w szkole, martwił, kiedy chorowały. Obchodził razem z nimi wszystkie uroczystości rodzinne. Pamiętał pierwszą z nich, sześć dni po urodzeniu Lilian. Nieprzerwany strumień rodziny, sąsiadów i przyjaciół, którzy przychodzili podziwiać maleństwo, przynosząc drobne prezenty.

Fakt, że cudzoziemiec uczestniczy w uroczystości, wywoływał pewne poruszenie. Przez moment podejrzewał, że to właśnie z tego powodu został zaproszony, że Lester chciał się pochwalić, że ma wśród swoich bliskich znajomych tak egzotyczną osobę. Szybko jednak zrozumiał, że zaproszenie było szczere. Lesterowi autentycznie zależało, by był obecny na chatthi córeczki.

Drugą najważniejszą nicią jego sieci była praca w ogrodzie botanicznym. W Lal Bagh czuł się przydatny, wykonywał praktyczne czynności, które miały konkretne znaczenie. Pracował tam już tak długo, że mógł z dumą wskazać drzewa, które sam kiedyś sadił. Niektóre z nich wyrosły tak, że dawały latem pożądany cień. Inne pięknie kwitły. Jego ulubionym drzewem był miłorząb.

Lekcje w szkole, położonej w pobliżu jego miejsca zamieszkania, stanowiły trzecią nić sieci. Od pięciu, sześciu lat uczył za darmo gromadkę okolicznych dzieci angielskiego, historii Europy i czegoś, co pewnie można było nazwać wiedzą o społeczeństwie. Zajęcia odbywały się cztery razy w tygodniu poza właściwymi lekcjami i nie miały nic wspólnego z normalną nauką, a jednak zawsze cieszyły się dużą popularnością. Około trzydziestu młodszych nastolatków śledziło jego wykłady o rewolucji przemysłowej w Europie, o zdobyczach techniki i nowych metodach produkcyjnych, ale także o kiepskich warunkach pracy w ogóle i pracy dzieci w początkowym okresie walki o prawa człowieka, o walce z pijaństwem i walce o wolność wyznania.

Uczył też geografii i po każdym zakończonym kursie mógł się pochwalić, że jego uczniowie w większości potrafili wskazać na mapie Niemcy, Włochy, Polskę i jeszcze jakieś dwadzieścia innych krajów. Był niemal pewien, że mało które dziecko w Szwecji wiedziało równie dużo o Azji.

Geografia i historia Europy. Na tym się znał i tych tematów się trzymał.

Zawsze kończyli zajęcia ćwiczeniami ustnymi po angielsku. Sven-Arne w młodości skończył jedynie szkołę podstawową, ale kiedy na serio wciągnął się w politykę lokalną i coraz częściej musiał podejmować gości z zagranicy, zaliczył także licealny kurs angielskiego.

Teraz kolejne grupy zaliczały jego wykłady i uczestniczyły w organizowanych przez niego dyskusjach. Młodzi ludzie, nawet wiele lat po ukończeniu szkoły, zatrzymywali go na ulicy,

pozdrawiając z szacunkiem, niekiedy dość dla niego krępującym, i opowiadali, jak wiele jego zajęcia dla nich znaczyły. Bywało, że wzruszał się do łez.

Przez kontakty z młodzieżą zyskał miejsce także w świecie dorosłych. Był rozpoznawany, w okolicznych sklepach wszędzie chętnie go przyjmowano.

Uczył dzieci nie tylko ze względu na nie, w równie dużym stopniu robił to także dla siebie. Wykorzystywał umiejętności nabyte w swoim poprzednim życiu do planowania zajęć. Próbował inicjować dyskusje, zachęcał uczniów do wyrażania własnego zdania, usiłował pobudzić ich wyobraźnię. Nie zawsze mu się to udawało. Także w tym aspekcie sytuacja przypominała mu niekiedy tę z Uppsali.

Został nauczycielem być może także dlatego, żeby uciszyć wyrzuty sumienia. Nie chciał wchodzić w to głębiej, stwierdzał jedynie, że jest człowiekiem uprzywilejowanym. Wybrał proste życie, sadzenie drzew i ich pielęgnowanie dawało mu niską pozycję w społeczeństwie. Niemal codziennie obserwował zdziwienie na twarzach bogatych Hindusów, odwiedzających Lal Bagh. Bez zażenowania przyglądali się białemu mężczyźnie, który nosił dalit i proste sandały na bosych stopach, który miał brudne ręce, pełne odcisków, i który zwracał uwagę swoim zachowaniem: wykonywał brudną robotę, ciężką, niskopłatną, wymagającą siły fizycznej. Dla przedstawicieli klasy średniej był to szok. Brali go za wariata, nieudacznika, który zapewne przybył do Indii w poszukiwaniu Boga, a znalazł łopatę. Wytykali go palcami, śmiali się z niego, poprawiając tym samym własne samopoczucie.

Niektórzy zagadywali go i odkrywali zdziwieni, że jest człowiekiem wykształconym, mówiącym dobrze po angielsku, niejednokrotnie lepiej niż oni sami. Uśmiechając się, tłumaczył im swoją sytuację, mówił, że zdecydował się na pracę w ogrodnictwie, ponieważ chciał robić coś konkretnego. Starannie unikał opowiadania o swoim pochodzeniu. Niekiedy zyskiwało mu to szacunek. Szczupły mężczyzna, który potrafił rozmawiać z wierzącym Hindusem, miał w sobie coś z Ghandiego. Jednak najczęściej budził śmiech.

Te nici, kontakt z Lesterem i jego rodziną, zajęcia w szkole i praca w ogrodzie botanicznym, stanowiły sieć ochronną byłego polityka samorządowego, Svena-Arnego Perssona. Sieć, która sprawiała, że uznany oficjalnie za zmarłego polityk nadal był żywym człowiekiem.

Teraz to wszystko było zagrożone. Niewiarygodny zbieg okoliczności sprawił, że dwaj mieszkańcy Uppsali się spotkali.

Nagle pomyślał, że może to jednak wcale nie był przypadek. Może Jan Svensk w jakiś sposób dowiedział się, że Sven-Arne żyje? Może został wysłany tu specjalnie? Czym się zajmował? Może był policjantem? Sven-Arne nic o tym nie wiedział. Jeśli tak rzeczywiście było, to Svensk, jako jego dawny sąsiad, był właściwą osobą do takiej misji. W takim przypadku należało przypuszczać, że współpracował z hinduską policją, i wtedy sytuacja stawała się bardziej niż delikatna.

Sven-Arne dotknął ramienia kierowcy i podał mu nowy adres.

– Yes, sir – odpowiedział kierowca.

Skinął głową i zawrócił nieco ryzykownie, riksza zatrzeszczała, kierowcy wokół zaczęli trąbić.

Skręcili w Residency Road, kierując się na północ. Minęli Brigade Street, a potem skręcili w prawo, w MG Road.

Sven-Arne odchylił się do tyłu, obserwując mijające ich pojazdy i przyglądając się dokładnie

przechodniom na chodnikach, jakby dopiero co przybył do miasta.

Gdzieś w tym tłumie był Jan Svensk.

Hotel Ajantha znajdował się na końcu jednej z przecznic MG Road. Nigdy wcześniej tu nie był, wiedział jednak, że zatrzymują się tu niezamożni Hundusi z klasy średniej, a czasem także Europejczycy o ograniczonych funduszach. Ryzyko spotkania dawnego sąsiada było minimalne.

Na kanapie w ponurej recepcji leżał mężczyzna i spał. Obudził się, kiedy Sven-Arne wszedł do środka. Zerknął na niego, ale najwyraźniej nie zamierzał wstawać. Sven-Arne pozdrowił go po angielsku i spytał, czy ma wolny pokój na jedną noc.

Mężczyzna podniósł się niechętnie, podszedł do lady, otworzył księgę i bez słowa wskazał na jedną z rubryk, a następnie na tablicę, z której wynikało, że nocleg na jedną noc kosztuje dziewięćset dziewięćdziesiąt rupii. Było to więcej niż zwykle wydawał na jedzenie przez tydzień.

– Ok – powiedział i wpisał imię i nazwisko, które nagle przyszło mu głowy: Lester Young.

– Passport number – powiedział recepcjonista, drapiąc się nieskrępowanie po kroczu.

Sven-Arne bez wahania wpisał osiem cyfr, następnie podał swoją narodowość: Australijczyk.

– One night, pay now.

Pokój numer sto jeden był spartańsko umeblowany: łóżko, krzesło, rozchybotany stół i telewizor. To wszystko. Sven-Arne położył się na łóżku. Wpatrywał się w skrzydła wiatraka, zauważył szarą warstwę kurzu pod sufitem. Gdzieś zadzwonił telefon, jakiś głos zawołał: „Halo!”. Przez otwór wentylacyjny, wychodzący na wewnętrzny dziedziniec, dochodził go gwar głosów, odgłos kroków, czyjs zachrypnięty śmiech. Tam na zewnątrz toczyło się życie, którego on – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – został pozbawiony.

W ciągu godzin, które spędził, leżąc na łóżku, niezdolny, żeby wstać, nie mówiąc już o tym, żeby się rozebrać i nakryć kocem, przed oczami przewijały mu się obrazy z jego dawnego kraju, obrazy z przeszłości, które wyławiał gdzieś z głębi swojego wnętrza. Właściwie w ogóle, a jeśli już to niezwykle rzadko, nie czytał o Szwecji w hinduskiej prasie, prawdę mówiąc, był odcięty od jakichkolwiek informacji o wszelkich wydarzeniach politycznych w swoim dawnym kraju. Niekiedy trafiał przypadkiem na notkę o Szwecji, najczęściej dotyczącą sportu, ciekawostek pogodowych czy egzotycznego położenia geograficznego Szwecji. Pisano o jakimś hotelu lodowym na północy czy wicherze, która dotknęła południową część kraju i najwyraźniej zniszczyła wielkie połacie lasów. Oczywiście czytał o zabójstwie pani minister spraw zagranicznych. Poznał ją, kiedy działała w SSU, młodzieżówce socjaldemokratów. Pamiętał pełną entuzjazmu młodą dziewczynę, pamiętał też, że pomyślał sobie wtedy, że jeśli nikt jej nie złamie, to daleko zajdzie. A teraz nie żyła.

O swoim dawnym życiu, polityce samorządowej w Uppsali, dawnych znajomych i przyjaciółach, o tym, kto za kogo wyszedł, komu urodziły się dzieci, kto zmarł w czasie dwunastu lat jego nieobecności w ojczyźnie, nie wiedział nic.

Zdarzało się, że nagle nachodziło go pragnienie, by spotkać kogoś, kto mógłby mu coś powiedzieć. Brakowało mu informacji, które nadałyby wszystkiemu jakiś kontekst, szczególnie na początku pobytu w Bangalurze, ale także teraz.

Przyszło mu na myśl, że być może Jan Svensk był osobą, którą jakaś niewidzialna siła

zesłała mu w charakterze posłańca z jego dawnego życia. Może miał dla niego przesłanie, które... No właśnie, które co? Czy było coś, co naprawdę mogło mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie? Co mogło go ucieszyć, wzbogacić jego życie? Czego było mu potrzeba? Czy wiedza o narodzinach czy zgonach, o życiu sąsiadów i jego znajomych z pracy, mogła wyprowadzić go z równowagi? Zachwiać całą jego egzystencją?

Nie potrzebował tej wiedzy! Chociaż czasem zastanawiał się, czy jego żona nadal żyła, a jeśli tak, to jak jej się wiodło? Czy miała nowego mężczyznę?

Sven-Arne wstał, podszedł do telewizora i włączył odbiornik. Wziął do ręki pilota i zaczął krążyć po kanałach.

Opadł na łóżko i niewidzącym wzrokiem oglądał film. Jakaś kobieta biegła z boczem, zatrzymała się przy drzewie i melodramatycznie powiodła wzrokiem po dolinie, po chwili zaczęła śpiewać sentymentalną piosenkę. Sven-Arne uznał, że uciekła od męża i teraz szukała mężczyzny, którego kiedyś w młodości kochała. Historia stara jak świat, pomyślał, przekonany, że albo ona, albo jej ukochany zapewne umrą przed końcem filmu.

Nacisnął guzik i trafił na lokalny kanał wiadomości. W studiu w głębi widać było zdjęcie szwedzkiego króla na tle Taj West Hotel, jednego z najbardziej luksusowych w mieście.

Sven-Arne roześmiał się. Wydarzenia popołudnia i wieczoru układały się w tak nieprawdopodobny łańcuch zdarzeń, że zamieniły się niemal w parodię. Najpierw wspomnienia z dzieciństwa, potem spotkanie z parą Szwedów na MG Road, potem z Janem Svenskim w restauracji, a teraz zdjęcie szwedzkiego monarchy na ekranie telewizora. Może Jan Svenk był w Bangalurze w związku ze szwedzkimi przedsięwzięciami, o których opowiadał dziennikarz? Swedish Trade Council, czyli zapewne Rada Eksportu, otwierała biuro w Bangalurze, a główną atrakcją była wizyta szwedzkiego króla, Karola Gustawa.

Na ulicach zapewne roilo się od Szwedów. Musiał uważać. Niewykluczone, że wśród osób towarzyszących szwedzkiemu monarsze był ktoś, kto także mógł rozpoznać byłego polityka samorządowego.

W końcu Sven-Arne usnął. Ostatnia świadoma myśl dotyczyła dzieci w St. Mary's School. Jak zareagują, jeśli po prostu zniknie? On, który zawsze wpajał im punktualność?

Zbliżała się druga. Odgłosy ulicy nie były już tak intensywne, ale nadal od czasu do czasu zniszczoną przez deszcze monsunowe ulicą przejeżdżał jakiś pojazd, samochód czy motocykl. Październik był w Bangalurze najbardziej deszczowym miesiącem od niepamiętnych czasów. Jezdnie były zniszczone, wykopy zamieniały się w groźne pułapki, woda wydrążyła dziury w nawierzchni, podmyte chodniki zapadły się.

A deszcz nadal padał. Wewnątrz kraju już nie tak często i nie tak intensywnie jak jeszcze dwa, trzy tygodnie temu, ale tylko w ostatnich dniach zginęło kilkaset osób. Odwołano kilka ślubów, oblubieńcy nie mogli się ze sobą połączyć, lekcje w szkołach zostały zawieszane, wszyscy mówili o „the big depression”. Jan Svensk zrozumiał w końcu, że sprawcą wszystkiego był potężny niż nad oceanem.

Poza tym było niespodziewanie zimno. W gazecie, którą codziennie zostawiono mu wetkniętą za klamkę, pisano, że pora wyciągnąć zimowe ubrania, ponieważ temperatura poprzedniego dnia spadła do rekordowo niskich 13,4 stopnia.

Szpitala przeżywały inwazję gorączkujących i kaszlących chorych i nawet Svensk odczuwał skutki „the big depression”. Nie mógł spać, ale nie z powodu ulewnych deszczy czy zmiany czasu. To myśli o Perssonie, o Uppsali i jego własnym życiu nie pozwalały mu zasnąć. Niespokojnie przewracał się na łóżku, zapalał lampkę do czytania, sięgał po książkę, żeby po chwili ją odłożyć. Gasił lampkę i znów próbował zasnąć.

W końcu się poddał. Od czasu do czasu zerkał na telefon. Powinien zadzwonić do Elise? W Uppsali było dopiero wpół do dziesiątej wieczorem. Porzucił pomysł. Na pewno by się zdziwiła, niedawno ze sobą rozmawiali. Jak zwykle wymienili informacje, puste, chłodne frazesy. Jan Svensk odłożył słuchawkę smutny. Brakowało mu ciepła, rozmowa pozbawiona była radości. Nie padły w niej żadne słowa o miłości, rutynowa wymiana informacji o codziennych czynnościach. Pytał, czy przyszły jakieś listy, kto dzwonił, jaka jest pogoda i jak czują się dzieci. Bez większego zaangażowania opowiadał o Bangalurze, o pogodzie, tłumach na ulicach i swojej pracy.

W domu wszystko było w porządku. Nikt nie dzwonił. Żadnych listów, głównie rachunki i prasa. Dzieci czuły się dobrze. Nie, są u kolegów. Pada śnieg.

A tutaj deszcz, pomyślał, zerkając na dachówki na daszku nad wejściem do hotelu. Kilka było pękniętych, co bardzo go irytowało. Nagle zobaczył, że na ścianie nad wejściem coś się poruszyło. Po mniej więcej trzydziestocentymetrowej listwie, biegnącej pod oknami na drugim piętrze, skakała wiewiórka. Krążyła niespokojnie tam i z powrotem. Najwyraźniej miała problem z zejściem z wąskiej listwy. Jak się tam dostała? Po jednej stronie listwa kończyła się gładkim betonowym murem, po drugiej podobnie. Ale było też drzewo, chyba fikus. Rosło co prawda kilka metrów od budynku, ale wyglądało na to, że jest jedynym ratunkiem dla zdenerwowanego zwierzęcia. Wiewiórka najwyraźniej też do tego doszła. Zatrzymała się dłużej przy krawędzi, wychyliła się odważnie, jakby przyglądała się błyszczącym od deszczu gładkim jak stal liściom, po czym znów zerknęła na drugą stronę listwy.

I tak powtarzała tę czynność. Jan Svensk śledził ją wzrokiem, coraz bardziej współczując biedaczce. Nie, nie stój tam, pomyślał, kiedy zobaczył, że wiewiórka znów stara się ocenić

odległość do figusa. Odważ się! Dasz radę. Jesteś wiewiórką.

Ostatnie kontrolne spojrzenie, szybki skręt ciała, cisza, kilka sekund skupienia i skok.

Wiewiórka zniknęła w mroku drzewa. Jan Svensk stał jeszcze chwilę przy oknie. Ulicą przejechał skuter. Padał deszcz.

Śledząc usiłowania wiewiórki, odprężył się nieco. Nagle poczuł się źzej na duszy.

Doszedł do wniosku, że zadzwoni do domu i opowie o nieprawdopodobnym spotkaniu z Perssonem, ale szybko porzucił pomysł. Jeśli miał kogoś o tym zawiadomić to przede wszystkim rodziców. To oni znali byłego radnego. Poza tym i tak powinien do nich zadzwonić. Rodzice zawsze odbierali jego telefony z nieudawaną radością, dając wyraz nieco krępującemu go poczuciu dumy i niepokoju. Postanowił jeszcze chwilę zaczekać, potrzebował trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Wszedł do łóżka, zgasił lampkę, ułożył poduszki tak, żeby było mu najwygodniej, co, jak sądził, mogło przyspieszyć zaśnięcie.

O wpół do czwartej obudził go dzwonek telefonu, wiszącego na ścianie korytarza na zewnątrz pokoju.

Po chwili głośniejszej rozmowy połączenie zostało przerwane. Usłyszał, jak ktoś uruchamia winę, na w pół rozbudzony skojarzył to ze sceną z filmu wojennego, który oglądał kiedyś w młodości. Mechanizm ogromnego działa artyleryjskiego zasłaniał wylot armaty, tak że dział obracało się na pozór bez ingerencji człowieka, samodzielnie wybierając odpowiednie współrzędne. Maszynaria składała się z dobrze naoliwionych łożysk, które bez wahania lokowały śmiertcionośne pociski w odpowiedniej pozycji.

Na moment na ekranie ukazała się triumfująca twarz kierującego działem żołnierza, a potem płomień rozświetlający nocne niebo. Huk i świst wystrzału rozbrzmiewały w głośnikach salki kinowej.

Co było celem ataku, tego Jan Svensk nie pamiętał, prawdopodobnie okręt wojenny prujący nocą fale Atlantyku, którego załoga, będąc przekonana, że znajduje się w bezpiecznej odległości od wybrzeży wroga, niczego się nie spodziewała.

Jakże się mylili, pomyślał Jan Svensk, i po chwili znów zasnął.

Był numerem szesnastym. Jakiś ciekawski mężczyzna z Trollhättan spytał kiedyś, czy potrafi wymienić swoich piętnastu poprzedników. Nikt nie wie, łącznie z zadającym pytanie mężczyzną, który zresztą szybko został wyprowadzony z sali, jaka padłaby odpowiedź.

Jan Svensk, któremu opowiadano ten epizod, przypomniał sobie o nim, kiedy zobaczył, jak szwedzki król wkracza do sali balowej hotelu Taj West. Głowy pozostałych gości odwróciły się niemal jednocześnie w jego stronę, jakby oglądali mecz tenisowy. Wszyscy utkwili wzrok w monarsze.

– Jaki jest niski – wyszeptał ktoś.

Król był dość swobodnie ubrany, jego klatki piersiowej nie obciążały żadne medale, poruszał się rwanymi ruchami, być może dlatego, że to nie on decydował, dokąd ma iść. Prowadził go adiutant w białym mundurze.

Gwar w sali wzmagał się, po jakimś czasie blisko trzystu gości powróciło do przerwanych rozmów o niczym, tak charakterystycznych dla tego rodzaju przyjęć. Niekiedy, gdy przypadkiem spotykało się dwoje znajomych, ich twarze rozświetlała autentyczna radość.

Wśród tłumu krążyła garstka fotografów, skupiając się głównie na królu i na tych, którym udało się zdobyć jego uwagę. Najwyraźniej wiele osób pragnęło zostać uwiecznionych z dostojnym gościem.

– Prawdziwe igrzyska – zwrócił się Jan Svensk do jednego ze swoich kolegów.

– Będzie i chleb – odpowiedział tamten, wbijając wprawnie wykałaczkę w kanapkę na przesuwającej się właśnie obok nich tacy.

Grupa ludzi z Rady Eksportu stała w kręgu niczym chłopcy na szkolnej wycieczce.

Nastrój był swobodny. Przy barze tłoczyli się młodzież i ludzie starsi, Hindusi i Szwedzi, jak antylopy przy wodopoju.

Król pozwalał się holować adiutantowi. Na jego ustach igrał nieco wymuszony uśmiech.

– Biedny facet – rzucił ktoś.

– Pewnie wolałby usiąść z drinkiem na kanapie – powiedziała młoda kobieta, na którą Jan Svensk zwrócił uwagę, gdy tylko weszła do sali.

Podszedł do grupy, w której stała, rozejrzał się, szukając kogoś znajomego.

Królowi przedstawiono Hindusa ubranego w strój, który przypominał wiatrówkę nałożoną na długą kurtę, i jego towarzysza, mężczyznę o szczupłej twarzy, z wąsikami i wąskimi jak szparki oczami. Jan Svensk podszedł bliżej, żeby słyszeć rozmowę. Okazało się, że Hindusi pochodzą z Majsuru i są ludźmi teatru.

Krótko ostrzyżony blondyn, ubrany w hinduską marynarkę, w której przypominał Nehru, opowiadał po szwedzku o ich pracy.

– Ah, children theater – powiedział król w końcu.

Mężczyźni pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

– Very good – odpowiedział król i audiencja dobiegła końca.

Jan Svensk wycofał się, pokręcił chwilę wśród ludzi i ruszył w stronę bufetu. Jego dawny znajomy, którego poznał, kiedy pracował w Arcore, a potem stracił z oczu, podszedł do niego i poklepał w plecy.

– Kopę lat.

Svensk przyglądał się dawnemu koledze. Był jednym z tych, co to sprzedali w odpowiednim momencie. Chodziły plotki, że zarobił na tym niemal siedemdziesiąt milionów koron. Niewiele się zmienił, ten sam uśmiech, ten sam chłopięcy wygląd. Ale Svensk wiedział, że już nigdy nie da się zwieść pozorom. Miał swój wkład w część tych milionów.

– Znów działasz – powiedział.

– Jasne – odpowiedział jego znajomy. – A ty?

Svensk uznał, że nie ma ochoty spowiadać mu się ze swoich poczynań od czasu, kiedy widzieli się ostatnim razem, ani mówić mu, dlaczego przyjechał do Bangaluru. W ogóle nie miał ochoty rozmawiać o czymkolwiek, co miało coś wspólnego z pracą.

– Robię różne rzeczy – odpowiedział wymijająco.

– I słusznie – stwierdził znajomy i pożegłował dalej. Najwyraźniej zrozumiał.

Elise, pomyślał Jan. Powinnaś być tu ze mną. Nieoczekiwana tęsknota sprawiła, że się cofnął, schodząc z drogi towarzystwu, które kierowało się w stronę bufetu, ciągle jeszcze zamkniętego. Zaczął krążyć wokół stołu, czytając napisy na karteczkach umieszczonych na błyszczących, wypukłych pokrywach pojemników z daniami.

– Głodny? – usłyszał kobiecy głos za plecami.

W pierwszej chwili pomyślał, że to młoda kobieta, na którą już wcześniej zwrócił uwagę. Odwrócił się pełen nadziei.

Przed nim stała kobieta około sześćdziesiątki. Była ubrana po hindusku, jej pulchne ciało spowijało jasnyniebieskie sari.

– Przyznaję, że tak.

– Nie znam pana – ciągnęła.

Więc znów, nie pamiętał który już raz, zaczął wszystko od początku. Przedstawił się i zaczął tłumaczyć, dlaczego przyjechał do Bangaluru.

– Gunlög Billström – przedstawiła się kobieta. – Należę do tych, którzy osiedli tu na stałe. Zapuściłam korzenie.

– Jak długo pani tu jest?

– W Indiach osiemnaście lat, w Bangalurze czternaście.

– Więc zna pani większość mieszkających tu Szwedów?

– To mój teren – powiedziała, uśmiechając się. – Mam wszystko pod kontrolą.

– Sven-Arne Persson?

Kobieta pokręciła głową, jej kolczyki zabrzęczały.

– Pochodzi z Uppsali, około sześćdziesiątki, wysoki, dość szczupły...

Kobieta znów pokręciła głową.

– Jest tu pewnie już z dziesięć lat.

– Dziwne.

– Podobno ma pani wszystko pod kontrolą – zakpił Svensk, drażniąc się z nią nieco.

Uwaga odniosła skutek. Widział, jak kobieta się skupiła, by sprostać zadaniu.

– Czym się zajmuje?

– Nie wiem. Zniknął z Uppsali jakieś dziesięć, może dwanaście lat temu. To było chyba w 1993 roku. Ślad po nim zaginął. A wczoraj znów go zobaczyłem.

– Fascynująca historia. Mężczyzna, który zniknął.

- Był radnym w Uppsali.
- Kobieta zrobiła krok w jego stronę.
- Gdzie pan go widział?
- W Koshy's.
- Dziwne – powtórzyła.

W tym momencie zdjęto pokrywy z pojemników i rozdzielił ich mur ludzi. Zobaczył jeszcze, jak kobieta bierze talerz i zostaje porwana przez strumień gości z sali balowej pędzących do garnków. Gdzieś w głębi chór chłopięcy Adolfa Fredrika śpiewał *W naszym ogrodzie*. Gwar ucichł, uwaga wszystkich skupiła się na jedzeniu. Jan Svensk, chociaż był naprawdę głodny, cofnął się pod ścianę i obserwował towarzystwo. Wymienił spojrzenia z jednym z kucharzy, uśmiechnęli się do siebie.

Kiedy minęło największe zamieszanie, wziął talerz i zaczął nakładać sobie smakowite dania.

Zbliżała się jedenasta i towarzystwo znacznie się przerzedziło. Król wyszedł. W pobliżu baru stało kilku kolegów Svenska, ale nie miał ochoty rozmawiać. Wystarczyło, że miał z nimi do czynienia w pracy.

Gunlög Billström też jeszcze została. Widział, jak rozmawia z dwiema kobietami, jedna była szwedzkim ambasadorem w Indiach, druga konsulem generalnym w Sennaj. Ich wzrok się spotkał i nagle przysła mu do głowy pewna myśl.

Ruszył w stronę kobiecego trójkąta.

– Przepraszam – powiedział, ośmielony winem.

Przedstawił się i zaczął opowiadać, że szuka pewnego Szweda, który zaginął wiele lat temu. Następnie zwrócił się do Gunlög Billström.

– Zapomniałem przekazać pani pewną informację – powiedział. – Sven-Arne Persson to zyzol.

– Słucham? – zdziwiła się pani konsul.

– Ma zeza – doprecyzował.

– Już wiem! – zawołała Gunlög. – Widziałam go. W Lal Bagh. To było dziwne spotkanie.

Chwyciła go za rękę, zerkając to na panią ambasadorkę, to na panią konsul, i podniecona pokiwała głową. Wszystko znów było pod kontrolą, odwróciła się w stronę Svenska.

Pani ambasadorka i pani konsul wykorzystały sytuację i szybko się wycofały.

– To było jakieś trzy lata temu. Spacerowałam po Lal Bagh i nagle...

– Co to jest Lal Bagh? – przerwał jej Svensk.

– Ogród botaniczny. Byłam tam z przyjaciółkami i nagle zobaczyłyśmy mężczyznę stojącego w jakichś chaszczach. Pewnie był to bambus, ale nie jestem pewna. W każdym razie stał tam i wymachiwał wielkim nożem. Ciął coś. Wyglądało to dość zabawnie. Nagle, akurat kiedy przechodziłyśmy obok, krzyknął. Po szwedzku! Wyobraża sobie pan, że odebrało mi mowę. Ogrodnik w Lal Bagh, który mówi po szwedzku! Co pan na to?

– Co powiedział? – spytał Svensk.

– „Cholerne gówno” – wyszeptała Gunlög. – Skaleczył się w rękę. Nic poważnego, ale rana zaczęła krwawić. Zatrzymałyśmy się, jedna z moich przyjaciółek zaniepokoiła się i spytała, czy nic mu się nie stało.

– Po szwedzku?

– Nie. To Hinduska. Mówi po angielsku, co prawda niezbyt poprawnie, ale zrozumiale.

Mężczyzna był bardzo uprzejmy, podziękował za troskę i stwierdził, że skaleczenie jest niewielkie. A „minor blessyr”, tak to określił.

– Rozmawiała pani z nim?

– Nie, nie chciałam, żeby poczuł się skrępowany. W końcu wykonywał proste prace ogrodnicze.

– Jak wyglądał?

– Miał zeza! Nawet to później komentowałyśmy. Moje przyjaciółki były przekonane, że na pewno ma jakąś tajną misję. Może chodzi o jakieś badania naukowe.

– Dlatego, że miał zeza, czy dlatego że był Europejczykiem?

– Pewnie jedno i drugie.

– Może go pani opisać?

– Gdzieś między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, dość wysoki i szczupły. Niewiele więcej mogę powiedzieć, bo stał w tych chaszczach. Był na bosaka, sandały zostawił obok krzaków. Zdziwiłabym się, gdyby był naukowcem. Tacy chyba nie chodzą boso?

– To prawda – zgodził się Svensk. – To chyba nie zdarza się często. A potem go już pani nie widziała?

– Nie, co mnie trochę dziwi. Często bywam w Lal Bagh, ale nigdy więcej go już nie spotkałam. Z drugiej strony nigdy też o niego nie pytałam, nie chciałam być wścibska.

Jan Svensk zaczął wypytywać Gunlög, gdzie leży ogród botaniczny.

– To bardzo przyjemne miejsce. Lubię tam spacerować. W Cubbons Park zresztą też. Najchętniej rano. Tylko nie lubię tych wszystkich gołębi.

Jan Svensk się roześmiał.

– Ale... – zaczęła Gunlög, popychając go ostrożnie, aczkolwiek zdecydowanie, w stronę nieco spokojniejszej części salonu, gdzie stały dwa fotele – ...ale mam wrażenie – wróciła do przerwane go zdania – że za tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica. Wie pan może, czy uciekł przed sprawiedliwością?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zniknął.

– Może chodziło o miłość?

Mina Gunlög Billström i sposób, w jaki pochylała się w jego stronę, wyraźnie zdradzały, że chciałyby się dowiedzieć czegoś więcej i że Svensk może powiedzieć jej wszystko, co wie o ewentualnych miłosnych przygodach byłego radnego. Jej poufałość, która według Svenska nie wynikała jedynie z czystej ciekawości, ale w równym stopniu z chęci odkrycia romantycznej tajemnicy, jakiegoś głęboko ludzkiego wytłumaczenia mistyfikacji związanej ze zniknięciem mężczyzny, sprawiły, że ściszyła głos i mówiła teraz tak cicho, że jedynie z trudem ją rozumiał.

– Bez przerwy gonimy za rzeczami materialnymi – powiedziała i powiodła wzrokiem po salonie. – To cudowne, gdyby zdecydował się pójść za głosem serca. Mam go przed oczami, tam w tym ogrodzie, wykonującego najprostsze czynności, ale w głębi duszy szczęśliwego. Czy nie byłoby to fantastyczne?

Twarz kobiety promieniała. Jan Svensk nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale wzruszył się jej słowami. Nie była już jedynie „plotkarką”, kontrolującą wszystko i wszystkich w Bangalurze. Nagle dostrzegł jej urodę, chociaż nieco już przywiędłą.

– Tak, to byłoby fantastyczne – zgodził się z nią.

Chwyła jego dłoń, wzięła ją w swoje ręce.

– Może pojedziemy razem do Lal Bagh – zaproponowała entuzjastycznie. – Oprowadzę pana i może wspólnie uda nam się odnaleźć pana tajemniczego przyjaciela.

Jan Svensk ostrożnie oswobodził dłoń.

– Nie zamierzam poświęcić tej sprawie aż tyle czasu. Byłem po prostu ciekaw. Napije się pani jeszcze wina?

Gunlög Billström pokręciła głową. Jan Svensk odchylił się do tyłu w fotelu.

– Właściwie to nigdy nie był moim przyjacielem. Tak jak mówiłem, byłem po prostu ciekaw. Nie zamierzam jednak przemierzać kilometrów z jego powodu. Jeśli to rzeczywiście był on, to może chce, żeby zostawić go w spokoju? Co my możemy o tym wiedzieć.

Kobieta spojrzała na niego. Wiedział, że próbuje dojrzeć w jego twarzy coś, co zaprzeczy deklarowanej przez niego obojętności. Uśmiechnął się do niej.

– Chyba wypiję jeszcze kieliszek – powiedział. – Jeśli pani pozwoli – dodał.

Kobieta wykonała szybki ruch ręką i niemal natychmiast pojawił się obok niego kelner. Wyciągnął kieliszek, kelner nalał mu wina.

Gunlög Billström otworzyła torebkę i wyjęła z niej wizytówkę.

– Zrobi pan, jak zechce – powiedziała, uśmiechając się. – Jeśli zmieni pan zdanie, proszę zadzwonić. Na ogół jestem w domu, siedzę i gniję, wpatrując się w to cholerne boisko do krykieta.

Svensk wziął wizytówkę zdziwiony jej słowami. Przyjrzał się kartonikowi, po czym schował go do górnej kieszeni marynarki.

– To bardzo uprzejme z pani strony – powiedział, usiłując znaleźć coś, co mogłoby złagodzić ostatnie zdanie.

– Chłopcy są mili, ale sam krykiet napawa mnie lękiem, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Dostaję od tego migreny – powiedziała, niemal plując słowami. – Mogą tak grać całymi dniami, gazety wypisują straszliwe bzdury, a kiedy przegrywają mecz, ogłasza się żałobę narodową. Jakby krykiet był tym, czego ten kraj najbardziej potrzebuje!

Twarz Gunlög Billström zmieniała się, zrobiła się zgorzkniała. W jej oczach pojawiło się coś desperackiego, nagle zbrzydła, jej rysy były zniekształcone. Obnażyła się przed nim, przypadkowym gościem, obcym. Być może dlatego nie czuła się zagrożona.

Jan Svensk poczuł współczucie, ale i złość, że odrzucił jej propozycję towarzyszenia mu w poszukiwaniach Perssona. Żałował, że w ogóle podjął ten temat.

– Pan mi współczuje. Pewnie uważa pan, że jestem nieszczęśliwą kobietą – powiedziała i nie dając mu czasu na zareagowanie, ciągnęła dalej. – I ma pan rację. Krążę po tym chaotycznym mieście. Widział pan ten brud, te fatalne drogi i upadek starego Bangaluru? Kiedyś było to piękne miasto.

Svensk pokiwał głową i pochylił się, żeby ją lepiej słyszeć.

– Teraz niszczeje – stwierdziła i powiodła ręką wokół, jakby dla zobrazowania upadku miasta.

Podążył za jej wzrokiem. Grupa na ciemno ubranych mężczyzn zachowywała się coraz głośniejsze. Zauważył wśród nich znanego szwedzkiego bankowca, stojącego obok przedstawiciela Sony Ericsson.

– To jest rozwój? – spytała kobieta retorycznie.

– Co pani ma na myśli?

– Widział pan te kompleksy przemysłowe? Te wszystkie call-centers, te nowe dzielnice?

Nie mówiąc już o tych okropnych centrach handlowych, które powstają jak grzyby po deszczu.

– Dają pracę – wszedł jej w słowo Svensk.

Gunlög zachnęła się.

– Przynoszą biedę – skwitowała krótko.

Podniosła się pospiesznie, dotknęła dłonią jego ramienia i wyszła.

Berglund mógł już wstawać z łóżka, ale jednak wolał w nim zostać. Dawny zawodnik bandy i uczestnik biegów na orientację zrobił się leniwy. Mam prawo jeszcze chwilę poleżeć, pomyślał.

Za oknem padał śnieg. Pierwszy śnieg tej zimy. Nagle poczuł, że pielęgniarka, ta nowa, której imienia nie zdążył jeszcze poznać, obserwuje go. Stała przy oknie. Powiedziała, że pada śnieg, i dodała, że jest tak ładnie.

– Wiem – powiedział, patrząc w powietrze. – Wiem, że mogę już chodzić.

– Już pan się nie przewraca.

– Wiem – potwierdził Berglund. Jej upór go denerwował.

Dzień po operacji stracił równowagę, kiedy zmuszono go, by wstał i poszedł do toalety. Rzucił wtedy jakieś przekleństwo pod adresem personelu. Rana nad brwiami nadal go bolała.

– Wiem – powtórzył. – Ale chcę jeszcze chwilę poleżeć.

Chciał, żeby pielęgniarka wyszła z pokoju. Nie miała innych pacjentów? On sobie radził. Chciał być sam. Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego. Nie tyle widział, co wyczuwał jej uśmiech.

– Nienawidzę śniegu – powiedział.

Można było odnieść wrażenie, że zabieg zmienił charakter policjanta. Poprzestawiał coś w jego mózgu, tak że mówił teraz rzeczy, które nie były do końca prawdą.

– Nie jestem człowiekiem zimy – dodał.

Pomyślał, że może to złagodzi jego wybuch, sprawi, że pielęgniarka zrozumie, że wcale nie był taki marudny i kategoryczny, że to śnieg wyprowadził go z równowagi.

– Tutaj nie pada.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią.

– To prawda – przyznał. – Ale kiedyś w końcu będę musiał wstać i wyjść na zewnątrz. Na śnieg.

Widział, że miała już gotową odpowiedź, ale postanowiła nie ciągnąć rozmowy.

– Wróć o wpół do dziesiątej. Wtedy wstaniemy – oświadczyła i opuściła pokój.

Usiadł na łóżku, wyciągnął szufladę nocnego stolika, wyjął z niej okulary i niemal natychmiast odłożył je z powrotem. Odsunął kołdrę i postawił stopy na podłodze.

Przeżyłem, pomyślał i nagle przepełniło go błogie uczucie wdzięczności. Nie był co prawda pewien, czy powinien kierować ją do Boga czy do Nauki. A może i do Boga, i do Nauki? W jego świecie Bóg zawsze miał swoje miejsce, od dzieciństwa. Pamiętał tajemniczą więź, łączącą go z rodzicami, jego mały świat z tym dużym światem i tym niepojętym uniwersum tam na zewnątrz, za oknem, a potem już w bardziej dojrzałym wieku przekonanie, że tam gdzieś jest coś jeszcze. Nie żadna wielka tajemnica, zbawienie, nie karzący Bóg, tylko poczucie przynależności, podobne do tego, które przeżywał w młodości, grając z kolegami w bandy, w szatni, a potem w pracy.

Dla Berglunda Bogiem były więzy z najbliższymi. Wspólnota, wyrastająca z dobroci innych, z chęci współpracy. To była dobroć Boga. Nie potrafił tego wytłumaczyć w żaden inny sposób, zresztą nie czuł potrzeby szukania bardziej dogłębnych wytłumaczeń. To, co było, wystarczało

mu, wystarczało, żeby mógł być człowiekiem.

Podniósł się ostrożnie, sprawdził, czy jest w stanie ustać na nogach i czy nie powrócą zawroty głowy. Postanowił podejść do okna.

Niech sobie prósz, pomyślał, nagle pogodzony z zimą. Niech sypie, aż cała ziemia zostanie pokryta białym puchem, jak w latach jego dzieciństwa: metrowe zaspy i światło latarni, odbijane w skrzącym się śniegu. Nagle przypomniał sobie zimową podróż taksówką, gdzieś pod koniec lat czterdziestych. Kierowca, dobry znajomy ojca, zabrał ich na przejażdżkę po mieście. Packardem? Duży czarny samochód, pachnący skórą i tytoniem. Berglund miał wtedy pięć lat. Jego pierwsza podróż samochodem. Był przekonany, że Bóg maczał w tym palce.

Uśmiechnął się do siebie. Ponad pół wieku temu. To samo miasto, i taki sam śnieg. I ten sam Berglund, zdziwiony, że żyje, że nadal będzie mu dane podróżować po swoim mieście.

Drzwi do pokoju otworzyły się z tym charakterystycznym sykiem, który odnotował, jeszcze zanim w pełni odzyskał świadomość po operacji.

Przekonany, że to znów pielęgniarka, odwrócił się, lekko zawstydzony, jakby został przyłapany na jakimś przewinieniu.

– Witaj, przyjacielu – usłyszał znajomy głos.

Nigdy dotąd nie nazwała go „przyjacielu”. Wszyscy mówili do niego Berglund, krótko i zwięźle. Tylko Ottosson, przy niezwykle rzadkich okazjach, zwracał się do niego po imieniu. Ale przyjacielu? Od lat nikt tak się do niego nie zwrócił.

Poranne rozmyślenia sprawiły, że był wrażliwy jak otwarta rana. Opanował się tylko dzięki wieloletniemu doświadczeniu pracy policjanta.

Odwrócił się. W jakiś dziwny sposób miał wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. Przypomniał sobie, jak się pojawiła u nich w wydziale. Jaka młoda, pomyślał wtedy. I: co taka dziewczyna będzie tu robić? Riis jak zwykle wydusił z siebie jakiś głupi dowcip, Ottosson dołożył coś od siebie. On zaś kupił tort, żeby uczcić „nowy nabytek”, jakby była zawodnikiem piłkarskim, zwerbowanym do klubu Wydział Zabójstw.

– Witaj – powiedział i odchrząknął.

Ann Lindell stała w drzwiach i przyglądała mu się chwilę, zanim podeszła bliżej i ostrożnie go objęła. Zrozumiał, że była równie wzruszona jak on i że też starała się to ukryć.

Wyswobodził się z jej objęcia, podszedł do łóżka i usiadł.

– Jak leci?

– W porządku – powiedział, i w tym momencie poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

Najchętniej położyłby się i zamknął oczy, ale starał się patrzeć na Lindell.

– Otto powiedział, że możesz już przyjmować gości.

Skinął głową, a ona patrzyła na niego w milczeniu, jakby chciała sprawdzić, czy operacja go zmieniła.

– Co nowego? – spytał.

– Na brzeg, w pobliżu Öregrund, wypłynęła stopa, poza tym panuje spokój – odpowiedziała.

Najwyraźniej źle zrozumiała jego pytanie.

– Stopa?

– Tak, sama stopa.

– Stopa pływa?

– Stopa w bucie.

Roześmiał się.

– Jesteś taka jak zawsze – powiedział. – Zajmiesz się...

– Nie, to w pobliżu Öregrund – przerwała mu.

Domyślił się, o co chodzi, i nie drążył tematu.

– Mów, jak się czujesz? Niepokoił się.

– Czuję się dobrze – roześmiał się. – Trochę to nudne, leżeć tu jak naleśnik.

– Czujesz się zmęczony?

Skinął głową.

– Tak, i trochę kręci mi się w głowie, ale to przejdzie. Tak mówią.

– Czy będziesz miał... to znaczy...

– Chodzi ci o skutki uboczne? – pomógł jej. – Nie, właściwie nie. Podobno na początku może mi być ciężko, ale zobaczymy. Pewnie lekarze nie mówią wszystkiego. Tak czy inaczej zamierzam wrócić.

Tak do końca nie był jednak szczery. Od momentu, kiedy obudził się po operacji, bawił się myślą, że mógłby przejść na wcześniejszą emeryturę. Nikt nie miałby mu tego za złe. Przez czterdzieści lat służył w policji w Uppsali.

Znów dopadły go sentymentalne wspomnienia. Musiał się wysilać, żeby wyglądać może nie radośnie, ale przynajmniej sprawiać wrażenie odprężonego i zadowolonego ze swojej egzystencji. Irytowało go, że nie czuł wdzięczności, chociaż udało mu się wstać z łóżka po chorobie, która wielu kosztuje życie. Jego dziecięca wiara – pełna pokory i wdzięczności za to, czym los go obdarzał – nie była w stanie wyprzeć myśli, że jednak życie okazało się niesprawiedliwe. Co zrobił, że teraz przechodził przez to wszystko? Wiedział, że takie rozważania są śmieszne, ale bierne leżenie w szpitalnym łóżku zmieniło go w płacznego, marudnego starca.

Nagle uświadomił sobie z całą mocą, że się boi! Boi się zestarzeć, boi się umrzeć. Boi się wykluczenia z grona ludzi aktywnych, żywych, tych, którzy coś znaczą.

Widok Ann Lindell jedynie wzmocnił to uczucie. Ona wciąż była młoda. Wniosła ze sobą do szpitalnej sali zapach życia: słaby, ale jednak wyraźny zapach śniegu, świeżego powietrza i mydła.

– Odebraliśmy rozmowę, która, sądzę, może cię zainteresować – powiedziała. – O ile oczywiście nie czujesz się zbyt zmęczony – dodała.

Dał jej znak ręką, żeby mówiła dalej.

– Zadzwoń twój stary znajomy, Rune Svensk, do którego z kolei dzwonił jego syn, który akurat przebywa służbowo w Indiach, gdzie poczynił pewne obserwacje.

Berglund roześmiał się.

– Jeśli jedzie się do Indii, to zwykle czyni się różne obserwacje – zauważył.

Lindell spojrzała na niego zdziwiona, ale widać było, że poczuła ulgę. Jakby jego uwaga potwierdziła, że nadal jest dawnym Berglundem, czasowo wyposażonym w należące do gminy szerokie spodnie i koszulę, ale poza tym znów na służbie.

– To prawda – powiedziała z udawaną irytacją. – Chodzi o to, że syn spotkał tam kogoś z Uppsali. Byłego radnego. Zniknął wiele lat temu i wszyscy uznali go już za zmarłego.

– Sven-Arne Gotthard Edvin Persson. 1993.

– Pamiętasz?

– Oczywiście. Zajmowałem się tą sprawą kilka miesięcy. Byli tacy, którzy nie wykluczali morderstwa.

– A ty?

– Obstawiałem samobójstwo – odpowiedział Berglund bez wahania. – Nic nie przemawiało za morderstwem. Absolutnie nic.

– Był przygnębiony?

– Nic na to nie wskazywało. Był... Jakby to określić?

Berglund zawahał się. Kiedy Sven-Arne Persson rozplynął się w powietrzu, wydawał się co prawda typowym mężczyzną w średnim wieku, dobrze dostosowanym, odnoszącym sukcesy, ale kto wie, jakie myśli chodziły mu po głowie. Berglund próbował dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ale nie znalazł żadnych białych plam w jego przynajmniej z pozoru dobrze zorganizowanym życiu. A jednak uznał, że było to samobójstwo.

– Nie było niczego, co by wskazywało na morderstwo, żadnych motywów. Facet nie otrzymywał żadnych gróźb, po prostu zniknął.

– Nie było ciała?

– Nie było. Żadnych śladów. Co, prawdę mówiąc, było całkowicie niezrozumiałe. Nikt nie widział, jak opuszcza ratusz, nikt nie widział go w mieście ani w pobliżu jego mieszkania. A przecież był osobą publiczną, wiele osób go znało.

– Mógł uciec za granicę?

– Wszystko sprawdziliśmy. W szufladzie jego biurka znaleźliśmy paszport. Nie pobrał pieniędzy z konta. Wniosek był jeden: samobójstwo. Nawet jeśli trudno było to sobie wyobrazić.

– A teraz wypłynął na powierzchnię w Bangalurze – podsumowała Lindell.

– Jeśli to on.

– Świadek nie miał żadnych wątpliwości. Byli kiedyś sąsiadami.

– Wiem. Poznałem go.

– Jaki był?

– Jak to określić? Normalny chłopak. W młodości miał trochę problemów, ale potem wyszedł na prostą. Tak przynajmniej twierdzą jego rodzice.

– Skąd ich znasz?

– Z parafii. Poza tym mieszkają w Uppsali chyba od zawsze. Podobnie zresztą jak Sven-Arne Persson. Pamiętam go z młodości. Jesteśmy w jednym wieku.

– Uprawiał sport?

– Nie. Był wysoki, ale nigdy nie był sportowcem. Ewentualnie mógłby grać w szachy.

– Był żonaty?

– Tak, z Elszą. Nie mieli dzieci.

– Elsa żyje?

Wzrok Berglunda powędrował gdzieś w bok. Za oknem śnieżycą przybrała na sile.

– Sądzę, że nie ma jeszcze sześćdziesiątki – odezwał się. – Jest nauczycielką.

– Wyszła ponownie za mąż?

– Nie, ale słyszałem plotki, że się z kimś spotyka.

– Co o tym sądzisz?

Berglund ponownie wyjrzał przez okno. Co miał o tym wszystkim myśleć? Jan Svensk nie

był szaleńcem, jednak historia wydawała się mało prawdopodobna.

– Nie wiem – odrzekł w końcu. – Wydaje się to niezmiernie dziwne, łagodnie mówiąc.

Dlaczego Indie?

– Spróbujemy się czegoś dowiedzieć. Svensk wraca za tydzień, dziesięć dni. Tak mówił jego ojciec.

Nagle na twarzy Berglunda pojawił się grymas, mężczyzna zamknął oczy, zakrył twarz rękami.

– Coś się stało?

Lindell wstała z krzesła, wykonała nieporadny gest ręką.

– Nie, nic. Ja... – Odwrócił powoli głowę i spojrzał na nią wzrokiem, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała. – Czuję się wewnętrznie rozdarty – powiedział w końcu. – Cholernie pokręcony.

Lindell nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek słyszała, jak Berglund używa tak mocnych słów.

Czyżby miał umrzeć, pomyślała nagle przerażona. Czy w jego spojrzeniu był smutek? Berglund był mądrym człowiekiem. Czyżby przeczuwał coś, o czym nie chciał mówić? Kłamał, zapewniając ją, że operacja się udała?

– Miewasz lęki?

Wiedziała, że nie powinna zadawać tego pytania.

– Nie wiem, co to jest – odpowiedział Berglund.

Wstał i powoli podszedł do okna. Na zewnątrz płatki śniegu wirowały coraz mocniej. Nie odwracając głowy, zaczął mówić o smutku, który nagle go naszedł. Pojawił się przed operacją, a teraz chciał nim zawładnąć.

– Może pozbawili mnie czegoś, to znaczy...

Lindell rozumiała, o co mu chodzi. Chciała go jakoś pocieszyć, ale powstrzymała się.

– Chcesz zostać sam?

– Może wypijemy razem herbatę? Jak dawniej. Pamiętasz, jak przyszedł do naszego wydziału?

Lindell pokiwała głową, zadowolona ze zmiany tematu. Zaczynając pracę, szybko wybrała Berglunda na swojego mentora. Czasem siadali, każde ze swoją filiżanką kawy, w jego gabinecie albo w kawiarni, albo szli do Savoya, do cukierni, do której zaczął chodzić jeszcze w latach sześćdziesiątych, a która z czasem stała się jego schronieniem. Tam ukrywał się, kiedy chciał być sam.

– Tak – powiedziała.

Podeszła do Berglunda, stanęła blisko niego, oparła głowę o jego ramię. Nagle to on wydał się silniejszy z nich dwojga.

– Może dobrze zrobił, wyjeżdżając do Indii? – powiedział. – Wiesz, jak bardzo zacząłem nienawidzić śniegu i chłodu? Dawniej uwielbiałem zimę. Jeździliśmy na łyżwach, znacznie wcześniej, niż to się stało popularne. Pakowaliśmy plecaki i ruszaliśmy do Tämmaren albo do Funbosjön. Zostawialiśmy samochód na Bildö albo na Yxlan i pędziliśmy na łyżwach aż do Rödlöga, raz dotarliśmy nawet do Fredlarna. Niekiedy widać było stamtąd Szwedzkie Wzgórza. To było tak dawno temu. Teraz nienawidzę zimy.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś. Myślałam, że jesteś człowiekiem zimy.

Berglund objął ją ramieniem. Stali w milczeniu i przyglądali się padającemu śniegowi.

– W Ödeshög o tej porze roku zwykle wiało – odezwała się Lindell. – Pamiętam takie naprawdę długie zimy. Tata niemal nie wychodził na dwór, chyba żeby odśnieżyć schody.

– Był chory?

– Nie, ale pewnie czuł się niepotrzebny. Prowadził samochód rozwożący napoje. Kiedy przestał, brakowało mu tych skrzynek, stukotu butelek, rozmów z kupcami i kioskarzami.

– Niepotrzebny – powtórzył Berglund.

– Tak to odczuwał. Najbardziej było mi żal mamy. Tata stawał się coraz bardziej milczący.

Popadał w demencję, wiesz, jak to jest...

Poczuła, że Berglund się wzdrygnął. Puścił ją i oparł czoło o szybę.

– Wierzyłem w Boga – odezwał się nagle tak ostrym głosem, że aż podskoczyła.

– A teraz już nie wierzysz?

Pokręcił głową. Jakby tarł czołem o szybę.

– A w co wierzysz?

– Nie wiem – odpowiedział. – Może po prostu potrzebuję świeżego powietrza? Wczoraj był u mnie ktoś z parafii. Przyjaźnimy się od małego. To dobry człowiek, ale kiedy go słuchałem, miałem wrażenie, jakby zasnuł nas welon obojętności. Nic nie czułem, żadnej radości ani tego wspaniałego poczucia przyjaźni.

– I nagle zjawiłam się ja.

Berglund odwrócił głowę i spojrzał na nią.

– Nie to miałem na myśli. Cieszę się, że jesteś tu ze mną. Ottossona bym nie zniósł. Pewnie nagle zacząłby się spieszyć. Allan popadłby w smutek, Sammy by się zdenerwował, a Haver byłby roztrzęsiony.

– Mam zostawić cię w spokoju?

– Czuję na karku oddech śmierci.

– To zaczęło się teraz, kiedy zachorowałeś?

– Jesteś śledczą – powiedział Berglund, nie odpowiadając na jej pytanie.

Domyśliła się, że jego smutek miał swoje źródło we wcześniejszych przemyśleniach, a guz mózgu sprawił, że stały się one tym bardziej aktualne.

– Zajmiesz się dochodzeniem?

– Jakim?

– Dotyczącym radnego, który zniknął.

– Chcesz mnie czymś zająć? Słusznie, może...

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

Berglund odszedł od okna i usiadł na łóżku. Zapadnięte policzki i podkrążone oczy nadawały mu lekko demoniczny wygląd.

– Mogłabyś porozmawiać z wdową, o ile rzeczywiście nią jest.

– Pójdziemy na kawę?

– Innym razem. Poczuję się trochę...

– Odpocznij chwilę. Porozmawiam z Elsą i dopilnuję, żebyś otrzymał sprawozdanie.

Pokiwał głową wyraźnie nieobecny. Lindell zawahała się chwilę, zanim podeszła do kolegi i poklepała go po policzku.

Ann Lindell wyszła i zatrzymała się w korytarzu. Czuła się, jakby zrobiła coś, czego

w przyszłości może żałować, jakby naruszyła czyjąś prywatność. Spodziewała się, że Berglund będzie zmęczony, chory, ale nie była przygotowana na to, że spotka mężczyznę, który kwestionuje wiarę towarzyszącą mu przez całe życie.

Za bardzo przypominał jej ojca, przedwcześnie zgarbionego, którego soki życiowe już wyschły, i który lękliwym wzrokiem zerkał w stronę śmierci.

W pewnym sensie nie godziła się na smutek i wątpliwości Berglunda. Przeszedł udaną operację mózgu, powinien dziękować Bogu, w którego przecież zawsze wierzył. A on wyciągał wręcz przeciwne wnioski: uznał, że Boga nie ma. Ann nigdy nie była osobą wierzącą, ale pomyślała, że chyba nie wolno tak traktować swojej wiary. Jeśli nie mogła być wsparciem w czasie choroby, to chyba nie była wiele warta.

Nagle pomyślała, że może powinna skontaktować się ze szpitalnym pastorem i poprosić go, żeby odwiedził Berglunda. Najwyraźniej potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Z drugiej strony może najlepszym sposobem na poradzenie sobie ze smutkiem było zajęcie się dochodzeniem.

Nie, żeby sprawa zaginionego radnego specjalnie ją poruszyła. Znacznie ciekawsza była sprawa odciętej stopy, ale tym zajął się już Ola Haver, i dobrze. Podróże do Öregrund byłyby dla niej zbyt kłopotliwe. Jej synek, Erik, chodził do przedszkola. Musiała go stamtąd odbierać. Poza tym miasteczko było na tyle małe, że wizyta w nim była ryzykowna. Wszędzie mogła się natknąć na Edvarda. Myśl o nim nadal sprawiała jej ból, chociaż nauczyła się już panować nad emocjami. Jeszcze kilka lat temu samo wspomnienie jego imienia sprawiało, że ziemia zaczynała drżeć jej pod nogami i coś ścisnęło ją za gardło. Wtedy najczęściej wino tłumilo jej niepokój. Kilka tygodni temu postanowiła przestać pić. Ani kropli w ciągu tygodnia. Wmawiała sobie, że ma dobre życie. Uporządkowała wszystkie poplątane nitki.

Na parkingu nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zostawiła samochód. Kiedy w końcu go zobaczyła, zadzwoniła jej komórka. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Ottossona, szefa wydziału zabójstw. W pierwszym momencie miała ochotę go zlekceważyć, ale w końcu odebrała.

– Jak tam staruszek?

– Dobrze – odpowiedziała. – Nieco zdezorientowany, ale trzyma się.

Ottosson mówił dalej, coś w jego głosie ją zaniepokoiło. W końcu wyjawiał właściwy powód rozmowy.

– Ola jest chory.

Natychmiast zrozumiała, co to oznacza.

– Nie biorę tej sprawy!

– Rzyga jak prosię.

– Niech Fredriksson tam pojedzie.

– To nie jest dobre rozwiązanie i dobrze o tym wiesz. Załatwisz to raz dwa. Koledzy potrzebują, żeby ktoś ich pocieszył i wsparł. Zaraz potem wrócisz.

Westchnęła. Dobrze wiedziała, jak to wszystko się skończy. Nie będzie potrafiła odmówić. Ottosson był fantastycznym szefem, ale ich relacje nie były takie, żeby mogła powiedzieć nie. Zresztą oboje wiedzieli, jaka była sytuacja w wydziale. Wszyscy byli zawali robotą. Fredriksson miał własne sprawy, Riis chorował, Sammy Nilsson był na kursie, a Beatrice Andersson prowadziła dochodzenie w sprawie gwałtu w Tunabackar.

Była świadoma, że wyjazd do Öregrund nie skończy się na pogadaniu z kolegami.

– To stopa kobiety – usłyszała głos Ottossona.

Postanowiła użyć ostatniego argumentu.

– Erik ostatnio nie najlepiej się czuł.

– Wiesz, że moja żona chętnie się nim zajmie – zapewnił ją szef.

Asta już wcześniej opiekowała się Erikiem, zdarzało jej się odbierać go z przedszkola.

Ottosson wytrącił jej z ręki ostatni argument.

Pewnie był tego świadom, bo natychmiast zaczął ją zapewniać, że jak tylko Sammy Nilsson wróci z kursu, od razu przejmie sprawę.

Stryj Ante brał kiedyś udział w akcji sabotażowej, wysadził w powietrze most. Jak nazywała się rzeka, nad którą był ten most, tego Sven-Arne Persson nie pamiętał, pamiętał natomiast wzrastające napięcie, kiedy Ante zaczął opowiadać, początkowo spokojnie, zamyślony, a potem coraz bardziej podniecony, jak on i jego towarzysze przesuwali się między kamiennymi blokami, zbliżając się do podstawy mostu. Sven-Arne niemal czuł, jak ostre kamienie tną materiał spodni, jego oddech przyspieszył, z napięciem wpatrywał się w twarz stryja, nie chcąc, by umknął mu najmniejszy szczegół.

Było zimno i była noc. Zdziękowany oddział wykorzystał fakt, że była pełnia. Na wzgórzu tuż nad nimi wznosił się stary kamienny dom z dachem z dachówki, gdzie wróg zajął pozycję. Byli to głównie Marokańczycy, którzy nie opuszczali domu. Uchodzący z komina dym okrył Antego i jego trzech towarzyszy. Piątego mężczyznę, Niemca, musieli zostawić, skrzył nogę i nie mógł dalej wspinać się po stromych zboczach.

– Nigdy więcej już go nie zobaczyliśmy – powiedział Ante. – Miał na imię Ernst.

Stryj zamilkł na chwilę, Sven-Arne domyślił się, że pewnie wspomina Niemca. Właśnie takie sprawy, konieczność zostawienia kogoś za sobą, drobiazg w kontekście wojny, kosztującej życie setki tysięcy ludzi, sprawiały, że Ante milkł, czasem na kilka dni, a nawet tygodni. Odmawiał kontynuowania swojej opowieści, był zły, a w jego oczach pojawiał się błysk, który sprawiał, że Sven-Arne wołał schodzić mu z drogi. Bo w duszy stryja toczyła się wtedy wojna, odzywały się odgłosy walki trwającej niemal bez końca.

– Afrykańczycy byli najgorsi – zaczął po chwili. – Walczyli jak dzikie bestie. Jakby nie wiedzieli, co znaczy śmierć. Przerażali nas.

Wysadzenie mostu, nie do końca udana próba odcięcia dostaw do oddziałów faszystowskich stojących pod Teruel, ciągle powracało w myślach Svena-Arnego. Symbolizowało coś znacznie więcej niż zniszczenie marnego drewnianego mostu.

– Drewniana konstrukcja mostu trzeszczała na mrozie. Było około minus piętnastu stopni. Most jęczał, podobnie jak jeden z moich kumpli, który pochodził z Włoch. Bez przerwy opowiadał o Sycylii i upałach. Był rolnikiem, przywykłym do ciężkiej pracy, ale zimna nienawidził.

Co most naprawdę symbolizował, tego Sven-Arne nigdy nie zrozumiał. Była to po prostu jedna z opowieści, której przyszło mu w życiu wysłuchać.

Przewrócił się na plecy. Dochodziła dziesiąta. Głosy w korytarzu umilkły. W hotelu zrobiło się nagle niewiarygodnie cicho.

Sven-Arne wpatrywał się w sufit, gdzie Ante czołgał się w stronę mostu. Tuż za nim Włoch, a za nim dwaj Bułgarzy. Jeden z nich był górnikiem, to on miał założyć ładunki. Był wysoki, niemal za wysoki, prawie dwa metry wzrostu, i szeroki „jak drzwi do stodoły”, komunista, jak większość Bułgarów. Był ochroniarzem Dymitrowa i mówił płynnie zarówno po rosyjsku, jak i po niemiecku.

– Czuję się bezpiecznie, kiedy Szczotka był z nami – powiedział Ante. – Nazywaliśmy go Szczotką, bo z uszu wyrastały mu włosy. Wszystko robił tak, jak trzeba. Był dobrym towarzyszem.

To była najwyższa ocena. Pewnego razu Ante nazwał Svena-Arnego swoim „małym towarzyszem”.

Zrobił wszystko tak, jak powinien? Ten Bułgar.

– Była wojna – ciągnął Ante. – A wtedy nie wszystko idzie tak, jakbyśmy chcieli. Ludzie umierają. Nikt nie wierzył, że akurat on umrze. W każdym razie nie, kiedy wychodziliśmy na ląd, a potem pędziliśmy przez Pireneje. Wtedy byliśmy niezwykli. Szczotka zrobił wszystko, co mógł. A nawet więcej. Ale to było tyle, co ptak nasrał. Był tylko pionkiem, jak my wszyscy. Nic nieznaczącym pyłkiem kurzu.

Dobry towarzysz stawał się nagle nic nieznaczącym ptasim gównem. Sven-Arne chciał, żeby wszyscy byli bohaterami. Bułgarski górnik chyba nie wysadził siebie w powietrze nadaremnie?

– Nie, pewnie nie – odpowiedział Ante, a Sven-Arne zauważył, że stryj zaczął się zbliżać do wielkiej ciszy.

Jakby w jego duszy toczyła się nieustanna walka. Zachowywał w głowie wszystkie potyczki, o żadnej nie zapominał. O żadnym, nawet najmniejszym pyłku kurzu.

Tamtego popołudnia na dachu Rosberga, kiedy Ante wstał i krzyknął coś po hiszpańsku, był to jedyny raz, kiedy Sven-Arne widział go naprawdę poruszonego, wytrąconego z równowagi. Ale natychmiast się opanował. Rosberg pomachał mu ręką. Może pomyślał, że Ante woła coś do niego?

– Wojna jest potwornie brudna – powiedział, zanim zszedł na dół.

W drodze do domu Sven-Arne trzymał się tak blisko stryja, jak tylko mógł.

– Nie marzną ci ręce?

Ante zostawił na dachu swoje rękawice.

– Możesz pożyczyć moje. Są duże.

Stryj pokręcił głową.

Podniósł się niechętnie, stał chwilę, obserwując brudną podłogę. Powiódł wzrokiem po skromnie umeblowanym pokoju, wziął się w garść i poszedł do łazienki. Pęknięte lustro na ścianie dzieliło odbicie na dwie części, ale połówki niezbyt do siebie pasowały, jakby ktoś przeciął twarz na pół i teraz próbował ją skleić.

W lustrzanym odbiciu widział szeroką czarną linię biegnącą nad czołem, nad nosem i ustami, niczym monstrualny łam skalny. Przekręcił głowę, zrobił grymas i zaczął robić głupie miny, świadom, że wszystko to jest grą, próbą odsunięcia od siebie koniecznych decyzji. Bo przecież musiał zdecydować co dalej. Brudny pokój hotelowy był jedynie przystankiem, punktem wyjścia do nowego życia. Stąd droga prowadziła już tylko do śmierci. Co śniło mu się w nocy? Jaki koszmar sprawił, że obudził się zlany potem? Zobaczył w lustrze swoje odbicie, obraz starego człowieka o zmęczonych rysach i mętym spojrzeniu, błagającym o litość. Nocna zmora ujeżdżała go niczym młoda kobieta. Śmiała się z jego niemożności. Płacząc, próbował ją zatrzymać, ale ona pogardliwym ruchem wyswobodziła się z jego bezsilnych ramion.

Odwrócił wzrok, przekręcił kurek, poleciały pojedyncze krople wody, głośny syk wprawił rury w wibracje.

– Nie czuję się dobrze – powiedział głośno, chociaż z pewnym wahaniem. Przede wszystkim po to, by się uspokoić, dowieść, że wciąż jeszcze potrafi mówić, że nadal żyje. Sen był snem.

Szokujące spotkanie ze Svenskiem naruszyło sieć bezpieczeństwa, którą tak starannie budował przez ponad dziesięć lat. Spojrzał na siebie, nie był to budujący widok. Tłumione

emocje, poczucie wyobcowania i pustki, mimo przyjaźni z Lesterem, pracy w parku i lekcji w St. Mary's School, zostały obnażone i stały się częścią kłamstwa.

Zrozumiał, że skomplikowane sny były odpowiedzią jego podświadomości. Emocje ciągle były żywe i nękały go nocami. Jego chude nogi trzęsły się, klatka piersiowa unosiła się i zapadała, gdy brał głęboki oddech, dłonie bezwiednie sięgały do członka, równie wyschniętego jak kran, nawet kształtem go przypominał. Poczul przebłysk pożądania, które odezwało się w nim w nocy. Wpatrując się w spękane lustro, próbował bezskutecznie się zaspokoić. Gdzieś przed oczami miał obraz młodej kobiety, drwiącej sobie z niego. Jej postać przypominała młodą Hinduskę z sąsiedztwa, z czasem jednak obraz stawał się coraz bardziej zamazany, by po chwili w ogóle zniknąć.

Nawet pożądania nie potrafił już z siebie wykrzesać. Od lat nie kochał się z kobietą. Ostatnio był z młodą Hinduską, zdecydowanie za młodą, ale spotykali się jakiś czas. Za każdym razem, kiedy dotykała jego pomarszczonego przyrodzenia, czuł lęk. W końcu nie był w stanie tego dłużej ciągnąć. Pogarda dla samego siebie zwyciężyła nad współczuciem i potrzebą poczucia czyichś rąk na swoim ciele. Zrezygnował, nie chciał stać się starym zbereźnikiem, który za kilka rupii kupuje sobie zadowolenie i trochę udawanego ciepła.

Wcześniej, jeszcze przed tą krótką przygodą, miał dłuższy związek z koleżanką z pracy, niespełna czterdziestoletnią wdową, która pochodziła z Sennaj, ale przeprowadziła się do rodziny brata, do Bangaluru. Kiedy brat zginął w wypadku samochodowym na drodze do Majsuru, wyrzucono ją z domu. Znalazła pracę w ogrodzie botanicznym, żyła bardzo skromnie, rzadko się odzywała i mieszkała niedaleko Svena-Arnego. Zdarzało się, że wracali razem do domu, czasem się umawiali i szli coś zjeść w jednym z pobliskich lokali.

Wszystko zaczęło się od wypadku. Sven-Arne pielili teren wokół ogrodu japońskiego, zbierał leżące na ziemi gałęzie, liście, papiery. Prosta, banalna praca, która jednak dawała mu duże zadowolenie. Lubił swoją niewielką oazę, mimo że cały teren był zaniedbany i nie bardzo przypominał japoński ogród.

Kiedy skończył pracę, usiadł na skarpie wyschniętego stawu. Było wczesne przedpołudnie, powietrze wciąż jeszcze było chłodne, przynajmniej w cieniu drzew okalających staw. Pamiętał, że czuł się szczęśliwy, nie tylko z powodu wykonanego zadania. Napawał się ciszą spowijającą park. Zanim klasy szkolne i tłum odwiedzających zjawi się w ogrodzie, mógł cieszyć się spokojem, wolny od ciekawskich spojrzeń. Wtedy też zwykle planował swoje wykłady w St. Mary's School. Nie wymagały szczególnego przygotowania, ale lubił sobie wszystko przemyśleć i zaplanować. Sprawiało mu to przyjemność.

W końcu jednak wstał i ruszył ze skarpy w stronę szkółki roślin. Może zbyt długo siedział, może mięśnie mu zeszywniały, od niedawna ćwiczył siedzenie w kucki, w każdym razie zrobił kilka kroków, potknął się i poleciał do przodu. Odruchowo wysunął ręce, żeby się chronić. Kiedy upadł na ziemię, trafił prawą ręką na wystający z ziemi korzeń. Leżał chwilę na dnie wyschniętego stawu, zszokowany upadkiem. Czuł palący ból, po chwili zobaczył spływającą po ręce krew. Głęboka rana ciągnęła się od nadgarstka do łokcia. Początkowo w ogóle nie chciał na nią patrzeć, chociaż domyślał się, że pewnie jest poważna. Nagle przed oczami pokazał mu się stryj. Patrzył na niego swoim wszystkowiedzącym wzrokiem i niczym szanowany, ale i wzbudzający lęk Bóg, unosił palec i wskazywał na niego, jakby chciał powiedzieć, że grzech zawsze zostanie ukarany.

W końcu Sven-Arne uniósł głowę i spojrział na swoją rękę. Krew zdążyła już utworzyć niewielką kałużę na dnie stawu. Udało mu się wdrapać na brzeg. Poczuł, że jego kolano też ucierpiało, także z czoła leciała mu krew. Niezdarnie zdjął koszulę i zawiązał wokół ręki.

W drodze do szpitala zaczął się zastanawiać nad konsekwencjami. Nie był ubezpieczony, ale to nie było aż tak istotne, bo w przeciwieństwie do swoich kolegów z pracy, stać go było na opłacenie lekarza. Gorzej, że nie będzie mógł pracować. Na pewno przez jakiś czas będzie musiał bardzo się oszczędzać. Codzienne podróże do ogrodu botanicznego i praca w nim, stały się rutyną nadającą sens jego życiu. Długotrwała rekonwalescencja, bezczynność i pełne lęku myśli, które na pewno się pojawią, wytrącają go z równowagi i to akurat w momencie, gdy po wiele latach udało mu się w końcu znaleźć spokój.

Ale stało się dokładnie odwrotnie. Czas po wypadku zapoczątkował najszcześniejszy okres jego pobytu w Bangalurze.

Po opatrzeniu ran środkami, które były dostępne w niezbyt dobrze zaopatrzonej apteczce w ogrodzie botanicznym, Jyoti odprowadziła go do szpitala w Vasant Nagar, jej zdaniem dość dobrego.

Długą ranę na rękę zszyto mu, zakładając dziewiętnaście szwów, szramę na głowie zakleiono plastrem, nogę owinięto bandażem elastycznym. Wszystko odbyło się szybko i sprawnie. Jyoti zwróciła mu uwagę, że został obsłużony poza kolejnością. Kiedy zobaczyła jego minę, roześmiała się i powiedziała coś, czego nie rozumiał, domyślił się, że było to jakieś przysłowie.

Na ulicy Jyoti przywołała riksę i pojechali do mieszkania Svena-Arnego. Tam natychmiast przejęła dowodzenie, kazała mu się położyć, a sama zabrała się za parzenie herbaty. Sven-Arne czuł pulsujący ból głowy, bolało go całe ciało, ale z przyjemnością wsłuchiwał się w dźwięki dochodzące z kącika kuchennego.

Następnego dnia Jyoti też przyszła, zmieniła mu opatrunek na czole, rozmasowała nogi i zaparzyła herbatę.

Był tak wzruszony jej troską, że niemal się popłakał. Dał jej pieniądze, żeby mogła zrobić zakupy. Pewnie przesadzał nieco w swoim cierpiętnictwie, kiedy spróbował wstać, jego twarz wykrzywił grymas, złapał się za głowę i opadł na łóżko.

Wkrótce zaczął tęsknić za odgłosem jej kroków na schodach. Niestety zamieniło się w szczęście.

Już po tygodniu byli ze sobą. Sven-Arne postanowił, że uczczą zdjęcie szwów i wracając ze szpitala, kupił różne przysmaki, piwo i butelkę Old Monk. Obawiał się, że będzie musiał namawiać Jyoti, ale ona nie tylko przyjęła zaproszenie, ale i jadła z dużym apetytem. Byli nieco oszołomieni alkoholem. Zaczęła mu opowiadać o Sennaju i o tym, jak wygląda życie samotnej, bezdzietnej kobiety. On jak zwykle kłamał o swoim życiu, co wówczas przychodziło mu już bez problemów. Nawet chwila wahania, która dawniej pojawiała się na początku jego opowieści, już zniknęła.

Przyglądał się jej zza stołu i pragnął jej. Kiedy wstała, żeby sprzątnąć talerze, spróbował, dość niezdarnie, się do niej zbliżyć. Ku jego zdziwieniu nie odtrąciła go.

Rozebrali się w ciemności, a potem leżeli obok siebie całą noc. Kiedy wyszła wcześniej rano, Sven-Arne czuł błogą radość, taką jak kiedyś, dawno temu.

Wieczorem wróciła, potwierdzając tym samym ich kielkujący związek. Rozumiał, że nie

jest to dla niej łatwe. Na pewno wkrótce pojawią się plotki, że zadaje się z Anglikiem, i że zostaje u niego na noc. Starał się wyobrazić sobie, jak to wpłynie na jej życie, ale kiedy ją o to pytał, tylko uśmiechała się zażenowana.

Ich szczęście trwało pół roku. Potem Jyoti zażądała ślubu. Postawiła mu ultimatum. Plotka o ich związku dotarła do Sennaju. Musiał jej powiedzieć, że nie może się z nią ożenić, i jak zwykle musiał kłamać. Nie mógł podać prawdziwego powodu. Formalnie bowiem był już przecież żonaty, ale przede wszystkim nie posiadał żadnej tożsamości. Nie mógł się nigdzie zarejestrować, a już na pewno nie mógł wziąć ślubu. Władze hinduskie na pewno zażądałyby jakiegoś dokumentu, stwierdzającego jego tożsamość, być może nawet aktu urodzenia.

Odeszła bez słowa, rzuciła pracę w ogrodzie botanicznym i wyjechała. Pewnie do Sennaju, bo dokąd mogła się udać?

Zadawał sobie pytanie, czy ożeniłby się z nią, gdyby był wolny? Nie sądził, by to zrobił.

Pragnął miłości, ale nie był w stanie jej przyjąć, a tym bardziej dać jej komuś. Uświadomił to sobie pewnego dnia, kiedy wczesnym wieczorem siedział na stolku, opierając się o ścianę domu. W ten sposób mógł śledzić życie ulicy, odpocząć po pracy i zamienić kilka słów z sąsiadami. Nagle mały kotek, pewnie jeszcze kociątko, zaczął się ocierać o jego nogi, by po chwili wskoczyć mu na kolana.

Kotek zaczął mruzczyć, wyciągnął łapki, pokazując małe pazurki, i ułożył się wygodnie na jego kolanach. Sven-Arne poczuł się przyjemnie, gdy małe bezbronne stworzenie znalazło ukojenie na jego chudych kolanach. Chociaż było mu też trochę wstyd. Czyżby on, „Anglik”, miał przygarnąć tak nędzne, kościste zwierzątko?

Miał wrażenie, że dzięki przypadkowemu gościowi stał się nieco bardziej ludzki. Nie łudził się, że kotek do niego wróci. Koty w Bangalurze były z natury niewierne. Szybko okazało się, że mijający go ludzie wcale z niego nie drwili, wręcz przeciwnie: zatrzymywali się, uśmiechali i głaskali kotka, o on miał wrażenie, że tym samym głaskali i jego.

Uderzyło go, że chyba zdążył pokochać kotka. Być może potrafił kochać tylko zwierzęta? Nieme stworzenia, które przychodziły i odchodziły, jak chciały, dawały trochę ciepła za kilka chwil odpoczynku i poczucia bezpieczeństwa i może trochę jedzenia.

Przeciągając ręką po grzbiecie kotka, myślał o Elsie. O tym, ile od niej dostawał, uważając to za coś oczywistego. I jak niewiele dawał jej w zamian.

Nie kochał jej. Nie potrafił jej kochać. Kochał „sprawę”, „zadanie”, „organizację”. Były jego siłą napędową, pozwalały mu wytrwać, kiedy pierwsze upojenie minęło.

To właśnie zrozumiał, siedząc z zapchlonym kotkiem na kolanach w wąskiej uliczce w Indiach, oddalony o tysiące kilometrów i lat od Uppsali. Ale wtedy było już za późno. Nie był w stanie nic zmienić. Wymamrotał coś pod nosem. Przechodząca obok kobieta zatrzymała się i spojrzała na niego zdziwiona. Wykonał uspokajający gest ręką, mając nadzieję, że przyjmie jego przeprosiny, a on dzięki temu będzie mógł pogodzić się z Elszą. W tym momencie niczego bardziej nie pragnął.

– To moja wina? – spytał, patrząc na pęknięte lustro. Wychowany na głoszonych przez Antego doktrynach, wiedział, jaka winna paść odpowiedź.

Nagle poczuł zapach koszonej trawy. Spojrzał po sobie i zdał sobie sprawę, że podświadomość splatała mu figla. Powrócił do domku babci, na pole Rosberga. Blixten, potężny w swojej powolności, spacerował po łące, ciągnąc za sobą kosiarkę. Rosberg uśmiechał się do

niego. Czapka, którą zawsze nosił od wiosennego zasiewu do żniw, była przekrzywiona, nieco zawadiacko, tak po proletariacku. Przypominał w niej osoby ze zdjęć Antego z lat trzydziestych.

Może to czarna stopa, stopa Indianina – powiedział Bosse Marksson.

– Co takiego? Ta stopa jest czarna?

– Czarna jak czarna, nieco przypalona.

Ann Lindell próbowała wyobrazić sobie kolegę z komisariatu w Östhammar po drugiej stronie telefonu. Pamiętała, że kiedyś go poznała. Imię brzmiało znajomo, ale nie potrafiła przypomnieć sobie twarzy, która pasowałaby do nieco chropowatego głosu.

– Jesteś przeziębiony?

– Nie, taki mam głos. To u nas rodzinne.

– No, dobrze. Rozumiem, że znaleźliście stopę w bucie, który kołysał się na morskich falach.

– Trzy błędy w jednym zdaniu. Tylko śledczy potrafi zrobić coś takiego. Po pierwsze nie my ją znaleźliśmy, tylko Örjan Bäck, po drugie nie w bucie, to był sandalek. A po trzecie stopa leżała na brzegu.

– Kto to jest Örjan Bäck?

– Dawny kumpel z klasy, który tam mieszka. Właśnie jest w domu, w przerwie między rejsami.

– Jest marynarzem?

– Tym razem zgadłaś.

– Wybrał się na spacer wzdłuż brzegu i...

– Örjan nie spaceruje, on biegnie rączo jak jelen. Ale tak, miał sprawdzić łódź ojca. Staruszek zaczyna niedomagać. Poza tym ma protezę.

– Rozumiem. I zadzwonił do ciebie?

– Yes. Jak już mówiłem, kumplujemy się. Ma numer mojej komórki.

Bosse Marksson pociągnął nosem. Pewnie jednak jest przeziębiony, pomyślała Ann Lindell.

– A potem?

Była zmęczona wyciąganiem informacji od kolegi. Bosse Marksson nie miał w sobie nic z rączego jelenia.

– Pojechałem tam.

– To oczywiste, ale możesz mi powiedzieć, co udało wam się zabezpieczyć...

– Spokojnie. Przyjedź, pogadamy. Słyszałem, że znasz się i na policyjnej robocie, i na życiu na szkiecach. Zaraz prześlę ci trochę informacji.

Ann Lindell zdziwiła się. Czy uwaga o „życiu na szkiecach” była aluzją do jej relacji z Edvardem na Gräsö? Czy całe Roslagen o tym wiedziało?

– Będę jutro o dziesiątej – powiedziała niezamierzenie lękliwie. – Może być? – dodała.

– Weź ze sobą kalosze – rzucił Bosse Marksson, kończąc rozmowę.

Ann Lindell włączyła komputer, ale się nie zalogowała. Myślała o stopie na brzegu morza. Zapomniała spytać, czy należała do mężczyzny, czy do kobiety. Pewnie do kobiety. Kto w listopadzie chodzi w sandałkach? A może to były sandaalki do chodzenia po domu?

Wizyta u Berglunda i jego smutek przytłoczyły ją, jakby część jego smutku przeszła na nią.

Otworzyła książkę telefoniczną i od razu znalazła Elbę Persson. Wybrała numer, ale nikt nie odpowiedział. Być może Elsa była w szkole? Berglund wspomniał, że była nauczycielką.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi, wzdrygnęła się. Ottosson zajrzał do środka.

– Jutro jadę na wybrzeże – powiedziała Ann, chcąc ubiec jego pytanie. – Mam pozdrowienia od Berglunda. Jest trochę zmęczony i chyba nie ma ochoty na tłum gości, ale chętnie zajęłby się starym śledztwem z lat dziewięćdziesiątych. Radny, który zniknął. Sven-Arne Gotthard Edvin Persson wypłynął na powierzchnię w Indiach.

Ottosson wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i usiadł.

– Wiem – powiedział. – Tyle że Berglund zdążył już zmienić zdanie. Nie chce raportu. Zadzwoił do mnie i mi to przekazał.

– Chce zająć się czymś innym?

Ottosson skinął głową.

– Morderstwem sprzed lat. Prowadził tę sprawę, ale nie udało mu się rozwiązać zagadki. To było już jakieś dziesięć lat temu. Jakiś starzec został zabity w Kungsgärdet. W jednej z tych małych willi. Kiedy dorastałem, nazywaliśmy je „kostkami cukru”. Mieliśmy odciski palców i świadków, i wszystko na nic.

– Nigdy o tym nie wspominał.

– Podejrzewam, że trochę się tego wstydzi. No, może nie wstydzi, ale wiesz, jak to jest...

– Tak czy inaczej jutro jadę obejrzeć stopę. I zobaczymy.

– Marksson to sympatyczny gość, tylko ma dziwny głos. Jego ojciec miał taki sam. Też był policjantem. Był statystą w Kąpielisku, pamiętasz ten film? Lubię Ernsta Günthera.

Ottosson wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Ann uśmiechnęła się. Ottosson zawsze wiedział, jak ją podejść.

Zalogowała się i i ku swojemu zdziwieniu zobaczyła, że „sympatyczny gość” przysłał jej raport w sprawie stopy. Zaczęła czytać.

– Stopa kobiety – mruknęła pod nosem.

Jan Svensk znacznie przeplącił. Był tego świadom, ale mimo to uśmiechnął się do rikszarza, który w odpowiedzi pokręcił głową i pojechał dalej.

Ogród botaniczny Bangaluru robił imponujące wrażenie, przynajmniej od strony wejścia. Bileter zaczął mu tłumaczyć, że nie ma drobnych i nie może wydać mu z dwudziestorupiewego banknotu, co było ewidentnym kłamstwem, ponieważ następny gość otrzymał resztę z dziesięciu rupii. Jan Svensk przyjął to ze spokojem. W innej sytuacji pewnie by zaprotestował, ale dzisiaj uznał, że może pozwolić sobie na szczodrość. Po co się kłócić o parę rupii? W Indiach łatwo było być wspaniałomyślnym.

Wszedł i od razu natknął się na mężczyznę na wózku inwalidzkim, który zaproponował, że zrobi mu zdjęcie, pamiątkę na całe życie. Gdy Svensk odrzucił propozycję, mężczyzna zaczął przekonywać go, że jest najlepszym przewodnikiem po parku, oczywiście licencjonowanym. Pokazał mu zmiętą kartkę.

– Nie, dziękuję – odpowiedział Svensk.

Ruszył dalej, po chwili jednak zatrzymał się i wrócił do mężczyzny na wózku.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę kogoś z personelu parku?

– Ma pan na myśli biuro?

– Tak albo...

Nie bardzo wiedział, jak to wszystko wytłumaczyć.

– Wie pan może, czy pracuje tu jakiś cudzoziemiec? Europejczyk.

Mężczyzna na wózku podjechał bliżej, tak blisko, że jedno koło dotknęło nogawki Svenska. Mężczyzna rozejrzał się, wychylił z wózka i splunął.

– Anglik – powiedział, wskazując ręką w głąb parku. – Gdyby nie Anglia, nie byłoby tego parku.

Mężczyzna cuchnął potem i czosnkiem, krzaczaste brwi skrywały mu częściowo oczy, na dużych dłoniach widać było nabrzmiałe, fioletowe żyły. Chociaż jeździł na wózku, sprawiał wrażenie silnego.

– Potrzebuje pan przewodnika?

Jan Svensk roześmiał się i pokręcił głową.

– Nie, ale szukam pewnego Szweda. Nie interesują mnie kwiatki.

Zastanawiał się, czy nie zaproponować mężczyźnie pieniędzy w zamian za informacje, ale ten uprzedził go i sam z siebie zaczął opowiadać mu o białym mężczyźnie, który od lat pracował tu przy sadzeniu drzew.

Jan Svensk sięgnął po portfel i wyjął kilka banknotów.

– Nie wiem, jak się nazywa – powiedział mężczyzna.

Udawał, że nie widzi pieniędzy.

– Ale ja wiem – stwierdził Svensk.

– Rodzina?

– Nie, nie.

Dał mężczyźnie banknoty.

– Gdzie go znajdę?

– Proszę pójść do szkółki roślin.

Wskazał mu ręką kierunek.

– Dziwne – ciągnął dalej. – Spotkałem się z nim wkrótce po tym, jak tu przyjechał. Nie wyglądał na szczęśliwego. Dobrze to pamiętam.

– Kiedy to było?

– Wiele lat temu.

– Teraz wydaje się szczęśliwszy?

– Po waszym spotkaniu znów posmutnieje?

Jan Svensk roześmiał się i zapewnił, że nie ma żadnych złych zamiarów.

– Ma na imię John.

– John?

Mężczyzna chwycił Svenska za rękaw.

– Tylko proszę nie mówić, że to ja...

Jan Svensk poczuł nagle irytację. Chciał jak najszybciej oddalić się od cuchnącego oddechu mężczyzny, jego nachalnych rąk i zawodowej chciwości, której nie był w stanie ukryć. Za kilkaset rupii był skłonny zdradzić.

– Do widzenia – powiedział i ruszył przed siebie w takim tempie, iż miał nadzieję, że mężczyzna nie da rady go dogonić.

Niemal od razu znalazł szkółkę, zawahał się chwilę, zanim wszedł na jej teren. Po obu stronach szerokiej żwirowej alejki w cieniu wielkich drzew stało mnóstwo roślin w doniczkach. Chociaż sam w najmniejszym stopniu nie interesował się roślinami, uznał, że widok jest przyjemny. Całe założenie cechowała harmonia. Nawet ludzie poruszali się jakby w spokojniejszym tempie. Nie było tu stresu ulicy, hałasu, cały obrazek cechowała pewna statyczność.

Może sprawiało to nagromadzenie zieleni, może dlatego ludzie tu poruszali się tak powoli, spokojnie. Kilku mężczyzn ładowało donice na dużą taczkę. Między każdą skrzynką robili chwilę przerwy, rozmawiali ze sobą, żartowali. Jakaś kobieta w zielonym sari rozmawiała z mężczyzną, który według Svenska należał do personelu. Podeszedł bliżej. Stojący obok ludzie posłali mu szybkie spojrzenia. Ubrana na zielono kobieta uśmiechnęła się.

Przez kilka minut spacerował alejkami oddzielającymi poszczególne kwartały, czytał tabliczki i ku własnemu zdziwieniu stwierdził, że wiele roślin rozpoznaje jeszcze z czasów dzieciństwa. Nikt do niego nie podeszedł, nie zagadywał go, nie chciał mu niczego sprzedać. Uczucie było miłe, na chwilę zapomniał, po co tu naprawdę przyszedł.

Sven-Arne Persson miałby tu pracować? W tej oazie spokoju w tym hałaśliwym mieście? A dlaczegoż by nie? Jeśli ktoś interesował się kwiatami, to to musiał być raj. Żadnego pośpiechu, spokój, zieleń przynosząca ulgę oczom i całemu ciału.

Zrobił kilka okrążeń, po czym podeszedł do jakiejś kobiety i spytał o „Johna”.

– Chodzi panu o Johna Mailera? Przed chwilą go tu widziałam. Niech pan porozmawia z Lesterem – powiedziała kobieta, wskazując ręką na jednego z mężczyzn ładujących donice na taczkę.

– Chodzi mi o Szweda.

– Jest tu tylko jeden Europejczyk. John. Nie wiedziałam, że pochodzi ze Szwecji. Byłam przekonana, że jest Anglikiem.

Kiedy mężczyzna przenoszący doniczki, Lester, zobaczył go, w jego oczach natychmiast pojawiła się nerwowość. Powiedział coś swojemu towarzyszowi, który pospiesznie odszedł. Svensk odniósł wrażenie, że Lester wyraźnie szykował się do spotkania. Odwrócił się do niego plecami, spoglądając w stronę sklepu w rogu parku. Svensk podążył za jego spojrzeniem.

– Mogę panu pomóc?

– Szukam naszego wspólnego znajomego, Johna.

– Nie ma go tutaj.

Lester pochylił się i chwycił za stojącą obok skrzynkę. Była duża, żeby ją unieść, potrzeba było dwóch osób. Natychmiast ją puścił.

– Ale znasz go, tego Szweda?

Zażenowany uśmiech Lestera, kiedy zrozumiał, że niepotrzebnie udaje zapracowanego, i jego rozbiegany wzrok wyraźnie świadczyły o tym, że nie nadaje się na kłamcę.

Nie odpowiedział, stał, drapiąc się po kroczu.

– On nie ma na imię John. Wie pan o tym, prawda? Nazywa się Sven-Arne.

Lester spojrzał na niego zdziwiony.

– Wspominał o mnie? Mówił, że być może zjawi się obcy mężczyzna i będzie o niego pytał? Mówił, że się ukrywa, tu w Bangalurze?

Svensk był podniecony, wręcz napawał się zmieszaniem i zażenowaniem Hindusa. Jego atak przyniósł zamierzony skutek.

– Kazał ci milczeć, tak? Być może chronisz przestępcę. Co tak naprawdę wiesz o Szwedzie, który ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem?

– Jest pan policjantem?

– To chyba nie ma znaczenia, kim jestem.

Stali naprzeciwko siebie w milczeniu. Lester udawał, że obserwuje skaczące obok ptaki, był wyraźnie zażenowany. Także Jan Svensk czuł się nieprzyjemnie. Czemu wywiera presję na tego obcego mężczyznę? Co on miał wspólnego z Perssonem? Poza tym, o ile było mu wiadomo, Persson nie zrobił niczego złego. Dlaczego więc napastuje niewinnych ludzi, wchodzi w ich życie z buciorami jak gestapo?

– Był moim sąsiadem – powiedział w końcu.

Lester skinął nieobecnie głową, ale Svensk uznał to za zaproszenie do dalszej opowieści.

– Nie chcę wyrządzić mu żadnej krzywdy, ale chyba rozumiesz, że zainteresowałem się nim, gdy zobaczyłem go tu po dwunastu latach. Co wiesz o jego pochodzeniu?

– Nic – odpowiedział Lester cicho.

– Możemy gdzieś usiąść?

Ogrodnik wskazał ręką na tyły parku. Svensk ruszył bez słowa we wskazanym przez niego kierunku, okrążył kępę krzaków, obejrzał się i usiadł na jednym z leżących obok pni. Lester podszedł do niego i ukucnął jakieś trzy metry od niego. Svensk miał wrażenie, że Hindus wykrzywił nieco usta, by zaraz znów przybrać kamienny wyraz twarzy.

– Dlaczego nie powiesz mi, gdzie mogę go znaleźć?

Lester wstał, podszedł do szopy, której drzwi wisiały na jednym zawiasie, pociągnął za nie, przekręcił głowę i spojrzał na Svenska, po czym wyjął z szopy siekiere.

Svensk wstał.

– Co zamierzasz?

– Mam pracę, którą muszę wykonać – powiedział Lester.

Po chwili znów ukucnął. Siekiera leżała na ziemi, oparta trzonkiem o jego kolano.

Svensk obserwował scenkę zafascynowany. Obrazek, stereotyp, a jednocześnie wyrazista ilustracja robotnika z trzeciego świata, siekiera – symbol niskiego rozwoju, ale i siły. Nagle się przestraszył.

Niezgłębiona mina Lestera, kiedy mu się przyglądał, nie była groźna, jednak nad małym placykiem unosiło się jakieś niewypowiedziane niebezpieczeństwo. Może sprawiała to kamienna twarz Hindusa, jego pozorna obojętność mogła skrywać wszystko.

Svensk rozejrzał się dookoła. Z dala dochodził słaby szum ruchu ulicznego, tłumiony przez rzadki żywopłot i wysokie ogrodzenie.

– Mógłbym cię zabić – odezwał się Lester.

– Ale dlaczego?

– Tego nie wiesz.

– Mogę spróbować zgadnąć?

Jan Svensk czuł, jak pot spływa mu po plecach i pod pachami. Powiniennem usiąść, pomyślał. Hindus skinął głową. Wtedy Svensk uświadomił sobie, że mężczyzna – w przeciwieństwie do ogółu Hindusów – kiwa, gdy chce przytaknąć.

– Nasz wspólny przyjaciel coś ukrywa, a ty być może jesteś współwinny.

– Być może – przyznał Lester z obojętnością w głosie, która coraz bardziej drażniła Svenska.

Hindus uniósł siekierę i wypróbował jej ostrość na własnym kciuku.

– Wiem, że John jest uczciwym człowiekiem, a ty? Czego od niego chcesz? Co ci zrobił?

– Nic, co zresztą już powiedziałem. Jest przyjacielem naszej rodziny, więc to chyba dość naturalne, że jego widok wzbudził moją ciekawość.

Svensk powiedział Lesterowi, że Sven-Arne był osobą publiczną i że jego zniknięcie wywołało w swoim czasie duże poruszenie.

Hindus zdawał się go nie słuchać, nagle jednak podniósł się gwałtownie. Siekiera nadal leżała u jego stóp.

– Idź już. Nie masz tu czego szukać.

– Porozmawiajmy w biurze.

Hindus pokręcił głową. Jan Svensk zrozumiał, że rozmowa służyła jedynie odwróceniu jego uwagi.

– Poszedł już? – spytał.

– Przykro mi, ale John nie chce się z tobą spotkać. Nie wiem dlaczego i nie chcę tego wiedzieć.

– Jesteś w to zamieszany?

– W co?

Svensk nie odpowiedział. Odwrócił się na pięcie, ale nagła fala złości sprawiła, że się zatrzymał. Lester wzdrygnął się. Jan zerknął znów na leżącą na ziemi siekierę i powstrzymał odruch, żeby ją chwycić i zamachnąć się na Hindusa. Opamiętał się.

– Niech to szlag – rzucił tylko.

Dokuczała mu świadomość, że został oszukany. Sven-Arne prawdopodobnie cały czas był w pobliżu, ale zdążył już zniknąć. Teraz siedział pewnie w rikszy, która wiozła go gdzieś, gdzie

Svensk zapewne nigdy go nie znajdzie.

– Zatrzymałem się w hotelu Harsha. Proszę mu przekazać, że nie mam złych zamiarów – powiedział w końcu i szybkim krokiem opuścił teren szkółki. Nie obejrzał się za siebie, było mu wszystko jedno, czy ludzie się za nim oglądali, czy nie. Był pewien, że śmiali się za jego plecami.

– Cholerne hinduskie tałatajstwo – wymamrotał pod nosem. Kopnął doniczkę, potoczyła się ścieżką, trafiła w słupek bramy i rozbiła się.

Drogę przecięła mu jaszczurka. Nagle poczuł niczym nieuzasadnioną nienawiść do kraju, do którego został wysłany. Uznał, że to głęboko niesprawiedliwe, że musiał znosić cały ten chaos: spaliny, jaszczurki i znikający ludzie.

Oczywiście mógł zostawić Svena-Arnego własnemu losowi, zakończyć w ciągu kilku dni swoje zadanie w Bangalurze, miał konieczne doświadczenie, zdobyte w ciągu miesięcy pracy w Singapurze. Przez trzy spędzone tam miesiące pocił się, idąc ulicami do pracy, żeby potem marznąć w klimatyzowanych pomieszczeniach.

Jednak wrażenie, że został oszukany, oznaczało większą porażkę, niż gdyby tylko sobie z niego zadrwiono. Polowanie na zaginionego radnego stało się czymś, co było w stanie wyprzeć narastające poczucie niezadowolenia z wizyty w Indiach. Wrażenie, że wszystko wokół, cały chaos, do którego doprowadziła praca jego i innych, było właściwie jedynie chimerą.

Bangalur w jego oczach był równoznaczny z chaosem. Nowa technika, która miała zrewolucjonizować i poprawić ludziom życie, która oznaczała szybszą komunikację między ludźmi i między kontynentami, miała też swoją ciemną stronę, która z czasem stawała się coraz bardziej widoczna. Już wcześniej miewał podobne przeczucia. Obserwował rzekome sukcesy branży IT, widział zamki z piasku, które się rozsypywały, i krótką pamięć ludzi, pozwalającą im zachwycać się kolejnymi bańkami mydlanymi.

Mówiono, że w Bangalurze budowano przyszłość. Czy właśnie tak miała wyglądać? To była cena, którą przyjdzie ludziom zapłacić? Nam wszystkim, pomyślał, idąc szybko aleją wysadzaną drzewami mango. Czy fakt, że coraz więcej osób potrafiło jeździć na motorowerach w kraju, w którym setki milionów codziennie musiało walczyć o przetrwanie, oznaczał postęp?

Najchętniej rzuciłby wszystko i wyjechał. Ale nie do domu. Podczas ostatniej rozmowy z Elise oboje czuli narastające niezadowolenie z małżeństwa i życia, które stawało się coraz bardziej jałowe. Czuł, że te rzeczy jakoś się ze sobą łączą, ale nie było dla niego do końca jasne jak.

Jego ucieczka ze szkółki roślin wydłużyła listę niepowodzeń. Zatrzymał się i zaczął się przyglądać grupie uczniów, którzy rozsiedli się na dużym trawniku. Dzieci były ubrane jednakowo: dziewczynki miały na sobie niebieskie sukienki, chłopcy niebieskie szorty i białe koszule z krótkimi rękawkami. Plecaki stały obok siebie. Jeden z nauczycieli próbował przyciągnąć uwagę dzieci, co udało mu się zadziwiająco szybko, mimo że gromadka była liczna.

Zwracał się do dzieci surowym głosem, upominał je. Wyglądał na niezadowolonego, był wyraźnie zły. Jan Svensk usiadł na ławce i przyglądał się dzieciom. Szeptaly między sobą, rozmawiały, przesuwały się niemal niezauważalnie. Dokuczały sobie nawzajem, z pozoru w ogóle nie przejmując się nauczycielem. Nawet gdy je beształ, czy szturchał lekko w plecy czy w głowę, nie dawały niczego po sobie poznać. Dalej robiły swoje. Okazywały co prawda posłuszeństwo, ale w sposób, który pozwalał im zachować wolność. Prowadziły własne życie,

niedostępne dla zmęczonego i coraz bardziej poirytowanego nauczyciela. Był potężny, miał kijek, i był bezradny.

Nagle grupa dzieci odeszła na bok, żeby napełnić butelki wodą z kranu. Nauczyciel pobiegł, żeby je zawrócić i w tym momencie wśród pozostałych dzieci zrobiło się zamieszanie. Nauczyciel zawahał się, ale jednak podszedł do kranu, gdzie niektóre dzieci zdążyły już napełnić butelki wodą. Zbeształ je, a w tym czasie inne dzieci spokojnie dalej napełniały butelki. Nauczyciel uderzył jakieś dziecko po rękach, inne pociągnął za włosy, większości jednak udało się uniknąć reprimendy.

Svensk przyglądał się scenie rozbawiony. Nauczyciel posłał mu niezadowolone spojrzenie. Svensk odwdzięczył się uśmiechem. Spontaniczna radość dzieci i ich anarchistyczne zachowanie sprawiły, że na chwilę zapomniał o zaginionym radnym. Przypomniawszy sobie o nim dopiero, kiedy zobaczył ogrodnika pchającego taczkę załadowaną liśćmi i gałęziami.

Wstał z ławki i ruszył szybkim krokiem aleją prowadzącą do wyjścia.

Boże, jak bardzo starała się pozbyć wszystkiego, najpierw strachu i złości, a potem wszelkich wspomnień, tych różnych drobiazgów, skoroszytów, zdjęć, i na koniec – myśli. I wtedy zadzwonił Rune Svensk. Siedziała jak sparaliżowana ze słuchawką w ręku i spojrzeniem utkwionym w miejsce, gdzie żywoplot przechodził w niedbale pomalowany płot, na granicy z działką Svensków. Dwanaście lat usiłowań, by zbudować własne życie, runęło w ciągu jednej chwili. Początkowo mu nie uwierzyła, potem zezłościła się, że zadzwonił, zamiast przyjść do niej osobiście, a potem nastąpił paraliż.

Wiedziała, że Jan Svensk się nie pomylił, tam w Indiach. Sven-Arne żył.

Z upływem lat wspomnienia stawały się coraz radsze, czasem jakiś zapach czy charakterystyczny zwrot sprawiały, że sobie o nim przypominała, ale nie było to już tak obezwładniające jak kiedyś, na początku.

Gdyby na przykład zmarł na zawał, mogłaby pogрузić się w żałobie i opowiadać o nim jak wdowa, przyjmować kondolencje, wspominać, a potem powoli, ale zdecydowanie wrócić do swojego życia.

Ale on zapadł się pod ziemię. To było dla niego typowe: wielkie słowa o solidarności, a kiedy przychodziło co do czego, okazywało się, że był zwykłym gadem, egoistą, który po prostu zniknął. W ten sposób i tym razem ostatnie słowo, jak zwykle, należało do niego. Wszystko pozostało niedokończone, nie mogła po prostu zamknąć książki i iść dalej. Niepewność i rozmyślanie, które co jakiś czas powracały, ostatnio, gdy minęło dziesięć lat od jego zniknięcia, sprawiały, że nigdy nie postawiła kropki.

Nigdy nie uwierzyła, że mógł popełnić samobójstwo. Był zbyt dużym tchórzem. Bardziej prawdopodobne było, że chodziło o kobietę, nie chciała używać słowa: kochanka, dla której zostawił wszystko: rodzinę, karierę i politykę.

W pierwszym okresie miała ochotę stanąć na rynku, na Stora Torget, stawić się na zebraniu radnych czy iść do ratusza i tam wykrzyzczyć swoją złość. Ale naprawdę dzieliła się uczuciami jedynie z Anną-Stiną, przyjaciółką z okresu, gdy obie były nastolatkami.

Po roku jej złość nieco już wybrzmiała. Pogodziła się ze swoim zaginionym mężem. Fakt, że go nie było, sprawił, że stała się bardziej ugodowa.

Finansowo było jej trudniej, ale tym się nie przejmowała. Nigdy nie żyła rozrzutnie i bez problemu mogła się przystosować do skromniejszych środków. Uczucie zawodu zamieniło się w ulgę. Mogła sama o sobie decydować, nie musiała wysłuchiwać jego monologów przy śniadaniu i tolerować jego „papierów” porzucanych po całym domu. Już po kilku dniach spaliła je w kominku.

Teraz wręcz nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby znów się tu wprowadzić. Nie chciała myśleć o nim jak o kimś, kto żyje. Gdyby, wbrew jej przewidywaniom, zechciał wrócić do Uppsali, natychmiast wystąpiłaby o rozwód.

Ale był ktoś, kto by się ucieszył. Stryj Ante. Elsa nigdy nie rozumiała łączącej ich dziwnej miłości wymieszanej z nienawiścią. Niemal zawsze się kłócili, niekiedy o drobiazgi, ale głównie o politykę. A mimo to Ante był jedynym członkiem rodziny, z którym Sven-Arne przez wszystkie te lata utrzymywał bliski kontakt.

Przez pewien okres podejrzewała, że Ante i Sven-Arne działali razem, że stryj był wtajemniczony w zniknięcie jej męża. Zaprzeczał temu, ale Elsa nigdy nie była do końca pewna. Jeśli Sven-Arne komuś się zwierzył, to właśnie stryjowi.

Ante mieszkał teraz w domu opieki, niemal się samodzielnie nie poruszał, jedną nogę miał amputowaną pod kolanem.

Jego życie wypełnione było ciężką pracą, w polu i w lesie, potem przez lata pracował jako hydraulik, a na koniec był woźnym w szkole. To zajęcie nie było tak wyczerpujące fizycznie, ale jednak dość dokuczliwe, zważywszy jego charakter. Uczniowie denerwowali go, traktowali ich jak chuliganów. W 1980 roku przeszedł wreszcie na emeryturę.

Psychiczne inwalidztwo go nie złamało. Narzekał rzadko, właściwie chyba nigdy, chociaż bolały go stawy i często miewał zawroty głowy. Zyskał sobie tym uznanie Elsy. Za to tym częściej wyrzekał na społeczeństwo, na gospodarkę i na rekinów finansowych. Przez siedemdziesiąt pięć lat był komunistą i nadal nim pozostał: niewzruszenie lojalny wobec ideologii. Elsa domyślała się, że właśnie to tak fascynowało Svena-Arniego, ale jednocześnie też go irytowało.

Wstała z krzesła, poszła do kuchni, gdzie zaraz znów usiadła. Siedziała, patrząc na ogród, rozmyślając o mężu, którego kiedyś tak bardzo kochała. Wtedy, czterdzieści lat temu, kiedy pracował jako hydraulik – z perspektywy czasu wydało jej się to niezwykle uczciwym zajęciem – wracał do ich niewielkiego mieszkanca w Petterslund, brudny, ciągnący za sobą przeróżne wonie: potu, oparów spawania, ostry zapach żelaza i czegoś organicznego, czego nie potrafiła zidentyfikować. Taki wtedy był, po prostu.

Siadał w kuchni, kładł ręce na stole, zawsze w szramach, opalone, zapalał papierosa, w piątek wypijał piwo, i opowiadał o wydarzeniach dnia. Rzadko było to coś szczególnego.

Sven-Arne Persson nie był potężnym mężczyzną, ale w jego opowieściach była siła i rodzaj gnuśnego zmęczenia, które zawsze dopadało go jakąś godzinę po zakończeniu pracy. Nigdy się nie przechwalał, ale Elsa wyraźnie wyczuwała kielkujące poczucie własnej wartości.

Ona, która właśnie zaczęła naukę w Wyższej Szkole Pedagogicznej, córka dwójki nauczycieli, dała się uwieść jego zapachowi. Jego świat, ukryty przed nią, miał w sobie coś podniecającego. Poznawała go dzięki niemu, opowiadał jej o wydarzeniach na budowie, a ona przeżywała to tak silnie, że do końca życia będzie pamiętała zapach, jaki rozsiewał wokół siebie ten młody, pełen optymizmu hydraulik. Oczarował ją swoją fizycznością. Jesteś moim mężczyzną, myślała często. Wkladała w te słowa tyle miłości, że nawet kiedy zapachy już zniknęły, a opaleniznę na jego nadgarstkach skryły mankiety koszuli, uczucie pozostało.

Przy kuchennym stole Sven-Arne opowiadał jej zazwyczaj o sprawach związku i o polityce, początkowo nonszalancko, nieco od niechcienia, ale z czasem, gdy zyskał więcej wiedzy i doświadczenia, coraz pewniej i dokładniej.

Nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, jaki to miało na nią wpływ. Tak przynajmniej sądziła wtedy, czterdzieści lat temu. Znacznie później, kiedy jako polityk zaczął kokietować swoim doświadczeniem z placów budowy i swoim robotniczym pochodzeniem, przyszło jej na myśl, że zawsze był świadom swojej pozycji, i w społeczeństwie, i w ich związku. Był to rodzaj samowystarczalnej dumy klasowej. I pewnie w jakiś sposób przeczuwał, że właśnie to ją w nim pociągało. Jednocześnie wykluczał ją ze swojego świata, ją, nauczycielską córkę. Miał swoje zakotwiczenie w historii, w rzemiośle, które wykonywał, i w języku, którego używał.

Podejrzewała, że jej wykształcenie i przyszła praca nauczycielki dodawały jej atrakcyjności w jego oczach, ale też go nieco przerażały. Nikt z jego kolegów z pracy nie miał żony z wyższym wykształceniem.

Przez wiele lat Elsie brakowało tego wszystkiego, cichych rozmów w kuchni, woni potu i dymu, chociaż wiedziała, że to już przeszłość. Czasem, szczególnie gdy trochę za dużo wypił, dawne słowa i zwroty wracały. Wtedy zaczynał się śmiać, odkładał na chwilę maskę polityka, którą tak starannie wymodelował. Obejmował ją i przyciągał do siebie, nieco niezdarnie, ale zdecydowanie. Lubiała to, ale też nieco się wstydziła: jego pożądaną i swojej słabości. W końcu odsuwała go od siebie, brzydząc się swoim dwulicowym mężem.

Elsa zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do domu opieki i poinformować Antego, że Sven-Arne był widziany w Indiach, ale postanowiła odczekać jeszcze dzień i odwiedzić go osobiście. Może uda się go zaskoczyć i sprawić, że coś jej powie? Gdyby się okazało, że rzeczywiście był we wszystko wtajemniczony.

Przeklinał sam siebie. Jak mógł być tak głupi, żeby pojechać do ogrodu? Powinien był wyjechać. Wiedział, że Jan Svensk pochodzi z rodziny znanej z uporu.

Jedynie przypadek sprawił, że Svensk go nie dostrzegł. Sven-Arne widział, jak jego dawny sąsiad wchodzi do parku i schował się w niewielkim sklepiku na tyłach, gdzie siedział i czekał, aż Lester go spławi.

W końcu zobaczył, jak odchodzi, wyraźnie zły i poirytowany. Nie sprawiło mu to przyjemności. Przeciwnie, poczuł wyrzuty sumienia. Jan Svensk zapewne nie był złym człowiekiem, był po prostu ciekaw.

Lester natychmiast przyszedł do niego do sklepiku. Był rozbawiony, chociaż starał się tego nie okazywać.

– Poszedł już.

– Widziałem – odpowiedział Sven-Arne.

Z jednej strony był ciekaw, co Jan Svensk mówił, z drugiej nie chciał niczego wiedzieć.

– Wiesz, gdzie jest Harsha Hotel?

– Oczywiście. W Shivajinagar, niedaleko Russel Market.

– Tam możesz go znaleźć. Gdybyś coś do niego miał.

Lester roześmiał się, Sven-Arne nie bardzo wiedział, co go tak rozbawiło.

– Sven-Arne. Tak się nazywasz?

Lester wymówił jego imię tak zabawnie, że w pierwszej chwili w ogóle go nie zrozumiał.

– Nie. Nazywam się John Mailer. Jestem John Mailer. Co mógłbym do niego mieć?

– Nie wiem. Ale mówił, że w swoim kraju byłeś kiedyś kimś ważnym. Politykiem. Podejmowałeś ważne decyzje, trochę jak gubernator. Poczulem się zdezorientowany.

Kimś ważnym! Sven-Arne patrzył na przyjaciela. Po raz pierwszy od dwunastu lat nie był pewien jego intencji. Co chciał przez to powiedzieć?

– Nie byłem kimś ważnym. Byłem człowiekiem, jak wszyscy.

– Jesteś dziwny – powiedział Lester powoli. – Może ukrywasz jakąś straszną historię?

Nigdy wcześniej nie wygłaszał żadnych uwag pod jego adresem, nie dociekał jego przeszłości, nie pytał o powody przyjazdu do Indii, nie dziwił się, że najął się do prostej pracy w parku, nigdy nie wywierał na niego presji. Bo to był rodzaj presji. W jego słowach zabrzmiała krytyka.

– Może jesteś mordercą – ciągnął Lester niewzruszony.

Sven-Arne przyglądał mu się coraz bardziej zdziwiony.

– Dla mnie nie ma to znaczenia.

– Co ty powiedziałaś? Ja miałbym...

– Dla mnie nie ma znaczenia, kim jesteś!

Kilku pracowników sklepiku podniosło głowy.

– W Indiach wszyscy jesteśmy równi – ciągnął Lester, ściszej głoś. – W każdym razie wszyscy, którzy grzebią w ziemi. Nawet jeśli byłbyś gubernatorem, to nie ma to żadnego znaczenia. Tu nie ma służących. Wszyscy jesteśmy równi.

Sven-Arne odprężył się. Uśmiechnął się do przyjaciela, chwycił jego lewą rękę i uściśnął.

Poczuł jego żylaste mięśnie pod materiałem koszuli.

– Nie zamierzam natychmiast stąd wyjeżdżać – odezwał się nagle Sven-Arne. – Nie sądzę, żeby Szwed tu wrócił. Być może to trochę potrwa, zanim pojedzie do Szwecji i opowie wszystkim o naszym spotkaniu. Może uda się na policję, może moja... To nie ma znaczenia. Zostanę tu jeszcze kilka dni i zobaczymy.

– Nie możesz porozmawiać ze swoim dawnym sąsiadem? Może przekonasz go do milczenia?

Sven-Arne wiedział, że Lester wystawia go na próbę. Gdyby popełnił jakiś „straszny czyn” w swoim kraju, szansa, że Jan Svensk nikomu o niczym nie powie, była minimalna.

– Na pewno powie o tym rodzinie, a oni powtórzą to innym.

– Nawet jeśli go poprosisz?

Sven-Arne roześmiał się.

– Wracamy do pracy? – spytał.

Nagle poczuł wielką radość. Chciał się zmęczyć, grzebać w ziemi, pielić, podlewać, przynosić doniczki, byle tylko nie myśleć o Szwecji i swoim dawnym życiu, i groźbie, że zostanie zdemaskowany. Ostatnia doba wprawiała go w oszołomienie. Nie był w stanie trzeźwo myśleć. Jednak rozmowa z Lesterem pozwoliła mu odzyskać równowagę. Może niepotrzebnie się niepokoił? Nawet jeśli Jan Svensk po powrocie do Szwecji zacznie się chwalić swoim „odkryciem”, to kto mu uwierzy? Szwedzki radny pracownikiem najemnym w ogrodzie botanicznym w Indiach? Kto chciałby zadać sobie trud, żeby przyjechać tu i sprawdzić to na miejscu?

Sven-Arne Persson uznał, że Jan Svensk nie będzie mu już zakłócał spokoju. Upokorzenie, które czuł, opuszczając Lal Bagh, nie wywołało u niego potrzeby zemsty, przeciwnie: będzie chciał jak najszybciej o wszystkim zapomnieć. Sven-Arne wmówił sobie, że może uznać sprawę za zakończoną.

Dwa dni później Jan Svensk znów stanął przed wejściem do szkółki roślin ogrodu botanicznego. Był jednym z pierwszych, którzy tego ranka kupili bilety wstępu do parku. Tym razem zażądał wydania reszty. Skinął głową mężczyźnie na wózku inwalidzkim i minął go bez słowa.

Szedł szybko, zdecydowanym krokiem, inaczej niż poprzednim razem. Dotarł do głównej bramy, powiódł wzrokiem niczym radar po bocznych alejkach, i obok szopy, z której poprzednio Lester wyjął siekierę, i zobaczył Svena-Arnego, siedzącego na niskim trójnożnym stolku. Ostrzył piłę. Przesunął pilnikiem po jej zębach, uniósł ją, sprawdził palcem, czy jest dostatecznie ostra, po czym wrócił do pracy.

Jego długie, chude plecy były zgięte, włosy miał przerzedzone, siwe, sterczące na boki. Przez dziurę w spłowielej koszuli prześwitywały gołe plecy.

Jan Svensk dawno już nie widział, żeby ktoś ostrzył piłę, być może kiedyś w młodości, u wuja, brata matki, który słynął na całe Järlåsa ze swoich misternie poukładanych stert drewna. Nagle poczuł się niezręcznie, nie chciał przeszkadzać mu w pracy. Ale szedł dalej, wsłuchany w mechaniczny, regularny dźwięk pilnika.

– Witaj, Sven-Arne!

Ostrzenie ustało, mężczyzna zastygł, ale nie odwrócił się.

– Przychodzę z pozdrowieniami – ciągnął Jan Svensk niezrażony.

Sven-Arne przekręcił głowę. Spojrzenie, jakie posłał Svenskowi, było pełne nienawiści. Nie lęku, tylko czystego obrzydzenia, jakby gość przyniósł ze sobą coś cuchnącego, co zostawił na niewielkim placyku przed szopą.

– Poznajesz mnie? Mieszkaliśmy po sąsiedzku. Ja...

Zamilkł, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

Radny odłożył pilnik.

– Najlepiej będzie, jak sobie pójdiesz. To nie jest dobry pomysł, żebyś się tu pokazywał.

Jan Svensk się rozejrzał.

– O co ci chodzi?

– Idź. Mam tu przyjaciół. A ty nie masz tu nic do roboty, chyba że szukasz pracy. Chcesz grzebać się w ziemi? Potrafisz to robić? Osiem godzin dziennie w trzydziestostopniowym upale. Niemal za darmo. Czy ty w ogóle...

Nagle wściekły rzucił piłę.

– Nie przychodź tu z tymi swoimi pytaniami i całym tym gównem!

– Dlaczego mnie tak nienawidzisz? Nie chcę cię skrzywdzić, nie rozumiesz tego?

Przychodzę przekazać ci pozdrowienia.

– Nie chcę żadnych pozdrowień! Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju. Teraz ty spróbuj to zrozumieć!

Sven-Arne wstał, wyciągnął prawą dłoń i wskazał nią na gościa. Jan Svensk zauważył bliźnę, ciągnącą się od dłoni do przedramienia.

– Od twojej żony, Elsy.

Mężczyzna opuścił dłoń, stał i wpatrywał się w intruza.

– Od Elsy... – powtórzył.

Jan Svensk skinął głową. Szok, jaki wywołał, zadowalał w jakiś sposób jego potrzebę zemsty. Niestety wiadomości, które przynosił, nie były radosne.

– Wpadła pod samochód, jest nieprzytomna.

– Więc jak może przekazywać mi pozdrowienia? – zachnął się Sven-Arne.

– Przeszła operację, z której jeszcze się nie wybudziła. Ale wcześniej mówiła.

– Mówiła?

Byłemu radnemu trudno było wyobrazić sobie żonę „mówiącą”, jakby miała stać na podium i przemawiać.

– Oczywiście twoi rodzice się wygadali?

Svensk znów skinął głową. Jego matka spotkała Elsę przypadkowo na ulicy, przy której obie mieszkały. Ta zwykle zadbana i zrównoważona kobieta wyglądała strasznie, włosy miała w nieładzie, rysy twarzy zmienione, w jej oczach była wściekłość. Margareta Svensk spytała, czy coś się stało? Początkowo Elsa Persson stała i wpatrywała się w sąsiadkę, jakby nie tylko jej nie rozumiała, ale nawet nie rozpoznawała. A potem się rozplakała.

Margareta otworzyła furtkę i niemal siłą wepchnęła Elsę do domu, zdjęła z niej płaszcz i zmusiła, żeby usiadła przy stole w kuchni. Elsa usiadła, patrzyła przed siebie wzrokiem katatonika, mamrotała coś pod nosem, płakała i rzucała przekleństwami.

– Co chciała mi przekazać?

– Według mojej matki, Elsa odwiedziła twojego stryja, Antego – powiedział Jan Svensk spokojnie, niewzruszony podnieconym tonem rozmówcy.

Sven-Arne patrzył na niego, jakby go nie rozumiał.

– Ma pewnie ze sto lat – ciągnął dalej Svensk. – Pamiętam go z dzieciństwa, już wtedy był stary.

– Przejdź do rzeczy, gnoju.

Sven-Arne wyraźnie rozkoszował się słowami. Po raz pierwszy od dwunastu lat rozmawiał z kimś po szwedzku.

– Wizyta bardzo ją wzburzyła. Kiedy wróciła do domu, wyglądała jak zombie. Mamie ledwie udało się coś z niej wydusić. Kiedy trochę się uspokoiła, wróciła do siebie, do domu. Godzinę później moja matka zobaczyła, jak znów wychodzi. A potem zjawiała się policja. Według świadków wyszła na jezdnię na obwodnicy Luthagsleden. Na czerwonym świetle. Prosto pod ciężarówkę.

Sven-Arne osunął się na stołek.

– Co ją tak wzburzyło? Dzień wcześniej moja matka powiedziała jej, że widziałem cię tu, w Bangalurze. Przyjęła to bardzo spokojnie. Żadnej gwałtownej reakcji. „Ach tak”, powiedziała po prostu. Żadnych pytań, niczego. A potem odwiedziła Antego i nagle zawałił jej się świat. Ante powiedział, że pisze wspomnienia, w których wszystko wyjawi. Co miał na myśli? Mama nic z tego nie rozumiała. A ty?

Sven-Arne nie odpowiedział. Po długiej chwili milczenia Svensk usiadł naprzeciwko niego.

– Co ty tu robisz? Dlaczego zniknąłeś?

Mężczyzna podniósł głowę, spojrział na niego.

– Bo jestem zdrajcą – powiedział w końcu.

– Co, a może kogo zdradziłeś? Żonę?

Były radny zachnął się. Miał przed oczyma swojego stryja. Życie starca ciągle miało na niego wpływ. Ma „ze sto lat”. Tak, za dziesięć lat skończy sto. Na pewno tego dożyje. Co powiedział Else?

– Jak wyjechałeś z kraju?

– Samolotem, oczywiście.

– Twój paszport został w domu.

– Są inne sposoby – powiedział Sven-Arne. – Byłem kuratorem. Przez blisko dwadzieścia lat. Zajmowałem się chłopakami, którym w życiu powinęła się noga. Niektórych poznałem bardzo dobrze, z częścią wręcz się zaprzyjaźniłem. Sporo się od nich nauczyłem.

Mówił powoli, jakby chciał, żeby każde słowo dotarło do Jana. Był wyraźnie dumny z tego, że udało mu się wszystkim oszukać i rozpląnąć w powietrzu. Często się zastanawiał, czy zostawił za sobą jakieś ślady, teraz zrozumiał, że jego zniknięcie nadal pozostawało zagadką.

– Byłem też opiekunem nieletnich – odezwał się znów. – John Lundberg mnie zrekrutował. Takich polityków już dzisiaj nie ma. W tym wypadku można mówić o zdradzie.

– Co masz na myśli?

Sven-Arne pokręcił głową. Właściwie nie miał ochoty rozmawiać o polityce, a już na pewno nie o ruchu, którego był członkiem prawie czterdzieści lat, kiedy to jako czternastolatek wstąpił do młodzieżówki socjaldemokratycznej w Svartbäcken. A jednak dał się wciągnąć w rozmowę. Może dlatego, że po raz pierwszy od dwunastu lat miał publiczność i stara retoryka powróciła, jak wspomnienie z przeszłości.

– Jeśli spojrzeć na partię, tę partię, do której ja należałem, jak na ciało, żywy organizm, to było ono powoli zatruwane. Stopniowo pojawiały się zmiany chorobowe, z każdym pokoleniem nowe. Kolejne ułomności.

– Byłeś częścią tego ciała – przerwał mu Svensk. – Byłeś kimś. Ważną postacią wśród socjaldemokratów.

– Wiem. Ale wstałem i wyszedłem.

– I wylądowałeś tutaj?

Polityk, który został ogrodnikiem, pokiwał głową i uśmiechnął się krzywo.

– Tak, tutaj – powtórzył. – W samym środku świata. Bo ten zasrany ogród jest właśnie pępkiem świata. Dla Lestera i wszystkich innych, którzy tu pracują. Stąd patrzymy na świat i muszę ci powiedzieć, że z tej perspektywy wygląda on zdecydowanie inaczej, niż gdy ogląda się go z ratusza w Uppsali.

– Dlaczego akurat Bangalur?

– Są gorsze miejsca. Tutaj przynajmniej robię coś pożytecznego. Drzewa, które sadzę, przeżyją i ciebie, i mnie.

– To rodzaj pokuty? Twój przyjazd tutaj? Za grzechy popełnione w Szwecji, kraju bogaczy?

Sven-Arne roześmiał się.

– Widziałeś coś z Indii poza twoim klimatyzowanym biurem?

– Niewiele – przyznał Jan Svensk. – Zawiodłeś tych, którzy w ciebie wierzyli. Byłeś popularny, ludzie cię lubili. Pamiętam, jak ojciec powtarzał: gdyby nie Sven-Arne...

– Bzdura – przerwał mu mężczyzna, wstając ze stołka. – Nic nie rozumiesz! Pewnie jesteś jednym z tych komputerowych świrów, którzy przyjeżdżają tu i niszczą kraj. Co ty wiesz

o cierpieniu?

– Więc mi powiedz! Nie jestem aż tak głupi, jak ci się wydaje. A jeśli wierzysz, że komputery i Internet zniszczą Indie, to niewiele rozumiesz z dzisiejszego świata. Chodzisz tu i sadzisz drzewa, w porządku, ale jest też inny świat. Ludzie chcą się spotykać nie tylko w parkach, ale i w cyberprzestrzeni. Kiedy byłem tu poprzednim razem, widziałem bawiącą się w parku klasę szkolną. Myślisz, że te dzieci będą chciały grzebać się w ziemi, kiedy dorosną?

Sven-Arne odwrócił się na pięcie i odszedł, zawahał się chwilę, jakby nie był do końca pewien, czy naprawdę chce zostawić swojego krajana, ale zaraz przyspieszył kroku i wybiegł z parku.

Lester razem z innymi znajomymi obserwowali go, ale nie zrobili nic, żeby go zatrzymać. Nie wiedzieli, że po raz ostatni widzą człowieka, którego znali jako Johna Mailera.

Szli przez las. Bosse Marksson opowiedział jej, jak pierwotni właściciele tych terenów, starsze bezdzietne małżeństwo, podzielili majątek na pół tuzina działek, a potem, dziesięć lat temu, sprzedali resztę ziemi emerytowanemu dyrektorowi generalnemu.

– To było niewielkie gospodarstwo, jak większość w okolicy. Biedny, ale wolny, tak tu mówimy.

Dotarli do brzegu, rozejrzeli się. Słońce odbijało się w wodzie, promienie drgały na powierzchni przy najmniejszym podmuchu wiatru.

– Widzisz tę zagrodę dla owiec?

Ann Lindell skinęła głową.

– Nowy właściciel, Generał, jak go ludzie nazywają, kupił cztery owce i postawił ogrodzenie, nie pozwolił ludziom korzystać z ich dawnych pomostów. Postawił tablicę z napisem „Teren prywatny”. Zdarzyło się nawet, że płot podzielił na pół zarośniętą bzem altankę. Dawniej ludzie nie zwracali takiej uwagi na granice działek, kilka metrów w tę stronę czy w tamtą, ale Generał to zmienił. Stolik do kawy przedzielił murem berlińskim.

– Naprawdę był dyrektorem generalnym?

– Tego nikt nie wie.

Przeszli jeszcze kawałek. Nagle Marksson zatrzymał się.

– To było tutaj – powiedział, wskazując ręką na miejsce na brzegu. – Zresztą widziałas zdjęcia.

Stali chwilę. Wskazany kawałek wybrzeża niczym się nie wyróżniał, jak wszędzie było tu trochę kamieni, głównie otoczków wyszlifowanych przez wodę, kilka krzaków jałowca i kępek brązowożółtej trawy. Kilka metrów od linii brzegu rosła potężna sosna, chropowaty pień miał u podstawy dobre siedemdziesiąt centymetrów średnicy, gałęzie na szczycie były w połowie uschnięte.

– Przeszukaliście...

– Tak, przeszukaliśmy cały las aż do szutrowej drogi, kilometr w każdą stronę, szczególnie dokładnie odcinek od południa. I niczego nie znaleźliśmy, w każdym razie żadnej pasującej prawej stopy.

– Dlaczego przede wszystkim odcinek południowy?

– Tak jak napisałem w raporcie, podejrzewam, że to lis przywłókł tu stopę, a przez ogrodzenie od północy nie mógłby się przedostać. Kilka dni temu spadł śnieg, sam widziałem ślady lisa niedaleko stąd.

– Więc sądzisz, że przyszedł z południa? Jeśli to rzeczywiście był lis.

Marksson skinął głową.

– Napisałeś w raporcie, że jest tu trzydzieści osiem domów. W promieniu kilometra. Rozumiem, że byliście we wszystkich?

– Tak, przeszukaliśmy nawet nieco większy teren. Aż do Näsvisken, a potem wzdłuż drogi do Almbäck.

Nazwy miejscowości nic jej nie mówiły, ale była przekonana, że koledzy rzeczywiście wykonali kawał dobrej roboty. Spojrzała na fiord, który tak naprawdę był zatoką wdzierającą

się w głąb lądu. Jakieś osiemset metrów dalej, po drugiej stronie wody, ciągnął się porośnięty lasem długi cypel, połączony z lądem stałym wąskim językiem ziemi. Na południe było otwarte morze. Z kominów domów na cyplu unosił się dym. Gdzieś w głębi widać było jeszcze kilka budynków, poza tym linia brzegu była niezabudowana. Ann już wcześniej zdziwiła się, że tak duże tereny pozostawały nietknięte, mimo że wybrzeże było łakomym kąskiem dla mieszkańców Uppsali i Sztokholmu, którzy chętnie budowali tu swoje domy letniskowe. W tym przypadku zapisy mające chronić linię brzegową przed zabudowaniem zdawały się spełniać swoje zadanie.

– To teren chroniony? – spytała, zataczając ręką koło.

– Tak, od północy i od wschodu Bultudden pełni funkcję falochronu – powiedział Marksson po chwili milczenia.

Przyzwyczała się już do głosu kolegi. Rzeczywiście był „sympatycznym gościem”, jak to określił Ottosson. Niezbyt wylewny, ale kontaktowy i otwarty. Lindell zrobiło się wstyd swoich uprzedzeń. Założyła, że policjant w odległym zakątku kraju musiał być nieco tępy i niechętnie nastawiony do koleżanki po fachu z dużego miasta.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytał Marksson. – Masz większe doświadczenie – dodał, jakby usprawiedliwiając swoją wspaniałomyślność.

– Nie wiem. Świetnie się spisaliście, ale w przedstawionym materiale nie ma niczego, co by...

– Jest coś, co wydaje się dość ciekawe – przerwał jej Marksson. – Niespełna tydzień temu pojawił się tu samochód, minął dom Generała, by wrócić pół godziny później. Jego żona ma nad wszystkim pełną kontrolę.

– Nie rozpoznała samochodu?

– Nie, nie potrafiła nawet powiedzieć, co to była za marka. Wie tylko, że był raczej niewielki i czerwony.

– Jest w czym wybierać – skwitowała Ann.

– O tej porze roku większość domów letniskowych jest już zamknięta. Niektórzy przyjeżdżają jeszcze na weekendy, ale na ogół panuje spokój.

– Ale są też tacy, którzy mieszkają tu na stałe, prawda?

– Jest tu czworo stałych mieszkańców, nikt nie zauważył czerwonego samochodu, nikt też nie przyjmował gości. Tak przynajmniej twierdzą.

– Na grzybiarzy już chyba za późno – powiedziała Ann bardziej do siebie niż do kolegi. – Czy to sezon polowań? – spytała głośniejszym głosem.

– Nie – uśmiechnął się Marksson. – Jeśli ktoś poluje, to nielegalnie.

– Myślisz, że to stopa jakiegoś cudzoziemca?

– Cudzoziemca jak cudzoziemca...

Ann uśmiechnęła się pod nosem. W trakcie rozmowy telefonicznej Marksson wspominał coś o Czarnych Stopach, i o tym że stopa wyglądała na „podpalaną”.

– Rozmiar trzydzieści pięć – ciągnęła Ann. – Może to stopa dziecka albo nastolatka?

– Nie sądzę. Wygląda na „używaną”, jeśli można tak powiedzieć. Sprawdziliśmy wszystkie zgłoszenia o zaginionych osobach z kilku ostatnich lat. Nie znaleźliśmy nikogo, kto by pasował.

– Może wypłynęła na brzeg?

– Może, ale lekarz był odmiennego zdania. Osobiście obstawiam lisa. Tym bardziej że były

na niej ślady wyglądające na ślady zębów. Z taką stopą w zębach lis może przebyć kawał drogi.

Rozmowa się urwała. Wiatr od morza wzmógł się nieco, ale nadal można było odnieść wrażenie, że stali nad brzegiem morza w letni dzień. Wystarczyło unieść nieco głowę i patrzeć na morze tak, by nie było widać plam śniegu leżącego w zacienionych partiach lasu.

Ann zamknęła oczy i pozwoliła, by promienie słońca grzały jej twarz. Domyślała się, że Marksson się jej przygląda, ale postanowiła się tym nie przejmować. Po raz pierwszy od długiego czasu miała wokół siebie idealną ciszę. Uderzenia fal o brzeg i pojedyncze krzyki mew tylko ją podkreślały.

Bóg jeden wie, jak długo mogłaby tak stać, gdyby jej kolega dyskretnie nie zakasłał.

– Można zatęsknić do takiego miejsca – powiedział.

Uśmiechnęła się do niego i pokiwała głową, zadowolona, że nie wspomniał o Edvardzie, mimo że ptasi szlak znajdował się niedaleko stąd, ale jednak dał jej do zrozumienia, że wie, jakie myśli kłębią się jej w głowie.

Wrócili do wozu, idąc wydeptaną przez zwierzęta ścieżką, która wiała się przez rzadki las liściasty. Marksson szedł przodem. Śledziła go wzrokiem, patrzyła na jego plecy, ramiona. Idąc, podniosła kilka szyszek. Powąchała je, trzymała chwilę w dłoni, zanim zdecydowanym ruchem wyrzuciła w krzaki, nagle bliska płaczu. Nie z powodu kobiety, która w gwałtowny sposób straciła lewą stopę i prawdopodobnie już nie żyła, tylko dlatego, że takimi ścieżkami wędrowała wielokrotnie wcześniej.

Dotarli do Östhammar, wypili kawę na posterunku. Marksson przyznał sam z siebie, że utknęli w martwym punkcie. Zrozumiała to już dzień wcześniej po przeczytaniu jego raportu. Odniosła wówczas wrażenie, że kolega po prostu się poddał, jakby nie miał siły dalej szukać właścicielki stopy. Chociaż oczywiście nigdy tego nie powiedział i zapewne nigdy się do tego nie przyzna. Po sprawdzeniu różnych możliwości, przeanalizowaniu wszelkich za i przeciw, łatwo było uznać, że zabrnęło się w ślepą uliczkę. Zaczynało się wątpić we własne umiejętności. Do tego dochodziła złość, że inni też nie potrafią wnieść niczego nowego. Marnowało się czas, podczas gdy kolejne sprawy piętrzyły się na biurku.

Znała to z własnego doświadczenia. Jej obecność tu miała być świeżym powiewem, który pozwoli im znów ruszyć z miejsca.

Kończyli właśnie drugą filiżankę kawy. Do tej pory rozmawiali wyłącznie o rzeczach ogólnych.

– Muszę wracać do Uppsali, ale cieszę się, że zobaczyłam to miejsce – stwierdziła Ann. – Przemyślę wszystko, ale jak już powiedziałam, zrobiliście kawał...

– Nie dość dobrej roboty – wszedł jej w słowo Marksson. – Gdyby było inaczej, dochodzenie byłoby już zakończone.

– To nie takie proste, jeśli ma się tylko jedną stopę – powiedziała Ann.

Jej kolega się roześmiał.

– Słyszałem, że masz synka – rzucił.

Ann skinęła głową i odsunęła filiżankę po kawie.

– Dlatego podróże są dla mnie uciążliwe. Nie wykluczam, że sprawę przejmie kolega. Będziesz musiał powtórzyć spacer.

Marksson wzruszył ramionami.

– Trochę spaceru jeszcze nikomu nie zaszkodziło – stwierdził.

Spojrzała na niego zdziwiona. Typowy gliniarz, pomyślała, ale uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła jego niewinną minę.

„Eriki Ann Lindell” było napisane na tabliczce na drzwiach do mieszkania. Obok wetknięto karteczkę z tekstem: „Dziękujemy za reklamy, informacje społeczne mile widziane”.

Poprosiła dozorcę o umieszczenie obu imion. Może, by stworzyć wrażenie, że lokatorami niewielkiego, trzypokojowego mieszkania była para, i imię mężczyzny, nawet jeśli ten mężczyzna był przedszkolakiem, znalazło się na pierwszym miejscu.

Literki koloru kości słoniowej przekrzywiły się. Drugie „L” w nazwisku wyglądało jak lekko wygięty fallus, albo jak noga, pragnąca opuścić tabliczkę na drzwiach, gotowa do wymarszu.

Jedna z sąsiadek spytała kiedyś Ann, czy pochodzi z Jönköping. Ann wytłumaczyła jej, że dorastała we wschodniej Gocji.

– Miałam na myśli wagi – powiedziała sąsiadka. – Wie pani, o czym mówię?

Ann mnie miała pojęcia, ale sąsiadka była nieco dziwna, jak twierdził Sund, inny jej sąsiad. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, o czym mówiła kobieta. Weszła kiedyś do sklepu z antykami, skuszona ustawionymi na wystawie szklankami. I tam, gdzieś w głębi, stała stara waga, wyprodukowana przez firmę Lindell z Jönköping.

Stuknęła w szkło tabliczki. „L” upadło do przodu, „A” podskoczyło i pochyliło się nieco w lewo.

– Dlaczego tak robisz? – spytał Erik.

Synek ostatnio zadawał jej dużo pytań, właściwie bez przerwy ją o coś pytał.

– Nie wiem – odpowiedziała.

Zadowolił się odpowiedzią i sam też uderzył w szkło. Drugie „L” poszło w ślady pierwszego i też upadło, ale „A” powróciło do swojej pierwotnej pozycji.

Ann roześmiała się. Zachęcony jej reakcją Erik jeszcze raz uderzył palcem w tabliczkę. I przewrócił literkę „E”.

– rik – przeczytał na tablicy.

Chłopiec jeszcze nie chodził do szkoły, ale już dobrze czytał. Znał wszystkie litery, radził sobie nawet z trudnymi wyrazami. Prostsze nie sprawiały mu żadnych problemów.

– Jesteśmy bogaci*? – spytał.

Ann pokręciła głową, wyjęła klucze i otworzyła drzwi.

– Nie, ale nie jesteśmy też biedni.

Postanowiła porozmawiać z gospodarzem domu. Nawet jeśli u niej w mieszkaniu panował lekki bałagan, to niech przynajmniej tabliczka na drzwiach wygląda porządnie.

Erik natychmiast zniknął w swoim pokoju. Na podłodze leżały małe plastikowe ludziki, poukładane w długie rzędy według jakiegoś skomplikowanego systemu, który, mimo wielokrotnych tłumaczeń synka, pozostawał dla niej tajemnicą.

Ann rozpakowywała torby z Konsumu, ale jej myśli zajmowała stopa. Została odcięta, to już ustalono. „Piłą o dużych zębach. Mogła to być piła spalinowa albo klinga”, napisał lekarz sądowy w swoim raporcie. Na stopie były ślady oleju roślinnego.

Pomyślała, że dotąd zajmowała się głównie tym, do kogo stopa należała, zamiast się

zastanowić, kto mógłby być sprawcą. Kto decyduje się odpilować stopę? I dlaczego? Szaleniec? Odtracony mężczyzna?

Spojrzała na mapę Östhammar i pobliskich szkierów. Znalazła Bultudden i miejscowości, o których wspominał Marksson. Zwróciła uwagę, że miejscowa policja działała na sporym terenie.

Powiedzmy, że mieszka tam około tysiąca osób, do tego dochodzą mieszkańcy samego Östhammar i letnicy. Któryś z nich był na tyle szalony, że wziął piłę i pokawałkował ciało kobiety, która nosiła buty w rozmiarze trzydzieści pięć. Ann była bowiem przekonana, że kobieta została poćwiartowana, tak by sprawca łatwiej mógł się pozbyć ciała. Niewykluczone też, że morderca chciał nawet po śmierci upokorzyć ofiarę w pewnego rodzaju rytualnym akcie, jakby samo morderstwo mu nie wystarczało.

Ann odsunęła zakupy, usiadła przy stole i jeszcze raz powiodła wzrokiem po mapie. Dziwne było to, że nikt w ostatnich dwóch tygodniach, jakie upłynęły od znalezienia stopy, nie zgłosił żadnego zaginięcia.

Powiodła palcem po mapie. Podążała krętymi, wąskimi drogami, skręcała przy gospodarstwach, zatrzymywała się na skrzyżowaniach, czasem zawracała i wybierała inną drogę, próbując wyobrazić sobie szaleńca prowadzącego samochód, Desperacko, niedbale – skoro zgubił jedną stopę. Człowieka zimnego i wyrachowanego, przewożącego w bagażniku poćwiartowane ciało kobiety. Być może samochód był czerwony.

– Mamo, jestem głodny!

Erik zaszedł ją od tyłu, a ona nawet go nie zauważyła.

– Tak, oczywiście – powiedziała, odkładając mapę. – Już robię ci jedzenie. Będzie zapiekanka z ciecierzycy.

– Chcę parówki z ziemniakami – burknął Erik niezadowolony.

Ann przygotowała zapiekankę poprzedniego wieczoru, teraz musiała ją tylko podgrzać. Wstała, schowała leżące na stole rzeczy, postawiła zapiekankę na kuchence, nakryła do stołu i naląła do dzbanka sok z borówek, ulubiony napój Erika.

Kiedy jedli, Erik jak zwykle bawił się w „dwadzieścia pytań”. Ostatnio zaczął się na serio interesować jej pracą, Mama, która była policjantką, bardzo się liczyła w świetlicy. Kompensowało mu to nieco brak ojca.

– Jeśli złodziej będzie grzeczny, to może zostać wypuszczony z więzienia?

– Oczywiście – stwierdziła Ann, nie dodając, że większość złodziei w ogóle nie trafia do więzienia.

– Czy po człowieku widać, że jest złodziejem?

– Nie, złodzieje na ogół niczym się nie wyróżniają.

– Johannes twierdzi, że wszyscy złodzieje noszą w kieszeni śrubokręt.

– Niektórzy pewnie tak, ale nie wszyscy.

– Żeby móc się włamać – tłumaczył jej Erik.

Gdyby to było takie proste, pomyślała Ann. Gdyby każdy, kto ma w kieszeni śrubokręt, był bandytą.

– Złapałaś kiedyś złodzieja?

– Owszem, ale na ogół mam do czynienia z innymi bandytami.

Erik spojrzał na nią uważnie.

– Weź trochę sałaty – zachęcała go.

– Z mordercami – odezwał się nagle. – Takimi, co strzelają do innych ludzi.

– Jedz – powtórzyła Ann, chociaż dobrze wiedziała, że teraz Erik tak łatwo nie odpuści.

– Wiem, że łapiesz morderców. Pani tak mówiła.

– Jaka pani?

Erik domyślił się, że wkracza na niebezpieczny grunt i sprytnie zmienił temat.

– Gdyby każdy dobry człowiek miał swój radiowóz, to złodzieje by się przestraszyli – stwierdził.

– To niezły pomysł – powiedziała Ann, zjadając resztki zapiekanki. – Zjadłeś sałatę?

Erik westchnął i sięgnął po kawałek ogórka.

Skończył jeść, włączył telewizor, włożył kasetę wideo i usiadł wygodnie na kanapie. Ann zaparzyła sobie kawę i stanęła w drzwiach do dużego pokoju. Patrzyła na synka, który z zaangażowaniem śledził perypetie „Potworów i spółki”.

W przyszłym roku miał iść do szkoły. Nie mógł się tego doczekać, często o tym mówił. Być może spodziewał się, że znajdzie tam odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Niestety jego mama nie wiedziała wszystkiego.

Skąd ty masz tyle energii, skąd bierze się u ciebie ta chęć wiedzy? Może twój ojciec też był taki? Inżynier, jak nazywała w duchu ojca Erika. Ledwie pamiętała, jak wyglądał. Erik był wynikiem kilku kieliszków wina za dużo, tęsknoty za czymś dotykaniem i jedną upojną nocą.

Ann była cichym i nieco wstydliwym dzieckiem. Dopiero będąc nastolatką, zaczęła się budzić do życia, na ile to było możliwe, gdy mieszkało się w Ödeshög.

Wróciła do kuchni, zastanawiając się, co zrobić z Östhammar. Jeśli zaangażuje się w sprawę, będzie musiała tam dojeżdżać, co na pewno będzie męczące. Co prawda Erik na tym nie ucierpi, będzie odprowadzać go do przedszkola i odbierać jak zwykle, jak to robiła całą jesień.

Ale podróże zawsze ją męczyły, poza tym dochodzenie dotyczyło – jak podejrzewała – morderstwa. To wymagało zaangażowania, już dzisiaj to zauważyła. Oczywiście mogła się nie zgodzić. Wiedziała, że Ottosson w końcu ustąpi. Ale czy mogła z czystym sumieniem podrzucić sprawę komuś innemu? Haver był zajęty i w pracy, i w domu. Sammy Nilsson był zarzucony robotą, poza tym trwał sezon rozgrywek bandy. Dwa razy w tygodniu trenował wieczorami dzieci i młodzież. Fredriksson był zbyt zmęczony. Ann nie wyobrażała sobie, żeby mógł kursować w tę i z powrotem, poza tym na pewno nie dogadywałby się z Markssonem. To nie było dobre połączenie. Berglund był uziemiony, a Beatrice... Nie, nic z tego.

Przyniosła z sypialni notes, który zawsze leżał na jej nocnym stoliku, otworzyła na pustej stronie i zaczęła zapisywać pytania.

Po opuszczeniu swojego miejsca pracy Sven-Arne Persson udał się prosto do domu. Oczy miał zasnuwane mgłą, która ustąpiła dopiero, kiedy położył się na łóżku. Nic nie mówił, nawet nie myślał. Całą energię wkładał w to, by w ogóle móc się ruszać.

Powoli zaczęło docierać do niego znaczenie tego, co powiedział mu Jan Svensk. Informację o tym, że Elsa miała wypadek, przyjął ze spokojem, po prostu stwierdzenie faktu. Próbował wyobrazić ją sobie wpadającą pod pędzącą ciężarówkę, ale z trudem był w stanie przypomnieć sobie jej twarz.

Natomiast informacja o tym, że jego stryj pisał pamiętniki, w których obiecywał wyznać wszystko, przeraziła go, ponieważ doskonale wiedział, do czego Ante był zdolny. Wiedział też, że jeśli stryj podjął jakąś decyzję, to niemal nic nie było go w stanie powstrzymać. „Bojownik” z Teruel nie słuchał nikogo.

Sven-Arne rzucił się na łóżku, uderzył pięścią w ścianę, przeklinając wszystkich cholernych Szwedów, szczególnie tych o nazwisku Svensk. Zaczął się zastanawiać nad ostatnimi wydarzeniami. Powrócił myślami do spotkania w restauracji. Dlaczego zdecydował się tam iść mimo tak wielu ostrzeżeń? Powinny dać mu do myślenia, uczynić go bardziej uważnym. A on je zlekceważył i wszedł do lokalu.

Co Ante powiedział Else, co ją tak wzburzyło? Co to mogło być? Tylko jedna rzecz wchodziła w grę. Elsa słyszała i widziała wszystko. Rozumiała go lepiej niż Ante. Przejrzała go, i w życiu publicznym, i w sypialni. Wiedziała, że jest impotentem-gawędziarzem, że jest zakłamany. Gdy stwierdził, że to jej chłód i niezdarność czyniły go niezdolnym, zamiast poczuć się urażona, na co miał nadzieję, ona roześmiała mu się w twarz. A potem, żeby jeszcze bardziej go upokorzyć, wyjęła erotyczny gadżet, który kupiła wiele lat wcześniej.

– To jest mój radny – powiedziała.

Wprawiała w ruch sztuczny penis i roześmiała się. Dawno nie słyszał tak radosnego, szczerzego śmiechu.

A teraz coś zaburzyło jej umysł do tego stopnia, że wyszła na jezdnię prosto pod ciężarówkę. Nie umyślnie, tego Sven-Arne był pewien. Elsa nigdy nie targnęłaby się na swoje życie, na tyle ją znał. Nie Elsa, tak wyrachowanie logiczna w swoich działaniach.

Przejechał ją samochód. Była nieprzytomna. Złapał się na tym, że przez moment życzył jej śmierci. Nie, nie wolno mu tak myśleć, to byłoby podłe. To Ante powinien umrzeć. Był stary. Taka była kolej rzeczy. Dlaczego miałby zacząć donosić? Kiedy ostatnio ze sobą rozmawiali, jakieś pół roku temu, sprawiał wrażenie zdrowego, trzeźwego na umyśle, bez śladów demencji. Jasno i klarownie tłumaczył mu aktualną sytuację w Szwecji, krytykował premiera, który niczym wielki arystokrata remontował stary dwór w swojej rodzinnej okolicy.

Nie, na pewno nic mu się nie pomieszało.

Sven-Arne uznał, że Ante zdenerwował Else, wyznając jej, iż fakt, że jej mąż żyje i mieszka w Indiach, nie jest dla niego nowiną. To przeważało szalę. Odkryła, że człowiek, którego nigdy nie lubiła, przez cały czas, przez całe dwanaście lat, doskonale wiedział, co dzieje się z jej mężem. Poczuli się ugodzona do żywego. Została podwójnie oszukana. Stąd oburzenie, i pewnie złość, kiedy minął pierwszy szok.

Zapewne tak właśnie było. Każdy inny powód wydawał się niewiarygodny. Opowieści o pamiętnikach musiały być plotką. Z drugiej strony, gdyby wydano je po jego śmierci, byłby to jego triumf z za grobu. Bo kto krytykowałby starca, czemu miałyby to służyć? Cała wina spadłaby na niego, to on znalazłby się pod ostrzałem, to jego by obwiniano. Nie stryja.

Podniósł się z łóżka tak gwałtownie, że zakręciło mu się w głowie

– Co to ma za znaczenie? – spytał głośno.

Znał odpowiedź. Z zamieszaniem by sobie poradził, mógłby żyć dalej z krytyką, w atmosferze skandalu, ale już nigdy nie zaznałby spokoju. Nawet sekundy spokoju. Chodząco by za nim krok w krok. Zainteresowanie nigdy by nie ustało, wszyscy chcieliby wiedzieć! Wiedzieć! Ci szwedzcy krety, którzy byli w stanie przełknąć największą bzdurę i z lubością tarzali się w medialnych odchodach. Pożerali podawaną im zgniliznę, jakby to były nie wiadomo jakie smakołyki, słuchali pokrętnych słów kuglarzy jak prawdy objawionej.

Triumfujący głos Antego rozbrzmiewałby w jego uszach, obojętne, czy stryj by żył, czy nie. Od czasu powrotu z Hiszpanii, czyli już prawie siedemdziesiąt lat, żywił się goryczą. Podupał na zdrowiu, ale jego poglądy pozostały niezmienione, jego ideologia nie poddawała się zębowi czasu. A teraz postanowił saczyć jad w otwarte rany Svena-Arnego.

Wtedy, na dachu Rosberga, mając czternaście lat, potrafił wczuć się w sen stryja, jego marzenia wydawały mu się namacalne, i tak już zostało. Kiedy Ante powiedział, że „ktoś musi to zrobić” i że „tak po prostu jest”, Sven-Arne zrozumiał to dosłownie. Wtedy chodziło o dach Rosberga. Dwadzieścia lat wcześniej o hiszpańską republikę.

Ale Sven-Arne dostrzegł też głęboki tragizm stryja. W kuchni babci Agnes dorośli kłócili się o Budapeszt. Jednak nie można było zaprzeczyć, że naród węgierski został zdeptany.

Sven-Arne wybrał inną drogę. Wstąpił do SSU, młodzieżówki socjaldemokratycznej, co ucieszyło jego ojca, ale stało się powodem odwiecznego sporu z Ante.

Teraz pragnął już jedynie spokoju. Chciał się tu zakopać, uczyć dzieci w St. Mary's School, raz w tygodniu strzyc się u Ismaela, rozmawiać z sąsiadami na ulicy, umawiać się na piwo z Lesterem. I to wszystko. Nie miał już żadnych namiętności, żadnych pasji.

Nieprawda! Kłamstwo leżało przed nim i cuchnęło jak spuchnięte truchło, ale przecież był politykiem, wystarczyło zatkać nos. Robił to wiele razy wcześniej. Przy pracy nad budżetem, w dyskusjach poprzedzających wyborcze zebrania, podczas spotkań zarządu gmin, w Polsce, podczas podróży, gdzie wszyscy pili i pieprzyli się na koszt Skanskiej, której w zamian pozwolono kupić ziemię za grosze, i podczas lotu do Nowej Zelandii, kiedy Lisbet Manner zaczęła wymiotować, a potem zrobiła się sentymentalna i się rozplakała. A on zacisnął zęby i nic nie powiedział. Kiedy dotarli na miejsce, nadal milczał, zamiast obnażyć całe to żalosne przedstawienie.

Powinien powiedzieć o wszystkim, ale wolał pozostawić sprawy w mroku i dalej prowadzić swoją grę. Ile razy zdarzało mu się przemilczać prawdę, by chronić swoją pozycję i pozostać lojalnym wobec partii? A może i całego systemu politycznego, który wydawał się jedynym możliwym.

Jednak w głębi duszy – dużo o tym myślał podczas pobytu w Indiach – nie chciał przyznać racji stryjowi, gdy ten grzmiał o skorumpowanych politykach, kupionych przez kapitalistów, nawet jeśli pod wieloma względami się z nim zgadzał. Gdyby publicznie przyznał mu rację, byłoby to zbyt bolesne, bo wtedy okazałoby się, że decyzja, którą podjął jako czternastoletni

chłopiec, była gigantycznym błędem. Poza tym wymarzone społeczeństwo stryja też nie było szczególnie kuszące. Uparta obrona realnego socjalizmu na Wschodzie podkopała jego wiarygodność. Sam się zdyskwalifikował, chociaż Sven-Arne wiedział, że Ante w głębi serca bynajmniej nie popierał ani Stalina, ani Gomułki. Ante bronił czegoś innego: praw robotników i marzenia o odwecie.

Ułatwiłeś sobie sprawę, Ante! Stałeś obok, opierając się o górnika z Bułgarii, który wysadził się w powietrze, śpiewałeś dawne pieśni i odgarniałaś śnieg. Tak było. Położyłeś nawet swoje rękawiczki na kalenicy, żebyś mógł na nich usiąść.

Ale republiki nie byłeś w stanie uratować. Zwaliałaś winę na zachodnie rządy, podczas gdy twoi komuniści uprawiali dokładnie taką samą mocarstwową politykę.

Ile razy maglowali ten temat?

W 1956 roku. Ile wtedy miałeś lat? Czterdzieści jeden. A byłeś bardziej wypalony niż babcia czy Rosberg. Twoje ruchy były na ogół gwałtowne, ale w bardzo przemyślany sposób, jakby nerwy i mięśnie nadal odpowiadały na znajome sygnały, nie będąc jednak w zgodzie z twoim życiem wewnętrznym. Żar, który okazywałaś, był wyuczony i zdążył się żałośnie zestarzeć.

Byłeś silny, nikt w rodzinie nie mógł się z tobą mierzyć, a jednak bywałeś też zadziwiająco słaby. Rozpierająca cię energia była wspomnieniem czasów, gdy praca fizyczna dawała ci prawo przemawiać w imieniu innych.

Ja to wszystko rozumiałem, ale inni widzieli jedynie twoje podniecenie, twoją złość i dogmatyzm. Stałeś się pajacem.

Okres po wojnie w Hiszpanii był trudny. Nikt nie chciał mieć z tobą do czynienia. Z zawodu byłeś hydraulikiem, ale nie dostawałeś żadnych zleceń. Byłeś, jak pozostali ochotnicy, na czarnej liście. Anders Diös śmiał ci się prosto w twarz, podobnie Lindgren i Cichy Kalle. Drwiono z ciebie, gdy Europę dusił faszyzm, z którym ty próbowałaś walczyć.

Zostałeś parobkiem, zimą rąbałeś w lesie drwa. To nie było zajęcie dla ciebie. Ty chciałeś mieć wokół siebie ludzi, chciałeś, żeby coś się działo. Mogłeś zostać rolnikiem w Rasbo, ale to nie było zajęcie dla ciebie. Wszyscy nazywali cię „bolszewikiem”.

We dworze w miejscowej parafii zbierała się rodzina królewska i arystokracja. Urządzano polowania, wydawano kolacje. Wiedziałaś, jakie wznoszono toasty, służba o wszystkim donosiła.

Podczas polowania na łosie odmówiłeś prowadzenia naganki.

Mieszkałeś w walącej się szopie, stojącej wśród innych walących się szop. Od starej Björk i jej córki z Sandbacken dostawałeś ser, jajka i szmaciane dywaniki. Brakowało ci wszystkiego, twoje potężne ciało miało swoje potrzeby, a podłoga w chacie była zimna. Dlatego szanowałaś Björk. Nie była czerwona, nie wyznawała ideałów, o które walczyłaś, przeciwnie: była unizona i służalcza, ale miała w sobie ludzkie ciepło, które nie jeden raz ratowało cię z czarnej rozpacz. Później zaprzeczałaś, że wtedy w Rasbo byłeś bliski załamania, ale ja wiedziałem swoje.

A potem wszystko się zmieniło, los się odwrócił. W 1943 roku las był nędznym miejscem pracy, nędznym i zimnym, ale ciebie rozgrzewały wiadomości z frontu na wschodzie. Obiady we dworze nadal się odbywały, ale upojenie zwycięstwem zamieniło się w strach przed czerwonymi hordami, które mogły zmusić niemiecką machinę wojenną do cofnięcia się. Do jakiego punktu?

To pytanie budziło lęk.

W 1944 roku triumfowałeś, agitowałeś w Film, gdzie partia otrzymała dwadzieścia sześć procent głosów w wyborach, dostałeś pracę u drobnego przedsiębiorcy budowlanego, przydzielono cię do robót w Almtuna i w Svartbäcken, przenieś się do miasta. Wiatr zmienił kierunek.

I nieoczekiwanie się zakochałeś. Ann-Mari, która wytrzymała z tobą osiem lat, sprawiła, że nawet nauczyłeś się tańczyć.

O tym chcesz pisać w swoich wspomnieniach? Gdyby tak, nie byłoby źle. Mógłbyś zacząć od lichej kuchni w szopie w latach czterdziestych, gdzie nachodziła cię rozpacz, gdy wsłuchiwałeś się w dźwięki warsztatu tkackiego, dochodzące z kuchni twoich sąsiadów w Sandbacken, jedynych zaufanych ludzi, jakich wtedy miałeś. A potem cofnąć się do Hiszpanii, i jeszcze dalej, do nędznych chat w Dragarbrunn, gdzie dorastaliście, ty, Emil i Erik. To mogłoby być całkiem niezłe. Ale ja cię znam, Ante. Wiem, że postanowiłeś wyrównać rachunki.

Nie potrafisz i nie chcesz pisać przesłodzonego eposu o Szwecji jako Domu Ludowym, bo gdzie wtedy umieściłbyś bułgarskiego górnika? Co zrobiłbyś ze swoją nigdy niekończącą się złością? Mogłaby ci się wymknąć spod kontroli i zburzyć zakłamywany sentymentalizm. A czego jak czego ale sentymentalizmu by nie brakowało, bo Ante tak naprawdę był romantykiem. Kiedy jednak Sven-Arne zwracał mu na to uwagę, stryj zawsze się złościł i obruszał.

Sven-Arne cierpiał jak nigdy dotąd. Miał przed oczyma całe swoje życie niczym lustrzane odbicie życia stryja, i nie był to budujący widok.

– Cholerny facet – powiedział głośno.

Przez długi czas Sven-Arne chciał być taki jak Ante, chociaż nie do końca. Chciał być, jeśli nie kochany, to przynajmniej lubiany, a Ante nie był ani kochany, ani lubiany. Sven-Arne chciał zwyciężać, a Ante zawsze stawiał na niewłaściwego konia. Najbardziej jednak drażniło go to, że stryjowi wydawał się nie przeszkadzać fakt, że należy do przegranych.

Sven-Arne usiadł na łóżku i próbował myśleć trzeźwo. Starał się uporządkować w myślach problemy, nadać im numerki i stworzyć listę. A więc po pierwsze, został rozpoznany. Ludzie w Uppsali na pewno zaczną plotkować, opowiadać, że były radny żyje i jak żyje! Po drugie, Elsa dowiedziała się o podwójnej grze, którą prowadził Ante. Po trzecie, miała wypadek i leżała nieprzytomna w szpitalu. Po czwarte, jego sytuacja w Bangalurze stanie się nieznośna, bowiem wkrótce na pewno pojawią się tu dziennikarze. I po piąte: Sven-Arne Persson nie żyje. On nazywał się John Mailer. Nie miał paszportu i nie mógł opuścić Indii.

To wszystko były punkty, co do których nie miał żadnych wątpliwości. Poza tym miał jednak też szereg hipotez. Przede wszystkim – to po szóste: Elsa wiedziała, że Ante planuje wydać swoje wspomnienia, ale nie miała pojęcia, co zamierzał w nich umieścić. A może wiedziała? Czy dlatego wpadła pod ciężarówkę? No i na koniec, po siódme: jeśli Ante uzna, że to może przynieść mu korzyść, na pewno o wszystkim opowie.

Sven-Arne położył się na łóżku, wpatrywał się w sufit, rozważając kolejne punkty. Po półgodzinie rozmyślań wstał i wyszedł odbyć dwie rozmowy telefoniczne. Zamierzał zadzwonić do Delhi, a potem do swojego dawnego znajomego w Szwecji. Do człowieka, który bez wahania doprowadziłby do obalenia ministra, gdyby mógł coś na tym zyskać, on albo partia, który w swoim życiu zapewne nie posadził nawet jednego drzewa, który miał dość afer, i na pewno zgodzi się zrobić wszystko, by uniknąć kolejnej.

Potem było mu wstyd. Pomyślał o Lesterze i swoich znajomych w Lal Bagh.

Berglund zastanawiał się nad morderstwami sprzed lat, aż w końcu rozboleła go głowa. Stary ból jak nowy, pomyślał, przypominając sobie wszystkie dni, wieczory i noce, kiedy dokładnie analizował życie, a przede wszystkim śmierć Nilsa Gottfrida Dufvy.

Nils Dufva zmarł w wyniku silnego uderzenia w głowę. Wystarczyło jedno uderzenie, stwierdził Kalle Modin, który wówczas jeszcze służył w policji. Później został zmuszony do odejścia z powodu długotrwałego nadużywania alkoholu. I to była chyba ostatnia przysługa, jaką wyświadczył organowi sprawiedliwości.

Uderzenie trafiło ofiarę w lewą stronę głowy, naruszyło kość, powodując silne krwawienie do mózgu. Zdaniem Modina śmierć nie nastąpiła natychmiast, Dufva zmarł w ciągu nocy.

Kiedy go znaleziono, mniej więcej dobę po morderstwie, leżał wyciągnięty na podłodze przed swoim wózkiem inwalidzkim. W ręku trzymał pilota do telewizora, który był włączony.

Morderstwo wywołało duże poruszenie. Fakt, że ktoś brutalnie zabił osiemdziesięcioletniego inwalidę, był szokujący. Do miejscowej gazety, „Upsala Nya tidning”, pisali oburzeni czytelnicy, a redakcja posunęła się do tego, że zamieściła wywiad z notorycznym awanturnikiem, Runarem Karlssonem, który właśnie odbywał karę za swoje trzynaste pobicie.

„Napadam jedynie na ludzi, którzy są w stanie się bronić”, stwierdził zadowolony w wywiadzie, przeprowadzonym w zakładzie karnym w Norrtälje.

Gdyby Dufva siedział przy biurku, a nie przed telewizorem w dużym pokoju, to może miałby szansę się bronić. W górnej szufladzie biurka, niezamkniętej na kluczyk, leżał naładowany pistolet wojskowy, Luger. Brakowało co prawda pozwolenia na broń, ale za to Dufvy nikt już nie mógł pociągnąć do odpowiedzialności.

W pierwszym momencie podejrzewano włamanie, ale z willi nic nie zginęło. Co oczywiście nie wykluczało, że sprawca pierwotnie zamierzał obrabować starszego pana, ale potem wpadł w panikę i uciekł.

Drzwi wejściowe były zamknięte, ale nie na klucz, stwierdziła wnuczka kuzyna, która przyszła odwiedzić starszego pana. Robiła to właściwie codziennie, ale akurat w wieczór morderstwa jej nie było. Kobieta, w wieku dwudziestu paru lat, była najbliższą krewną ofiary, mieszkającą w Uppsali. Była jeszcze kuzynka w Malmö i kuzyn w południowych Niemczech. Kuzynka miała siedemdziesiąt lat i nie widziała się z Dufwą od dwudziestu lat. Nie mieli ze sobą żadnego kontaktu. To kuzyn z Pforzheim poprosił swoją wnuczkę, Jenny Holgersson, żeby od czasu do czasu zaglądała do starszego pana.

Na szybie drzwi były wyraźne odciski palców. Takie same znaleziono na starym dębowym kredensie w salonie. Jakby ktoś z dużą siłą przyłożył dłoń do wypolerowanych drzwi. Berglund od samego początku podejrzewał, że właściciel dłoni potknął się, upadł albo stracił równowagę i asekurował się dłonią. Za takim przebiegiem zdarzeń przemawiał również fakt, że dywan pod kredensem był pofałdowany.

W holu zabezpieczono także wyraźne odciski prawego buta, rozmiar czterdzieści trzy.

I to wszystko.

Motyw pozostał nieznanym. Najbardziej prawdopodobne było nieudane włamanie.

W szufladzie w kuchni było prawie dwa tysiące koron w gotówce. Cennych rzeczy było w domu niewiele: złoty zegarek, prezent za długotrwałą i wierną służbę, kilka starych szabli i zestaw cynowych półmisków z osiemnastego wieku, w kasetce w jednej z szuflad biurka leżały trzy złote pierścionki. Oraz pięć medali, jeden pochodził z Finlandii, dwa z Niemiec.

W niewielkim pokoju za salonem znajdowało się to, czego złodziej prawdopodobnie szukał: jedna z najcenniejszych prywatnych kolekcji monet w kraju. Jej wartość szacowano na ponad trzy miliony koron.

Zgodnie z testamentem Dufvy zbiór miał zostać w całości przekazany do Upplandsmuseet. Reszta: dom, całe wyposażenie, niemal dwa miliony koron na koncie oszczędnościowym w SEB, i akcje, warte drugie tyle, miały przypaść po połowie Jenny Holgersson i funduszowi stypendialnemu, utworzonemu kilka lat wcześniej przez Dufwę. Coroczne stypendium w wysokości trzydziestu tysięcy koron miało „wspierać osobę bądź organizację”, która w godny sposób służy narodowej niezależności kraju”.

Berglund przez trzy miesiące pracował niemal wyłącznie nad morderstwem. Potem wracał do sprawy jedynie sporadycznie. Większość morderstw, którymi zajmowała się policja w Uppsali w ostatnich latach, udawało się rozwiązać, chociaż w jednym przypadku, w sprawie „morderstwa Dakar”, nie udało się schwytać sprawcy.

Także morderca Dufvy pozostawał na wolności. A to była sprawa prowadzona przez Berglunda.

Siedział przy oknie, przed nim leżały segregatory. Właściwie było to wbrew przepisom. Materiały nie powinny w żadnym razie opuszczać budynku komisariatu, ale kiedy Berglund zwrócił uwagę Ottossonowi, że może nie powinien przeglądać policyjnych dokumentów w sali szpitalnej, ten machnął ręką niefrasobliwie.

Przeczytał więc wszystko, raporty techników, protokoły z przesłuchań, wszystko, po kilka razy.

Trzech świadków uznał za wiarygodnych. Sąsiadka Dufvy, kobieta mieszkająca po drugiej stronie ulicy, widziała, jak jakiś samochód zatrzymał się przed jego domem gdzieś między wpół do ósmej a ósmą w wieczór morderstwa. Wyjrzała akurat przez okno, ale ponieważ była zajęta przygotowaniami do przyjęcia urodzinowego, nie przyglądała się kierowcy, zauważyła jedynie, że był to mężczyzna. Kiedy później, gdzieś koło dziewiątej, wyszła na spacer z psem, samochodu już nie było.

Berglund pokazywał kobiecie zdjęcia różnych modeli samochodów, w końcu wskazała saaba 9000, „ciemny samochód, który się błyszczał”.

Tuż przed godziną ósmą para młodych ludzi wyszła na spacer z mieszkania przy Tegelgatan. Kiedy skręcili w Arosgatan, zobaczyli ciemny samochód, jadący Norbyvägen. „Zdecydowanie za szybko, bo przecież jest tu dużo dzieci na rowerach”, powiedziała młoda kobieta podczas przesłuchania.

Byli niemal pewni, że był to ciemny saab, ale żadne z nich nie widziało kierowcy, nie potrafili też powiedzieć, czy był sam.

Na stosunkowo wczesnym etapie dochodzenia Berglund uznał, że właśnie tym samochodem poruszał się morderca. Czas się zgadzał. Lekarz sądowy stwierdził, że zgon nastąpił między godziną siódmą a dziewiątą wieczorem.

Na tym zatrzymało się śledztwo w 1993 roku, gdy Berglund, aczkolwiek niechętnie, musiał

zawiesić sprawę. Od tamtego czasu nie pojawiły się żadne nowe dowody. Wszyscy byli zgodni, że o ile nie zdarzy się coś naprawdę sensacyjnego, sprawa zapewne nigdy nie zostanie rozwiązana.

Berglund jednak cały czas wiązał nadzieje z odciskami palców na kredensie. Być może sprawca zostanie kiedyś zatrzymany za jakieś inne przewinienie, może kolejne włamanie, i wtedy będzie można powiązać obie sprawy.

A może morderstwo było wydarzeniem jednorazowym, i żadne kolejne nie nastąpią? Byli tacy, którzy uważali, że sprawca był amatorem. Fakt, że zjawił się w biały dzień i zaparkował samochód pod domem ofiary, mógł wskazywać na dość nieprzemyślane działanie. Zadziwiający był też fakt, że nic nie zginęło. Dufva na pewno niemal natychmiast stracił przytomność, dlaczego sprawca nie dokończył dzieła? Dlaczego nie przeszukał domu?

Spanikował, uznał Berglund. Być może pierwotnie zamierzał jedynie uciszyć starca. Zakneblować go i w spokoju przeszukać dom. Ale starzec stracił przytomność. Jedno uderzenie wystarczyło. Sprawca uciekł w panice.

Pięć lat później do gabinetu Berglunda wkroczył Sammy Nilsson. W ręku trzymał książkę.

– Otwórz na stronie dwieście trzydziestej trzeciej – powiedział.

Berglund zerknął na tytuł, otworzył na wskazanej stronie, gdzie w jednym z wierszy podkreślono na żółto „Nils Dufva”.

– Dość niecodzienne nazwisko – stwierdził Sammy Nilsson. – Przeglądałem książkę wczoraj wieczorem i zwróciłem na nie uwagę. Czyż nie tak nazywał się nasz przyjaciel z Kungsgärdet, ten z pękniętą czaszką?

– Co to za książka?

Sammy Nilsson poinformował Berglunda, że Nils Dufva był wymieniany wśród osób, które po II wojnie światowej podjęły próbę odbudowania ruchu nazistowskiego w Szwecji. Prawdę mówiąc, odgrywał w nim znaczącą rolę.

– Jeśli był nazistą po wojnie, to był nim zapewne także przed wojną i w trakcie wojny – stwierdził Sammy Nilsson.

– Na liście są też inni mieszkańcy Uppsali – zdziwił się Berglund.

– Tak, handlarz meblami, mistrz budowlany i pewien porucznik regimentu.

– Kupowaliśmy nasze meble u tego faceta – ciągnął Berglund. – W latach sześćdziesiątych kupiliśmy u niego stół do jadalni. Gdybym wiedział...

– O takich sprawach nie mówiło się głośno – przerwał mu Sammy. – „Kup u nas sofę Himmler!” To nie jest dobre hasło reklamowe.

– Tu jest napisane, że był „zatrudniony w obronie”. Pracował w magazynie czy w S1?

– To rzeczywiście brzmi dość tajemniczo. O ile pamiętam, przed emeryturą był urzędnikiem – powiedział Sammy.

– Ale u niego w domu niczego nie znaleźliśmy... – zaczął Berglund i przerwał, bo nagle przypomniał sobie niemieckie medale.

Potem poświęcił wiele pracy, żeby odtworzyć wcześniejsze dzieje Nilsa Dufvy. Skontaktował się nawet z autorem książki, którą podsunął mu Sammy Nilsson.

Był nim historyk z Göteborga. Mężczyzna nie miał bliższych informacji o Dufwie. Wiedział jedynie, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych prawdopodobnie pracował dla jakiejś

organizacji w obronie, być może chodziło o wojskową służbę wywiadowczą.

Firma nazywała się Biuro Pisania Podań Bohlina i została rozwiązana w 1989 roku. Kiedy Berglund zaczął się interesować, czym zajmowała się firma i kim byli jej właściciele, dotarł do niejakiego Augusta Bohlina, który zmarł w tym samym roku.

Jego syn, Jerker Bohlin, który pracował na Florydzie, powiedział mu przez telefon, że ojciec zajmował się udzielaniem pomocy w wypełnianiu deklaracji podatkowych, sporządzaniu testamentów i spisów mienia. Chociaż nie był ani prawnikiem, ani księgowym, zawsze miał dużo pracy. Czy firma otrzymywała zlecenia z ministerstwa obrony, tego nie wiedział, ale trudno było mu sobie wyobrazić, żeby tak było.

Twierdził, że klientkami firmy były głównie starsze panie. Kiedyś latem, w czasie wakacji, pomagał ojcu i wtedy właśnie stwierdził, że był to istny dom starców. Odwiedzał starszych ludzi w Luthagen, wręczając im dokumenty do podpisu. Dokumentów dotyczących firmy oczywiście już nie posiadał. Jak za mgłą pamiętał jednak, że po śmierci ojca zdeponował kilka kartonów z dokumentami firmy w magazynie w Boländerna, razem z innymi rzeczami, które pragnął zachować, ale nie chciał przewozić ich przez Atlantyk. Rzeczy te nadal tam były.

Nilsa Dufwę spotykał kilkakrotnie, ale nie miał pojęcia, jaką pracę wykonywał ani jakim był człowiekiem. Dufva nie należał do ludzi rozmownych. Jerker Bohlin pamiętał natomiast, że zbierał stare monety.

Berglund odniósł wrażenie, że nikt nie miał ochoty naprawdę zająć się sprawą, pogrzebać trochę głębiej, nikt też nie był chętny udzielić mu jakichkolwiek informacji, pozwolono mu jednak przejrzeć stare dokumenty firmy, złożone w magazynie.

Okazało się, że są to głównie kopie umów, kontraktów i spisy mienia, obejmujące okres dwudziestu lat. Berglund przejrzał wszystko i nie znalazł nic, co zwróciłoby jego uwagę. August Bohlin utrzymywał idealny porządek w dokumentach, wszystko było posegregowane i ponumerowane. Na wielu dokumentach były jego komentarze, niekiedy bardzo osobiste, pisane odręcznie, czytelnym, ładnym pismem. Na jednym spisie mienia napisał „wielce szacowny człowiek, który niestety oszedł zdecydowanie za wcześnie”, na innym zaś „sknera, który nigdy nikogo nie uszczęśliwił, chyba że właśnie dzisiaj”.

Berglund zadał sobie trud i spisał imiona i nazwiska wszystkich osób, które pojawiały się w dokumentach, nie wiążąc z tym jednak żadnych większych nadziei. Listę nazwisk dodał do protokołu ze śledztwa. Następnie zwrócił pobrane pięć kartonów do magazynu, skontaktował się z Jerkerem Bohlinem i poprosił go o zachowanie papierów dotyczących firmy ojca.

Teraz, siedem lat później, Berglund, leżąc w szpitalu akademickim w Uppsali, znów przeglądał dawne materiały. Ślady dawno już przestały być gorące. Ludzie, którzy mogliby coś powiedzieć, byli albo za starzy, albo odeszli już na zawsze, a ci, którzy nadal żyli, nie mieli ochoty rzucać światła na karierę Nilsa Dufvy.

Czy przeszłość mężczyzny miała coś wspólnego z morderstwem, było równie wątpliwe jak wcześniej. Jeśli zamiarem było zabicie starca, to sposób, w jaki to zrobiono, wydawał się niemal makabrycznie amatorski. Wydawało się naturalne, że sprawca będzie próbował ukryć prawdziwy motyw, dokonując kradzieży, by przedstawić zbrodnię jako morderstwo rabunkowe.

– Saab 9000 – wymamrotał Berglund. – Podjeżdża pod dom, parkuje, odjeżdża.

Miał tę scenę przed oczyma: ciekawska sąsiadka, z rękami w cieście, wygląda przez okno, ale musi wyjąć z piekarnika blachę ze świeżo upieczonymi bułeczkami, więc się odwraca.

Mężczyzna wychodzi z samochodu, podchodzi do drzwi. Wybrukowana betonową kostką ścieżka ma pięć, może sześć metrów długości, potem musi jeszcze pokonać trzy stopnie.

Czy mężczyzna idzie prosto do drzwi, dzwoni, czy może ma własne klucze? Tak czy inaczej wchodzi do środka, Dufva siedzi na wózku i jest bezbronny, napastnik podbiega i uderza go w głowę. Siła uderzenia sprawia, że ofiara leci do przodu, traci przytomność i umiera.

Czy morderca miał ze sobą broń, czy też posłużył się przypadkowym przedmiotem? Jenny Holgersson, wnuczka kuzyna, nie zauważyła, żeby cokolwiek zniknęło, ale przyznała też, że nie orientowała się zbyt dokładnie w przedmiotach, które były w domu. Narzędzia zbrodni nigdy nie odnaleziono.

Film przewijał się w głowie Berglunda, bezsensowna powtórka, ale wszystko odbywało się jakby samo z siebie.

Ból głowy przybierał na sile. Działanie tabletek, które podano mu rano, ustało. Nadal się niepokoił, chociaż z każdą godziną coraz mniej, że operacja mogła zakłócić jego zmysł równowagi, pozbawić go pamięci, ograniczyć zdolność wysławiania się, czy w jakiś inny sposób uniemożliwić mu normalne życie.

Próbował przejść od drzwi do okna, wpatrując się w listwę przytwierdzającą dywan do podłogi. Udało mu się. Wymienił z pamięci wszystkie miasta w Skanii, w Blekinge i w Halland, wszystkie europejskie stolicy i angielskie drużyny z pierwszej ligi. To też potrafił. Rozumiał wszystkie słowa w sprawozdaniu z dochodzenia w sprawie morderstwa Dufvy, a kiedy czytał coś na głos, język mu się nie plątał. Pisał równie porządnie i wyraźnie jak przed zabiegiem.

Wróci do zdrowia. Lekki ból głowy był niczym w porównaniu z zabiegiem, jakiemu poddano jego mózg.

Postanowił po raz kolejny przegryźć się przed dokumenty ze śledztwa i znaleźć obrzydliwego typa, który zatłukł na śmierć bezbronnego osiemdziesięcioletka.

Berglund podniósł się z łóżka i znów podszedł do okna. Stał i długo przyglądał się ludziom na ulicy i niewielkiemu parkingowi, gdzie ostro walczono o miejsca. Teraz mogły go już odwiedzać, te kanale z wydziału.

Rzucił wzrokiem na sterty papierów na stole i uśmiechnął się sam do siebie.

Nilsson, Ottosson, Fredriksson, Haver i Beatrice Andersson słuchali sprawozdania Lindell, ale żadne z nich, jakby zawarli jakąś cichą umowę, nie zdradziło nawet miną, jak śmiesznie brzmiał jej entuzjazm. Na stole leżało kilkanaście zdjęć miejsca, gdzie znaleziono stopę, i najbliższej okolicy.

Opowiadała o szkieletach.

– Okropna tam pogoda o tej porze – stwierdził Sammy Nilsson.

– Nie – zaprzeczyła Lindell. – Świeciło słońce, było naprawdę pięknie.

– Gdyby nie ta stopa – wtrąciła Beatrice poważnie.

Lindell rzuciła jej szybkie spojrzenie.

– Ten but... – wszedł im w słowo Haver. – Możesz go opisać?

– Taki chiński but, z materiału, z rzemykiem, w rozmiarze trzydzieści pięć.

– Do chodzenia po domu.

Lindell uśmiechnęła się do Havera. Rozumiała, że chce, żeby zaczęli podrzucać sobie pomysły.

– Dokładnie – powiedziała i natychmiast przypomniała sobie, że miała przestać bez przerwy używać tego słowa.

– Zajmiesz się tym?

Pytanie Ottossona było raczej formalnością. Skoro sprawa dotyczyła teraz Öregrund, a nie Östhammar, nie powinno być żadnych problemów.

Lindell skinęła głową.

– Wczoraj wieczorem zaczęłam przeglądać papiery.

Opowiedziała, jak Bosse Marksson, widząc ślady lisa na śniegu, doszedł do wniosku, że to właśnie lis mógł przyciągnąć tu stopę. W żaden inny sposób nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Przecież nikt nie gania po lesie ze stopą w ręku, jak to wyraził.

Ottosson uśmiechnął się nieco dziwnie.

– No dobrze, jeśli my zajmiemy się sprawami tu na miejscu, to pognasz dzisiaj na wybrzeże, czy wolisz zaczekać do jutra?

– Mam tu jeszcze trochę do załatwienia – powiedziała Lindell.

Wstała i posłała Beatrice długie spojrzenie. Dopiero teraz dotarło do niej, dlaczego koleżanka miała taką minę i zwracała się do niej w tak ironiczny sposób.

Beatrice nigdy nie ukrywała, iż uważa, że trwająca od lat fiksacja Ann na punkcie Edvarda jest chora. Kiedyś, na jakiejś imprezie Ann powiedziała Beatrice, że całą tę historię ma już za sobą, ale Beatrice, rozzuchwalona winem, stwierdziła, że powinna przestać okłamywać samą siebie. Jeśli Edvard to rzeczywiście zamknięty rozdział, to dlaczego do tej pory nie związała się z kimś innym? Wtedy Ann wyszła z imprezy.

A teraz Beatrice miała czelność na forum publicznym zabawiać się jej kosztem. Ann postanowiła ją zignorować.

Poprzedniego wieczoru Ann wielokrotnie próbowała dodzwonić się do Elsy Persson, ale nikt nie odbierał.

Nawet gdyby Berglund wybrał inną sprawę na swoją terapię, to przecież obiecała

skontaktować się z żoną byłego radnego. Postanowiła pojechać do niej do domu. Prawdę mówiąc, była ciekawa, jak kobieta wygląda, a przede wszystkim jak zareagowała na wiadomości z Indii.

Podeszła więc do samochodu, który zaparkowała na tyłach komisariatu, wsiadła i wyjechała na Luthagsleden. Po kwadransie była już na ulicy, przy której mieszkała Elsa Persson.

Siedemnastka nie wyróżniała się w żaden sposób wśród innych segmentów szeregowki, wyglądających jak poustawiane obok siebie pudełka. Parkując, zauważyła, że ze skrzynki na listy wystaje gazeta, wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę drzwi. Na ślepej uliczce panowała idealna cisza.

Dźwięk dzwonka był dyskretny, rozległo się ciche brzęczenie. Po chwili wcisnęła dzwonek ponownie, odczekała minutę i poddała się.

– Szuka pani Elsy?

Ann odwróciła się. Kobieta z sąsiedniego domu uchyliła drzwi.

– Tak. Nazywam się Ann Lindell, jestem z policji.

– Ach tak – odezwała się kobieta. W jej głosie słychać było lekkie wahanie. – Chodzi o wypadek? Więc chyba wie pani, że...

– Jaki wypadek?

– Nic pani nie wie?

Ann podeszła do niskiego płotu, oddzielającego obie posesje. Zauważyła, że kobieta niedawno płakała.

– Może mi pani powiedzieć, co się stało?

Została zaproszona do środka, do domku z numerem dziewiętnaście, usiadła przy stole w kuchni i wysłuchiwała całej historii.

– Znała pani jej męża? – spytała, kiedy kobieta skończyła opowiadać.

– Oczywiście. Mieszkaliśmy przez ścianę. Wiem, że niedawno widziano go w Indiach. Dla Elsy musiał to być niezły szok. Biedna kobieta!

Ann zauważyła, że sąsiadka znów jest bliska płaczu.

– Rozumiem, że jest pani przykro, ale może pani opowiedzieć mi coś więcej o Elsie? – poprosiła.

Kobieta rzuciła jej pospieszne spojrzenie.

– Co my wiemy o myślach innych ludzi... – odezwała się w końcu.

– Może coś pani mówiła?

– Ludzie mówią różne rzeczy, ale...

Zamilkła.

– Proszę mi powiedzieć.

– Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że była nawet zadowolona z tego, że Sven-Arne zniknął. Tyle że jeśli chodzi o uczucia, to Elsa bardzo się kontrolowała. Tak została wychowana. Jest nauczycielką – dodała po chwili, jakby to miało tłumaczyć zdystansowane podejście Elsy do życia.

– Ale teraz coś sprawiło, że jej świat legł w gruzach?

Sąsiadka skinęła głową.

– Może chodziło o finanse?

– Nie sądzę. Elsa radzi sobie całkiem nieźle. Nie rozumiem też, dlaczego nagle pojawienie

się męża, uznanego od lat za nieżyjącego, miałyby tak wytrącić ją z równowagi? Ale coś rzeczywiście musiało się wydarzyć. Nie należy do osób, które przechodząc przez jezdnię, nie rozglądają się, w życiu nie weszłyby prosto pod samochód.

– Ma pani jakiś pomysł, co mogło się stać?

– Wspominała coś o stryju Svena-Arnego. Nazywa się Ante Persson. Poznałam go. Kiedyś pisał listy do gazety. O wszystko się wyklócał, nawet na starość. Protestował przeciwko wszystkiemu. Elsa nigdy go nie lubiła. Być może, ale zastrzegam, że to tylko moje spekulacje, starszy pan coś jej powiedział, kiedy poszła go odwiedzić, po tym jak się dowiedziała, że Sven-Arne żyje. Ante mieszka w domu opieki, chyba w Ramund, w Eriksdal.

– Co takiego mógł jej powiedzieć?

– Elsa rzuciła coś, że została zdradzona. Ante i Sven-Arne byli sobie bardzo bliscy, może coś razem uknuli.

Uknuli, pomyślała Ann Lindell. W jej głowie pojawił się obraz dwóch mężczyzn pochylonych ku sobie, szepczących coś tajemniczo.

Rozmowa toczyła się dalej, po kilku minutach Ann miała już jaki taki obraz tego, co się wydarzyło. Elsa Persson, spokojna, zrównowazona kobieta, została całkowicie wyprowadzona z równowagi. To było jasne. Ciekawość Ann została rozbudzona, ale mimo to postanowiła dać sobie spokój z całą sprawą. Oczywiście przekaze informacje Berglundowi. Pewnie nie zainteresują go, skoro zajął się już tamtym morderstwem sprzed lat, ale przynajmniej ona wywiąże się z zadania.

Jest coś, co mnie zastanawia – stwierdził Allan Fredriksson.

– Tak... – zaczęła Ann wyczekująco.

Nie zdążyła się jeszcze dobrze obudzić. Spojrzała na zegarek: kwadrans po siódmej. Dlaczego dzwonisz o tak barbarzyńskiej godzinie, pomyślała. I natychmiast otrzymała odpowiedź.

– Jadę na badania, a chciałem cię złapać, zanim uciekniesz na wybrzeże.

Ann nie pamiętała, żeby wcześniej wspominał coś o jakimś badaniu.

– Obejrzałem wczoraj zdjęcia – ciągnął Fredriksson. – Te z miejsca, gdzie znaleziono stopę. Tam obok jest drzewo, prawda?

– Tak – potwierdziła z pewnym wahaniem. – To jest...

– Świerk – stwierdził jej kolega. – W pierwszej chwili pomyślałem, że to śnieg, ale potem zobaczyłem, że na pozostałych zdjęciach nie ma śniegu.

– Tam był śnieg – przerwała mu Ann, nie bardzo rozumiejąc, do czego Fredriksson zmierza. I co to za badanie, na które się wybiera?

– Ale w miejscu, gdzie znaleziono stopę, nie było śniegu?

– Nie, miejsce było dobrze nasłonecznione, ale do czego zmierzasz? Nie bardzo mam czas, Erik musi zjeść śniadanie.

– Orzeł – przerwał jej Fredriksson krótko. – Na zdjęciu widać odchody orła. To orle drzewo.

Nareszcie zrozumiała, o co mu chodzi. Uśmiechnęła się sama do siebie. Fredriksson uwielbiał wędrówki po lesie i był entuzjastą ptaków.

– To nie lis, tylko orzeł.

– Myślisz, że...

– Oczywiście. Orzeł siedział na drzewie ze stopą w dziobie. Nagle coś go przestraszyło, puścił ją i odleciał. Orły mają swoje ulubione drzewa. Świerk znakomicie się nadaje, z czubka roztacza się wspaniały widok. Może nawet ma tam gniazdo.

Ann Lindell nie miała problemu z wyobrażeniem sobie orła. Na Gräsö wielokrotnie widywała orły morskie. Pewnego zimowego dnia, kiedy razem z Edvardem łowiła w przeręblu na fiordzie w pobliżu jego domu, krążyło nad nimi pięć orłów. Wiedziała, że potrafią być bardzo duże, rozpiętość skrzydeł wynosiła niekiedy dwa i pół metra, i że ich łupem padały czasem nawet spore zwierzęta. Viola, gospodyni Edvarda, twierdziła, że kiedyś widziała, jak orzeł porwał prosię.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie – odezwał się Fredriksson skromnie, ale słychać było, że jest dumny ze swojego odkrycia.

– To mogło tak być – potwierdziła Ann Lindell. – A to by znaczyło, że...

– Że stopa może pochodzić z jakiegoś odległego miejsca – dokończył za nią.

Lindell milczała chwilę. Przed oczami miała fiord z cyplem, Butludden, po drugiej stronie.

– Co to za badanie?

– Rutynowe – odparł Fredriksson.

Chciała zadać mu jeszcze jakieś pytanie, ale powstrzymała się. Podziękowała mu tylko za

wskazówkę.

– Drobiazg – rzucił Fredriksson i rozłączył się.

Tymczasem Erik próbował wlać jogurt do miseczki, ale z dość miernym skutkiem, udało mu się też przewrócić opakowanie müsli.

– Dobra robota – skwitowała Ann. – Po co nam zastawa, możemy jeść prosto ze stołu.

Kilka godzin później stała już na brzegu fiordu. Bultudden, wymamrotała do siebie. Powiodła wzrokiem po okolicy, żeby po chwili zatrzymać go na drzewie. Korona wyglądała dziwnie, gałęzie przypominały wyciągnięte do nieba palce. Pewnie kiedyś uderzył w drzewo piorun.

Teoria Fredrikssona, że orzeł miał tu gniazdo, wydawała się dość prawdopodobna. W koronie widać było niewielkie zagłębienie, być może orzeł zaczął budować gniazdo i zmienił zdanie.

Ann doszła do wniosku, że ślady odchodów na drzewie, brudnobiałe plamy, powstawały przez dłuższy okres. Ze zdjęć wiedziała, że stopa leżała obok drzewa, na posłaniu z igieł. Uznała, że pomysł zasługuje na uwagę i zadzwoniła do Bossego Markssona, który akurat był w Forsmark w związku z serią włamań do domków letniskowych.

Wy tłumaczył jej, jak dojechać na Bultudden. Z miejsca, w którym się znajdowała, nie było żadnego bezpośredniego połączenia; musiała wrócić do głównej drogi, skręcić w prawo, na północ, przejechać kilka kilometrów, a potem skręcić na południe.

Lindell nie powiedziała mu, dlaczego chce jechać na cypel. Marksson nie sprawiał wrażenia zainteresowanego. Nie zaciekał się też, kiedy poprosiła go o numer komórki jego znajomego, który znalazł stopę.

Pół godziny później zatrzymała się przed pierwszym domem. Marksson powiedział jej, że na cyplu było siedem gospodarstw, ale, co mogło wydać się dziwne, żadnych domków letniskowych.

Ann wyszła z samochodu i zaczęła przyglądać się piętrowemu budynkowi. Domyślała się, że został zbudowany w latach czterdziestych, był w dość kiepskim stanie. Czerwona farba wyblakła i odchodziła płatami, a blaszany dach zaatakowała rdza. Dwadzieścia metrów od budynku stała stara stodoła i kilka mniejszych budynków gospodarczych.

Ann Lindell miała wrażenie, że w jednym z okien ktoś się poruszył, najwyraźniej była obserwowana. Furtka wisiała krzywo, żwirowa ścieżka była zachwaszczona. Po jej obu stronach były rabatki kwiatowe, których zwiędnięte resztki świadczyły o zaniedbaniu.

Kiedy była w połowie drogi, nagle drzwi do domku się otworzyły. Stał w nich mężczyzna. Koło sześćdziesiątki, w niebieskim kombinezonie roboczym, niemal łysy. Patrzył na nią kilka sekund, a potem zaczął krzyczeć:

– Idź do cholery! Niczego nie chcę, nie rozumiecie tego? To, że przyśle babę, niczego nie zmieni!

Ann przyglądała mu się zdziwiona. Atak zaskoczył ją, był tak gwałtowny, że na chwilę straciła mowę. Mężczyzna zamachał energicznie ręką, wykonał odmowny ruch, na jego twarzy pojawił się grymas, i znów zaczął krzyczeć.

– Nie słyszysz! Wynoś się do diabła!

Trzasnął drzwiami z hukiem. Stojąca na poręczy werandy doniczka spadła i pękła na dwie części.

Lindell podeszła do okna, w którym wcześniej mignął jej mężczyzna, wyjęła legitymację policyjną i przyłożyła do szyby.

Pół minuty później drzwi znów się otworzyły.

– Coś ty za jedna, do cholery?

– Zawsze jest pan taki gościnnie? – odpowiedziała Ann, uśmiechając się.

– Jesteś policjantką?

Skinęła głową. Mężczyzna wycofał się do korytarza i wykonał ręką gest, który Ann uznała za zaproszenie do środka.

Torsten Andersson, imię i nazwisko było wypisane na skrzynce na listy, wysunął krzesło. Ann usiadła. Widziała, że mężczyzna nadal jest wzburzony, ale w jego spojrzeniu był też przebłysk ciekawości.

– Nastawi pan kawę? Chętnie bym się napiła.

Przyglądał się jej chwilę, pokręcił głową, odwrócił się, otworzył jedną z szafek i wyjął z niej puszkę. Ręce mu drżały.

– Ma pan nowy ekspres?

– Stary był już do niczego – rzucił, odwrócony do niej plecami.

Wsypał kawę, nalał wodę, wyjął dwie filiżanki i zerknął w stronę stołu, ale ich spojrzenia się nie spotkały.

Nie przywykł podejmować gości, pomyślała Lindell. Jego ruchy były niezgrabne, bardzo powolne, jakby cały czas musiał się zastanawiać nad kolejnością wykonywanych czynności.

Postawił filiżanki na stole, potem cukierniczkę i dzbanuszek z mlekiem.

– Pewnie się pan zastanawia, co ja tu robię.

– Chodzi o kury?

– Nie. Chodzi o stopę.

Zaczęła tłumaczyć, dlaczego przyjechała na cypel, nie wspominając jednak o orle.

– Odcięta stopa – powiedział mężczyzna zdziwiony. – Kto odcina komuś stopę?

– Pan?

Odwrócił się z półmiskiem w ręku.

– Żartowałam – wyjaśniła Ann pośpiesznie.

Mężczyzna wymamrotał coś pod nosem, położył na półmisku kilka bułeczek cynamonowych, które wcześniej rozmroził w mikrofalówce, i zaczął się przyglądać ekspresowi.

Wszystko odbywało się bardzo powoli. Lindell rozejrzała się dookoła. Spojrzała na szafki, które jeszcze bardziej podkreślały klimat lat czterdziestych.

– Nie pali pan w piecu – stwierdziła.

– Palę, rano i wieczorem – odpowiedział buńczucznie.

Nalał kawę do filiżanek i usiadł naprzeciwko niej.

Pili w milczeniu. Mężczyzna znów wykonał zapraszający gest ręką, poczęstowała się bułeczką. Była jeszcze ciepła. Uśmiechnęła się i zaczęła jeść. Mężczyzna wyglądał przez okno, ale widziała, że obserwuje ją spod oka.

– Mam piec w piwnicy – odezwał się.

Ann skinęła głową.

– Smaczna bułeczka.

– To zasługa Margit.

– Też mieszka tu, na cyplu?

– W domu obok – odpowiedział, wskazując głową na południe.

Ann wzięła mapę, którą dał jej Marksson, i położyła ją na stole. Torsten Andersson nachylił się z zaciekawionym, niemal podnieconym, jakby nigdy wcześniej nie widział mapy okolicy. Nagle wskazał na coś ręką.

– Tu jesteśmy – powiedział. – A tu mieszkają Margit i Kalle.

Anna zauważyła, że ma pęknięty paznokieć.

– Tu znaleźliśmy stopę – powiedziała, wskazując dłonią na miejsce na mapie.

Mężczyzna podniósł głowę, spojrział na nią, ale nic nie powiedział.

– Proszę opowiedzieć mi o cyplu – poprosiła Ann, sięgając po kolejną bułeczkę.

– Nie ma wiele do opowiadania.

Ann miała jednak wrażenie, że trochę by się znalazło. Cieszyła się, że pierwszą napotkaną osobą był właśnie Torsten Andersson. Atmosfera w jego kuchni była przyjazna mimo niefortunnego powitania. Kolejny raz zerknęła na kuchnię, odkrywając nowe elementy wyposażenia. Stary opiekacz, wciśnięty za pewnie równie stare radio, makatkę z wyhaftowanym napisem, gdzie „mężczyzna się raduje” rymowało się z „kobieta gotuje”, skarpety suszące się na haczyku obok pieca, i stary litrowy kufel z Högnäs, stojący na zjedzonym przez mole bieżniku.

– Ładnie tu u pana – powiedziała. Zauważyła rozbawiony błysk w jego oczach.

– Jakoś sobie radzę.

– Nie może pan rozpalić w piecu? Nawet jeśli teraz nie jest ani rano, ani wieczór. Lubię, jak drewno trzeszczy.

Mężczyzna wstał, wprawnym ruchem wyciągnął kilka szczap drewna, trochę chrustu, wziął zapalnik, podpalił i zamknął drzwiczki, zostawiając tylko niewielką szparkę. Obserwował żarzący się ogień, a kiedy buchnęły płomienie, domknął drzwiczki. Wrócił do stołu i zaczął opowiadać o cyplu, o Bultudden.

Margit, ta, która upiekła bułeczki, okazała się kuzynką mężczyzny.

– Jedną z dwudziestu sześciu – dodał z krzywym uśmiechem.

Tu się urodziła i tu już ponad czterdzieści lat temu wyszła za mąż za Kallego. Teraz oboje byli na emeryturze. Mieli trójkę dzieci, wszystkie wyfrunęły już z gniazda.

– Kalle piłuje jedynie drewno – powiedział mężczyzna. – I w tym jest dobry – dodał. – Pracujemy razem w lesie, przerzedzamy go.

Wstał i dołożył drewna.

– To świerk – powiedział. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolona?

Ann Lindell skinęła głową. W kuchni zrobiło się ciepło, zdjęła sweter, poprawiła koszulkę. Torsten Andersson rzucił szybkie spojrzenie na jej biust, spuścił wzrok zażenowany, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

– Sam nigdy się nie ożeniłem – powiedział. – Dolać ci kawy? – zatroszczył się.

Kiedy Ann Lindell odmówiła trzeciej filiżanki, ciągnął dalej:

– Margit zawsze bardzo mi pomagała. Zajmowała się mną.

Wyjrzał przez okno, pojedyncze krople deszczu uderzały o szybę.

– Uszyła firanki – dodał, wskazując ręką w stronę okna.

Lindell ogarnęła nagle fala czułości do mężczyzny po drugiej stronie stołu.

– Kiedy tu przyszedłem, bardzo się pan zezłościł. Dlaczego?

– Myślałem, że jesteś maklerką. Ciągłe nas tu nachodzą. Chcą kupować.

– Ma pan dużo ziemi?

– Ja i Margit posiadamy większość terenów na cyplu. I oboje jesteśmy równie uparci –

dodał, uśmiechając się.

Jego twarz rozświetliła się, ukazując misterny wzór zmarszczek.

– Odziedziczyliśmy te ziemie i niech tak zostanie. Kiedyś przejmą je synowie Margit i Kallego. Ja też zostawię im to, co moje. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

Kolejny uśmiech.

– A kury? Co to za historia?

Uśmiech zniknął.

– Kiedyś je hodowałem, potem zmieniły się przepisy. I zaczęli mnie ścigać. Więc poukręcałem im łebki.

Ann pomyślała o Violi na Gräsö. Czy władze i jej nie dawały spokoju?

– Dużo pan ich miał?

– Prawie trzysta sztuk. Bez przerwy gdakały.

Ann była przekonana, że Torsten Andersson dbał o swoje kury.

– Proszę opowiedzieć mi coś więcej o cyplu – poprosiła.

Wiedziała, że musi uważać i nie dać się wciągnąć w jego opowieści. Miała do wykonania zadanie. Marksson spodziewał się raportu i nie miał on dotyczyć kur. Wyjęła notes. Napisała „Jeden”, a obok „Torsten Andersson”.

– Dwa – dodał mężczyzna.

Ann Lindell napisała „Dwa”, a obok „Margit i Kalle”.

Torsten obserwował ją z uwagą, wyprostował się, odsunął filiżankę.

– Pięćset metrów za Margit i Kalle mieszka Thomas B. Sunesson. To „B” jest ważne. Jest mechanikiem w Vattenfall, pracuje jako elektryk. Mieszka tu już od piętnastu lat. Nie jest żonaty, ale nie nazwałbym go eremitą. Często wyjeżdża gdzieś na tańce, głównie do Norrskedika.

Potem podał jej jeszcze inne nazwiska ludzi mieszkających na północy i na południu Bultudden. Dwa małżeństwa, „Cztery” i „Pięć”, i dwóch samotnych mężczyzn, „Sześć” i „Siedem”.

– No i jest jeszcze Lisen, ale jej nie liczymy. Mieszka nad samym brzegiem, dziwna kobieta. Nie ma łatwego życia. Czasem tu zagląda. Zresztą nie mieszka tu na stałe, wynajmuje ode mnie starą szopę na łodzie. Raz tu jest, raz jej nie ma. Niespokojna dusza. Akurat w tym tygodniu tu jest. Na stałe mieszka w Uppsali.

Po uzyskaniu informacji na temat mieszkańców cypla, uwzględniających także krótkie dane biograficzne, Ann Lindell podziękowała Torstenowi za pomoc, ale kiedy wyszli do sieni, zadała mu jeszcze ostatnie pytanie.

– Idąc tutaj, widziałam dużego ptaka. Czy to mógł być orzeł morski?

– Jak najbardziej. Mamy tu kilka sztuk.

Torsten wyglądał niemal na dumnego.

– Mają tu gniazda?

– Tak, mamy tu dwie pary.

Ann była głodna, ale postanowiła darować sobie lunch, żeby zdążyć odwiedzić jeszcze kilka gospodarstw. Kuzynka Margit i jej mąż na pewno byli w domu, może też któreś z pozostałych małżeństw.

Pomyślała, że z samotnymi mężczyznami może mieć problem, bo zapewne w dzień pracowali: Sunesson w Vattenfall, Lasse Malm w Forsmark, a ostatni z nich, Tobias Frisk, w piekarni w Östhammar.

Uznała, że cała trójka może być interesująca. Nie podejrzewała, żeby któreś z małżeństw oddawało się kawałkowaniu zwłok. Zastanawiała się, czy z grona podejrzanych może wykluczyć Torstena Anderssona.

Jak to się stało, że nagle cypel stał się najbardziej interesującym miejscem w kontekście całego dochodzenia? Jednym z powodów było zapewne to, że Marksson i jego koledzy zdążyli już odwiedzić wszystkie gospodarstwa po drugiej stronie fiordu i dokładnie przesłuchać ich mieszkańców. Poza tym przemawiał do niej pomysł z orłem. Pomyślała z wdzięcznością o Fredrikssonie. Jeśli jego teoria się potwierdzi, na pewno wywoła zainteresowanie i pobudzi wyobraźnię. Chciała, żeby tak się stało. Miała całą sekwencję zdarzeń przed oczami: orzeł, który unosi się w powietrze, morderca widzi, jak część ciała jego ofiary znika gdzieś wysoko w chmurach, orzeł szybuje ze stopą nad czubkami sosen, macha, pewnie niezbyt wdzięcznie, swoimi potężnymi skrzydłami, a potem znika.

Prawdopodobieństwo, że to rzeczywiście był orzeł, wzrosło po rozmowie Lindell z Örjanem Bäckiem, który widział orła szybującego w powietrzu kilka sekund przed znalezieniem stopy. Orzeł leciał dość nisko nad wodą, kierując się w stronę cypla.

A może tracę czas, zaczęła się zastanawiać Ann. Powolnym krokiem, nieco niechętnie ruszyła w stronę samochodu, czując na plecach wzrok Anderssona, a w nozdrzach zapach żywicznego świerku. Zauroczone krajobrazem, surowym, a jednocześnie bogatym, który stanowił tło jej miłości, zakochana w dialektcie, który w jej uszach na początku brzmiał nieco dziecinnie i zabawnie, ale po okresie spędzonym z Edvardem na Gräsö, zaczęła chłonąć go jak gąbka deszcz. Dała się uwieść morzu.

Doskonale rozumiała, że jadąc do Roslagen, wystawia się na pokusę, że sama ze sobą prowadzi grę. Udaje dochodzenie, dając żalosne przedstawienie z jednym aktorem i nią w roli publiczności. Bo z kim miałyby dzielić swoją śmieszna pasję, swój smutek i okaleczone życie miłosne?

Ale, bo w jej teatrze zawsze było jakieś ale, mogła przecież przekształcić miłość do krajobrazu i ludzi w staranne śledztwo. Przybyła tu z zewnątrz, cieszyła się szacunkiem, słuchano jej, nie była niczym związana. Mogła zamienić swoją słabość w siłę.

Kiedy wróciła do samochodu, pomyślała, że jest jeszcze jeden powód, dla którego ta sprawa tak bardzo jej odpowiadała. Działała sama, nie musiała się o nikogo troszczyć, nie musiała z nikim rywalizować. Zwykle pracowali we dwójkę, ale Ottosson najwyraźniej wziął pod uwagę jej niewypowiedziane życzenie, które zresztą współgrało z aktualną sytuacją w komisariacie. Nie było nikogo wolnego, a Marksson był zbyt obłożony pracą, żeby móc jej towarzyszyć.

Potrzeba samotności narastała w niej. Nie potrafiła powiedzieć, czy czyniła jej pracę bardziej skuteczną, w tej chwili nie miało to większego znaczenia. To już nie była tylko potrzeba, ale wręcz konieczność.

„Mizantropka” nazwał ją kiedyś Sammy Nilsson. Nie była do końca pewna, co chce przez to

powiedzieć, więc pozostawiła to bez komentarza. Potem sprawdziła znaczenie słowa w słowniku: gardząca światem, nie lubiąca ludzi.

Uśmiechnęła się sama do siebie. Taka się stała. Ale Sammy Nilsson i pozostali też się do tego przyczynili. Była kobietą bez wyobraźni, z zabagnionym życiem miłosnym, była matką, nie gorszą od innych matek, i dobrym, niekiedy wręcz bardzo dobrym gliną. Lubiała to określenie. Glina. Dobrze brzmiało, była w nim odwaga i skuteczność.

Droga skręcała, prowadziła teraz wzdłuż kamiennego wygrozdzenia, jakieś pięćdziesiąt metrów przed nią były zabudowania.

– Bultudden – powiedziała sama do siebie i zwolniła.

Lubiła takie widoki: dom, furka, którą zaraz otworzy, i zobaczy nowe twarze, pozna nowych ludzi.

Co miał zostawić? Śmieszne pytanie. Rozejrzył się po niewielkim mieszkanku. Niewiele tu zgromadził. Ubrania i rzeczy osobiste zmieściłyby się w dwóch średniej wielkości walizkach. Po dwunastu latach.

Sven-Arne zaczął nieco bez składu i ładu przeglądać swój dobytek: kilka par spodni, jakieś koszule, trochę bielizny. Nic z tego nie przyda mu się w Szwecji. Być może kalessony. Odłożył je na bok.

Obok drzwi stały trzy pary sandałów, jednych używał w pracy, w pozostałych chodził po domu, bądź wkładał je, kiedy szedł do szkoły. Wyglądały, jakby się wstydziły, a może po prostu przerażała je perspektywa przeprowadzki do tak odległego kraju?

Jasnoniebieska koszula miała dziurę przy kołnierzyku. Przyłożył ją do twarzy, chłonąc zapach środka do prania, po czym odłożył na stertę rzeczy, które zamierzał podarować sąsiadowi mieszkającemu piętro niżej.

Dwie białe koszule postanowił zatrzymać, przy trzeciej się zawahał, w końcu jednak zdecydował, że ją zostawi.

Przez godzinę krążył bez celu po mieszkaniu, brał różne rzeczy do ręki, odkładał je. Wazon, który dostał od Lestera, owinął w chusteczki, które podarowała mu Jyoti, zanim na dobre wyjechała do Sennaju. Piękny kamień, pamiątka z wycieczki do Nandi Hills, włożył do kosmetyczki. Angielski sekator, marki Wilkinson, który kupił za duże pieniądze, owinął w bawełnianą chustę.

Wymówił umowę najmu mieszkania. Gospodarz uściskał mu dłoń z zatroskaną miną i zapewnił go, że był jego najlepszym lokatorem. Wyrzucił też nadzieję, że wkrótce tu wróci. Ale co możemy wiedzieć o przyszłości? Chodzi o kobietę? A może w Anglii czeka go spadek? Gospodarz, który w tajemnicy przed nim wielokrotnie przeszukiwał jego mieszkanie, w nadziei, że dowie się o nim czegoś więcej, wyglądał na autentycznie zmartwionego. Pan tu wróci, prawda?

Chciał wracać? A może jego czas w Bangalurze, w Indiach w ogóle, dobiegł końca? Wracał do domu, żeby umrzeć? W pewnym sensie czuł, jakby rzeczywiście wychodził śmierci na spotkanie. Jakby Svensk był posłańcem, który przyniósł mu wiadomość, że pora wszystko podsumować, a potem się poddać.

Nie czuł strachu, nie lękał się otchłani, która kiedyś go pochłonie. Dla niego Szwecja oznaczała śmierć. Pragnął tylko jednego: porozmawiać z Ante. I wyjaśnić tę jedną sprawę, która pozostała niewyjaśniona. Potem mógł uznać, że skończył i z Indiami, i ze Szwecją.

Z Elsą nie chciał się widzieć. Nawet jeśli jej życie dobiegało końca, nawet jeśli... Nie dokończył myśli.

Polityka go nie obchodziła.

Ale było jeszcze coś: chciał jeszcze raz zobaczyć domek babci i gospodarstwo Rosberga, jeśli nadal istniały.

Dość tego, pomyślał. Jedź tam, tak żeby nikt cię nie zauważył. Jak wtedy. Wyjdiesz z samolotu, to pewnie będzie w grudniu, pomyślał i przerażony spojrzął na stertę leżących przed nim ubrań. Podążysz tunelem do celu. Niczego nie żądaj, odpuść sobie. Postaw swoje

kropki.

Usiadł przy stoliku. Przed nim leżało kilka książek, zielnik, kilka broszur o medycynie naturalnej i biografia Gandhiego. Pomyślał o tych wszystkich drzewach, które sadił w Lal Bagh. Uśmiechnął się. Lester będzie go pamiętał. Sądził, że drzewa też będą wspominały swoją młodość, kiedy to wysoki, chudy ogrodnik chwycił ręką ich pień i ostrożnie umieszczał roślinę w ziemi, obsypywał korzenie wilgotną ziemią, a następnie ubijał ją, delikatnie po niej deptając. Następnie otaczał roślinę niskim wałem z ziemi, napełniał go wodą, czekał, aż wsiąknie, i podlewał ponownie, aż ziemia stawała się mokra.

Drzewa pamiętają. Wzdychały zadowolone, kiedy już stały na swoim miejscu. Sven-Arne był o tym przekonany. To właśnie te wspomnienia sprawiały, że rosły.

Zawsze był bardzo uważny i troskliwy. Nic nie denerwowało go bardziej, niż gdy ktoś zaniedbywał rośliny, zaniedbywał ziemię. Lester odczuwał podobnie. Być może to właśnie było fundamentem ich przyjaźni?

Czy będzie tęsknił za Lal Bagh? Może, a może nie. Drzewa będą go pamiętać, tym się pocieszał. Postanowił wziąć ze sobą mniej rzeczy, niż pierwotnie zamierzał. Spakował je do jednej walizki i do niewielkiej torby podróżnej, noszonej na ramieniu. Obejrzał się jeszcze ostatni raz, opuścił mieszkanie, zostawiając niedomknięte drzwi. Wyszedł na chłodne poranne powietrze, pomachał ręką Ismaelowi, z którym pożegnał się już poprzedniego wieczoru. Ruszył powoli przed siebie. Podjechała riksza, dał znak dłonią, że nie jest zainteresowany. Postanowił przejść kawałek na piechotę.

Przeszedł kilkaset metrów i zwolnił, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. W końcu zatrzymał się, postawił walizkę na ziemi i odwrócił się. Ismael stał nadal przed swoim salonem i patrzył za nim. Sven-Arne miał wrażenie, że się uśmiechał. Ale właściwie niemal zawsze się uśmiechał.

Poprzedniego wieczoru bardzo starannie go ostrzygł i ogolił. Rozmawiali o ostatnich wydarzeniach w okolicy: zmarła starsza kobieta, była aż „za stara”, para mieszkająca nad salonem fryzjerskim znów się pokłóciła, mężczyzna „nie był dobrym człowiekiem”. Policja szukała gangu chłopców, którzy zbierali się w składziku. Tamilowie! Zanim się rozstali, Ismael nieco niezdarnym ruchem, zażenowany, ale i dziecinnie podniecony, wyjął niewielkie pudełko i podał mu je. Od nas wszystkich, powiedział, wykonując niezdecydowany gest dłonią, jakby chciał w ten sposób ogarnąć całą ulicę. Sven-Arne przyjął prezent, ale nie otworzył pudełeczka. Za nic na świecie nie chciał się rozplakać w salonie Ismaela.

Powędrował wzrokiem po zniszczonych sprzętach, nie do końca czystych grzebieniach w szklanych słoiku, buteleczkach z wodą po goleniu i przeróżnymi tynkturami, poplamionym lustrze i małym stoliku, na którym zawsze stał wazonik z plastikowymi kwiatami, i po kotarze oddzielającej część pomieszczenia, gdzie klienci Ismaela myli się przed piątkowymi modłami. Ismael podążył za jego wzrokiem. Sven-Arne chciał powiedzieć mu coś miłego, coś, co Ismael mógłby zapamiętać, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Na zewnątrz, na ulicy, stała jak zwykle gromadka chłopców. Znał ich wszystkich. Niektórzy z nich chodzili do niego na lekcje.

Co fryzjer im o nim opowiadał? Co będzie o nim mówił za pięć czy dziesięć lat? Jak długo pozostanie w pamięci tej społeczności? Co będą o nim mówić chłopcy?

Sven-Arne wiedział, że był powszechnie lubiany. Nigdy nie skrzywdził nawet muchy, był

uprzejmy, uważny, ale czy będzie im go brakować? Swoim ostrożnym milczeniem wzbudzał szacunek, ale Hindusi cenili sobie też odrobinę dramatyzmu, a tego Sven-Arne nie mógł im dostarczyć.

Powinien był się bardziej angażować? Śledził debatę na temat kierunków rozwoju hinduskiego rolnictwa, widział, jak międzynarodowe koncerny ze swoimi genetycznie modyfikowanymi roślinami i specjalnie ukierunkowanymi środkami ochrony roślin coraz prężniej wchodziły na rynek. W ostatnich latach na łamach prasy toczyła się dyskusja dotycząca wody i jej zasobów. Wznoszone tamy niszczyły kraj, zmuszono ludzi do ucieczki, a fabryki nadal zanieczyszczały wody gruntowe wzdłuż wybrzeża, bagna mangrowe wysychały. Nie było wątpliwości, że jest to głęboko niesprawiedliwe, że wyrządza krzywdę wszystkim, którzy pracują na roli, przy uprawie roślin. W Lal Bagh często o tym rozmawiano.

Sven-Arne doskonale wiedział, że Bangalur, całe nowoczesne Indie budowały swój rozwój po części kosztem pracy i nędzy biednych chłopów.

Nawet na płaszczyźnie lokalnej była możliwość zaangażowania się. Dziedzin było wiele: wywóz śmieci, kiepski stan dróg czy renowacja mieszkań nad kanałem. Być może powinien był się zaangażować, ale prawdę mówiąc, nie był pewien, czy może. Policja z pewnością zwróciłaby uwagę na cudzoziemca, który zacząłby zabierać głos w lokalnych sprawach, i wkrótce okazałoby się, że przebywa w kraju nielegalnie, mógłby zostać wydalony albo, co gorsza, osadzony w więzieniu.

W Szwecji nie chciał być osobą publiczną, w Indiach nie mógł nią być.

Sven-Arne przeciągnął dłoń po swoich gładkich policzkach, ostatni raz pomachał ręką Ismaelowi, chwycił walizkę, która wydała mu się nagle cięższa, i kontynuował swoją wędrówkę na dworzec autobusowy.

Cypel Bultudden był powiązany ze Szwecją jedynie wąskim językiem ziemi, kablem elektrycznym i kablem telefonicznym. Na zewnątrz rozciągał się archipelag z targanymi wiatrem szkierami i skalnymi wysepkami, a dalej było już Morze Alandzkie.

Ann Lindell stała na samym czubku cypla, zwrócona na południe usiłowała podsumować wyniki pracy ostatnich dwóch dni. Nie były szczególnie imponujące.

Wiatr wiał od wschodu, kierując wzburzone fale na skały. W powietrzu wisiał śnieg. Spojrzała na horyzont, mając nadzieję, że może zobaczy orła, jakiś znak życia w tym pustkowiu. I znak, że jednak nie przyjechała tu na próżno. Ale na niebie niczego nie było. Nawet mewy.

Rozmawiała z kuzynką Torstena Anderssona i jej mężem. Margit Paulsson była niska i szczupła, Kalle był od niej trzydzieści centymetrów wyższy i szerszy. Ona urodziła się na cyplu, on przybył tu ze stałego lądu, z „miasta, którego nazwy nie pamiętam”. Margit była rozmowna, pełna pomysłów, aktywna, nawet kilku sekund nie potrafiła usiedzieć spokojnie, podczas gdy Kalle siedział jak przymurowany przy stole w kuchni, w miejscu, które pewnie zaklepał sobie już czterdzieści pięć lat temu. Uśmiechał się milcząco i nucił coś pod nosem, od czasu do czasu kręcąc głową na oracje żony.

Byli dokładnie w tym samym wieku, co do dnia, oboje przyszli na świat rankiem w Wigilię sześćdziesiąt siedem lat temu, co uważali za wielką zaletę.

On pracował na roli, w lesie i jako stolarz. Jak Edvard, pomyślała Ann, przyglądając się olbrzymowi nieco dokładniej. Margit „była w domu”. Mieli trzech synów. Kiedy Margit zaczęła opowiadać o Rustanie, Kurcie i Torbjörnne, w oczach Kallego pojawiło się coś dobrotliwego.

– Kto odcina człowiekowi stopę? – spytała Margit, powtarzając dokładnie to, co wcześniej powiedział jej kuzyn.

Na to pytanie Lindell nadal nie miała odpowiedzi. Z listy podejrzanych wykreśliła już Margit i Kallego, podobnie jak dwie pozostałe pary, Ullę i Magnusa Olssona w gospodarstwie numer cztery, i Doris Utman, i jej przywiązanego po udarze do łóżka męża, Oskara, w gospodarstwie numer pięć.

Wszyscy byli mniej więcej w tym samym wieku co Margit i Kalle, raczej należało ich wykluczyć jako kandydatów do ćwiartowania ciała.

No i była też Lisen Morell, która według Ann nie była w stanie podnieść śrubokręta, nie mówiąc o pile. Chodziła chwiejnym krokiem po szopie na brzegu, usiłując uporządkować swoje życie.

W pierwszej chwili Ann pomyślała, że kobieta jest pijana, szybko jednak zorientowała się, że Lisen była tak otumaniona, pewnie psychotropami, że z trudem utrzymywała równowagę. W ogóle wszystko przychodziło jej z trudem. Mówiła niewyraźnie, często nieskładnie. Jakby miała sucho w ustach.

– W ogóle nie mam apetytu – narzekała, pokazując swoje kościste ręce.

Poza tym marzła. Rozpalił w kominku albo włożył sweter, chciała doradzić jej Ann. Źle się czuła w obecności tej dziwnej kobiety, jej równolatki.

Zaproponowała, że rozpali ogień i przygotuje coś do jedzenia. Kobieta spojrzała na nią

przerażona.

Ann wyszła, zostawiając ją samą, przekonana, że kobieta umrze, jeśli wkrótce nie otrzyma pomocy.

Wiatr przywiał z nad morza pierwsze ziarenka śniegu, piekielnie ostre, twarde, poczuła ból, kiedy trafiły ją w twarz.

Zostały jej jeszcze trzy gospodarstwa. Trzech samotnych mężczyzn. Zebrała już o nich nieco informacji od sąsiadów, ale oczywiście chciała się z nimi spotkać osobiście. Wiedziała, że musi starannie wszystko sprawdzić, inaczej nie zazna spokoju. Nie miała innych zleceń, mogła więc zostać tu nieco dłużej, a może robiła to z innego powodu? I chciała, i nie chciała, żeby zagadka stopy znalazła swoje rozwiązanie tu, na cyplu.

Wszyscy trzech mężczyźni pracowali, nie mogła przesłuchać ich w ciągu dnia. Nie chciała, ale też i nie bardzo mogła, wzywać ich na komisariat w Östhammar. Musieliby zwalniać się z pracy, nie było powodu do takiej nadgorliwości.

Wrzuciła więc do ich skrzynek na listy karteczki z prośbą o skontaktowanie się z nią. Malm i Frisk już to zrobili, zadzwonili na jej komórkę. Uzgodnili, że zajrzy do nich w sobotę. Zdążyła już nawet zapewnić opiekę nad synkiem. Dzisiaj był czwartek. To dobrze. Spędzi cały dzień w Uppsali.

Zapadał zmrok, śnieg był coraz gęstszy, ale ona nadal stała na czubku cypla i nie mogła się ruszyć z miejsca. W końcu, przemarznięta, w mokrej od śniegu kurtce, ruszyła przez las w kierunku niewielkiego placu, gdzie zostawiła samochód.

– Szwecja, moja ojczyzna – wymamrotała pod nosem.

Przed nią były cztery miesiące zimy. I zapewne co najmniej cztery poważne przestępstwa, być może nawet morderstwa, które przyjdzie jej rozwiązać przed nadejściem wiosny. Nie narzekała, już nie. Nie było sensu. Po prostu stwierdzała fakt. To było jej zwycięstwo.

Jechała znaną już sobie drogą na północ, pomachała ręką Olssonom, Utmanom i Paulssonom, pewna, że widzą, jak przejeżdża obok. Przy furtce Torstena Anderssona zatrzymała się i wysiadła. Zanim zdążyła podejść do domu, on już otworzył drzwi. W rękę trzymał torbę. Obiecał jej ryby.

– Złapałaś już drania?

Uśmiechnął się. Odwzajemniła jego uśmiech i pokręciła głową. Zajrzała do torby. Był w niej tuzin okoni.

– Powinna być kara śmierci – odezwał się Torsten Andersson.

– To znaczy?

– Jeśli mam psa, który rzuca się na ludzi, to się go pozbywam, prawda?

Lindell pokiwała głową. Była zmartwiona, że po raz kolejny przyjdzie jej wysłuchiwać znanych argumentów, ale też, że wypowiada je człowiek, którego spontanicznie polubiła.

– A morderca trafia do więzienia albo do szpitala.

– Czy to znaczy, że powinno się ich wywieźć do lasu i zastrzelić?

Jej głos przecinał zimny wschodni wiatr, płatki śniegu wirowały w powietrzu przed domem. Pewno marznie, pomyślała. Torsten Andersson miał na sobie tylko koszulę.

Nie odpowiedział, tylko pokręcił głową.

– Coś jest nie tak – dodał po chwili.

– Dziękuję za ryby – rzuciła Ann, odwróciła się na pięcie i ruszyła do samochodu.

– Cholernie nie tak! – usłyszała, jak woła za nią mężczyzna.

Kiedy mijała Hökhuvud, zaglądając przez okna do stojących przy drodze domów, pomyślała, że gdyby miała talent, mogłaby napisać sagę o Szwecji. Większość osób, które spotykała w swojej pracy, okazywała się niewinna, ale w jej sadze znalazłoby się miejsce także dla tych winnych, dla morderców, gwałcicieli, zabójców i złodziei.

Opowieść kłusownika nie jest gorsza czy mniej prawdziwa niż opowieść myśliwego.

Dotarła do Gimo i zatrzymała się na stacji benzynowej. Wyjęła z bagażnika torbę z rybami, wrzuciła do pojemnika na śmieci, weszła do środka i kupiła egzemplarz „Aftonbladet”.

Odzyskałaś kolory – stwierdził sammy Nilsson.

Ottosson układał papiery, ale podniósł głowę. Ola Haver zaczął nalewać kawę z termosu.

– Jestem nostalgiczną wiejską policjantką – powiedziała Ann Lindell i z uśmiechem przyjęła filiżankę, którą podał jej Haver.

– Dzięki, Ola, miło z twojej strony – wygłosiła serdecznym tonem, który go zdziwił.

Ann zasnęła późno, źle spała, a obudziła się z bólami menstruacyjnymi.

– Witaj, „Eagle” – zawołał Sammy Nilsson na widok wchodzącego do pokoju Fredrikssona.

– Lindell właśnie opowiedziała nam o swoich ornitologicznych przygodach na wybrzeżu.

– To powinien być flaming – rzuciła Ann.

Ottosson spojrział na nią zdziwiony. Ann pomyślała, że jednak brakuje mu wyobraźni.

– Wtedy pojechałabym do Afryki Zachodniej – dodała, ale Ottosson nadal niczego nie rozumiał.

Westchnęła i usiadła przy stole.

– Muszę przejrzeć trochę starych papierów – wyjaśniła, głównie, żeby uprzedzić komentarze pozostałych, Beatrice i Riisa, którzy teraz do nich dołączyli.

– Strzelanina w Vattholma – powiedział Ottosson. – Ktoś strzelał w lesie, nie wiadomo dla czego. To najciekawsza wiadomość z wczorajszego wieczoru i nocy. Poza tym spokój. Kilka włamań do mieszkań i kolejne podpalenie samochodu w Stenhagen.

– Kiepska pogoda na polowanie na złodziei – stwierdził Haver.

– Gdyby tak ktoś chciał podpalić mój samochód – rozmarzył się Sammy Nilsson.

– No dobrze, a jak poszło w Östhammar?

– Potrzebuję jeszcze jednego dnia. Pojadę tam jutro, muszę przesłuchać trzy osoby.

– A co z Erikiem? – zatroskał się Ottosson.

– Coś wykombinuję. Potem dam już sobie spokój z Roslagen.

– Miejskowa policja nie może się tym zająć?

– Nie, i bez tego mają co robić, poza tym chcę dokończyć to, co zaczęłam.

– Coś masz?

– To tylko przeczucie – odpowiedziała Ann skromnie, uśmiechając się do Fredrikssona.

Domyślała się, że jeśli do przełomu dojdzie w wyniku jego teorii, będzie to dla niego bardzo ważne.

Co prawda miała mnóstwo „staroci”, zalegających na biurku, ale postanowiła zwolnić tempo. Po części dlatego, że ból pleców stawał się momentami nie do wytrzymania, a po części dlatego, że chciała jeszcze raz odwiedzić Berglunda.

Przed wyjściem sprawdziła jeszcze rutynowo skrzynkę pocztową, na szczęście nie było w niej niczego, co by nie mogło poczekać.

Dopiła kawę i poszła do Ottossona.

– Jakieś wiadomości od Berglunda?

Haver był u niego wczoraj. Wydawał się spokojny. Zaczął spacerować po szpitalu. No i studiuje materiały z tego dawnego dochodzenia.

– Zamierzam dzisiaj wpaść do niego.

– Na pewno się ucieszysz – powiedział Ottosson zadowolony.

Zaczął szukać czegoś w leżącej obok stercie dokumentów, wyjął jakiś papier, ale odrzucił go i uśmiechnął się do niej zmieszany.

– Nic nie rozumiem – wymamrotał pod nosem.

Lindell uśmiechnęła się. Wiedziała, że Ottosson znajduje się pod presją i doceniała, że mimo wszystko potrafił się opanować. Po raz kolejny mogła stwierdzić, że ma dobrego szefa. Rzadko się zdarzało, żeby narzekał na swoją sytuację zawodową, chociaż powodów nie brakowało. Rzadko bywał arogancki czy nie w humorze, natomiast zdarzały mu się chwile roztargnienia. Jak tego ranka.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Nie – odpowiedziała Lindell.

Chętnie zostałaby i porozmawiała z nim chwilę, ale uznała, że w takiej sytuacji powinna po prostu zostawić go w spokoju.

Na jej biurku leżała kartka z zapisanym pospiesznie nazwiskiem. Charakter pisma był jej, ale nie była w stanie dojść, kiedy i z jakiego powodu zapisała nazwisko. Nagle przypomniała sobie, że chodziło o krewnego zaginionego radnego. Jego nazwisko podała jej sąsiadka Elsy Persson.

Ante Persson, mężczyzna, który najwyraźniej tak zdenerwował Elsę, że wyszła na jezdnię prosto pod ciężarówkę. Sąsiadka wspominała coś o domu opieki. Gdzie? W Ramund? Elsa Persson wpadła pod ciężarówkę na rogu Sysslomansgatan i Luthagsleden. To by się zgadzało. Jeśli szła w kierunku miasta od strony domu opieki, to powinna przejść przez Luthagsleden właśnie w tym miejscu.

Ale przecież była tam już raz, opowiadała o tym sąsiadce. Może poszła tam ponownie? Była w drodze do domu opieki, czy stamtąd wracała?

Tak czy inaczej ciekawość Ann została obudzona. Ante. Imię podobało jej się. Pomyślała, że jeśli go odwiedzi, to może dostanie jakąś odpowiedź. No i będzie miała co opowiadać Berglundowi.

Pierwsze, co zobaczyła, to regał z książkami, a raczej mnóstwo książek, poukładanych jedna na drugiej, a potem dłoń, spoczywająca na wezglowiu łóżka. Dłoń bez dwóch palców.

– A niech to!

Opiekunka za jej plecami zachichotała.

– A nie mówiłam – wyszeptała do Ann, która odwróciła głowę i spojrzała na nią zła. Kobieta, która najwyraźniej chciała coś jeszcze dodać, zamilkła, ale usta miała nadal otwarte.

– Dziękuję – rzuciła Lindell, odwracając się do niej plecami.

Usłyszała, jak za kobietą zamykają się drzwi.

Ręka fascynowała ją. Była silna. I owłosiona, przynajmniej ta jej część, która była widoczna. Szare, poskręcane włoski. Mięśnie napięły się i Ante Persson uniósł się na łóżku. Widziała jego ramię i plecy.

Ponownie zapukała we framugę, próbując przekrzyknąć włączone radio. Głos mówił coś o Iraku.

– Mogłem się tego domyślić – usłyszała mamrotanie starca.

Zrobiła kilka kroków w głąb mieszkania, przeszła przez wąski korytarz i stanęła w drzwiach do pokoju. Miała wrażenie, że mężczyzna bardziej wyczuwa jej obecność, niż ją

słyszysz, bo nagle się odwrócił. Na jego twarzy pojawił się grymas, być może bólu. Nie wyglądał ani na zdziwionego, ani na przestraszonego, był po prostu zły.

– O co chodzi?

– Pan Ante Persson? Dzień dobry – powiedziała głośno.

– Nie jestem głuchy!

Lindell skinęła głową.

– Można ściszyć radio?

– Leci Echo.

Zrobiła kolejny krok i zawahała się, czy podać mu rękę. Lewa ręka mężczyzny zwisała wzdłuż ciała i wyglądała na zadziwiająco słabą, podczas gdy prawa opierała się na barierce chodzika. Jeśli ją zdejmie, może stracić równowagę, pomyślała.

– Nie jesteś z personelu – stwierdził.

Lindell pokręciła głową.

– Jestem z policji.

Uśmiechnęła się, kiedy na jego dotąd obojętnej twarzy pojawiło się nagle drobne pęknięcie, a w jego oczach przez moment dało się zauważyć wahanie.

– Czego się śmiesz? – wysyczał.

Co za staruch, pomyślała i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Zrzęda z pana – powiedziała.

Ku jej zdziwieniu na twarzy starszego pana pojawił się uśmiech. Mężczyzna pokuśtykał do radia, wyłączył głos, dziennikarz zamilkł w połowie zdania, które zaczynało się obiecująco, brzmiało: „Zima zapowiada się łagodnie, twierdzi...”

– Kłamię – powiedział. – Czeka nas cholernie ciężka zima. Siadaj!

Ann usiadła w kuchni przy stole, który stał wciśnięty między półki z książkami. Miejsce wydało jej się dziwne, ale domyśliła się, że stół nie był używany zgodnie ze swoim przeznaczeniem, tylko służył przede wszystkim jako miejsce do pracy. Na blacie stała nowoczesna lampa do czytania, leżał stos książek, notes, kieszonkowy magnetofon i szkło powiększające. Stała też puszka z ołówkami, obok piętrzył się stos kopii różnych dokumentów i żółty marker.

Ann Lindell usiadła od strony, od której, jak sądziła, Ante Persson raczej nie siadał. Zaczęła bacznie studiować pokój. Mężczyzna zajął miejsce naprzeciwko niej. Pokój był umeblowany spartańsko. Łóżko nie było posłane. W jednym rogu leżała haftowana poduszka. Na ścianie między dwoma oknami wisiał dyplom, tak przynajmniej jej się wydawało. Dokument był za szkłem, oprawiony w srebrną ramkę. Było na nim pełno stempli, był też dekoracyjny zawijas w żółci i czerwieni, przypominający godło. Na papierze wymyślnymi literami wypisane było imię i nazwisko: Ante Persson.

Sterna książek na stole składała się głównie z dzieł angielskojęzycznych. Odczytała kilka tytułów: Antioch Hill, Beyond Exile and Death. Jedna z książek, na samym spodzie, była chyba po hiszpańsku.

– Dużo pan czyta – stwierdziła, pozwalając wzrokowi wędrować po półkach.

– Czego chcesz?

Postanowiła nie owijać niczego w bawełnę. Ante Persson na pewno nie należał do tych, których można było kupić miłymi słówkami czy pochlebstwami.

– Elsa Persson jest w szpitalu – powiedziała, starając się pochwycić jego wzrok.

– Co się stało? – spytał chłodno, bez emocji.

– Przejechała ją ciężarówka.

Skinął głową. Żadnych pytań, ani jak do tego doszło, czy jak poważnie była ranna. Co to za człowiek, pytała sama siebie.

– Wyszła na jezdnię wprost pod ciężarówkę, zaraz po wizycie u pana.

– Przykro mi.

Gdyby miała opisać jego głos, użyłaby jednego określenia: szorstki.

– Naprawdę? Miałam wrażenie, że nie jesteście sobie szczególnie bliscy.

– Rzadko się widywaliśmy. Ostatnio dwa lata temu, wizyta trwała pięć minut.

Spojrzał na nią rozmytym wzrokiem. Jego źrenice miały bliżej nieokreślony kolor, a białka były przekrwione. W spojrzeniu była jednak jakaś intensywność, która albo przyciągała, albo odstraszała kobiety, pomyślała Ann. A może i mężczyzn, gdy Ante Persson był w swoim najlepszym wieku.

W niej budziło ono ciekawość. Jego nadal sprawny umysł, książki, papiery na stole i wciąż jeszcze silny głos nie świadczyły o słabości. Tylko jego ciało już nie nadążało.

– Dlaczego wtedy do pana przyszła?

– Poinformowała mnie, że jej mąż, a mój bratanek, został oficjalnie uznany za zmarłego. Nie chciała, żebym dowiedział się o tym z gazet.

– A tym razem przyszła z wiadomością, że zmartwychwstał?

Ante Persson pokiwał głową, uśmiechnął się łagodnie, nieco ironicznie.

– Czyta pan po angielsku i po hiszpańsku?

Znów skinął głową. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, lodowaty chłód. Ale Ann widziała, że jest czujny. Prawą dłoń położył na lewej.

– I po niemiecku, i trochę też po rosyjsku – dodał po chwili. – Tak więc spodziewałem się waszej wizyty – rzucił.

– Ale pan wiedział, że on żyje?

Myśl ta przyszła jej nagle do głowy. Pomyślała, że Ante Persson był człowiekiem, któremu można było powierzyć tajemnicę.

– Rozmawiałś z Elszą?

– Nie, jest nieprzytomna.

– Rozumiem. Sama do tego doszłaś – wymamrotał pod nosem.

– Tu, przed chwilą.

Ante Persson roześmiał się nieoczekiwanie. Hałaśliwy śmiech, serdeczny, zaraźliwy.

– Jesteś najmilszym gliniarzem, jakiego w życiu spotkałem.

– A więc miał pan już do czynienia z policjantami?

– Ostatnio sześćdziesiąt lat temu, ale za to wtedy zdarzało mi się to dość często. No i przyszli do mnie, kiedy Sven-Arne zniknął, tylko wtedy nie chodziło im o mnie.

Lindell chętnie dowiedziałaaby się czegoś więcej, ale zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej pospieszać siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyzny. Mówił o tym, o czym chciał. Reszty należało się samemu domyślić albo cierpliwie czekać.

– Sven-Arne. Może mi pan coś o nim powiedzieć? – poprosiła.

– O hydrauliku? – roześmiał się Ante. – Który poszedł do góry jak balon.

– A potem uszło z niego powietrze, prawda?

– Owszem.

Mężczyzna nachylił się nad stołem, wyraz jego oczu zmienił się w ułamku sekundy. Można było odnieść wrażenie, że chce jeszcze coś dodać, ale zamilkł i opadł na krzesło.

– Byliście sobie bliscy?

Ante nie odpowiadał. Lindell zerknęła na książki na półce. Były uporządkowane tematycznie. I o ile mogła zauważyć, dotyczyły wyłącznie polityki. Żadnej literatury pięknej.

– Piszę wspomnienia – odezwał się nagle mężczyzna. – Tam będziesz mogła wszystko przeczytać.

– Mogłabym dostać jakąś wstępną wersję?

– Fakt, czy Sven-Arne żyje, czy nie, nie ma większego znaczenia. Jak ptasie gówno we wszechświecie. Podobnie zresztą jak ty czy ja. Został politykiem, w porządku. Tylko on nigdy w to nie wierzył, i to już gorzej. Nie wierzył tak do końca, tu w głębi serca – powiedział starzec, kładąc rękę na piersi. – A w życiu trzeba mieć coś, w co się wierzy. Taką własną czerwoną nić.

– Pan ją miał?

Ante Persson westchnął głęboko.

– Staralem się.

Rozmasował dwa okaleczone kikuty palców lewej ręki.

– Nawet jeśli to było trudne, ba, niekiedy cholernie trudne.

Smutni, starzy ludzie. Starzy mężczyźni, pomyślała Ann. Często takich spotykała. Pomyślała o ojcu, o Berglundzie, o Torstenie Anderssonie na Bultudden i o Edvardzie, który za trzydzieści lat pewnie też będzie siedział, wzdychał i marudził, jak teraz Ante Persson.

Poczuła się zmęczona. Dlaczego siedzę tu i wysłuchuję jego skarg? Nie jestem kuratorem czy psychologiem, jestem policjantką! Ale przecież wiedziała, że policjant także często bywa pracownikiem socjalnym. W labiryncie niedopowiedzianych myśli kryły się kłamstwa, nierealizowane marzenia, zdrady, a czasem i gwałt. Tylko czy siedząc tu, w gomu opieki w Ramund, i rozmawiając z Ante Perssonem, stanie się mądrzejsza? Będzie lepszą policjantką? Czy tylko jeszcze bardziej ją to przygnębi? Mężczyzna, który właściwie przeżył już swoje życie, a więc na pewno zdążył wszystko dokładnie przeanalizować, najwyraźniej był tak samo zagubiony jak ona i równie pełen pytań. Czy postępuję słusznie? Czy postąpiłem słusznie? Ona też je sobie zadawała, zarówno w odniesieniu do swojej pracy, jak i życia prywatnego, boleśnie świadoma, że ostatecznych odpowiedzi pewnie nigdy nie uzyska.

Podniosła głowę, którą mimowolnie pochyliła jak do modlitwy. Starzec przyglądał się jej. Czując na sobie jego wzrok, poważny, bez śladu wcześniejszej drwiny, poczuła, jak przeszedł ją chłód.

– Dlaczego uciekł do Indii? – spytała, przede wszystkim żeby zmienić temat.

Ante Persson nie odpowiedział. Zrozumiała, że audiencja dobiegła końca.

Ann Lindell zatrzymała się na chwilę przed domem opieki. Do cukierni Savoy miała stąd zaledwie kilka kroków, ale tym razem postanowiła ją ominąć. Doszła do Syslomansgatan, ruszyła na południe, przecięła Ringgatan, i nagle przypomniała sobie, że gdzieś tu w okolicy mieszkał podpalacz. Trzy osoby, matka, ojciec i ich mała córeczka, nielegalni imigranci z Bangladeszu, zginęli w pożarze w Svartbäcken. Nienawiść i nietolerancja zrobiły swoje.

Przeczytała w gazecie, że podpalacz, razem z trzema innymi więźniami, uciekł z zakładu

karnego w Tidaholm. I nadal przebywał na wolności. Pomyślała o słowach Torstena Anderssona, że morderców należy unicestwiać.

Na szkolnym boisku bawiły się dzieci. Stała przy ogrodzeniu i patrzyła, jak biegają po asfalcie, słyszała ich krzyki, śmiech. Kilku chłopców rzucało do siebie piłkę. Jesienią przyszłego roku będzie wśród nich także Erik.

Obok niej zatrzymał się autobus, drzwi się otworzyły, kierowca spojrzał na nią pytająco. Uświadomiła sobie, że przypadkowo zatrzymała się na przystanku autobusowym. Wsiadła, nie chciała, żeby kierowca się zezłościł.

– Zamyśliłam się – powiedziała.

Kierowca uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Usiadła. Zabierz mnie gdzieś daleko stąd, pomyślała i zamknęła oczy. Ból pleców powracał falami.

Kiedy otworzyła oczy i wyjrzała przez okno, zobaczyła dekoracje świąteczne w Myrorna. Przez brudną szybę dostrzegła ogromnego Świętego Mikołaja, uśmiechał się krzywo, jakby się czegoś bał. Obok jego nóg leżała sterta czerwonych paczek.

Autobus kontynuował swoją podróż do centrum miasta. Wszędzie migotały gwiazdy i świąteczne dekoracje. Ma jechać na święta do Ödeshög? Mama dzwoniła i prawie ją błagała. Może to już nasze ostatnie wspólne święta, powiedziała, słysząc wahanie w głosie Ann.

Ostatnie? Comiała na myśli? Coraz bardziej zagubionego ojca, czy może była to tylko desperacka próba zwabienia córki do domu?

Ann Lindell wysiadła na Dragarbrunnsgatan i ruszyła szybkim krokiem w stronę rzeki, Fyrisån, przeszła przez most, a potem dalej Västra Ågatan. Bóle menstruacyjne nieco zelzały, zwolniła tempo. Tutaj kiedyś Marcus Ålander bił się z Sebastianem Holmbergiem, którego później znaleziono martwego w księgarni na Drottninggatan.

To było jej miasto. Jej wspomnienia. Mówiąc o domu, nie myślała już o Ödeshög. Postanowiła zostać na święta tutaj, u siebie w domu. Spędzi je spokojnie z synkiem, poświęci czas Erikowi, może zabierze go na przejażdżkę radiowozem, o co od dawna ją prosił. Porozmawia z Torstenssonem. Lubiała go, wiedziała też, że jest nią chyba trochę zainteresowany. Nie przeszkadzało jej to, dopóki nie posuwał się dalej.

Kiedy ostatnio kochała się z mężczyzną? Nie chciała liczyć miesięcy, a może już lat? Czowała, że usycha. Pożądanie przychodziło falami, tak jak marzenia i potrzeba bliskości. Czowała tęsknotę, ale wypracowała mechanizmy, które nie pozwalały, by samotność wzięła nad nią górę i rzadko się zdarzało, by pogrążała się w tak beznadziejnej rozpacz, jak to jej się na początku zdarzało.

Ale gdzieś w głębi duszy tkwił ponury chochlik, już bez dawnych pazurów, za to z bardzo smutnymi oczami. I czasem dawał o sobie znać. Jak teraz, na Västra Ågatan, kiedy jej ciało toczyło swoją comiesięczną batalię, gdy zbliżały się święta, a ludzie wokół niej, sąsiedzi, znajomi z pracy i przyjaciele starali się okiełznać życie.

Znów przyspieszyła kroku, próbowała myśleć o czymś innym, wejść z powrotem w tryby pracy. Powróciła myślami do Bultudden. Słowa Torstena Anderssona, a może przede wszystkim jego niespodziewana agresja, nadal psuły jej humor.

– Przebrzydły staruch – wymamrotała, zdając sobie sprawę, że jej zły humor wynikał z tego, że poczuła się oszukana. Tak dobrze się czuła w jego kuchni, odprężyła się, słuchając trzaskania ognia w piecu, obserwując zwykle, codzienne przedmioty, doceniając porządek,

wsluchując się w jego rozważne słowa wypowiedziane w dialekcie, który o dziwo wydał jej się swojski. zaproponował jej świeżo złowione ryby, jakby była starą przyjaciółką.

Powinna być bardziej ostrożna, powinna już się nauczyć, że ludzie miewają podwójną naturę. A ona dała się nabrać.

Może był mordercą? Może to on odpiłował stopę? A słowa o unicestwianiu morderców były jedynie zasłoną dymną? Rodzajem wewnętrznej obrony. Skoro miał prawo kogoś „unicestwić”, to nie był mordercą.

Miewała już do czynienia z podobnymi przypadkami, widziała, jak przestępcy racjonalizują swoje czyny: pobita kobieta sama się o to prosiła, ofiara morderstwa zasłużyła sobie na swój los, a ofiara gwałtu była sama sobie winna.

Obok stawu Svandammen stała para z małym dzieckiem, nieco młodszym od Erika. Stali obok niskiego ogrodzenia i karmili ptaki. Kaczki kwakały, mewy śmieszki krzyczały głośno. Zobaczyła sunącego w ich stronę dumnego łabędzia.

Obserwowała całą trójkę, widziała, jak mężczyzna objął kobietę w pasie, a ona zaczęła się śmiać. Jej dźwięczny śmiech zagłuszył na chwilę uliczny hałas.

Berglund siedział przy oknie. Zdjął szpitalne ubranie. Miał teraz na sobie dżinsy, koszulę w kratę i brązowe kapcie z futrzaną lamówką. Ann uznała, że wygląda dziesięć lat młodziej niż podczas jej poprzedniej wizyty.

– Siedzisz tak sobie i się uśmiechasz – przywitała go.

Berglund roześmiał się i wskazał ręką w stronę stołu, gdzie leżały sterty dokumentów.

– Jakieś genialne pomysły?

Pokręcił głową.

– Żadne. Nie wiem, który już raz przeglądam te materiały w nadziei, że w końcu coś mnie olśni, ale nic z tego.

Spojrzał na nią swoim dawnym wzrokiem. Nie tylko ubranie zamienił na swoje stare.

– Masz zaczerwienione policzki.

– Zrobiłam sobie spacer – powiedziała Ann.

– Ach tak.

Nie bardzo wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Może domyślał się, że w ten sposób usiłuje radzić sobie z bólem. Robiła to już wcześniej, często z dobrym skutkiem, być może Berglund domyślił się, o co chodzi.

– Wracam od stryja Svena-Arnego – powiedziała.

Usiadła naprzeciwko Berglunda i zaczęła opowiadać o swojej wizycie u sąsiadki Elsy Persson. Powiedziała mu, że Elsa leży tu, w szpitalu, może nawet w tym samym budynku.

– Tak, to dziwna historia – zadumał się Berglund.

Zaczął zbierać rozrzucone na stole papiery, Ann czuła wyraźnie, że myślami nadal był przy dawnym dochodzeniu.

– Jaki był jako polityk? – ciągnęła. – Jego stryj twierdzi, że nigdy tak do końca nie wierzył w to, co robił. Był bufonem?

– Nie, mam wrażenie, że ludzie odbierali go jako szczerego. Świetnie tłumaczył różne rzeczy. Ale w którymś momencie miał najwyraźniej dosyć wszystkiego. Może coś mu odbiło.

– Był hydraulikiem?

– Na pewno pracował w branży budowlanej. Potem został ombudsmanem.

Berglund zamilkł, ale po chwili mówił już dalej.

– Pamiętam pewien wiec na mieście, przed jakimiś wyborami. Nowa Demokracja przeżywała wówczas swój rozkwit. Byłem tam, na Forumtorget. Persson dostał list, ktoś mu groził. Wiało jak diabli, ale ludzie stali i słuchali go. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że mówi jak mój ojciec.

– To dobrze?

Berglund uśmiechnął się.

– Prawdę mówiąc, tak. Zagłosowałem wtedy na socjaldemokratów.

– Pod wpływem przemówienia Perssona?

– Pewnie nie tylko, ale było w nim coś, co... No, cóż, wiesz, jak to jest...

– Zateśniłeś za domem?

Berglund roześmiał się.

– Często mu grożono? – spytała po chwili.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ten list napisał pewnie jakiś idiota.

– Pomyślałam, że wyjechał, bo być może czuł się zagrożony.

– To też sprawdzaliśmy, ale nie sądzę, żeby tak było. W każdym razie nie znaleźliśmy niczego, co by na to wskazywało. Wszyscy politycy dostają listy od swoich wielbicieli. Na pewno by sobie z tym poradził.

– Ale może nie o wszystkim wiedzieliście?

Berglund spojrział na nią.

– Słyszę, że się wciągnęłaś – powiedział, uśmiechając się.

– Takie nieoczekiwane sytuacje zawsze są ciekawe, a wizyta u staruszka jeszcze bardziej pobudziła moją ciekawość. Píše pamiętniki. Cały pokój jest wypełniony książkami, jak pokój naukowca. Zna kilka języków. No i do tego żona Perssona, która wychodzi na jezdnię prosto pod ciężarówkę.

– Elsa, no tak...

– Wspominałaś, że chyba miała partnera.

– To tylko plotki.

– Może dlatego Persson dał nogę do Indii? Może już wtedy w życiu Elsy był inny mężczyzna?

– Wątpię. O ile dobrze pamiętam, sprawdzaliśmy wówczas dość dokładnie ich życie osobiste. Nie znaleźliśmy żadnych dowodów zdrady czy problemów miłosnych.

– Co teraz? Jeśli to oczywiście on, chociaż rzeczywiście na to wygląda. Staruszek przyznał, że wiedział, że Persson jest w Indiach. Więc co dalej?

– To nie jest sprawa dla policji. Persson jest pełnoletni i może się swobodnie przemieszczać. Nie jest podejrzany o żadne przestępstwo.

– A nie jest przestępstwem...

– Zniknięcie nie jest czynnością kryminalną.

– Wiem, ale...

– Odpuść Perssona – powiedział Berglund. – Opowiedz, jak wygląda sprawa ze stopą.

– Chodzę od drzwi do drzwi, jak komiwojażer. Właściwie to nawet dość ciekawe, ale niewiele daje. Na jutro zostały mi jeszcze trzy domy. Już się umówiłam, mają na mnie czekać. A potem wyłączam się.

– A co poza tym?

– Dobrze – odparła Lindell, nie chcąc wracać do myśli, które gnębiły ją w drodze do szpitala.

Wstała, podniosła rękę i położyła dłoń na ramieniu kolegi. Ostatnio wytworzył się między nimi nowy rodzaj intymności. Podobało jej się to, ale nie potrafiła powiedzieć, jak to wpłynie na ich przyszłe relacje zawodowe.

Berglund położył swoją dłoń na jej ręku.

– Cieszę się, że przyszedłeś i że mogliśmy chwilę pogadać. W poniedziałek wypiszą mnie już do domu.

Resztę popołudnia Ann poświęciła na przejrzenie notatek z wizyty na cyplu. Marksson zapewne będzie oczekiwał szczegółowego raportu. Nie miała mu wiele do przekazania, uznała, że nie ma co się spieszyć.

Do pokoju zajrzał Sammy Nilsson, Ann udała, że jest bardzo zajęta, zbywała jego pytania krótkimi odpowiedziami, po kilku minutach Sammy zrezygnował.

O wpół do czwartej skończyła pracę. Wyłączyła komputer, zrobiła filiżankę kawy i wróciła do pokoju. Aktywność w wydziale wyraźnie osłabła, wszędzie zdawał się panować spokój. Piątek. Nocny dyżur przypadał Fredrikssonowi i Beatrice. Ottosson już udał się do domu. Z korytarza doszły ją kroki Rissa, potem zapanowała cisza.

Wróciła myślami do Ante Perssona i jego wspomnień. Czego miały dotyczyć? Czerwonej nici biegnącej przez jego życie?

Przypomniała sobie jego wzrok, jak momentalnie się zmienił. Niebezpieczny człowiek, pomyślała, nie bardzo potrafiąc sobie wytłumaczyć, na czym to miałyby polegać. Czy to wiek uczynił go niedostępnym? Zawsze miała szacunek dla ludzi starszych.

A może powodem było jego silne poczucie własnej tożsamości, pewna wyniosłość, samowystarczalność. Może to ją zraziło? Słuchając ludzi starszych, wielokrotnie doświadczała tego nieprzyjemnego wrażenia. Jakby dawali jej do zrozumienia, że jest gorsza, ma mniej doświadczenia, wiedzy.

Zwykle było odwrotnie. W kontaktach z policją ludzie na ogół czuli się zestresowani, co każdy śledczy mógł z łatwością wykorzystać. Sama rzadko to robiła, tutaj prym wiedli Beatrice i Sammy Nilsson. Ona wolała szczerą rozmowę, nie lubiła niewypowiedzianych gróźb, nie zastawiała pułapek.

Ktoś taki jak Ante Persson był dla niej wyzwaniem. Trudno było go podejść. Mówił jedynie to, co sam chciał powiedzieć, sam ustalał tempo.

Za drzwi doszły ją znów kroki Riisa, wracał. Ann otrząsnęła się ze swoich myśli. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że dzień pracy dobiegł końca.

Lindell nie pomachała ręką, mijając dom Torstena Anderssona. Gest był żaloszny, ale wiedziała, że mężczyzna z pewnością go odnotuje.

Przejeżdżając obok domu Margit i Kalle Paulssonów zakłęła cicho. Zapomniała porozmawiać z Markssonem o Lisen Morell. A kobieta potrzebowała pomocy, i to niezwłocznie. W każdej chwili mogła się załamać. Ann zastanawiała się, czy nie pojechać do niej przed spotkaniem z trzema samotnikami, których na własny użytek nazywała kawalerami na cyplu, ale w końcu postanowiła, że odwiedziny w szopie zostawi na koniec wizyty na cyplu.

Przejechała kilkaset metrów i dotarła do pierwszego „samotnika”. Wjechała na podwórze. Ze szczytu drewnianej budy biegła w stronę domu stalowa linka. Pomyślała, że pewnie dla psa. Rozejrzała się dookoła, nie zauważyła żadnego zwierzęcia, ale na wszelki wypadek zaparkowała w stosownej odległości.

Thomas B. Sunesson stanął na schodach w momencie, kiedy otwierała drzwi samochodu.

– Nie ma psa – uspokoił ją od razu. – Zauważyłem, że parkując, zawahała się pani.

– Nigdy nie wiadomo – powiedziała Ann Lindell. Wyciągnęła do niego rękę, stwierdziła, że uśmiech na jego twarzy był szczery i przyjazny.

– Zanim zaczniemy rozmowę, proszę mi wyjaśnić, co oznacza „B”?

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bertram. Tak miał na imię mój ojciec i jego ojciec, i jego ojciec, i jego też.

Odwzajemniła uśmiech. Thomas B. Sunesson mówił wspaniałym dialektem, typowym dla Roslagen. Jeszcze jeden Edvard, pomyślała. Sunesson rzeczywiście go przypominał. Taka sama otwarta, szczerą twarz o nieco dziecińczych rysach, a jednak męska, surowa. Nieszczęsne połączenie, które w jej oczach czyniło go tak atrakcyjnym.

– Wabił się Bronco – odezwał się Sunesson. – To znaczy pies – dodał, widząc pytającą minę Ann. – Był z niego niezły gagatek.

Więc musiałeś się go pozbyć.

– Dożył czternastu lat.

Mężczyzna spojrział w stronę budy. Ann podążyła za jego wzrokiem.

– Diabeł wcielony, ale kumpłowaliśmy się.

Pewien smutek w oczach podkreślał jego podobieństwo do Edvarda.

– Wejdziemy do środka? – spytała.

Mężczyzna skinął głową w stronę drzwi, wszedł bez zbędnych ceregieli, zostawił drewniaki w sieni i zniknął w głębi domu.

Usiedli w kuchni. Ann odniosła wrażenie, że mężczyzna wysprzątał ją przed jej przyjazdem. Na stole leżała stera porządnie ułożonych gazet, zlew był wytarty, bez brudnych naczyń, na haczyku wisiała czysta ścierka.

Mężczyzna zaproponował jej kawę, ale podziękowała. Rano zdążyła wypić dwie filiżanki.

– Wyruszyła pani na polowanie – stwierdził nagle.

Wiadomość o stopie zdążyła się już rozejść, chociaż makabryczne znalezisko nie wzbudziło dotąd większego zainteresowania mediów. Ann zaczęła opowiadać, że policja przesłuchuje ludzi w okolicy, mając nadzieję, że być może coś widzieli. Mężczyzna przyglądał się jej

w skupieniu, jakby nie chciał stracić ani słowa z jej opowieści. Pomyślała, że pewnie ma około czterdziestki. Nad jedną brwią zauważyła niewielką, ale wyraźną bliznę. Był bardzo opalony, wręcz ogorzały.

– Cóż, osobiście chyba nie widziałem niczego szczególnego – powiedział, kiedy Ann zamilkła. – Tutaj niewiele się dzieje, dlatego gdyby pojawił się ktoś obcy, na pewno zwrócilibyśmy na niego uwagę. Tym bardziej gdyby była to kobieta – dodał i uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Żaden obcy samochód tędy nie przejeżdżał?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Latem pewnie tak, wtedy zdarza się, że zabłądzi tu jakiś zdezorientowany sztokholmczyk. Szukają domków letniskowych albo po prostu mylą drogę. Czasem zatrzymują się i pytają, czy nie słyszeliśmy o jakimś domu na sprzedaż.

– Przypomina pan sobie kogoś?

– Nie, oni wszyscy wyglądają tak samo. Był taki jeden, który chciał kupić tę ruinę – roześmiał się Sunesson. – Proponował mi milion, od ręki. Kiedy odmówiłem, dodał jeszcze pół miliona. Bronco czekał na niego jak wściekły. Nie lubił tych ze Sztokholmu.

– Ile by pan chciał?

Uśmiech na twarzy mężczyzny stał się jeszcze szerszy.

– Jest pani zainteresowana?

– Raczej nie.

– Nie sprzedaję – uciął i nagle spoważniał.

– Nie zauważył pan tu ostatnio czerwonego samochodu?

– Frisk ma czerwony samochód. Mieszka tam, w dole ulicy, jak my tu mówimy. No i jest też Sroka, w szopie nad wodą.

– Lisen Morell?

– Udaje świrniętą, jeśli mam być szczerzy.

– To znaczy?

– Twierdzi, że jest artystką, ale malować nie potrafi. Co to to nie.

– Nazwał pan ją Sroką?

– Ubiera się na czarno i na biało.

Lindell zmieniła temat.

– A więc Tobias Frisk ma czerwony samochód?

Mężczyzna skinął głową.

– Mamy świadka, który widział obcy, czerwony samochód po drugiej stronie fiordu. To wszystko.

– Frisk nie jest obcy.

– Może dla tych po drugiej stronie fiordu jest.

Sunesson prychnął.

– A więc naprawdę niewiele macie.

Lindell przyznała mu rację.

– Ma pan piłę?

Mężczyzna spojrzał na nią zdziwiony.

– Jasne. Oczywiście, że mam piłę.

– Spalinową?

Skinienie głową.

– Mogę ją obejrzyć?

– Teraz już nic z tego nie rozumiem.

– Może ma pan też klingę do cięcia drewna?

– Jasne. I siekierę, i klin, i gracę do karczowania...

– Dziękuję, starczy – przerwała mu Lindell.

Piła była marki Stihl.

– Nie, proszę nie dotykać!

Mężczyzna szybko cofnął dłoń.

– Będę musiała zabrać ją ze sobą – poinformowała go Lindell. Wyjęła rękawiczki z kieszeni kurtki, włożyła i sięgnęła po piłę.

– Teraz rozumiem. Pani sądzi, że to ja odpiłowałem stopę!

Przyglądał się jej podejrzliwie, wyraźnie się od niej dystansując. Jakby nagle odkrył, że jest chora na jakąś zaraźliwą chorobę.

– Musimy wszystko sprawdzić, przykro mi. Niczego nie sądzę. To rutynowe działanie. Gdzie ma pan klingę?

Poprosiła, żeby zdemontował brzeszczot, wzięła go do ręki równie ostrożnie jak wcześniej piłę i owinęła w foliowy worek, który wyjęła z samochodu.

Sunesson obserwował cały proces w milczeniu. Kiedy wychodziła, na jego twarzy nie zostało nic z wcześniejszej niewinności.

Kolejny „samotnik” na cyplu, Lasse Malm, był dwa, może trzy lata młodszy od swojego sąsiada. Stał na podwórzu, kiedy Lindell skręciła w stronę jego domu. Zaparkowała za jego dość już wiekowym pick-upem. Na przyczepie leżała motorówka.

Nikt, nawet najbardziej napalony sztokholmczyk, nie zaproponowałby półtora miliona za jego dom. Lindell miała wrażenie, że wystarczy silny podmuch jesienno-wiatru, żeby budynek się przewrócił.

Ściany były wyblakłe, na parapetach widniały ciemne plamy wilgoci, dach się zapadał, jakby dachówki się zbuntowały, komin też przeżył swoje, a schody wejściowe obniżyły się o dobre dziesięć centymetrów, szczególnie z prawej strony.

O ile dom był w kiepskim stanie, to nie można było powiedzieć tego o jego właścicielu. Miał prawie dwa metry wzrostu, a potężne ramiona świadczyły o dużej sile. Potwierdził to także jego uścisk dłoni. Nieprzyjemnie wąskie oczy, jedyna mała część jego ciała, patrzyły na nią z ciekawością. Świdrujące, niesympatyczne spojrzenie. Ann podciągnęła suwak kurtki.

Malm nie wykazywał ochoty zaproszenia jej do środka. Przeciwnie, stał na schodach z rękami skrzyżowanymi na piersi. Skojarzył się jej z ochroniarzem przed klubem nocnym.

Powtórzyła opowieść, którą pół godziny temu przedstawiła Sunessonowi. Mężczyzna słuchał w milczeniu, a potem odpowiedział właściwie dokładnie to samo, co sąsiad, chociaż używając nieco innych słów. Niczego nie widział, nikt obcy tędy nie przejeżdżał, nie widział też żadnej kobiety, która nosiłaby buty w rozmiarze trzydzieści pięć.

Potwierdził też, że jedyny czerwony samochód na cyplu należał do Tobiasa Friska.

– Podejrzewacie go?

– Ależ nie – zaprzeczyła Lindell.

Malm wymamrotał coś, czego nie zrozumiała.

– Ma pan piłę? Piłę spalinową.

W przeciwieństwie do sąsiada Malm natychmiast domyślił się, czemu go o to pyta.

– Więc to tak się stało?

– Tego jeszcze nie wiemy – odpowiedziała Lindell zgodnie z prawdą.

Zacząła się zastanawiać, czy nie powinni zarekwirować wszystkich pił w okolicy. Pomyślała, że proponuje to Markssonowi.

Poszli razem za dom, gdzie stała niewielka szopa, w takim samym stopniu upadku jak budynek mieszkalny.

Tym razem piła była marki Jonsered, znacznie większa niż ta należąca do Sunessona. Owinęła ją folią, wróciła do wozu, otworzyła bagażnik i położyła obok stihla.

– Uzbiera ci się tego trochę – stwierdził Lasse Malm niespodziewanie dobrotliwie. – Dostanę pokwitowanie?

– Oczywiście.

Lindell wyjęła z torby notatnik, napisała pospiesznie kilka słów, wyrwała kartkę i podała ją Malmowi.

– To wystarczy?

Mężczyzna przyglądał się kartce.

– Pisziesz trochę, ale tylko trochę bardziej czytelnie niż nasz lekarz zakładowy – powiedział.

Klingi nie miał.

– Nie mogę palić w kominku. Kominiarz zabronił.

Ann wcale się nie zdziwiła.

– Ale i tak czasem palę. Jest tyle różnych ustaw.

– Jedna nakazuje opłacanie podatku za samochód. Jeśli ma pan znaczek, to radzę go przykleić. Na toyotę. Ten stary jest sprzed trzech lat.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– Pewnie gdzieś go mam.

Pomachał jej ręką, kiedy zaczęła cofać samochód, żeby wyjechać na drogę.

Samotni mężczyźni, pomyślała, jadąc „ulicą”, jak miejscowi nazywali szosę na cyplu. Próbują stworzyć namiastkę życia, ale wszystko w nich woła o trochę ciepła i zainteresowania. Malm, ogromny niedźwiedź, był nawet przystojny, sprawiał też wrażenie sprytnego. O ile się orientowała, miał stałą pracę, i raczej nie powinien mieć problemów ze znalezieniem partnerki. O ile w ogóle odważyłby się zaprosić do swojego domu kobietę, a ona zgodziłaby się tam wejść.

Z Sunessonem było podobnie. Nawet jeśli sprawiał wrażenie nieco zbyt pedantycznego, to chyba niczego mu nie brakowało. A może bał się, że obca kobieta zniszczy jego wypucowane ceratowe obrusy?

Został jej jeszcze Tobias Frisk, właściciel czerwonego samochodu. Ann Lindell jechała do niego z pewną nadzieją. Próbowwała go sobie wyobrazić, ale uznała, że to bez sensu. Zadzwoił do niej i potwierdził, że będzie w domu. W jego głosie wyczuwała nerwowość. Spytał, czy spotkanie jest konieczne. Nie miał przecież żadnych informacji.

– Zajmuję się tylko swoimi sprawami – powiedział.

Ann miała ochotę odpowiedzieć: Ja też. Ale nie zrobiła tego, uspokoiła go, że to rutynowe

spotkanie, że policja rozmawiała już z wieloma mieszkańcami w okolicy.

– Przygotuję coś do kawy – zapowiedział.

Ann pomyślała, że chętnie wypiłaby filiżankę czegoś gorącego i zjadła słodką bułeczkę.

Dom położony był na niewielkim wzgórzu. Pomyślała, że pewnie jest z niego widok na morze, a już na pewno z pokoi na piętrze. Był zadziwiająco duży, w każdym razie jak na jedną osobę. Sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Ale pewnie został zbudowany z myślą o rodzinie wielodzietnej. Przypominał jej pewien dom na Gräsö, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia. Czerwony, z misterną stolarką, oszkloną werandą z lśniącymi, białymi szprosami. Oboje, ona i Edvard, zatrzymali się na jego widok. Pewnie oboje pomyśleli, że w takim domu chcieliby mieszkać. Było to w czasie, kiedy jeszcze oboje widzieli przed sobą wspólną przyszłość, być może nawet na Gräsö.

Lindell zaparkowała tuż przed werandą. Żadnych oznak życia. Żadnego ujadania psa, dymu z komina czy szybkiego, nerwowego ruchu za firankami.

Uciekł, pomyślała, i nagle poczuła rodzaj strachu, który nachodził ją od czasu, gdy raz, przez własną głupotę, została zamknięta w piwnicy i niewiele brakowało a umarłaby. Wtedy też, podobnie jak teraz, prowadziła śledztwo sama, na własną rękę.

Przez moment zastanawiała się, czy nie zadzwonić do centrali i nie zostawić wiadomości, gdzie się znajduje. W końcu zrezygnowała z pomysłu.

Przypomniała sobie rymowaną z dzieciństwa: o dwóch piekarzach i jednej dzieży, i uśmiechnęła się do siebie.

Weszła po schodach na werandę. Było tu znacznie cieplej niż na zewnątrz. Wzdłuż ściany stały doniczki, pelargonie, pomyślała. I rzeczywiście, kilka roślinek miało jeszcze kwiaty. Zapukała do drzwi, dzwonek nie było, ale za matową szybą nikt się nie pokazał. Zapukała ponownie, tym razem mocniej. Żadnej reakcji.

Policzyła do dziesięciu i nacisnęła klamkę. Drzwi okazały się otwarte, co jednak jej nie zdziwiło. Była przecież na wsi. Powiedziała „halo”, powtórzyła kilka razy, głos odbił się głuchym echem.

Weszła do holu i od razu poczuła dziwny zapach. Dywan na podłodze był poplamiony i pofałdowany jak harmonijka. Powstrzymała odruch, żeby go poprawić. Po prawej stronie była kuchnia. Zobaczyła duży biały murowany piec. Spodziewała się zobaczyć Tobiasa Friska, siedzącego przy kuchennym stole, ale pomieszczenie było puste.

Nieco dalej był pokój, skromnie umeblowany. Właściwie był tu tylko jeden mebel, stara kanapa, na której dawniej pewnie spało kilka osób. Ann szła dalej i nagle uświadomiła sobie, co poczuła, wchodząc do domu. Zatrzymała się na środku pokoju, wzięła głęboki oddech. Zapach prochu. Była tego pewna.

Ktoś oddał tu strzał. Nie miała żadnych wątpliwości. Jakiś czas temu, bo zapach nie był specjalnie dojmujący.

W prawie pustym pokoju znajdowały się dwie pary drzwi. Wybrała te z prawej strony. Weszła do dużego pokoju, dawniej powiedziano by zapewne salonu. Był pusty. Cofnęła się, otworzyła drugie drzwi, te z lewej strony.

Na kanapie siedział Tobias Frisk. Obok, z lewej strony, leżała strzelba z lufą skierowaną w stronę Lindell.

Sięgnęła po telefon. Najwyższa pora zawiadomić centralę. Nie będzie kawy z bułeczkami,

przeszło jej przez myśl, kiedy usłyszała w słuchawce znajomy głos Erlandssona.

Opowiedziała, co się wydarzyło, i poprosiła go o skontaktowanie się z Markssonem.

– Nie jest to piękny widok – zakończyła.

Potem wyszła z pokoju i przeszukała resztę domu. Był, jak się tego spodziewała, pusty.

Bo Marksson zjawił się w ciągu pół godziny, kilka minut po nim przyjechał lekarz. Był w wieku Lindell, spotkali się już wcześniej. Ann nie bardzo potrafiła przypomnieć sobie w jakich okolicznościach. On jednak najwyraźniej je pamiętał.

– Dziękuję za ostatnie spotkanie – przywitał ją. – Było miło, prawda?

Skinęła głową. Miała wrażenie, że mężczyzna chętnie wróciłby do wspólnych wspomnień, które dla niej pozostawały w mroku. Poszukała więc wzrokiem Markssona i zaczęła wyjaśniać mu sytuację. Nadal stali na podwórzu. Nagle od południa, od strony lasu doszedł ich powiew wiatru, niósł ze sobą zapach morza i sosen.

Kolega z Östhammar wyglądał na zdekoncentrowanego, chodził po wysypanym żwirem podwórzu i co chwila przeczesywał palcami włosy.

– Niech to szlag – powtórzył już kolejny raz.

– Znałeś Tobiasa Friska? – spytała Lindell.

Marksson skinął głową.

– Graliśmy razem w piłkę – powiedział.

Widać było, że jest w kiepskiej formie. Ann miała wrażenie, że najchętniej znalazłby się teraz gdzieś daleko stąd.

– Znam też jego matkę.

Ach, tak, pomyślała Ann. Wie, że czeka go nieprzyjemna rozmowa.

– Mieszka w Östhammar?

Kolejne skinienie głową. Marksson spojrzał w stronę lasu. Lindell podążyła za jego wzrokiem. Na skraju linii drzew zobaczyła białą plamę.

– Co to takiego, do licha? – spytał Marksson.

– Lisen Morell – odpowiedziała Ann, kiedy postać wyszła z lasu. Rozpoznała kobietę po jej chwiejnym chodzie. Poruszała się, jakby była pijana.

– Mieszka w starej szopie na łódzie, na czubku cypla – dodała. – Zamierzałam z tobą o niej porozmawiać. Potrzebuje pomocy.

– To widać – stwierdził Marksson.

Ruszyli w jej stronę, Ann zauważyła, że Marksson nie wyglądał już na tak udręczonego jak przed chwilą.

– Ja... wóz nie chciał zapalić, ja...

– Nie możesz włączyć silnika – dokończył Marksson.

Lisen Morell skinęła głową. Ann uznała to za szczęśliwy zbieg okoliczności. Spojrzała na kobietę, miała na sobie czarne dzinsy i biały, wełniany sweter, co najmniej o trzy rozmiary za duży. Na nogach sandaiki.

– Jak nazywa się lekarz? – wyszeptała Ann.

– Bergquist.

– A na imię?

– Janne.

Lindell odwróciła się. Lekarz nadal stał na podwórzu.

– Janne! – zawołała. – Możesz tu podejść? – poprosiła.

Odwróciła się do Morell.

– To lekarz, odprowadzi cię do domu. Musisz się ogrzać. Później do ciebie zajrzę, dobrze?

– Zanim zjawią się technicy, minie trochę czasu. Bergquist i tak nie miałby tu co robić.

Lekarz wziął Lisen Morell pod rękę i odszedł razem z nią. Ann widziała, jak pochyła się nad kobietą i coś do niej mówi. Lisen wskazała dłonią na polankę w lesie, po chwili zniknęli im z oczu.

– Co o tym sądzisz? Myślisz, że ta stopa pochodzi stąd? – zwróciła się Ann do Markssona.

– Niewykluczone.

Przyzwyczaiłam się już do jego głosu, pomyślała Ann.

– Jak brzmiał, kiedy rozmawiałś z nim przez telefon?

– Normalnie, może był nieco zdenerwowany. Zaprosił mnie. Sam się ze mną skontaktował.

– Żadnych jeśli, żadnych ale...?

– Nie, zwykła rozmowa, trwała kilka minut.

– I nagle strzela sobie w łeb – stwierdził Marksson. – Frisk był pogodnym facetem.

Pamiętam go z drużyny młodzieżowej. Grał w ataku. Był szybki. Dobrze biegał i dobrze myślał.

– Typ samotnika?

– Chodzi o to, że mieszkał sam na tym pustkowiu?

Ann skinęła głową.

– Wiem, że miał dziewczynę. Chyba z Valö. Byli ze sobą pięć, może sześć lat. Atrakcyjna laska. Pracuje teraz w knajpie w Öregrund. Jako kelnerka. Frisk nie był nietowarzyski. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Kiedy wpadaliśmy na siebie w mieście, zawsze był radosny. Piekarze chyba zawsze tacy są, prawda?

– Nie znam żadnego – wywinęła się Ann od odpowiedzi. – Co dalej? Zaraz zjawią się technicy. Jeśli ta stopa tu chodziła, to wkrótce się tego dowiemy. Może sprawdzimy, czy jest tu jakaś piła? – powiedziała, pokazując ręką na szopę za domem.

Był to właściwie barak, składający się z trzech osobnych pomieszczeń, każde z osobnymi drzwiami. Żadne nie były zamknięte na klucz, jedynie na haczyki. Lindell podniosła z ziemi patyk i uniosła haczyk na środkowych podwójnych drzwiach. Wewnątrz stał ciągnik z zamontowanym z przodu pługiem.

– Grälle – stwierdził Marksson. – Pewnie służył mu do odgarniania śniegu. I zwożenia drewna z lasu.

Ann obeszła ciągnik dookoła, przyglądając się drewnianej półce biegnącej przy ścianach. Stały na niej różnej wielkości puszki pełne gwoździ, śrubek, bolców. Wszystko było starannie uporządkowane. Obok stało kilka butelek rozpuszczalnika, olejarka i mnóstwo innych drobiazgów jak to w warsztacie. Na ścianie wisiała tablica pełna małych haczyków na narzędzia. Był też komplet sześciu kluczy, jednego brakowało.

Nic nie przykuło jej uwagi. Marksson stał po drugiej stronie ciągnika.

– Piła – powiedział nagle.

– Stihl czy Jonsred? – spytała.

– Tak się znasz?

Spojrzał na nią rozbawiony. Opowiedziała mu o swojej kolekcji w bagażniku. Musiała wejść do czerpaka, żeby przejść na jego stronę.

– Stihl – wyszeptała, nachylając się nad piłą.

Piła umieszczona była w niewielkiej misce, pewnie wypełnionej olejem. Na łańcuchu były resztki trocin, zęby piły błyszcząły od oleju. Próbowała wyobrazić sobie, jak Tobias Frisk dotyka nią kostki tuż nad stopą.

– Co o tym sądzisz? – spytała.

– O czym?

– Stopa została odcięta piłą.

– Tu wszyscy mają piły.

– Mam wrażenie, że to ta – stwierdziła Lindell, prostując się.

Wyszła na placyk przed szopą, w nozdrzach nadal czuła zapach oleju i benzyny. Sięgnęła po komórkę, wybrała numer do Tiny, opiekunki Erika.

– Spóźnię się. Zdziwiona?

Gdzieś w głębi usłyszała głos synka.

Pamiętał morze, oczywiście, że pamiętał morze, po niemal siedemnastu latach nadal czuł w nozdrzach jego zapach. Dziwne, że tak w nim trwał, bo dominującym uczuciem tamtego pierwszego dnia, kiedy stanął na nogi i pozwolono mu wyjść na słońce na nadbrzeżny bulwar, była złość. Był wściekły, co próbował wytłumaczyć kobiecie u jego boku, Serbce, która miała mu pomagać, ale ona tylko się roześmiała, skupiona na tym, żeby uchronić potężnego Skandynawa przed upadkiem. Gdyby się potknął, nie utrzymałaby go. Różnica między nimi wynosiła co najmniej dwadzieścia centymetrów i trzydzieści kilogramów.

Był wściekły, kiedy porównywał przepiękne wille położone wzdłuż nadmorskiego bulwaru z domem, w którym spędził ostatnie trzy miesiące. Właściwie nie było to dla niego nic nowego, że niektórzy mieszkali po królewsku, podczas gdy większość tłoczyła się w ruderach, ale ostatnie wydarzenia w górach, a potem kontrast z Benicasim, okazały się dla niego zbyt dużym obciążeniem.

Poza tym bał się, prawdę mówiąc, był przerażony faktem, że już nigdy nie będzie mógł się pieprzyć. Nie mógł się nikomu do tego przyznać, sam jeszcze do końca nie przyjął tego do wiadomości, więc rozładowywał swoją wściekłość, złoścąc na różnice między norami w górach a pałacami tu nad morzem.

Był impotentem. Odłamek granatu trafił go w mosznę. Pierwszego dnia ból wydawał się nie do wytrzymania. W prowizorycznym szpitalu pielęgniarzom udało się powstrzymać krwawienie, ale nie ból. Dostał jakieś tabletki, ale niewiele mu pomogły.

Poza fatalną raną podbrzusza miał też inne. W jego udzie i dolnej części pleców tkwiło mnóstwo drobnych kawałków metalu, co było cholernie dokuczliwe.

Trzy dni leżał na boku na leżance. Kiedy w mosznę wdało się zapalenie, został przetransportowany na wybrzeże. Już samo to było sporym wyczynem.

Operował go lekarz z Kanady, Norman Bethune. Do pomocy miał szwedzką pielęgniarkę z Karlstad. Kanadyjczyk, który tak naprawdę był specjalistą chorób płucnych, zyskał sporą sławę na froncie. Trafić w jego ręce było zaszczytem. Zmarł później w Chinach, tak przynajmniej wynikało z notatki w „Ny Dag”.

– Jestem tylko człowiekiem – powiedziała, śmiejąc się pielęgniarka, kiedy mającąc w gorączce, spytał ją, czy należała do partii.

Kiedy przecięli wrzody, z jego ciała zaczęła wyciekać ropa, żółta, cuchnąca maź.

Nadal był słaby, ale zapewniano go, że wyzdrowieje. Jego silny, młody organizm zwalczył infekcję.

Ale czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł kochać się z kobietą? Nie wiedział, jak sprawy się mają, tam na dole, i nie miał odwagi pytać. Bał się, że będzie do niczego. Przez jeden mały, cholerny odłamek.

Spojrzał na kobietę u swojego boku. Uśmiechnęła się do niego zachęcająco. Nic nie czuł, nic. Coś w tej młodej policjantce przypominało mu Irinę. Tak miała na imię, ta Serbka. Zdarzało mu się zapominać imiona. Jej uśmiech? Czy może jej szczerłość? Irina była szczerą i bezpośrednią. To ona sprawiła, że znów zaczął czuć pożądanie. Pewnie domyśliła się, co go gnębi.

Później miała zostać wybrana do jugosłowiańskiego parlamentu. W połowie lat pięćdziesiątych dostał od niej list. Nie odpowiedział. W tamtym okresie Tito nie był dobrze widziany w partii. A on pozostał wierny linii partii, nawet jeśli chodziło o Irinę.

Co ta dziewczyna, ta młoda policjantka powiedziała? „Zręda z pana”. Spodobało mu się. Jej wizyta sprawiła, że zaczął myśleć o bratanku. Sven-Arne zapewne poccił się teraz w Indiach. W końcu został odkryty. Co teraz robi? Pewnie będzie próbował dokądś wyjechać. Bo wrócić nie mógł.

Ante Persson rozumiał jego decyzję, potajemnie nawet go za nią podziwiał, i być może trochę mu zazdrościł. Sam nigdy nie byłby w stanie zniknąć w ten sposób.

– Wszyscy już umarli – wymamrotał.

Czuł się nieswojo. Uczucie to dokuczało mu, jak tkwiące w jego ciele odłamki granatu. W takie dni nie był w stanie pracować. Litery rozbiegały się na wszystkie strony, obrazy w jego głowie stawały się zbyt wyraziste. Widział swoich towarzyszy, przede wszystkim tych, którzy zostali tam, w Hiszpanii. Wracali jako duchy, na ich zniekształconych przez śmierć twarzach znów igrał śmiech.

Poczucie porażki nigdy nie było tak silne, jak właśnie w tych momentach, kiedy zaczynał rozpamiętywać to, co minęło. Wiedział, że jego czas mija, że finał zbliża się wielkimi krokami. Był równie stary jak jego matka, Agnes, kiedy zasnęła na dobre.

Ona nigdy nie rozumiała jego żaru, ale też nigdy nie miała wątpliwości, że musi go wspierać, chociażby bez słów. Może bała się, że użyje nie takich, jak powinna?

Agnes widziała jego cierpienie, rozumiała, że każdy człowiek musi mieć swoją dumę i choćby isierkę nadziei. Była bardziej wytrwała niż najbardziej wytrwali towarzysze, chociaż nigdy nie myślała o tym w ten sposób.

Teruel zrobił z niego „zręde”, ale i przegranego. On i jego towarzysze przegrali nie tylko bitwę, ale i całą wojnę. Kiedy jego brygada się wycofywała, stracili życie i nadzieję. Nikt się do tego nie przyznawał z wyjątkiem tych, którzy potajemnie zawrócili do Walencji, by znaleźć łódź i uciec, ale ci byli w mniejszości. Pozostali nie tracili nadziei, przynajmniej z pozoru.

Jak długo można żyć we śnie? Całe życie. Jeśli jest się „zrędą”. Przegrany, który nigdy się nie poddaje, tylko dodaje nowe porażki do poprzednich.

Brakowało mu Svena-Arnego. Chciał mu opowiedzieć, jak było naprawdę. Mógł to zrobić już dawno, ale Ante Persson pragnął zwycięstwa, raz w życiu chciał wygrać, zadać faszyzmowi śmiertelny cios.

Czynności śledcze w domu Tobiasa Friska zostały przeprowadzone gruntownie i zakończyły się dopiero w niedzielę późnym popołudniem.

Kiedy w poniedziałkowy rano Ann Lindell przeczytała raport wstępny, nabrała przeświadczenia, że teoria z orłem jest słuszna, a przynajmniej doprowadziła ich do mordercy niezidentyfikowanej ofiary.

W pokoju telewizyjnym, tym samym, gdzie umarł Frisk, na niewielkiej półce, wciśniętej pomiędzy dwie książki, znaleziono zdjęcie osoby, do której przypuszczalnie należała stopa. Zdjęcie przedstawiało kobietę pochodzenia azjatyckiego, w wieku dwudziestu kilku lat. Uśmiechała się do obiektywu jakby z lekkim wahaniem. Miała długie ciemne włosy, związane z tyłu czymś, co przypominało białą kokardę. Widoczna nieśmiałość sprawiła, że wyglądała niemal uwodzicielsko, chociaż z pewnością nie była tego świadoma, pomyślała Ann. Nie wyczuwała w młodej Azjatce obłudy. Sammy Nilsson uważnie obejrzał zdjęcie, po czym oświadczył, że „pewne siebie kobiety rzadko bywają piękne”.

Mieli próbki włosów i naskórka, pobrane w domu Friska; na pile, leżącej w szopie na zapleczu, znaleziono ślady krwi, co wywołało największe poruszenie.

Wiele wskazywało na to, że wyniki badania DNA – według Morganssona z wydziału ekspertyz miały być gotowe za parę dni – będą pasowały do DNA stopy. Lindell też tak sądziła.

Zadzwoiła do Markssona i zawiadomiła go, co znaleźli technicy. Nie wydawał się zdumiony, tylko po prostu zmęczony. Całą sobotę i część niedzieli próbował wyobrazić sobie Tobiasa Friska jako brutalnego mordercę. Przychodziło mu to z trudem, jednak w obliczu mnożących się dowodów w końcu skapitulował.

– Ciągłe jeszcze nie możemy być stuprocentowo pewni – odparł z charakterystyczną chrypką w głosie. – To znaczy, dopóki nie uzyskamy wszystkich odpowiedzi.

– Całkiem pewni, nie. Ale przeświadczeni. – Lindell doskonale zdawała sobie sprawę, że Bosse Marksson chce zostawić furtkę dla alternatywnego rozwiązania otwartą tak długo, jak tylko się da.

Może częściowo dlatego, że w sobotę po południu odwiedził siedemdziesięcioletnią matkę Friska, by osobiście zawiadomić ją, że jej syn zginął z własnej ręki. Staruszka przyjęła tragiczne wieści w milczeniu, po czym zemdlła. Na szczęście Marksson zdążył ją złapać, zanim upadła. Teraz leżała w szpitalu, milcząca i pogrążona w szoku. Ani jedno słowo nie przeszło przez jej wargi.

Postanowili, że Marksson z drugim policjantem będą kontynuować przesłuchiwanie pozostałych mieszkańców. Nie było wątpliwości, że przez pewien czas u Friska mieszkała kobieta, spali ze sobą, poruszała się swobodnie po domu. Pozostawiła liczne ślady. Ktoś z pewnością musiał coś usłyszeć albo zobaczyć. Cypel Bultudden był względnie odizolowanym nadmorskim zakątkiem, gdzie ludzie wszystko o sobie wiedzieli i bardzo dobrze znali swoje nawyki. Ktoś nowy, obcy zostałby z pewnością zauważony.

Nie było sensu, żeby Lindell nadal uczestniczyła w dochodzeniu, przynajmniej tu, na miejscu. Obiecała natomiast przesyłać wszystkie ekspertyzy.

– Nie wiadomo, kim ona jest – powiedział Marksson. – Niech to szlag!

I faktycznie. Mieli włosy, krew, naskórek, nawet zdjęcie ofiary. Mieli jej stopę, ale nie mieli nazwiska.

Lindell jeszcze raz przeczytała raport Morganssona na temat piły. Narzędzie było w dobrym stanie. Zostało kupione w sklepie Såma w Uppsali, o czym informowała mała naklejka. Ostrze i łańcuch były jak nowe, ząbki wyglądały tylko na odrobinę zużyte. Olej na łańcuchu był pochodzenia roślinnego i prawdopodobnie został zaczerpnięty z dwudziestolitrowego pojemnika w garażu Friska. Analiza miała wykazać, czy jest identyczny ze śladami oleju na stopie. Nie odnaleziono krwi na ostrzu piły, za to odrobinę wykryto pod osłoną, tam gdzie łańcuch przewija się wokół koła zębatego. Lindell nie miała pojęcia, jak wygląda mechanizm piły łańcuchowej, ale usiłowała go sobie wyobrazić.

Wewnątrz osłony przywarły sosnowe wióry. Czyżby Frisk po poćwiartowaniu dziewczyny nadal używał piły? Ann uznała fakt za dość makabryczny. Naturalną reakcją byłoby chyba pozbycie się narzędzia. Morgansson sądził, że po dokonaniu zbrodni morderca wymienił przynajmniej ostrze i łańcuch. Należało sprawdzić, czy Frisk ostatnio robił zakupy w Såma.

Południowy kraniec baraku zajmowała wielka ilość drewna na opał – jakieś piętnaście albo dwadzieścia metrów sześciennych, jak oszacował Marksson. Frisk potrzebował swojej piły.

W północnej części stał trak z cylindrem hydraulicznym, służący do cięcia bali. Podczas gdy Marksson tłumaczył działanie urządzenia, Ann z drżeniem wyobraziła sobie mordercę, który najpierw przeżyna ciało ofiary na pół, a potem dokańcza dzieło piłą.

Tobias Frisk usunął wszystko, co należało do kochanki. Nie natrafili na ani jedną część kobiecej garderoby, na żaden kosmetyk w łazience czy zapomniany tampon, na żadną dodatkową szczoteczkę do zębów, notatki czy choćby esy-floresy na bloczku, który znaleźli w biblioteczce, na żadne gazety ani książki niepasujące do tego miejsca. W pudełku z kośćmi do gry leżały stare zapisy wyników, ale powtarzały się tylko dwa inicjały: TF i LM. Sąsiad Friska potwierdził, że czasami umawiali się na partyjkę. Ostatnio parę lat temu.

W domu nie znaleziono komputera. Lasse Malm utrzymywał, że Frisk nigdy niczego takiego nie miał. Nawet z rzadka włączał telewizor. Jedyńm programem, którego starał się nie opuszczać, były wiadomości o wpół do ósmej.

Co ten facet robił wieczorami, zastanawiała się Ann. Prawie nie oglądał telewizji, nie surfował w sieci, nie gromadził czasopism świadczących o jakichś specjalnych zainteresowaniach, jego księgozbiór liczył nie więcej niż dwadzieścia egzemplarzy, a życie towarzyskie najwyraźniej było znikome. Według pozyskanych informacji, raz w tygodniu odwiedzał matkę, zawsze w niedzielę. Rodzeństwa nie miał.

Zdaniem mieszkających wzdłuż Ulicy sąsiadów rzadko przyjmował gości, właściwie wcale. U Ann narastało przekonanie, że mężczyzna wiódł życie wyjątkowo samotne, zdominowane przez rutynę.

„Lubił łowić ryby” i „Miał bzika na punkcie wędkarstwa”, jedynie te dwa komentarze wskazywały na jakąś pasję. Faktycznie, wśród rzeczy zmarłego znaleźli pokaźny zbiór sprzętu do wędkowania. Marksson uznał kolekcję za „powyżej przeciętnej jak na amatora”.

I odkryli zdjęcie. Albo przegapił je podczas sprzątania, albo zatrzymał na pamiątkę. W swoim raporcie Morgansson odnotował, że w domu nie było aparatu. Czyżby kobieta przywiozła fotografię ze sobą?

W kuchennej szufladzie, razem z dokumentami ubezpieczeniowymi, starymi rachunkami

o ostatnią informacją o kwocie oszczędności w funduszu emerytalnym, leżał paszport. Został wydany w kwietniu 2002 roku i były w nim tylko dwie pieczętki. 12 czerwca tego właśnie roku Frisk przekroczył granicę Turcji, a tydzień później stamtąd wyjechał.

Na kuchennej ścianie, nad aparatem telefonicznym, wisiał spis numerów. Obejmował trzynaście nazwisk, z których pięć było związanych z pracą. Poza tym figurowało tam wszystkich sześciu sąsiadów i „Mama” oraz „zarządca Mamy”. Zadzwonili do tego ostatniego. Facet opiekował się nieruchomościami w okolicy, gdzie mieszkała staruszka. Wyjaśnił, że jej syn kilkakrotnie się z nim kontaktował w sprawie drobnych napraw domowych.

Trzynaście nazwisk. Trzynaście numerów. I żadnego punktu zaczepienia. Ann nigdy czegoś takiego nie widziała.

W tekturowej teczce leżały starannie posegregowane odcinki wypłat z piekarni Ahléna, a pod spodem, ułożone chronologicznie, zeznania podatkowe za ostatnich pięć lat. Zmarły nie zarabiał szczególnie dobrze – zaledwie 250 tysięcy w 2004 roku – ale z drugiej strony dom należał do niego i przypuszczalnie został już spłacony. Nie wyglądało na to, żeby Tobias Frisk prowadził szczególnie ekstrawagancki tryb życia, więc pewnie co miesiąc mógł odłożyć parę koron.

Marksson już w sobotę zadzwonił do pracodawcy Friska i zawiadomił, co się stało, pominął jednak sprawę podejrzenia o morderstwo. Conny Ahlén był autentycznie wstrząśnięty. Nowina całkowicie go zaskoczyła. Jego zdaniem nic w zachowaniu Tobiasa nie wyjaśniało samobójstwa. Wręcz przeciwnie; przez całą jesień Frisk cieszył się dobrą formą. Od urlopu w lipcu nie przechorował nawet jednego dnia. We wrześniu dostał podwyżkę „dla wszystkich, którzy przepracowali pięć lat” i by uczcić to wydarzenie razem ze swoim chlebodawcą wyskoczyli coś przekąsić. Jednym słowem wszystko było w porządku, przynajmniej pozornie.

Na pytanie, czy Frisk miał jakieś dziewczyny, Conny Ahlén najpierw mętnie się plątał, że mógł być ktoś taki kilka lat temu. Później jednak zmienił zdanie i oświadczył, iż nie przypomina sobie, by Tobias kiedykolwiek wspominał o kobietach.

– Jeśli mam być szczerzy, to nawet czasem żeśmy z niego pokpiwali. Nazywaliśmy go „wyspiarzem-pustelnikiem”.

Wszyscy pracownicy piekarni mieli konta w Föreningsparbanken w Östhammar. W poniedziałek z samego rana, zaraz po otwarciu banku, Marksson miał sprawdzić saldo i ewentualne długi zmarłego.

Obydwoje śledczy w sposób oczywisty skupili się na nieznannej kobiecie. Wedle wszelkich oznak Frisk sam się zastrzelił, pozostawało tylko stwierdzić, czy również odebrał życie innej osobie. Nigdy nie będą mogli postawić mu zarzutów, co Lindell przyjmowała niemal z ulgą. Osobiście wymierzył sobie sprawiedliwość, wydając na siebie taki wyrok, jakiego żądałby dla niego Torsten Andersson: najwyższy wymiar kary.

Mieli krew, włosy, naskórek. I piłę spalinową marki Stihl. To było wszystko i prawdopodobnie musiało im wystarczyć.

Lindell wyjęła nowy notes i dużymi literami podpisała go: „Bultudden”.

Na pierwszej stronie u góry zanotowała: „Jak ją poznał?” Odpowiedź wcale nie była oczywista. Najprawdopodobniej Frisk nie odwiedzał Azji Południowo-Wschodniej, skąd, jak sądzili, pochodziła kobieta. Sąsiedzi kręcili głowami, wszyscy jednakowo pewni i ogromnie zdumieni pytaniem, czy Tobias kiedykolwiek wyjeżdżał do Tajlandii, Malezji albo na Bali.

– Kiedy był w Turcji, bez przerwy tęsknił za domem – powiedział Markssonowi Thomas B. Sunesson.

Lindell rzuciła na papier kilka zdań, przez chwilę wpatrywała się niewidzącym spojrzeniem w ścianę naprzeciwko, gdzie wisiała mapa Upplandii, wreszcie uśmiechnęła się do siebie, przewróciła kartkę i dalej pisała z zapalem.

Zadzwonił telefon. Zerknęła na wyświetlacz numeru i zignorowała sygnał.

Kiedy już zapełniła całe dwie strony czymś, co wiele osób uznałoby za hieroglify, odłożyła długopis i przeczytała notatki od początku do końca. Jej konkluzja brzmiała następująco: skoro Tobias Frisk nie podróżował za granicę, sprawy musiały wyglądać odwrotnie – to tutaj, na miejscu, spotkał tę kobietę. Była już w Szwecji, kiedy się poznali.

Najbardziej przekonujące wydawały się dwa scenariusze. Albo dziewczyna przyjechała w towarzystwie innego Szweda, albo do pracy – i w ten sposób natrafiła na swego przyszłego zabójcę.

Bo mężczyzna był mordercą, Lindell nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nikt dobrowolnie nie pozbywa się stopy. Postanowiła zignorować fakt, że sąd może wcale nie uznać Tobiasa Friska za winnego. Obrona zawsze mogła twierdzić, że kobieta opuściła dom albo ktoś ją zamordował i zmasakrował zwłoki pod nieobecność kochanka.

PRACA, widniało w notesie drukowanymi literami. Pierwsze, co przyszło jej na myśl, to restauracje. W samej Uppsali знаła kilka azjatyckich knajpek: japońską, tajską, chińską. A były pewnie też inne. Skupiła się na lokalach tajskich. Sięgnęła po książkę telefoniczną i kiedy zaczęła sprawdzać na żółtych stronach pod nagłówkiem „restauracje”, jej wzrok natychmiast padł na nazwę Sukothai. Była tam kiedyś w towarzystwie dziennikarki z TV4. Szybki lunch parę miesięcy temu.

W tym momencie uświadomiła sobie, że nadal wozi w bagażniku dwie piły. Zamiast telefonować do restauracji, zadzwoniła do Markssona.

Odebrał od razu. Powiedziała mu o piłach i obiecała, że nazajutrz postara się wpaść na Bultudden.

Bosse Marksson właśnie zbierał się do wyjścia, obiecał więc po drodze zostawić w skrzynkach listowych Sunessona i Malma informację o zwrocie narzędzi.

– A w ogóle, co tam u was?

– Nikt niczego nie widział. Nikt niczego nie słyszał – odparł. – Tego właśnie nie rozumiem. Jak można zamieszkać w takiej dziurze i nikomu nie rzucić się w oczy?

– Pewnie trzymał dziewczynę pod kluczem – powiedziała Lindell. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Niby gdzie miałby ją ukryć?

– Albo mogła, zastraszona, siedzieć w domu z własnej woli.

– A kiedy ktoś odwiedzał Friska?

– Tam jest piętro.

Marksson przez chwilę rozważał tę ewentualność.

– Może i tak, ale co to za życie.

– Żadne – zgodziła się Lindell.

Jeszcze raz wyciągnęła zdjęcie. Zostało zrobione pod gołym niebem, przy dziennym świetle. Młoda Azjatka uśmiechała się do obiektywu. Jej ciemne włosy były zaczesane do tyłu,

kokarda wyzierała zza głowy jak biały motyl. Kobieta miała na sobie żółty T-shirt z krótkimi rękawkami. Po lewej stronie widniał nadruk: obrazek, a wyżej napis. Rozważali, co to mogło być. Jakieś logo? Fotograf z wydziału ekspertyz powiększył ten fragment, ale i tak nic nikomu nie przyszło do głowy.

Lindell wzięła zdjęcie, wsunęła je do plastikowej koperty i postanowiła odwiedzić te azjatyckie lokale, które знаła.

Najpierw pojechała na Bäckers Gränd, do restauracji hinduskiej. Trafiała na porę lunchu, więc sala była pełna. Nikt z personelu nie rozpoznał tajemniczej kobiety. Następny przystanek wypadł przy Bredgränd, w Amazing Thai. Z tym samym przygnębiającym rezultatem. Wszyscy pracownicy kręcili głowami. W dwóch chińskich knajpkach na Kungsgatan została powitana uśmiechami, ale ani jedna osoba nie umiała zidentyfikować twarzy z fotografii.

W Sukothai szczyt pory lunchu już minął. Jakaś kobieta właśnie sprzątała talerze i szklanki. Zbliżyła się, dźwigając tacę zastawioną naczyńiami, z uśmiechem, jakby kojarzyła wchodzącą, co Ann uznała raczej za zawodowy nawyk niż autentyczny przeblysł rozpoznania.

– Głodna?

Lindell wyjaśniła, że jest z policji.

– Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku – odparła uspokajająco. – Chcę tylko, żeby pani na to zerknęła.

Uniosła wyżej zdjęcie. Kobieta odstawiła tacę, podeszła i obejrzała je w świetle lampy.

– Z Tajlandii – stwierdziła od razu.

– Więc spotkała pani tę dziewczynę?

– Nie, ale bluzka. Jest żółta. Było zrobione w poniedziałek. – Kelnerka stanowczo pokiwała głową. – W poniedziałek.

– Skąd pani wie?

– Kolor króla, żółty. Wtedy wszyscy mają żółty. Bo lubią króla. Zawsze w poniedziałek.

W każdy. Król jest dobry. Żółty to kolor króla.

Twarz kobiety rozpromienił szeroki uśmiech. Lindell przyłapała się na tym, że uśmiecha się niemal równie radośnie. W milczeniu razem wpatrywały się w fotografię. Po chwili Tajka spoważniała.

– Zła sprawa – oznajmiła.

Z początku Ann nie zrozumiała, o co chodzi.

– Tak, zła sprawa – przytaknęła po prostu i znów wzięła zdjęcie. – A co to jest? – Wskazała na logo na koszulce dziewczyny.

– Znak króla – bez wahania odparła zapytana.

– Czy ma pani jakiś pomysł, gdzie to mogło zostać zrobione?

Kobieta pokręciła głową.

– Może pracuje w restauracji. Pani patrzy – powiedziała, wskazując na coś w tle, jakiś częściowo ukryty za kępą drzew przedmiot, któremu Lindell już się uważnie przyglądała, ale nadal nie wiedziała, co to takiego. Kojarzył się jej z daszkiem nad staroświecką studnią.

– Dla ryb – wyjaśniła Tajka. – Goście patrzą na ryby.

Ann Lindell przyjrzała się jeszcze raz zdjęciu i wreszcie do niej dotarło. Restauracja, pomyślała. To miało sens. Szwed przychodzi, je, widzi tę kobietę i zaczynają rozmawiać, a prawdopodobnie też się spotykać. Spędza tam parę tygodni. Kiedy wyjeżdża, ona udaje się za

nim. Może wysłała jej pieniądze na podróż. Facet kupuje sobie dziewczynę, niewykluczone, że kusił ją obietnicami pracy i bogactwa albo miłości i rodziny. Aż wreszcie sprawa znajduje swój koniec na wietrznym cyplu.

– Dziękuję, jest pani prawdziwym skarbem – powiedziała, spontanicznie kładąc dłoń na ramieniu kobiety.

Właścicielka Sukothai znowu błysnęła uśmiechem, ukazując lśniące bielą zęby.

– Kawy?

W twarzy miała coś takiego, że Ann, chociaż wypła już swój dzienny przydział, nie potrafiła odmówić.

Usiadła przy stoliku i położyła zdjęcie przed sobą. Trudno to było nazwać jakimś gigantycznym przełomem, ale przynajmniej zrobiła krok we właściwym kierunku. Teraz ustalenie tożsamości dziewczyny stało się jeszcze ważniejsze.

Edvard był kiedyś w Tajlandii. Czy też kupował tam miłość? Ann nie sądziła, żeby to robił, jednak już sam pomysł wystarczył, by wprawić ją w przygnębienie. Wszyscy ci faceci, którzy latali po świecie czarterami, by poużywać swobody, byli nie lepsi od handlarzy żywym towarem. Ola Haver odwiedził Tajlandię i opowiadał, jakim obrzydzeniem napawał go widok spasionych, podstarzałych turystów, prowadzących się ze szczupłymi Tajkami w takim wieku, że mogły być ich córkami albo wnuczkami.

Do stolika znowu podeszła właścicielka Sukothai. Usiadła, przysunęła sobie fotografię i wpatrywała się w nią badawczo, jak gdyby naśladowując swego gościa.

Wreszcie podniosła wzrok.

– Ogłoszenie w gazetach – powiedziała. – Na wybrzeżu wystarczy. Każdy zobaczy zdjęcie, powiedzą, czy ją znają.

Jednym tchem wyrecytowała listę nazw miejscowości. Lindell kojarzyła co najmniej dwie z nich: Phuket i Hua Hin. O nich słyszała. Miała wrażenie, że Haver był właśnie w Phuket. Poprosiła Tajkę, żeby spisała dla niej główne turystyczne kurorty. Wyszło tego całkiem sporo.

Opuściła Sukothai z mieszanymi uczuciami. Mroczny lokal przez krótki czas służył jej za azyl, w którym mogła spokojnie rozmyślać nad śledztwem. Dopiero schodząc po stopniach prowadzących na ulicę, gdzie zaparkowała samochód, zrozumiała nagle, że jej rola dobiegła końca. Powinna była już odpuścić sobie Bultudden. Dzięki trafionej „orlej” hipotezie Fredrikssona, zrobiła, co do niej należało. Marksson i pozostali koledzy z Östhammar mogli przejąć dochodzenie. Jednak coś w spojrzeniu młodej kobiety nie dawało jej spokoju. A może chodziło po prostu o to, że teraz, kiedy była w stanie umiejscowić nieznaną w konkretnym kraju, odkrycie prawdy wydawało się tym ważniejsze? Nikt nie chce żyć bezimiennie, pomyślała Ann, i nikt nie chce bezimiennie umierać.

Ruszyła z powrotem do komisariatu. Gdyby nie piła kawy w tajskiej restauracji, zahaczyłaby jeszcze o cukiernię Savoy, by przedłużyć czas samotnych rozmyślań.

W centrali cały zespół siedział razem przy kawie. Niemal jak podczas porannych odpraw. Riis właśnie perorował. Ottosson podsunął kubek Lindell, ale ona tylko odmownie potrząsnęła głową.

– Tajlandia – rzucił Haver, kiedy Riis wreszcie umilkł.

Ann zastanawiała się, skąd u diabła wiedział, jednak usiłowała nie okazać zbyt dużego zdumienia.

– I mówisz nam to dopiero teraz? – powiedziała.

– Z początku o tym nie pomyślałem, ale potem przyszło mi do głowy w związku z tym T-shirtem.

– Bo jest żółty?

Haver przytaknęła.

– Któregoś dnia tygodnia wszyscy tam takie noszą, nie wiem dlaczego. Jakby człowiek się znalazł na fermie kurcząt.

– W poniedziałek – poinformowała go Lindell. – Żółty to kolor ich króla.

Najwyraźniej zaimponowała nawet Riisowi.

– Dochodzenie wewnętrzne i zewnętrzne – wtrącił Sammy Nilsson – chociaż raz z identycznymi wnioskami.

W miarę jak opowiadała o wizycie w Sukothai, Ottosson uśmiechał się coraz szerzej.

– Dobra robota – pochwalił ją.

Wyczuła, że cieszy go lekko nadąsana mina Havera. Jakoś ostatnio tym dwóm nie było ze sobą po drodze. Nie wiedziała dlaczego i prawdę mówiąc, w ogóle jej to nie obchodziło.

– Uważam, że należy dać ogłoszenie do lokalnych tajlandzkich gazet – powiedziała. – Możemy skontaktować się z tamtejszą policją, żeby zamieścili zdjęcie. Chyba wystarczy w pięciu miejscowościach, gdzie najczęściej bywają Szwedzi.

– Ale po co? – wykrzyknął Riis.

Odwróciła się do niego.

– Czy to nie lekka przesada? – ciągnął. – Dziewczyna nie żyje.

– Ale kim była?

– A co to za różnica? – odparł. – Jej zabójca też jest trupem. Niczego nie da się już cofnąć. Mamy motyw i dowody, znamy przebieg wypadków.

– Jaki motyw?

– No, pewnie postanowiła wrócić do domu...

– Może i tak – przerwała mu. – Może postanowiła wrócić do Tajlandii albo... Nie, Riis, to nie wystarczy. Jej krewni pewnie chcieliby wiedzieć, co się z nią stało.

– Dla nich ona i tak już jest martwa – stwierdził Riis. – A co do ogłoszenia. Prawdopodobnie pochodziła z północy Tajlandii. Większość dziwek...

– Sprawdzalesz osobiście?

Ottosson zakaszłał. Było to jego tradycyjne ostrzeżenie, kiedy czuł, że wymiana zdań zmierza w niewłaściwym kierunku. Lindell obrzuciła go szybkim spojrzeniem i ciągnęła swoje.

– Gdyby chodziło o Szwedkę, poruszylibyśmy niebo i ziemię, żeby ustalić tożsamość ofiary, prawda?

Prześlizgnęła się wzrokiem po twarzach zebranych, oczekując, że ktoś jej przytaknie. Jednak nikt się nie odezwał.

– A przypomnijcie sobie tsunami. Bez dyskusji zrobiliśmy wszystko, by każda kosteczka mogła zostać powiązana z odpowiednią osobą. Posłaliśmy tam ludzi z wydziału zabójstw Policji Krajowej i wiele innych osób. Pamiętacie? Wtedy chodziło o Szwedów. Nie mówiliśmy rodzinom, że ich bliscy i tak nie żyją, więc co to za różnica. Nie, zbadaliśmy DNA w każdym skrawku tkanki. Więc lepiej popracuj nad sobą, Riis!

– Prawdziwa ofensywa – podsumował Sammy Nilsson.

– Chcesz, żebyśmy wysłali stopę do Tajlandii? – spytał sarkastycznie Riis.

– A pamiętasz Tajów? Jak pomagali turystom?

Kiedy wreszcie skończyła, zespół pograżył się w milczeniu. Odruchowo naląła sobie kawy, ale nadal nie usiadła. Czuła, jak drży jej ręka.

– Może i masz rację – odezwał się Ottosson, przerywając ciszę. – Ale pytanie brzmi: czy to cokolwiek da?

– Więc ty też! – krzyknęła i natychmiast tego pożałowała.

– Poza tym nie wiadomo, czy to faktycznie jej zdjęcie. Może być czyjekolwiek.

Komentarz Beatrice sprawił, że Ann z trzaskiem odstawiła kubek.

– I? – Czuła taki przyływ niechęci, że miała ochotę kopnąć koleżankę w goleń, jednak ograniczyła się do posłania jej gniewnego spojrzenia.

– Co rozumiesz przez „i”? – spytała spokojnie Beatrice.

– Zdjęcie to jedyne, co mamy, prawda? Jedyne. Dlatego zamierzamy nad nim pracować tak długo, jak będzie trzeba.

Ottosson wziął serwetkę, sięgnął przez stół i wytarł kawę rozchlapaną wokół kubka Ann.

Do tej pory tylko raz zdarzyło im się pokłócić, w związku ze śmiercią młodego Peruwiańczyka. Osiem lat temu. Nie była dumna ze swojej reakcji. Przypuszczała, że Ottosson zgadza się z kolegami, w przeciwnym wypadku natychmiast stanąłby w jej obronie. I to wzbudzało w niej jeszcze większe rozgoryczenie. Czuła się zdradzona, jednak wiedziała, że pewne granice muszą zostać zachowane i że właśnie osiągnęli ten punkt. Dalsza wymiana zdań mogła źle się skończyć. Nie miała oporów przed bojami z Riisem, którego uważała za prawdziwego dupka, ani nawet przed kłótnią z Ottossonem, z którym potem zawsze się godziła, ale w dziwny sposób obawiała się Beatrice. Wściekając się i rzucając oskarżenia, tylko dawała jej przewagę, bo tamta zawsze potrafiła zachować zimną krew.

– Dobrze. – Wypiła łyk kawy i spojrzeniem podziękowała Ottossonowi za wytarcie blatu. – W tej sytuacji proponuję, żeby w Östhammar przejął inicjatywę Bosse Marksson.

Od razu wyczuła, że Ottosson odetchnął z ulgą.

– Tak, zostawmy sprawę Markssonowi – powiedział spokojnym tonem.

Z kubkiem w ręku Ann Lindell odwróciła się i wyszła. Czuła, jak wzrok kolegów pali jej plecy.

Kiedy znowu znalazła się w swoim pokoju, opadła na krzesło dla gości. Prawdę powiedziawszy, za swoje odkrycie nie spodziewała się owacji na stojąco, ale tak kompletny brak zainteresowania był jednak szokiem.

Nie mogła zrozumieć ich reakcji. Riis to jedno, jego nie obchodziła większość spraw. A Beatrice miała zwyczaj spokojnie albo z lekką wyższością zgłaszać sprzeciw wobec wszystkiego, co Ann proponowała. Ale Haver i Ottosson? I Sammy Nilsson, z którym zawsze się rozumiała, gdy w grę wchodziły wartości. Niepojęte. Jeszcze raz przemyślała argumenty, których użyła. Z pewnością wytrzymały krytykę.

Obojętność kolegów wynikała zapewne z tego, iż uznali, że szansa na powodzenie jest minimalna. Byli przekonani, że los młodej Tajki pochłonie Lindell do tego stopnia, że zapomni o całym świecie. To już się wcześniej zdarzało, uważali, że traciła poczucie dystansu i działała w sposób niesynchronizowany z pozostałymi członkami grupy dochodzeniowej.

Niezaprzeczalnie była to jej słabość, była tego świadoma, ale ta sprawa była banalna.

Jedyne co musieli, to nawiązać kontakt z władzami policyjnymi na drugim końcu świata i pozwolić im wykonać całą robotę.

Znowu zadzwoniła do Markssona i zapowiedziała, że wpadnie następnego dnia. Umówili się przed domem Torstena Anderssona o wpół do dziesiątej.

Oczywiście rozpoznał sztucer, ale nie chciał nic mówić. Przyszedł Marksson, pokazał tę starą giwerę i spytał, czy ją kiedyś widział. Musiała mieć co najmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Dlaczego miał coś mówić? Co się stało, to się nie odstanie. Kto by pomyślał, że Frisk okaże się na tyle mężczyzną, żeby nacisnąć spust? Nie rozumiał tylko, jakim cudem sztucer dostał się w jego ręce.

A teraz znowu tu był, ten cały Marksson. Gwizdał? Tak wyglądało. Gliny muszą mieć radochę, kiedy dzieje się jakieś diabelstwo. Odzywają. Gwizdzą.

Jego ojca też kojarzył. To nie był głos, który dawało się zapomnieć. Na Birgera Markssona dalej mówili „entuzjasta zdrowia”. Zasuwał po okolicy w trykotach na długo, zanim stały się modne wśród wielbicieli tego durnego joggingu. Teraz wyglądało to prawie komicznie: żeby się przemieszczać, facet musiał używać dwóch lasek. Dla odmiany jego żona przez całe życie nawet się nie przebiegła. Była ze Snesslinge, a tam nikt się nie wysiła. Za to na starość zaczęła latać jak górską kozica po różnych sportowych imprezach, jeździć na wycieczki autokarem i udzielać się we wszystkich możliwych organizacjach w Östhammar.

Na co on czekał? Sterczał tu już co najmniej od dziesięciu minut. Torsten Andersson słyszał, jak Marksson zahamował koło skrzynek na listy i po paru chwilach wysiadł z auta. A potem zaczął się szwendać po ulicy, pogwizdując jak jakiś nadęty małomiasteczkowy policjant. Teraz wyjął telefon i gdzieś dzwonił. Ile takie rozmowy przez komórkowy telefon kosztują? Zanim pojawiły się te różne nowinki, jakoś wszystko świetnie działało.

Zza zakrętu wyjechał drugi samochód. Torsten Andersson natychmiast go rozpoznał. To ta uppsalska policjantka, ta co mówiła, że lubi trzask płomieni. Dręcząca obawa zaczęła ustępować. To nie za nim się uganiali.

– Przepraszam. Miałam poślizg w przedszkolu.

– Nic nie szkodzi. Trochę popracowałem – odparł Marksson wielkodusznie. – Zadzwoń do tutejszego listonosza. Nazywa się Bengtsson. Poznałem go kiedyś.

Wszyscy tu wszystkich znacie?, pomyślała Lindell.

– Chciałem się dowiedzieć, czy Frisk odbierał jakieś przesyłki z zagranicy, ale Bengtsson zaprzecza. Coś takiego na pewno by zapamiętał. Przyszło mi do głowy, że...

– I całkiem słusznie – wtrąciła, uświadamiając sobie, że zaczyna coraz bardziej cenić Bossego Markssona.

– ... że ta kobieta mogła dostawać listy z domu.

– Z Tajlandii – dodała i opowiedziała o swoim odkryciu.

– W takim razie powinniśmy zadzwonić do Sunego Stolta – oznajmił natychmiast Marksson. – Mieszka tam i może spróbować się czegoś dowiedzieć.

– A kto to jest Sune Stolt**? – spytała Lindell ze śmiechem.

– Mój znajomy. Zajmuje się sprawami związanymi z prostytutką, pedofilią i tak dalej. W Tajlandii służy pewnie ze dwóch czy trzech szwedzkich policjantów. Jego brat też pracuje w policji, na posterunku w Tierp, ale obaj pochodzą stąd. W młodości Sune był żuźlowcem, jeździł dla Roslagen. Naprawdę dobrze się zapowiadał. A potem zaczął mieć problemy z równowagą. Coś z uchem. Ale na gliniarza nadawał się w sam raz. W końcu ciągle coś nas

wytrąca z równowagi.

– Jesteś niemożliwy.

Uśmiechnął się tylko i wymamrotał coś pod nosem. Lindell miała ochotę go uściskać. Kontrast między wczorajszym pełnym wyższości uśmiechem Beatrice a radośnie szczerzącym zęby Markssonem natychmiast wprowadził ją w dobry nastrój. Poczowała radość, że znalazła się na tej wyludnionej, szutrowej drodze razem z kolegą z prowincjonalnego miasteczka, człowiekiem, który nie komplikował spraw bardziej, niż potrzeba.

– Zaraz zadzwonię do Tierp – oznajmił Marksson.

Zabrali się jej samochodem. Jechała powoli, Marksson rozmawiał z Yngvem Stoltem. W końcu na odwróceniu rysunku Erika nabazgrał adres mailowy.

Kiedy mijali dom Margit i Kallego Paulssonów, Lindell przypomniała się spontaniczna, gwałtowna reakcja pani Paulsson na wieść, że Frisk odebrał sobie życie.

– Niemożliwe – wybuchnęła. – Nie wierzę w to! Nie on.

Ale już jej mąż nie okazał takiego zdumienia.

– Zawsze był trochę dziwny – podsumował spokojnie.

– Jak Lasse Malm to przyjął? – spytała po chwili Margit.

– A o co chodzi?

– Nie wie pani?

Margit zerknęła na męża.

– Jego ojciec popełnił samobójstwo. To było wiele lat temu.

– Dwadzieścia dwa – dodał Kalle. – W domu, na piętrze wpakował sobie kulkę w łeb.

– Wiesz, że ojciec Lassego Malma też się zastrzelił?

Marksson pokręcił głową. O dziwo okazało się, że nigdy o tym nie słyszał.

– Może powinniśmy tę sprawę delikatnie z Malmem poruszyć i jednak go wypytać?

– Wątpię, czy jest jakiś związek. To się zdarzyło ostatnio?

– Dwadzieścia dwa lata temu.

– Sama widzisz. Długa inkubacja jak na epidemię. Z czego się zastrzelił?

– Kalle Paulsson twierdzi, że ze starego wojskowego pistoletu.

Lindell zwolniła i po raz trzeci skręciła w podwórze Sunessona. Zaskoczyło ją, kiedy gospodarz pojawił się na schodkach.

– A więc jest pan w domu – powiedziała.

– Ostatniej nocy miałem wezwanie. Wiało jak diabli i w Långalmie musieliśmy uprzętać kilka drzew.

– Poradził pan sobie bez piły?

– Vattenfall zaopatruje nas w narzędzia.

– Zmęczony?

– Nie, nie za bardzo. Przywykłem. Często do mnie dzwonią, bo nie mam rodziny. Odbijam to sobie w weekendy, śpię wtedy jak kłoda.

– Mogę panu już oddać piłę. Chciałam ją zostawić za domem.

Lindell otworzyła bagażnik. Sunesson zajrzał do środka.

– A to czyje? – zapytał, wskazując Jonsereda.

– Lassego Malma.

– Okay, jasne. Zebrała pani wszystkie piły w okolicy.

– Nie było tego aż tak dużo – odparła Lindell. Wyjęła ostrze, ciągle jeszcze zapakowane w folię. – Przepraszam za kłopot. Już może pan je zamontować.

Sunesson uśmiechnął się, ale nieco wymuszenie. Patrzył na nią nieobecny wzrokiem. Facet musi być kompletnie wykończony, pomyślała.

– Niech pan wraca do domu i trochę się prześpi.

– Chyba faktycznie tak zrobię.

Stojąc z piłą łańcuchową w jednej ręce i ostrzem w drugiej, zczekał, aż policjanci opuszczą podwórze.

Lindell i Marksson zatrzymali się przed kolejnym domem. Lindell wyciągnęła piłę Lassego Malma, okrążyła budynek i zostawiła narzędzie w tym samym miejscu, skąd wzięła je w sobotę. Rozejrzawszy się po mrocznej szopie, dostrzegła całą masę rzeczy złożonych czy raczej rzuconych na stertę. Ach, ci wyspiarze, pomyślała. Na Gräsö nieraz zdumiewał ją stosunek miejscowych do ich dobytku. Maszyny rolnicze – tak nowe, jak i stare – stały na dworze przez okrągły rok, narażone na śnieg i deszcz. Prywatne wysypiska odpadów z całych dziesięcioleci mogły zaśmiecać skraj lasu albo stok wzgórza, często całkiem blisko domu.

W szopie Malma obok zardzewiałego grilla tłoczyły się wiosła, drewniane skrzynki z sieciami i bojami, wór na śmieci, który przewrócił się, prezentując kłębowisko starych ubrań i szmat, zardzewiałe i stosunkowo nowe narzędzia, pudełko z gwoździami, bolcami i śrubami, pług z jednym lemieszem i wiele innych różności.

Czas na garażową wyprzedaż, pomyślała Lindell, kiedy za jej plecami pojawił się Marksson.

– Dział z towarami przecenionymi – zażartował, wpychając jakiś stary łach do czarnego worka na śmieci.

– Malm nie jest maniakalnie schludny, przynajmniej tyle wiemy. Jak on może mieszkać w czymś takim?

– Siła przyzwyczajenia. Kawaler. Nie zależy mu. Chodzi na ryby. Ogląda w telewizji sport. Je, pije, pracuje, śpi.

– Ale mimo wszystko – mruknęła.

Zdała sobie sprawę, że te stosy rzeczy ją wabia, że chciałaby w nich pogrzebać. Może te sterty kryją w sobie jakąś okazję? Uwielbiała pchle targi. W sobotnie ranki często jeździła z Erikiem na plac Vaksala, by powłóczyć się wśród straganów. Czasami coś kupowała – kieliszek, wazon albo cokolwiek innego, czego tak naprawdę wcale nie potrzebowali. Kiedyś zaledwie za sto koron nabyła całe pudło klocków Lego. Po jednym cyklu w zmywarce wyglądały jak nowe. Od tamtego czasu Erik zawsze ochoczo jej towarzyszył.

Te wyprawy należały do nielicznych przyjemności, na jakie Ann sobie pozwalała. Lubiła niemal kontynentalną atmosferę targowiska. Czasami bawiła się myślą, że są wiele kilometrów od domu, gdzieś w południowej Europie.

Erik jeszcze nigdy nie był za granicą. Planowała, że pojedą gdzieś razem na wakacje, zanim mały rozpocznie szkołę – może do Portugalii albo do Hiszpanii. Ale jak dotąd nigdzie nie pojechali. Mogła sobie na to pozwolić. Oszczędzała, nie żyła rozrzutnie. Mieszkanie było spłacone, nie miała długów.

Jednak nie miała ochoty podróżować sama z dzieckiem. Czuła, że podświadomie odsuwa ten wyjazd w nadziei, że znajdzie kogoś, z kim będzie mogła spędzić wakacje. Kogoś, kto...

– Zajrzymy jeszcze raz do Friska? – zakłócił bieg jej myśli Marksson.

Cisnęła na bok jakiś łach.

– Nie, raczej wpadnę do Lisen Morell – odparła. – Chcę zobaczyć, jak się czuje.

– To najpierw podrzuć mnie do Friska. Potem pogadaj z nią i przyjedź po mnie.

– Masz jakąś koncepcję?

– Po prostu muszę się zastanowić.

– Nad czymś szczególnym?

Pokręcił głową. Lindell przyglądała mu się, kiedy szedł w stronę samochodu. Niedbały krok, byczy kark, krótkie, rudawe włosy. Gdyby to był Haver, pomyślała, moglibyśmy poprzetrzucać się sugestiami. Bosse Marksson miał inny styl, bo dlaczego nie? Dobrze im się razem pracowało i wydawał się operatywny.

Spojrzała jeszcze raz na bałagan w szopie, podniosła szmatkę, którą Marksson upuścił na podłogę i włożyła do worka na śmieci, a potem starannie zamknęła drzwi i zasunęła rygiel.

Lisen Morell siedziała pod ścianą starej rybackiej szopy, opierając stopy o stół. Jej splecione ręce spoczywały na wychudłych udach. Ubrana była tak samo jak wtedy, gdy wyłoniła się z lasu koło domu Friska – czarne dżinsy, biały wełniany sweter – tyle że teraz zamiast sandałów miała na nogach zielone kalosze.

Wpatrywała się w morze, które rozciągało się przed nią niemal kompletnie nieruchome. Kiedy Lindell podeszła bliżej, odwróciła głowę i spojrzała na policjantkę bez zdziwienia czy śladu zmieszania, jakie przedtem okazywała. Jej wzrok też był inny. Ann mogła to stwierdzić, kiedy usiadła obok niej. Chwiejna drewniana ławka zaskrzypiała i lekko się zakołysała.

– Wytrzyma – zapewniła ją Lisen Morell.

– Jak się pani czuje? – spytała Lindell. – Kiedy widziałyśmy się ostatnio, wyglądała pani na przestraszoną.

– Nadal się boję.

– Czego?

Morell uśmiechnęła się i nie odrywając wzroku od morza, odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– A czego pani się boi?

– Choroby. Poważnej choroby.

– Uważa pani, że jestem wrakiem, tak, wiem. – Ruchem ręki uciszyła protesty. – Każdy tak uważa, zwłaszcza tutaj. Nazywają mnie Sroką, słyszała pani? Boi się pani czegoś jeszcze?

Kiedy Lindell przesunęła się trochę, ławka pod nią zajęczała.

– Poważna choroba – powtórzyła Morell powoli i z namysłem, jakby testowała znaczenie tych słów. – Ja jestem zdrowa, przynajmniej tak mi się zdaje. Ale życie w tym rajku nadweręża moje siły. Pani widzi we mnie strzęp człowieka – powtórzyła. – W pewnym sensie i pani, i wszyscy tutaj macie rację. Jestem statkiem, który zaczął tonąć na Morzu Alandzkim, prąd zniósł go do zatoki i wyrzucił na brzeg jako wrak. I tak tu tkwię.

Lindell uważnie obserwowała jej profil. Piękna twarz, może trochę zbyt szczupła, kobieta spokojnie mogłaby przytyć kilka kilogramów. Włosy ściągnięte w kucyk. Nieliczne kurze łapki w kącikach oczu i koło ust wskazywały, że nie jest już pierwszej młodości, ale poza tym skórę miała młodzieńczo gładką. Zanim się znowu odezwała, zwilżyła językiem wąskie wargi.

– Ręka już mnie nie słucha – oznajmiła, unosząc prawą dłoń. Długie, smukłe palce, starannie wycięte skórki, bladowiśniowe paznokcie, żadnego pierścionka ani obrączki. – Czasem drży, tylko odrobinę, ale nawet niewielkie drżenie wystarczy, żeby mnie zniszczyć. Jestem artystką. To się zaczęło rok temu, ta drżączka. Najpierw poczułam ją w sercu, a potem rozniosła się aż po czubki palców.

– A co się stało rok temu?

– Nic. Wróciłam z Nowego Jorku bardzo zadowolona. Szczęśliwa. Znowu spotkałam Watanabego, moje rzeczy dobrze się sprzedawały, byłam gotowa zacząć zbierać prace do nowej wystawy. Ale czułam, że coś się ze mną dzieje. Nie fizycznie – zawsze byłam zdrowa i sprawna – ale z jakiegoś powodu drżało mi serce. Taka arytmia duszy. Uprawiam grafikę w technice zwanej mezzotintą. Jest nas niewielu. Mezzotinta wymaga długich lat nauki,

wielkiej cierpliwości i przede wszystkim pewnej ręki. Najgorsze, że nie wiem, co to może być.

– I nic pani nie przychodzi do głowy?

– Kopiuje naturę. Tworzę małe podobizny pączków, kwiatów, zwierząt, ale ludzi nigdy nie ośmieliłam się portretować. W tym nigdy nie dorównam Watanabemu. To, co robię, robię z miłością, upajam się każdą minutą. Sosnowa szyszka potrafi sprawić, że się uśmiecham.

Więc mieszkając tu, powinnaś cały czas być uśmiechnięta, pomyślała Ann, ale nic nie powiedziała.

– Tak, wiem, co pani myśli, szyszka, chropowata w dotyku i trochę nieprzyjazna. Ale ona ma tysiące nasionek, zalążków przyszłego życia. Sosnowa szyszka bardziej przemawia do zmysłów niż większość naszych, ludzkich, wytworów. Być może to jest powodem mojego nieszczęścia. Podkradam się do tych przyrodniczych miniaterek, owiewam je oddechem, chłonę. Ale nigdy ich nie dotykam, tylko one czasem muskają mnie. Kiedy wstaję i patrzę na świat wokół mnie, wtedy to się dzieje. Wtedy czuję arytmie. Drżenie. Trudno to wytłumaczyć i nie oczekuję, że ktoś zrozumie, o co mi chodzi. Może jedynie Watanabe.

– Kto to jest ten Watanabe?

– Japoński artysta, którego poznałam we Francji. Niezwykle zdolny. Spotkaliśmy się też w Nowym Jorku, kiedy wystawiał w galerii w Soho.

– Co pani widzi, patrząc na świat?

Lindell przeczuwała, jaką odpowiedź usłyszy. Sama rzadko, chyba nigdy, nie przyglądała się sosnowym szyszkom, tym bardziej nie owiewała ich oddechem. Ale w pewnym sensie potrafiła zrozumieć te uczucia. Bo miała Erika. To on był jej szyszeczką. Wdychanie jego zapachu dawało Ann największe możliwe szczęście.

– Wojna – powiedziała w końcu Lisen Morell. – Wojna przeciwko wszystkiemu, co żyje. Gdybyśmy za punkt wyjścia wzięli te sosnowe szyszki albo pąki, albo morze – jej ręka wykonała nieoczekiwane szybki, zamaszty ruch – albo pustynię czy lodowce, cieszylibyśmy się lepszym zdrowiem. Po prostu czulibyśmy się lepiej.

Albo Erika ... Gdybyśmy wzięli Erika za punkt wyjścia, pomyślała Ann, ni z tego, ni z owego poruszona słowami, które w innym kontekście i w innym otoczeniu być może uznałaby za tyradę osoby o zmańczonym umyśle.

– Pokażę pani, co Watanabe potrafi – oznajmiła Morell i wstała.

Lindell poszła za nią. W przeciwieństwie do ostatniego razu, kiedy tu była, teraz dom wyglądał czysto i schludnie. Lisen Morell podeszła do ściany, o którą opierały się od zewnątrz, i wskazała na wiszącą na niej pracę. W pierwszej chwili Ann pomyślała, że to zdjęcie. Obrazek przedstawiał jaszczurkę tak dokładnie, z takimi szczegółami, że wydawała się jak żywa.

Przeciwległą ścianę zdobił rysunek kobiecego ciała w ruchu, zapewne w wodzie. Falująca przy piersiach woda sugerowała ruch.

– Mam więcej obrazów – powiedziała Lisen. – Zmieniam je co jakiś czas.

Ann Lindell rozejrzała się dookoła. Nie zauważyła żadnych innych dzieł sztuki.

– A co z pani rzeczami?

Może słowo „rzeczy” sprawiło, że Lisen się uśmiechnęła.

– Nie ma ich tutaj – odparła. – Wszystko zostało w mieście. Och, tylko jedna rzecz! Ale to nie mezzotinta.

Podeszła do komody, wysunęła najwyższą szufladę i wydobyla tekturową teczkę. Kiedy ją

otworzyła, oczom Ann ukazała się akwarela z kwitnącą gałęzią.

– Drzewko wiśni. Uwielbiam wiśnie.

Lindell zobaczyła delikatną gałązkę, pokrytą tuzinem kwiatów, niektóre były w pełnym rozkwicie, inne jeszcze w pąkach. Białe płatki leciutko różowiały ku środkowi. Wnętrza kwiatów były, na ile potrafiła to ocenić, odtworzone precyzyjnie co do najmniejszego szczegółu.

– To fantastyczne – zachwyciła się. Rzeczywiście tak uważała. Miała ochotę dotknąć tej gałązki, powąchać ją. – Jak się te drobinki nazywają?

– Pręciki i słupki – uśmiechnęła się Lisen Morell.

Zamknęła teczkę i odłożyła z powrotem do komody. Wszystko odbyło się tak szybko, że można było pomyśleć, że nie chce wystawiać kwiatów wiśni na światło albo na cudze spojrzenia.

– Pokazywała pani swoje prace sąsiadom?

– Nie. Oni uważają, że jestem kompletnie stuknięta.

– Ale gdyby mogli zobaczyć...

– Za dużo z nimi nie rozmawiam. Osądzili mnie już na samym początku. Nie wiedząc, kim jestem, co zrobiłam, czy co umiałabym zrobić. Gdyby pani wiedziała, jacy oni są ograniczeni.

– Rozmawiała pani kiedyś z Tobiaszem Friskiem?

– Oczywiście. Niekiedy pomagał mi przy aucie. Jest równie humorzaste jak ja. Widzi pani, muszę mieć samochód, żeby przyjechać tu i wrócić. Muszę napełniać bak benzyną i wypuszczać w powietrze całą masę zanieczyszczeń.

– Czy Frisk też panią oceniał?

– Może i nie. Zdarzało się, że podrzucał mi cynamonowe bułeczki. Czasem odnosiłam wrażenie, że jest zainteresowany.

– Panią?

Morell skinęła głową.

– Ale był nieśmiały.

– A pani się nim interesowała?

– Nie, w żaden sposób go nie zachęcałam. Potem sytuacja się poprawiła, ale z początku patrzył na mnie... No, sama pani wie.

– Kiedy się poprawiła?

– Poprzedniej jesieni. Jakby trochę się odprężył. Sądziłam, że wreszcie do niego dotarło, że nie ma na co liczyć.

– Może kogoś poznał?

– Nie, ale czuć go było inaczej.

Lindell roześmiała się.

– Co to znaczy?

– Nie zauważyła pani? Kiedy faceci są jak samce w rui, wtedy śmierdzą. A kiedy czują się zaspokojeni, zapach nie jest tak ostry.

– Bo zaczynają bardziej dbać o higienę? Myją się, używają dezodorantu, spryskują się tym i owym?

Twarz Lisen Morell rozjaśnił uśmiech. Bardzo się Lindell podobał, zwłaszcza że zdecydowanie kontrastował z obrazem kobiety, którą poprzednio spotkała.

– No dobrze, więc kiedy ten jego zapach uległ zmianie?

– Mniej więcej przed rokiem.

– A potem?

– Po raz drugi na początku tej jesieni. Wtedy Frisk znowu stał się dawnym sobą, jeśli można tak powiedzieć. Niezdarą na skalę, jakiej nigdy przedtem nie widziałam. Prawie mu współczułam, chociaż cały czas gapił się na mój biust. Któregoś dnia wjechał do rowu, chyba po pijaku. Nie, żeby to tutaj należało do rzadkości. Na Bultudden zwykle przepisy nie obowiązują.

– Kiedy to było?

– Może miesiąc temu.

– Był ranny?

– Skąd. Spotkałam go, jak włókł się drogą. Pewnie do Lassego Malma albo do kogoś innego, żeby mu pomogli wyciągnąć auto. Bo utknęło w rowie. Ale ode mnie niczego nie chciał.

– Słyszała pani strzał?

– Pewnie, wszyscy słyszeli.

Prawdę mówiąc, tylko Malm i Sunesson zeznali coś na ten temat. Pozostali zaprzeczali, jakoby tuż przed ósmą wieczorem – taką godzinę podawali zgodnie obaj mężczyźni – mieli słyszeć podwójną salwę.

– I co pani pomyślała?

– Że ktoś strzela do wilka.

– Są tu wilki?

– Był jeden w zeszłym roku. Też samotny samiec.

– Polowanie na wilka nocą? – zdziwiła się Lindell. – Czy to ma sens?

– Nie, ale różne rzeczy, które się tu dzieją, nie mają sensu, ani w nocy, ani w dzień.

Lindell dała spokój myślistwu i wróciła do powakacyjnej przemiany Tobiasa Friska.

– Nigdy nie zauważyła pani, żeby jakaś kobieta przyjechała do niego albo stąd odjeżdżała?

– Nie.

– I zmiana zaszła na przełomie lata?

– Tak. Pamiętam, że wpadł do mnie w pierwszym tygodniu września. Dziesiątego miałam przegląd auta, obiecał mi pomoc z kilkoma drobiazgami. I wtedy znowu tak pachniał, czymś surowym. Jestem wrażliwa na zapachy. Pani pachnie mydełkiem Dove, prawda?

Lindell skinęła głową.

– I jeszcze jaśminem.

– To prawda – odparła. Czowała, jak po policzkach rozlewa się jej rumieniec. – Więc przez trzy miesiące Frisk pachniał samotnym samcem – podsumowała. Próbując ukryć zmieszanie, pochyliła się nad torbą, z której wyłowiła długopis i notes.

– Jak grasujący wilk – dodała Lisen Morell.

– A czy przypadkiem poprzedniej jesieni w pani życiu nie pojawił się jakiś mężczyzna i nie zniknął w tym roku, w lecie? Chodzi mi o to, czy Frisk...

– Rozumiem, co pani sugeruje. Nie, to nie było tak. Nie spotykałam się z nikim ani wtedy, ani potem.

Nie odrywając oczu od podłogi, Morell zaczerpnęła tchu, jakby zbierała się w sobie.

– Miałam mężczyzn – oznajmiła. – Wielu mężczyzn. To znaczy, nie aż tak wielu, jak to mogło zabrzmieć. Chociaż z pewnością nie jestem dziewicą. Ale teraz przez ostatnie dwa, trzy lata – nic. Nie potrafię się zmusić. Chociaż kocham sosnowe szyszki, które są wynikiem

reprodukcji, nie potrafię wyobrazić sobie, że sama mogłabym się rozmnażać. Kocham kwiaty z ich pręcikami i słupkami, takimi delikatnymi i pięknymi w swojej budowie i funkcji, a mimo to sama więdnę i usycham. Czy to nie paradoks? A może to po prostu żalotne? Sama nie wiem. Może jestem płonnym kwiatem, jak te białe zewnętrzne kwiaty kaliny? Albo hybrydą, fałszywym kwiatem, urodziwym i długo kwitnącym, ale bezpłodnym. Kwiatem dla oka, nie dla potomstwa. Czasami tęsknię za dzieckiem, ale nie chcę wydać żadnego na świat. Nie ufam mężczyznom, bo mają władzę. Moje znamię*** nigdy nie napęcznieje.

Umilkła i znów przez chwilę wpatrywała się w podłogę, zanim zebrała się i uprzedziła odpowiedź Lindell.

– Tak, wiem, co pani myśli. Ale jeśli kobieta żyje z mężczyzną, zawsze prędzej czy później pojawi się kwestia dzieci. Odmówić mu potomstwa, to odrzucić jego samego, prawda? Mężczyzna nie może tego znieść. To dla niego cios. Samiec chce się rozmnażać, płodzić młode. Taki dowód męskości.

Najwyraźniej mówiła z własnego doświadczenia. Lindell mogłaby wiele dodać do jej wyводу, ale poprzestała na kiwaniu głową i mamrotaniu, że świetnie rozumie. Dalsza dyskusja mogła wytrącić Morell z równowagi, wprawić ją w stan, w jakim była przy poprzedniej rozmowie. A tego Ann chciała uniknąć za wszelką cenę.

Pożegnały się przed szopą. Kiedy Lindell dotarła do samochodu, otworzyła drzwi, wrzuciła torbę do środka i obejrzała się za siebie. Graficzka nadal stała na dworze. Poruszała prawą ręką, jakby jej machała.

Lindell zawahała się, po czym szybko ruszyła z powrotem.

– Czym jeszcze pachnę oprócz mydła i jaśminu?

– Samotnością – odparła bez zastanowienia Lisen Morell.

Trochę ci zeszło – stwierdził Bosse Marksson. Przed nim, na kuchennym stole Friska, stał stalowy termos.

– Chciała pogadać – wyjaśniła Lindell. – Nie miałam serca jej zostawić.

Powtórzyła mu, co Lisen Morell opowiedziała o swoim sąsiedzie, ale resztę rozmowy pominęła, łącznie z Watanabem, słupkami i samotnością.

– Napijesz się?

Nie czekając na odpowiedź, nalał jej pełen kubek.

– Strasznie to zawile. Nie jestem w stanie zrozumieć Friska. A sądziłem, że go znam.

Lindell powoli sączyła kawę, która okazała się mocna i dobra.

– Mam jeszcze cynamonowe bułeczki – zaproponował, jednak na myśl, że mogą pochodzić z piekarni, w której pracował Frisk, odmówiła. – Założę się, że wiele osób miało na jego temat błędne mniemanie. Pamiętasz, jak go ocenił Ahlén? Że lepszego człowieka nigdy nie spotkał.

– Pewnie myślał o kwalifikacjach zawodowych.

– Nie, powiedział to w taki sposób, jakby chodziło o całą jego osobowość – upierał się Marksson.

– Więc ludzie się mylili. Bo fakty mówią, że Tobias Frisk mieszkał tu z cudzoziemką; kobietą, o istnieniu której nikt nie wiedział – co do tego wszyscy sąsiedzi są zgodni – i którą najprawdopodobniej zamordował, po czym poćwiartował jej ciało. A później, kiedy postanowiliśmy go odwiedzić, uznał, że palnie sobie w łeb, siedząc przed telewizorem na swojej najlepszej kanapie.

– Ale... – powiedzieli jednocześnie i wybuchnęli śmiechem.

– Ty pierwsza. – Marksson wykonał zapraszający gest.

– Mamy opowieść naszej artystki – ciągnęła Lindell. – Kobięca stopa pojawia się pod koniec listopada, gdy tymczasem – jeśli wierzyć Morell – Frisk staje się dawnym sobą i zaczyna wonieć jak napalony samiec już na początku września.

– Może dziewczyna odtrąciła go, jak w tej starej historii. W końcu Frisk miał tego dość i porąbał ją na kawałki.

– Całkiem możliwe.

– Męczą mnie trzy kwestie – powiedział Marksson. – Po pierwsze: dlaczego Frisk odebrał sobie życie? Strach przed zdemaskowaniem? Nie mógł znieść wstydu, że zostanie oskarżony o zbrodnię? Ale przecież musiał zdawać sobie sprawę, że nic na niego nie mamy. Zero dowodów morderstwa, podobnie z okaleczeniem zwłok.

– A piła? – wtrąciła Lindell.

– Właśnie, to druga kwestia. Gdyby się jej pozbył, uszłoby mu na sucho, nawet gdyby udało nam się dowieść, że ofiara przebywała u niego w domu. Musiałby jedynie obstawać, że kobieta rzuciła go i odeszła. Przecież on nawet nie wiedział, że po całej okolicy zbierasz piły, prawda? Jeśli zakładamy, że był tak głupi, by nie pomyśleć o narzędziu, na którym zostały szczątki zwłok, to nie powinien zdenerwować się na tyle, żeby popełnić samobójstwo. Przynajmniej nie z powodu twojej wizyty. A jeśli był rozgarnięty, to cóż – wrzuciłby piłę do Bałtyku i tyle byśmy ją widzieli. A potem mógłby częstować cię ciastem i niczym się nie przejmować.

– A trzecia kwestia?

– Broń – odparł Marksson. – Wszyscy tu zgodnie twierdzą, że jej nie rozpoznają, co jest cholernie mało prawdopodobne. W tych stronach po prostu się wie, jakiej marki mikrofalówkę ma sąsiad, jaką wędkę, jaką kosiarkę, a już zdecydowanie, co trzyma w stojaku na broń. Ludzie wspólnie polują, gadają o myślistwie i łowieniu ryb, dyskutują o broni i przechwalają się nią.

– Sztucer był niezarejestrowany – powiedziała Lindell. – Czy to normalne „w tych stronach”, jak to ująłeś?

– Pewnie tu i ówdzie są pochowane jakieś stare fuzje, ale nie więcej niż w innych miejscach. Ojciec Lassego Malma zabił się z niezarejestrowanej wojskowej broni, której pochodzenia nikt nie znał. A przynajmniej tak wszyscy twierdzili.

– Myślałam, że nie wiedziałeś o jego samobójstwie?

– Bo nie wiedziałem. Ale mój tata i owszem. Zadzwoiłem do niego. Jak zwykle dał mi szereg dobrych rad.

– Ja od mojego nie dostałam żadnej dobrej – zażartowała Ann. – A tych, których mi udzielał, szczęśliwie nie posłuchałam. Bardzo chciał, żebym została fryzjerką. Kiedy miałam jakieś dziewiętnaście, dwadzieścia lat, zamknięto w Ödeshög trzy salony fryzjerskie, więc widział w tym fachu potencjał.

– Bystry facet – uśmiechnął się Marksson. – Myślał o twojej przyszłości.

– Wiem. Ale co to za przyszłość, zostać w Ödeshög. Umarłabym z nudów.

– U nas jest podobnie. Jak długo przetrwałabyś tutaj?

Lindell zawahała się. Bosse Marksson urodził się w tych stronach, miał tu przyjaciół, tu polował, chodził na ryby. Nie chciała szydzić z miejsca, z którego pochodził. Przez moment wspomniała Edvarda i Gräsö.

– To by zależało od kontekstu – wybrnęła.

– Wszystko zależy od kontekstu – odparł nadal się uśmiechając.

– Kiedyś planowałam przeprowadzić się w te okolice. Bylibyśmy kolegami.

– Na Gräsö?

Lindell pokiwała głową.

– Wiesz o tym.

– Tata – powiedział Marksson.

Popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem.

– Widział cię na promie płynącym na Gräsö w towarzystwie mężczyzny.

– I rozpoznał mnie?

– Parę razy byłeś w gazetach, a tata należy do tych, co to lubią trzymać rękę na pulsie, a już zwłaszcza jeśli chodzi o kolegów po fachu. Myślę, że to porządny facet – dodał.

Lindell zgadywała, do kogo odnosi się ostatnia uwaga, ale musiała zapytać, może po to, żeby usłyszeć, jak ktoś inny wymawia jego imię.

– Edvard – wyjaśnił Marksson.

– Nie wyszło nam.

– Kontekst.

Chciała dowiedzieć się czegoś o Edvardzie, ale Marksson najwyraźniej porzucił już ten temat. Czyżby przez wzgląd na nią? Czy Edvard żył z inną kobietą? Przełknęła z trudem,

głośno. Chciała mu wszystko opowiedzieć, chciała, żeby zrozumiał to, czego sama nie potrafiła pojąć. Chciała porozmawiać o tym, o czym dotąd nikomu nie wspominała.

Skąd u niej takie nagłe pragnienie zwierzeń? I dlaczego właśnie teraz, w obecności człowieka, którego знаła raptem wszystkiego tydzień i który w dodatku dysponował centralnym ośrodkiem danych w postaci własnego ojca. Czy to przez tamtą uwagę, że pachnie samotnością?

Siedziała w kuchni mordercy i samobójcy w oczekiwaniu na coś: na słowo, zrozumienie, jakiś przejaw bliskości. Sama nie wiedziała, więc nie ośmieliła się ryzykować.

– Może nie jest jeszcze za późno – powiedział nagle Marksson i wstał. Krzesło poleciało do tyłu, złapał je szybkim ruchem, zanim upadło. – Nie powinniśmy już jechać? Z takiej roboty dzieci nie będzie. Czas się trochę wykazać. – Klepiąc różne banały, zakręcił korek termosu i wepchnął na miejsce nakładkę, która służyła za kubek. – Muszę jeszcze wyskoczyć do miasta, odebrać jakieś kłamoty dla żony. Oczywiście, musiała coś zamówić.

Lindell podniosła się od stołu. Edvard nie ma innej, pomyślała radośnie. Jakby robiło to wielką różnicę. Nigdy już go nie zobaczy, wiedziała o tym. To znaczy, może zobaczy, przypadkiem, ale nigdy nie dotknie.

Wysadziwszy Markssona przy jego samochodzie, jeszcze przez chwilę siedziała i rozmyślała. Policzyła skrzynki na listy przy drodze. Było ich razem siedem, umieszczonych kolejno z północy na południe. Pierwsza należała do Anderssona, ostatnia w rzędzie do Friska. Morell w ogóle nie miała skrzynki, widocznie odbierała pocztę w Uppsali.

Dlaczego samą siebie na to narażam? Na ten masochizm? Dlaczego wałkuję tę starą historię, w kółko i na okrągło? Nie było oczywistych odpowiedzi. Przyjęła pracę na wybrzeżu, chociaż wiedziała, że dawne myśli powrócą.

Westchnęła ciężko, tęskniąc za swoim mieszkaniem, paplaniną Erika, kanapą, kieliszkiem wina. To nie jest normalne, skarciła się w duchu. Ty nie jesteś normalna. Coś poszło nie tak.

W dniu Wirginii, ósmego grudnia, Sven-Arne Persson powrócił do ojczyzny. Właśnie to słowo wymówił bezgłośnie, kiedy spojrział przez okno w samolocie i po raz pierwszy od niemal równo dwunastu lat ujrzał Szwecję. Ojczyzna. Co za obłudne określenie, pomyślał, przywołując w pamięci jedno z oklepanych haseł stryja Antego: internacjonalizm.

Klasa robotnicza nie ma ojczyzny, nigdy żadnej nie miała, zwykł perorować stryj. Sven-Arne uśmiechnął się pod nosem. Nawiasem mówiąc, podróż niespecjalnie obfitowała w powody do radości. Jego tymczasowy paszport – wystawiony w Delhi – spowodował problemy zarówno na lotnisku w Bangalurze, jak i w Paryżu. Przed odlotem, zanim Perssonowi pozwolono opuścić Indie, okazało się, że konieczne są trzy rozmowy telefoniczne: ze szwedzkim ambasadorem, z działem konsularnym ambasady i wreszcie z grzmiącym głosem na drugim końcu linii, zapewne jakimś lokalnym oficjelem. Sven-Arne nie miał pojęcia, co podczas tych rozmów zostało powiedziane, ale domyślał się, że ambasada zapewniła funkcjonariusza urzędu imigracyjnego, iż właściciel tymczasowego paszportu nie jest kryminalistą, tylko Szwedem w depresji, który – być może z powodu poszukiwań religijnych – w stanie zmaconego umysłu udał się do Indii i żył tu w wielkim niedostatku. Nikomu nie zagrażał, ale teraz musiał zostać odesłany do domu, przypuszczalnie w celu uzyskania pomocy medycznej. Tę właśnie strategię Sven-Arne Persson osobiście opracował.

W stolicy Francji poszło nieco lepiej. Fakt, że jego francuszczyzna praktycznie była żadna, nie ułatwiał sprawy.

Swoją powrotną podróż do Szwecji Sven-Arne odbywał z mieszanymi uczuciami. Nienawidził samego siebie za to, że obrał polityczną drogę starań o paszport, ale wiedział, że była to jedyna szansa, by obejść hinduską biurokrację. Jednocześnie odczuwał ulgę, gdyż cała akcja okazała się stosunkowo bezbolesna. Nie wystarczyłoby mu energii na walkę z jakimiś nadgorliwymi, zadufanymi w sobie urzędnikami. Raczej by się wycofał.

Teraz, tysiąc metrów nad Upplandia, schodząc do lądowania na Arlandzie, czuł już tylko zmęczenie. Bolały go stawy. O dziwo, doskwierała mu nawet ręka, ta zraniona w ogrodzie japońskim, co nigdy przedtem się nie zdarzało. Potraktował to jako reprimendę od Lal Bagh: „Zdradziłeś nas”. Ujrzał przed sobą Jyoti: „Zdradziłeś mnie”. Gdzie ona teraz mogła być? Pewnie w Sennaju, miejscu, które znowu wydawało mu się tak samo obce, jak przed dwunastoma laty. A potem zjawił się Lester i z nutą zdumienia, ale też ironii, oznajmił: „W swoim kraju byłeś potężnym człowiekiem, kimś w rodzaju gubernatora”.

Nawet Ismael i jego salon przemknęli Perssonowi przed oczyma. Dalickie kobiety^{****} z sąsiedztwa, zamiatające ulice, uprzątające najgorsze nieczystości, dźwigające cegły, kiedy miasto równało z ziemią starą przedziałnię, budujące posterunek policji, kobiety sprzedające banany na rogu, koło targowiska – wszystkie one patrzyły na niego nieodgadnionym wzrokiem, nie odtrącając go, ale z bolesną rezerwą, której przez lata nie zdołały przewyciężyć żadne słowa ani zapewnienia, żadna przyzwoitość. Był porządnym facetem. Nikt nie mógł powiedzieć o nim niczego innego. Sam siebie przekonywał, że cieszył się szacunkiem i zważywszy na okoliczności, uchodził za dość prawego człowieka. Ubrania, szorstkie dłonie i stopy – symboliczne oznaki klasy społecznej – i cały jego udział w życiu ulicy poświadczały, że nie

wywyższa się nad innych. Jednak nigdy nie zdołał pokonać tego dystansu, a to bolało. Wystarczającym dowodem był tymczasowy paszport, który parzył jak ogień przez kieszeń koszuli i sam fakt, że siedział teraz w samolocie.

Z głuchym łoskotem samolot wypuścił podwozie, wyrrywając Svena-Arnego z jego rozmyślań.

Gdy już odebrał swój bagaż i bez większych problemów przeszedł przez kontrolę paszportową – czyżby zostali poinformowani, że przyleci? – usiadł w hali przylotów z filiżanką kawy, za którą zapłacił trzy dolary, niewiarygodnie dużo.

Pasażerowie i ich krewni, taksówkarze trzymający tabliczki z nazwiskami takimi jak „Lundgren” albo „Ullberg”, personel lotniska – wszyscy oni pojawiali się i równie szybko znikali, ledwie obrzucając go nieuważnym spojrzeniem. Był po prostu mężczyzną na ławce, tak samo anonimowym jak wśród tłumu w Bangalurze.

Ręka mu zadrżała, kiedy uniósł filiżankę do ust i pociągnął łyżek. Po raz pierwszy od długiego czasu pił kawę bez mleka. Utknę tutaj, pomyślał, nagle zdesperowany gwarem osaczających go głosów. Szwedzkich głosów. Kawa skończyła się, delikatnie odstawił filiżankę na podłogę.

Powinien wstać i wyjść, ale nie potrafił się przemóc. Widział, jak za oknem zaczyna padać śnieg.

Najbardziej na świecie pragnął teraz położyć się, skulić i poczuć, że ktoś miłosierny rozpościera nad nim koc. Żyłby pod tym kocem.

Sven-Arne Persson siedział tak skamieniały przez ponad godzinę. Równie dobrze mógłby być instalacją rzeźbiarską. Samotny mężczyzna na lotnisku. Wyłączył wszystkie systemy. Oddychał niemal niedostrzegalnie, nawet najmniejsze drgnienie nie wskazywało, że należał do świata żywych. Zdradzały go tylko oczy, które wodziły badawczym spojrzeniem po hali przylotów. Gdyby je zamknął, załamałby się, był o tym przekonany.

Kiedy wreszcie wstał, ziemia zakołysała mu się pod nogami, zatoczył się. Brzęknęła pusta filiżanka.

– Co ja tu robię? – wyszeptał sam do siebie.

Po chwili wszystko znieruchomiało, podłoga przestała się chybotać. Sven-Arne sięgnął po bagaż, wykonał kilka niepewnych kroków w stronę drzwi i wyszedł na zimne grudniowe powietrze.

Ubrany był w brązowe, workowate spodnie nieznanego pochodzenia, niebiesko-białą nylonową kurtkę i swoje najlepsze sandały.

W portfelu – tym samym, z którym wyruszył dwanaście lat temu – miał tysiąc dwieście amerykańskich dolarów, co stanowiło cały jego ziemski dobytek.

Podświadomie zakładał, że na lotnisku spotka go jakaś delegacja, może nawet policja, i że to oni wezmą sprawę w swoje ręce. Jednak nikt nie zwracał uwagi na opalonego, lekko przygarbionego mężczyznę w nieodpowiedniej odzieży. Nie był pewien, dokąd powinien się udać. Arlandę znał dobrze. Za czasów swojej politycznej kariery latał stąd wielokrotnie. W tamtych czasach wzięłby taksówkę albo ktoś by po niego przyjechał.

Było mu zimno, musiał podjąć jakąś decyzję. Powiódł wzrokiem dookoła. Przy krawężniku zatrzymał się samochód firmy UPPSALA TAXI. Widok niezmiennego od lat numeru telefonu, wypisanego z boku auta wielkimi cyframi, sprawił, że Sven-Arne wreszcie ożył.

– Uppsala – powiedział, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu.

Kierowca odwrócił głowę i obrzucił go uważnym spojrzeniem. W ciepłym wnętrzu taksówki płatki śniegu na rzadkich włosach pasażera zaczynały już topnieć.

– Jaki adres?

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Sven-Arne. – A co by pan proponował?

W odpowiedzi usłyszał stłumiony chichot.

– Może do domu?

Próbując wyobrazić sobie swój dom, Sven-Arne poczuł potrzebę, by się wytłumaczyć. Nabral bowiem naglej pewności, że ten nieznajomy człowiek znajdzie czas, by go wysłuchać, zrozumie całą sytuację i po kilku dodatkowych pytaniach wymyśli jakieś sensowne rozwiązanie.

– Skąd pan pochodzi?

– Z Iranu – odparł kierowca. Jego uśmiech zniknął.

– Co pan zrobił zaraz po przyjeździe do Szwecji? Gdzie pan zamieszkał?

– W ośrodku dla uchodźców w Alveście. Spędziłem tam osiem miesięcy.

– Jestem kimś w rodzaju uchodźcy, tylko że na odwrót, rozumie pan? Jestem uchodźcą w moim własnym kraju.

– Nie ma pan domu?

Sven-Arne pokręcił głową.

– Ani rodziny?

– Nie.

Twarz Irańczyka przybrała niemal bolesny wyraz.

– Żadnej rodziny? Musi pan mieć kuzyna czy kogoś takiego.

– Mam stryja.

– Gdzie on mieszka?

Podmiejska dzielnica Eriksdal w połowie lat siedemdziesiątych została właściwie zrównana z ziemią. Oszczędzono jedynie kilka domów. Sven-Arne Persson miał w tym swój udział. Przetarg wygrało przedsiębiorstwo budowlane Anders Diös – pamiętał jeszcze tamte negocjacje. Odbływały się w swego rodzaju braterskiej komitywie między reprezentantami firmy i gminy Uppsala. Wszyscy okazywali dobre chęci i wzajemne zrozumienie.

Przypominał sobie też protesty i rozbiórkę. Niektórzy lokatorzy odmówili opuszczenia budynków. Koparki rozpoczęły pracę, zrywając dachy i burząc ściany, rozwalając beton, burząc stuletnie szopy, jakby to były domki z kart. Szopy te służyły niegdyś mieszkańcom za wygódki, potem zostały zamienione w składziki na zbędne rupiecie, a skończyły obrócone w bezładny stos gruzów.

W chmurze pyłu zniknęła szczytowa ściana jednego z budynków i czyjeś mieszkanie odsłoniło swoje wnętrze. Sven-Arne stał w pobliżu i bacznie przyglądał się widowisku. W pokoju wisiała gitara. Pod nią stało łóżko. Całość wyglądała niczym scena teatralna. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby nagle z łóżka ktoś się podniósł, sięgnął po gitarę i zaczął grać.

Kiedy koparka zatrzymała swoją olbrzymią szufłę, reporter gazety „Uppsala Nya Tidning” popędził robić zdjęcia. Sven-Arne Persson pospiesznie odszedł.

A trzydzieści lat później znowu znalazł się na tej ulicy. Dzielnica nie nazywała się już Eriksdal. Tak mówili na nią tylko starzy mieszkańcy Uppsali, którzy cenili sobie przeszłość. Teraz dominowały tu szeregowe, jednorodzinne domy. Sven-Arne pomyślał, że ze swoimi

małymi podwóreczkami i wysokimi płotami przypominają baraki w ośrodku dla uchodźców.

Minęła go maszerująca w szyku wojskowym grupka przedszkolaków. Po Wallingatan przejechała śmieciarka. Przez chwilę w powietrzu unosił się kwaśny zapach, który przypominał mu kanał na tyłach Russell Market w Bangalurze. Dzieci podniosły krzyk i zatkały nosy.

Po drodze Sven-Arne wysiadł przy Dworcu Głównym, wszedł do hali, znalazł przechowalnię, była w tym samym miejscu co dawniej, umieścił swój bagaż w schowku i szybko wrócił do taksówki, która zawiozła go na Ringgatan, w pobliżu Sverkerskolan. Potem przez godzinę wędrował bez celu po sąsiednich ulicach, aż wreszcie – z wielkim strachem – przekroczył próg domu opieki.

Noc trwała w nieskończoność. Pocił się. O wpół do trzeciej wstał i podszedł do okna. Niebo było czyste, rozgwieżdżone. Kiedyś, dawno temu, kochał ciszę nocy. Teraz pozostała tylko trwoga i pustka niebieskiego sklepienia. I ta niekończąca się tęsknota.

W drodze do kuchni, potknąwszy się o odkurzacz, runął jak długi na framugę drzwi. Pałący ból nad skronią i w ramieniu, którym uderzył o podłogę, był nieomal przyjemny.

– Muszę posprzątać – mruknął mężczyzna i się roześmiał.

Przetoczył się po zimnej podłodze na plecy i wlepił wzrok w sufit. Teraz już pamiętał, co mu się śniło. Przyszła do niego Sroka. Oddech miała nieświeży, ale ciało gorące. Mówiła coś gwałtownie, niemal desperacko, w jakimś obcym języku. Wiedział, że to język kobiet i nawet nie próbował zrozumieć jej paplaniny. Zamiast tego przyglądał się rysom Sroki. Po raz pierwszy zauważył, że jest piękna. Leżała na nim. Ważyła tyle co piórko. Czy uprawiali miłość?

Zaczął gmerać przy swoim ciele i natychmiast twardniejąc, wepchnął dłoń do kalesonów. Ziąb pod plecami zmusił go do przekręcenia się na bok. Stary szmaciany chodnik cuchnął brudem. Mężczyzna rozluźnił kurczowy zacisk na genitaliach, pomacał ręką drewnianą podłogę, jakby próbował coś znaleźć, a potem odwrócił głowę i spojrzał w kuchenne okno. Zza szyby mrugały do niego gwiazdy.

– Mogłem być szczęśliwy – powiedział głośno.

Szczerze mówiąc, nie rozumiał, dlaczego jego życie przybrało taki dziwny obrót. Był po prostu normalnym facetem. Życie przemknęło tak szybko i on, który egzystował na jego obrzeżach, znalazł się na krawędzi, bliski wyrzucenia w przestrzeń kosmiczną, jak bezsilny tobolek ciała, krwi i kości. Dawniej był w centrum, ogrzewany ludzką obecnością słyszał śmiech i głosy, ale powoli, niepostrzeżenie został wypchnięty, i pewnego dnia okazało się, że jest całkiem sam.

Poprzedniego wieczoru poszedł się napić. Teraz przyszła pora za to zapłacić; czuł jakby imadło zaciskało mu się na czole. Chociaż cierpienie go nie opuszczało, wkrótce musiał się pozbierać. Wiedział, że to robi. Po raz kolejny. I kolejny.

Zdołał dotrzeć na drugie piętro, nikogo po drodze nie spotykając. Kiedy wszedł do pokoju, Ante siedział na brzegu łóżka.

Stary słyszał, że bratanek nadchodzi, co do tego Sven-Arne nie miał wątpliwości. Drzwi były otwarte, więc musiał rozpoznać go po krokach. Słuchał ich, gdy się zbliżały albo oddalały, przez ponad pół wieku. To, że po raz ostatni przed dwunastoma laty, nie czyniło żadnej różnicy.

Ante Persson patrzył prosto przed siebie. Jego orli profil wyglądał tak samo jak zawsze. Lewa ręka leżała na udzie, żyłasta i pomarszczona, pozbawiona koniuszków dwóch palców. Zmięte spodnie – czyżby te same, które pomagał stryjowi kupić na krótko przed Indianami? – były poplamione. Jajkiem, pomyślał Sven-Arne. Stary musiał nadal jadać zdumiewającą ilość jajek na miękko.

Stryj z całych sił starał się nie pokazać, jak bardzo jest poruszony, ale zdradzały go napięte mięśnie szczęki.

Sven-Arne potarł dłonią twarz. Nerw nad prawą brwią drgał konwulsyjnie, co nie zdarzyło się ani razu przez całe dwanaście lat w Indiach.

Ante powoli obrócił się i spojrzał na niego.

– Jesteś starszy – powiedział.

Jego gość skinął głową.

– O dwanaście lat – odparł szorstko. – Ciebie też to dotyczy.

– No, myślę.

Sven-Arne zrobił kilka kroków w stronę łóżka. Wyciągnął rękę. Ante chwycił ją szybkim ruchem i przyciągnął bratanka do siebie. Nadal miał krzepę.

– Dobrze, że przyjechałeś.

Nagle Sven-Arne przypomniał sobie grudniowe popołudnie sprzed pół wieku, kiedy razem siedzieli na dachu obory Rosberga – on na rękawicach stryja, których potem przez nieuwagę zapomnieli – i jak położył dłoń na ręce Antego. To wtedy Ante po raz pierwszy poważnie rozmawiał z nim o Hiszpanii. Sven-Arne sądził, że pamięta wszystko, co zostało wówczas powiedziane: most, który miał wylecieć w powietrze, bułgarskiego górnika, Szczotkę, niosące się nad dachami i lasami okrzyki, pewnie jakieś hiszpańskie pozdrowienie albo wezwanie do walki, do oporu. A później kminkówkę, którą pili Ante i Rosberg, ich rozmowę niemal bez słów, ciepłe mleko, ślad śmietanki na szklance, a wreszcie prezent – amerykański budzik z napisami „Rep. alarm” i „Long alarm”, i pozornie niezniszczalnym mechanizmem.

Zupełnie, jakby wspomnienia przepływały przez ich złączone palce. Sven-Arne ujrzał dłoń stryja w swojej dłoni. Ręce dwóch Perssonów, ręce odgarniające śnieg, ręce hydraulików – niczym wzór na bieżniku w domu kultury.

Następnie przypomniał sobie coś całkiem innego i natychmiast rozluźnił uścisk.

Rozejrzał się dookoła. Widok inwalidzkich kul, opartych o biblioteczkę, wprowadził go w jeszcze większe zmieszanie.

– Nadal masz te kule?

Ante podążył za jego spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze tam są, po czym skinął głową.

– A trzymają się, trzymają – odparł i Sven-Arne pochwycił błysk dawnego ironicznego uśmiechu.

Gdyby w tym momencie potrafił cofnąć wskazówki zegara o kilka dni, wyznaczyłby sobie za cel wizytę w golarni Ismaela, a potem wrócił do domu.

Zrozumiał, że w ciągu tych dwunastu lat nic się nie zmieniło. Stary człowiek był taki sam, takie same były jego chorobliwa duma i dezaprobata Svena-Arnego. Nie, dezaprobata to zbyt słabe określenie. Raczej odraza.

– Przywiozłem ci prezent – powiedział i schylił się.

Chciał mieć to już za sobą. Zastygł z ręką na paczuszce, aby... No właśnie, aby co? Aby wrócić do wspomnień sprzed lat?

– Aha – powiedział Ante, siłąc się na obojętność, jednak ciekawość kazała mu śledzić ruchy bratanka, gdy ten grzebał w torbie.

– To drobiazg.

– Liczy się troska – odparł stryj. Sven-Arne rzucił mu szybkie spojrzenie. Nie potrafił stwierdzić, czy zostało to powiedziane z ironią, czy na serio.

Ante wyciągnął rękę i wziął prezent, dość stosownie owinięty w czerwony papier. Teraz Sven-Arne wyraźnie widział, że staruszek jest wzruszony. Ile czasu minęło, odkąd ktoś podarował mu cokolwiek?, pomyślał.

Niezdarnie gmerając przy opakowaniu i poruszając bezgłośnie wargami, Ante zdołał wreszcie rozedrzeć papier. Tekturowe pudełko było kiepskiej jakości. Wieczko omal się nie rozpadło, kiedy je zdejmował.

– Sierp – stwierdził z trochę niepewną miną.

Przez długi czas siedział w milczeniu i uważnie oglądał narzędzie: ręcznie kute ostrze, drewniany uchwyt.

– Młot już tu masz – wyjaśnił Sven-Arne.

– Co? Ach, tak, oczywiście – odpowiedział oszołomiony Ante.

– Możesz go sobie powiesić.

Starzec pokiwał głową. Spojrzenie Svena-Arnego prześlizgnęło się po ścianach. Rozpoznawał wszystko, czym stryj udekorował pokój: dowód uznania od władz hiszpańskich, plakat z wieścią, że Barcelona się nie poddała, grupowe zdjęcie z jakiegoś zebrania partyjnego pod koniec lat czterdziestych i małą fotografię domku Agnes.

– To miły prezent – oznajmił w końcu stryj, po czym skrupulatnie spakował sierp do pudełka. Wyglądało, jakby zamierzał znów zawinąć je w czerwony papier, ale w końcu odstawił pudełko na podłogę i przesunął je stopą w bok. – Miły – powtórzył.

Nagle Sven-Arne poczuł się ogromnie zmęczony. Jakby znużenie długą podróżą i oczekiwaniem na tę rozmowę teraz zaatakowało go z całą siłą. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Chciał zagadnąć Antego, o czymś mu opowiedzieć, jednak najbardziej ze wszystkiego pragnął się położyć.

Przyjrzał się staremu, który wyglądał na równie wycieńczonego jak on.

– Nadal czytasz – odezwał się w końcu.

Ante podniósł wzrok.

– Wpadła do mnie Elsa – powiedział.

Sven-Arne nie miał ochoty dowiadywać się o stan żony ani słuchać o jej wizycie, a jednak

zmusił się, żeby o to zapytać.

– Leży w szpitalu – odparł stryj. – Nieprzytomna.

Jego gość skinął głową. Dziwne, pomyślał, tylko tyle obchodzi mnie kobieta, z którą przeżyłem tak wiele lat.

– Słyszałem, że piszesz wspomnienia.

Stary przytaknął.

– O Hiszpanii?

– Między innymi.

– A o czym jeszcze?

– O wszystkim – odpowiedział Ante. – Pamiętasz Andersa Bergströma?

Nie pamiętał, ale z miny stryja wnioskował, że miało to coś wspólnego z Hiszpanią.

– Opowiadałem ci o nim, wiem, że tak, ale pewnie zapomniałeś, pewnie chciałeś zapomnieć.

To ten związkowiec, ten, który nauczył mnie...

– Jak obsługiwać karabin maszynowy – dokończył Sven-Arne. – Już sobie przypominam.

O różnych ludziach mi opowiadałeś.

– To był stary rosyjski cekaem. Mieliśmy go w szkole w Albacete. Ciężki jak wszyscy diabli.

Maxim z pierwszej wojny. Teraz właśnie piszę o Bergströmie. Spotkał go dziwny los.

– Jak was wszystkich.

Nie chciał od nowa słuchać tej historii.

– Bergström był dobrym strzelcem. Należał do rezerwowej jednostki w Teruel i tam zamarzył na śmierć. W Nowy Rok zrobiło się chyba ze dwadzieścia pięć stopni mrozu. Nic o tym nie wiedziałem, bo stacjonowałem w Morelli. To się stało, jeszcze zanim wróciłem do szpitala na wybrzeżu, ale oczywiście słyszałem, że Bergström nie żyje. Miałem tam pomarańcze. Pewnie chętnie by je zjadł. Często mówił o jedzeniu, zwłaszcza o pomarańczach. Rozumiesz, tęskniliśmy za owocami. Wcale nie rozmawialiśmy tyle o polityce, jak można by pomyśleć, tylko głównie, co kto by zjadł, co słyszać w domu albo co planujemy zrobić potem. – Rzucił bratankowi szybkie spojrzenie. – Teraz zostało nas tylko dwóch – powiedział po chwili ciszy.

Miał na myśli weteranów z Hiszpanii, czy mówił o rodzinie? Sven-Arne uznał, że chodzi o Brygady Międzynarodowe. Wiedział, że stowarzyszenie dawnych ochotników republikańskich od lat już się kurczyło. Stopniowo ubywało członków, a pozostali byli zbyt starzy, by podtrzymywać kontakty. Czy to prawda, że nie żył już żaden z nich? Że zostali tylko stryj i jeszcze jedna osoba?

Przez całe lata Sven-Arne towarzyszył Antemu podczas licznych zebrań. Zawsze wzruszało go spotkanie z tymi drżącymi starymi ludźmi, którzy niegdyś byli odważnymi młodzieńcami, a potem tak długo pielęgnowali wspomnienia o swojej walce z Falangą.

– Ciągle jeszcze żyjesz tamtą wojną?

– Boisz się, że prawda wyjdzie na jaw? Dlatego wróciłeś?

Sven-Arne opuścił głowę. Usiłował myśleć, usiłował zmusić się, by zrozumieć stryja, a tym samym może i samego siebie, ale ciągle tkwił w tym samym punkcie.

Tymczasem stary najwyraźniej wziął się w garść i uparcie ciągnął swoją opowieść o Bergströmie i jego cekaemie. Apatia Svena-Arnego rosła. Słowa stryja zmieniły się w jednostajny szmer.

– Nie słuchasz mnie – stwierdził Ante.

Sven-Arne otworzył oczy.

– Jestem trochę zmęczony – powiedział. – Mam za sobą długą podróż.

– Jesteś tak samo pogubiony jak dwanaście lat temu. Nie rozumiesz, że nie ma wyboru?

– Zawsze jest wybór!

– Sprawiedliwości stało się zadość – powiedział Ante. – I dobrze o tym wiesz.

– Twojej sprawiedliwości.

– Naszej.

Zaraz zacznie mówić o walce klas, pomyślał Sven-Arne. O udręce i brzemieniu. Jakby nie dość nam o tym przypominano.

– Nie, nie zamierzam mówić o walce klas – oznajmił Ante i uśmiechnął się, widząc konsternację na twarzy bratanka.

Ten stary skurczybyk jest nadzwyczajny, uznał Sven-Arne. Czyta w moich myślach.

– Rzuciłem partię – ciągnął Ante. – Och, dajże spokój, nie rób takiej zdumionej miny. Podałem się po siedemdziesięciu latach. Nawet Węgry mnie do tego nie przekonały. Nie oszedłem z Setem Perssonem, mimo że miałem go za bardzo rozsądnego człowieka. Ani z Holmbergami, chociaż wydawało mi się, że Nilsa znam tak dobrze. Nie oszedłem po Czechosłowacji. Ani kiedy ten babsztyl został przewodniczącą i wszystko zmieniło się w babskie gładzenie. Aż w końcu nadeszła pora.

Nagle Svenowi-Arnemu rozjaśniło się w głowie. Nawet w najdzikszych fantazjach nie wyobrażał sobie, że stryj mógłby porzucić partię, której był wierny przez tyle lat. To prawda, że z czasem się zmieniła. Dawniej niemal czysto robotnicza, teraz miała członków z prawie wszystkich grup klasy średniej i syna pastora u steru. Niemniej była to partia Antego Perssona. Całe jego życie, wszystko, co najważniejsze.

– Dlaczego?

– Uświadomiłem sobie, że łatwiej jest działać, jak przystało na socjalistę, poza partią socjalistyczną niż w jej ramach.

On uważa, że ile jeszcze będzie żył?, pomyślał Sven-Arne. Zamierza „działać” tutaj, w domu opieki?

– Blefujesz.

– Nie. Dlaczego miałbym to robić? Sam doszedłeś do podobnego wniosku, prawda? Uciekłeś do Indii, żeby grzebać się w ziemi. I ta praca nauczyciela, o której opowiadałeś. Czy nie łatwiej być socjaldemokratą tam, w ogrodzie albo w szkole, niż w partii? Żadnych okólników, żadnych wytycznych, które ci wyłuszczają, co masz myśleć i robić. Żadnych napuszonych przewodniczących, oklaskiwanych za każde pierdnięcie.

Sven-Arne nie wierzył własnym uszom. Czy Ante kiedykolwiek miał trudności z przystosowaniem się do partyjnych dyrektyw i gwałtownych zwrotów?

– Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, dlaczego oszedłem.

Znowu ukradkiem podpełzło zmęczenie, któremu teraz towarzyszył ból głowy.

– To tylko pretekst. Ty też uważałeś, że cała ta sprawa śmierdzi jak cholera.

– Może – odparł bezsilnie Sven-Arne.

Nie chciał dalej grzebać się w przeszłości. Może powinien był opowiedzieć stryjowi swoje wrażenia z Indii? Jakiś drobny epizod, trochę migawek z ulicy albo z Lal Bagh, może coś o rodzinie Lestera? Cokolwiek, żeby tylko zająć myśli czym innym niż czasy, kiedy był

politykiem w Uppsali.

– Nieważne – stwierdził Ante i z pomocą łaski dźwignął się na nogi. Zanim złapał równowagę, od pasa w górę przebiegło go drżenie. – Jesteś tu i to mnie cieszy.

Sven-Arne patrzył na niego z osłupieniem.

– Tak, cieszy – ciągnął stryj. – Przez dwanaście lat nie trafiła mi się dyskusja.

– Chcesz powiedzieć, partner do dyskusji?

– Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Ty trzydzieści lat młodszy, ale w pewnym sensie mnie dogoniłeś. Teraz też możesz się wziąć do podsumowania. I nie muszę ci tłumaczyć każdego głupstwa. Z własnego doświadczenia wiesz, jak jest. Nie chcę już debatować. Chcę wyciągać wnioski. Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, jak wszyscy dookoła mnie postrzegają?

Znowu opadł na łóżko.

– Masz depresję?

– Jesteś jedynym, co mi zostało – powiedział Ante.

Sven-Arne przyglądał mu się. Wiadomość o tym, że stryj wystąpił z partii, była delikatnie mówiąc sensacyjna, ale to zakrawało już na prawdziwe trzęsienie ziemi.

– Jedynym, co ci zostało, czy jedynym, który ci został?

Ante zerknął na niego niepewnie, po czym nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Jedno i drugie – odparł. – Olars wpada raz do roku. Na Boże Narodzenie! Jakby Boże Narodzenie było czymś wyjątkowym. Za każdym razem przynosi bombonierkę. Oddaję ją dziewczętom. Olars, on już zaczyna dziadzić, niedołącznieje... Pamiętasz dach Rosberga? Ja pamiętam wszystko, to mój największy problem. Ludzie zwykle prą do przodu, a ja wciąż wracam i cały czas stoję w miejscu.

Sven-Arne nie przestawał się dziwić. Podczas dwudziestu paru rozmów telefonicznych, które odbyli w ciągu ostatnich dwunastu lat – dzwonił do stryja każdej wiosny i jesieni – staruszek nawet się nie zająknął na temat zmiany frontu. W swoich listach też o tym nie wspomniał.

– Myślałem, że to twoja mocna strona.

– Pewnie tak – przyznał Ante. – Widzisz – zamaszystym ruchem wskazał książki na półce – wszystkie te słowa, wszystkie te obrazy to tak, jakbym mógł wyciągnąć rękę i dotknąć marzeń. Mam je przed oczami.

– Może marzenia były nierealistyczne?

Stryj wolno pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – One były zbyt małe. W Hiszpanii marzyliśmy o klęsce faszyzmu, krwawej klęsce. Byliśmy tacy młodzi i, przyznaję, żądni krwi. Ale marzyliśmy też o kulturze. Zazdrościliśmy burżujom wiedzy, pewności siebie, tego, jak pięknie mówili i jak się nosili. Wiedzieliśmy, że coś za tym stoi, coś, czego nigdy nie osiągniemy. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Oczywiście, byliśmy dumni, ale wewnątrz gryzło nas poczucie, że jednak jesteśmy biedakami, jak byśmy nie byli tego wszystkiego warci. I rzecz jasna marzyliśmy o kobietach, naszych towarzyszkach, pięknych bojowniczkach.

Ante uśmiechnął się niespodziewanie, najwyraźniej do swoich wspomnień. Podczas pobytu w Hiszpanii zakochał się, kiedyś napomknął o tym bratankowi, lecz tylko tyle że ona miała na imię Irina.

Sven-Arne chciał powiedzieć coś ładnego i dającego nadzieję, ale – jak wiele razy przedtem

– stary go uprzedził.

– Nic nie mów. Wiem, co potrafisz. Słowa, słowa i jeszcze więcej słów. Nie wątpię, że nadal masz tę umiejętność. Cieszę się, że przyjechałeś, chociaż może należało tam zostać. Tu nie ma niczego. W Indiach, tak... Tam jest... Właściwie, jak tam jest?

– Ty nie mogłeś się poddać. Nie mogłeś dać się położyć na łopatki.

– Próbowałem się opierać – powiedział Ante. – A teraz prawie wszystko okazuje się porażką. Tak, w pewnych sprawach wygraliśmy, pierwszy to przyznam. Ale ostateczny rezultat nie przejdzie pozytywnej weryfikacji. A jeszcze ludzie mówią, że grozi nam koniec świata. Stopnieją pokrywy lodowe, potopimy się jak koty. Może to i dobrze. Wszystko pochłonie ocean.

Umilkł. Sven-Arne przez chwilę miał wrażenie, że stryj zaraz się rozplacze. Drżała mu górna warga, drgały powieki załawionych, starczych oczu.

– Często myślę o małym miasteczku, które nazywało się Forcall. Była nas tam cała paczka – Polak, kilku Niemców i ja. Blom nie, bo miał coś do załatwienia, pewnie chodziło o kobietę. Zawsze się za nimi uganiał. Musisz pamiętać, opowiadałem ci o Blomie.

Sven-Arne pokiwał głową. Gadanina stryja uspokajała go.

– Wszystko szło dobrze. Czasami przelatywał jakiś włoski samolot obserwacyjny, ale na ziemi panował spokój. Polak był lekko ranny i jeden z Niemców pomógł mu założyć opatrunek. Siedzieliśmy i gawędziliśmy o życiu. Bywają takie chwile, kiedy ludzie naprawdę zbliżają się do siebie. Pewnie sąsiedztwo pozycji wroga tak na nas działało. Nie mieliśmy nic do stracenia oprócz życia. Wspominałem ci o Irinie, tej Serbce. Wiesz, tej, która została członkiem parlamentu, a potem należała do zaufanego kręgu Tity. Wierzyłem, że nigdy już jej nie zobaczę. Sądzona mi była śmierć w górach. Dostałem ostrzeżenie, podziurawiły mnie odłamki granatu, ale wróciłem. Kochałem tamte wioski i miasteczka.

– Ale przecież Irinę też – powiedział Sven-Arne. Przysunął się z krzesłem bliżej do Antego, który tym razem mówił cicho, niemal mamrocząc.

– Irinę też.

– I wybrałeś hiszpańskie wioski. I walkę.

Stryj skinął głową twierdząco.

– Myślałem, że znowu ją spotkam, kiedy po raz drugi byłem ranny, ale została przeniesiona.

– Straciłeś i wioski, i ją.

Ante uniósł głowę i popatrzył na bratanka.

– Miałeś w Indiach kobietę?

– Przez chwilę – odparł Sven-Arne. – Potem wyjechała.

– Tęsknisz za nią?

– Czasami.

Stary po raz drugi skinął głową.

– Później mnie schwytali.

– A co się stało z Iriną?

– Po upadku republiki uciekła ze wszystkimi do Francji i wylądowała w obozie. W Barcarès. Tam spotkała Hiszpana z Léridy, anarchistę, który walczył u boku Durrutiego. Potem trafił do francuskiego ruchu oporu, ale wpadł w ręce Niemców i umarł w Mauthausen. A Irina zdołała wrócić do Serbii.

– Nigdy nie opowiadałeś, jakim cudem tobie się upiekło.

– Nic nadzwyczajnego. Łapówki. Siedziałem razem z pewnym jankesem z Brygady Lincoln, technikiem od wind z Nowego Jorku. Żydem. W republice było ich wielu. Zdołaliśmy przekupić strażnika i wystarczyło. Nasze drogi rozeszły się za Walencją. Ja ruszyłem na północ, bo w pewnej wiosce miałem ukryte rzeczy.

– Dziecięce rysunki?

– Między innymi. Pamiętasz?

– Opowiadałeś mi, kiedy byłem mały. O co to chodziło?

– Będziesz musiał o tym poczytać – odpowiedział Ante. – Jedna pielęgniarka z Karlstadu...

ale nie o tym teraz chciałem mówić. Miałem ci opowiedzieć jeszcze o tamtej chwili w Forcall. Polak trochę pojękiwał. Rana go bolała, ale to było nic w porównaniu z tym, co go czekało następnego dnia. Umarł, podobnie jak Niemcy. Blom wytrzymał jeszcze tydzień, zanim odszedł. Pochodził z Hälsingland. Z całej tej grupy przetrwałem tylko ja.

Ante podniósł na bratanka wilgotne oczy.

– Takie rzeczy człowieka dręczą, rozumiesz.

Sven-Arne wiedział o tym od pięćdziesięciu lat, od tamtego zimowego popołudnia na dachu.

– Myślę o wszystkich ich nadziejach. Byliśmy prostymi ludźmi, żadnymi tam wielkimi graczami. Chcieliśmy tylko sprawiedliwości. Potem, kiedy zaczęło się tyle gadać o Stalinie i obozach na Syberii, w co mieliśmy wierzyć?

Sven-Arne już wyciągał rękę, żeby położyć ją na poplamionej nogawce starca, ale w ostatniej chwili ją cofnął.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Z korytarza dobiegał stukot kroków i terkot kółek wózka.

Młodszy z Perssonów myślał o tym, co właśnie usłyszał. O tym, że jego stryj jedynie walczył o sprawiedliwość. To samo mógł powiedzieć o sobie, ale czuł, że to słowa zbyt wielkie – słowa, które nie miały już żadnego pokrycia. Było za późno, żeby cofnąć taśmę i agitując, zacząć siać spustoszenie. Tamten czas minął, i była to po części także jego wina. Opuścił swoje marzenia, stał się więźniem własnej sytuacji. Czy mógł być teraz wiarygodny – on, zbiegły polityk? W najlepszym wypadku wysmiano by go. Ale czy rzeczywiście? Przecież nie zdefraudował funduszy, nie uciekł z partyjną szkatułą, nie został podkupiony przez lobbystów ani pozostawiony na intratnym międzynarodowym stanowisku. Spędził dwanaście lat, sadząc drzewa, pieląc chwasty i uprzątając śmieci. Czy umiałby przemawiać tak jak dawniej? A może coś się naprawdę zmieniło? Może teraz ludzie byli bardziej otwarci na dyskusję o sprawach, które wykraczały poza najpilniejsze problemy codzienności? Tak niewiele wiedział o tym, co działo się w Szwecji przez ostatnią dekadę.

Nagle uświadomił sobie, że stryj bacznie mu się przygląda. Studiuje mnie, pomyślał. Żeby to przerwać, znowu wyciągnął rękę. Ante gwałtownie ją pochwycił.

– Siedzimy na skraju kupy gówna – powiedział. – Cholernie trudna sytuacja, nie uważasz?

Jego dłoń była koścista i zimna.

– Cholernie trudna – zgodził się Sven-Arne.

– Takich jak ja jest trochę w każdym pokoleniu, pięć tysięcy najgorszych skurczybyków, i cieszę się, że należałem do tego grona. To mi wyrzują na nagrobku. Jestem odmieńcem, ale...

– W Indiach...

– Co w Indiach?

W głosie Antego zabrzmiało niemal podniecenie, jednak Sven-Arne potrząsnął głową i cofnął dłoń.

– Innym razem – powiedział, chociaż czuł, że tych „innych razów” nie będzie już wiele.

W chwili, gdy się podniósł i rozprostował zeszywniałe po podróży członki, podjął decyzję. Nagle wydało mu się, że droga jest prosta. Właściwie tylko jedna. Nie miał szans znowu wcielić się w rolę szanowanego obywatela Szwecji i Uppsali, a powrót do Indii był również nie do pomyślenia.

– Na razie – powiedział, podnosząc z podłogi torbę, i w tej samej chwili się zawahał. Chciał objąć stryja, który ze zdumieniem obserwował ten nagły przyływ zapachu.

A jednak Sven-Arne nie potrafił tego uczynić. I wcale nie dlatego, że czułości nigdy nie były mocną stroną rodziny Perssonów. Po prostu bał się wybuchnąć nieukojonym płaczem. Musiał twardo się trzymać i podjąć własne decyzje.

– Idziesz już?

Skinął głową.

– Wrócisz?

Nienawidził okłamywać stryja, a w dodatku szło mu to kiepsko. Ante niemal zawsze potrafił przejrzeć jego zwody i uniki. Ale tym razem wyglądał na zadowolonego, kiedy bratanek wyjaśnił, że wkrótce znowu się zobaczą.

– Po prostu mam kilka spraw do załatwienia – rzucił jeszcze w drzwiach Sven-Arne.

Opuścił dom opieki równie niepostrzeżenie, jak do niego wszedł.

To jeden z plusów pracy w policji, pomyślała Ann Lindell. Człowiek trafia w miejsca, w które nigdy by nie trafił. Po raz pierwszy w życiu stała oparta o odśnieżarkę.

– Trzeba być przygotowanym.

Odwróciła się na dźwięk męskiego głosu.

– Swoją drogą, jak to działa? Nie, nieważne. Naprawdę chodzi mi o piły spalinowe. Zauważyłam, że oferują państwo i stihle, i jonseredy.

Młodziutki sprzedawca skinął głową. Źle zaczęłam, uznała Ann, widząc, że przybrał czujną, defensywną postawę.

– Jestem z policji. Z pewnością potrafi mi pan pomóc. Podejrzewam, że umiałby pan opowiedzieć niemal o wszystkim, co macie tutaj na składzie.

Roześmiała się i została nagrodzona nieśmiałym uśmiechem.

– Jak pan się nazywa?

– Daniel Andersson.

– Danielu, chcę prosić, żeby pan na to zerknął.

Wyciągnęła z torebki zdjęcie w plastikowej kopercie i przytrzymała je w górze. Przedstawiało Tobiasa Friska sprzed roku. Był to powiększony fragment grupowej fotografii z przyjęcia w Östhammar. Pracodawca zmarłego, Conny Ahlén, który zrobił zdjęcie, twierdził, że Frisk był na nim bardzo do siebie podobny.

– Nie, nie wiem, kto to. Ale może Martin by go rozpoznał. Pracuje tu trochę dłużej.

Przeszli przez stoisko i znaleźli się w niedużym pokoju na zapleczu. Przy biurku ślęczał nad papierami mężczyzna w średnim wieku.

Lindell przedstawiła się, po czym wyjaśniła, co ją sprowadza. Mężczyzna bez słowa wziął zdjęcie i przez chwilę uważnie się w nie wpatrywał.

– To jeden z naszych klientów – powiedział, zwracając fotografię.

– Jest pan pewien?

Daniel znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No dobrze – Też się uśmiechnęła. – Widzę, że tak. Często jest pan pewien, prawda?

Martin zamknął teczkę z dokumentami, potarł ręką twarz i popatrzył na policjantkę.

– Sprzedałem piły i najróżniejsze inne narzędzia połowie mieszkańców Uppsali. Pamiętam twarze osiemdziesięciu procent moich klientów.

– A co z pozostałymi dwudziestoma procentami?

– Byli u nas tylko raz, więc nie ma po co ich zapamiętywać.

– Niezła proporcja: ośmiu na dziesięciu wraca.

Pokiwał głową.

– Owszem – przyznał. – Chociaż to niewiele zmienia.

– Zna pan jego nazwisko?

– Nie, nie pracujemy w KGB. Ale myślę, że facet pochodzi z Roslagen.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Sposób mówienia.

– Kupił u państwa pilę marki Stihl.

- Rozumiem, skoro pani tak twierdzi. Mamy narzędzia tej firmy, więc to prawdopodobne.
- Dlaczego ktoś w ogóle wymienia ostrze? Chyba są drogie?
- Ostrze może się zepsuć. Amatorzy bywają nieuważni. Pozwalają, żeby uwięzło, szarpią je albo wyginają, więc w końcu się wykrzywia.

– A to był amator?

– Coś mu się przydarzyło? Powiedziała pani „był”.

Lindell włożyła kopertę ze zdjęciem do torebki.

– To prawda, on już swojej piły nie użyje. Ale czy był amatorem?

– Nie wiem – odparł Martin. – Co się stało?

– Wypadek – wyjaśniła. – Dziękuję za pomoc.

– Jaką pomoc?

No właśnie, jaką pomoc, pomyślała, stojąc przed sklepem. Trzeci sprzedawca, Thomas, mgliście przypominał sobie Tobiasa Friska, ale nie potrafił powiedzieć, czy ostatnio go widział.

Wizyta w Sâma była strzałem w ciemno i prawdopodobnie stratą czasu. Znaleźli piłę i to wydawało się najważniejsze. Gdzie została kupiona, nie było takie istotne. Ustalenie, że jesienią Frisk kupił nowe ostrze i łańcuch, rozproszyłoby ostatnie wątpliwości. Ale z drugiej strony, zapewne istniały dziesiątki innych miejsc, które oferowały części zamienne.

Już sam pomysł, że piła mogła posłużyć do ćwiartowania zwłok młodej kobiety, przyprawiał Lindell o mdłości. Przez okno sklepu widziała cały rząd pił rozwieszonych na ścianie. To były zwykłe narzędzia, nie do użytku jako broń – chyba że w horrorach – a już z pewnością nie jako broń dla piekarza gdzieś na wybrzeżu.

– I guzik to zmienia – mruknęła pod nosem, po czym zaczęła szukać numeru Conny’ego Ahléna.

Właściciel piekarni odebrał dopiero po piątym sygnale. Sprawiał wrażenie zestresowanego, więc Ann odpuściła sobie grzecznościowe frazesy i od razu przeszła do rzeczy.

– Witam! Tu Lindell, policja z Uppsali. Mam parę pytań. Co Tobias Frisk robił zeszłej jesieni, na przełomie sierpnia i września?

– Pracował, oczywiście.

– Czy zaszła jakaś zmiana w jego rutynowych działaniach? Może w tym czasie zatrudnił pan kogoś nowego? Nie pamięta pan czegoś? Czy Frisk był w innym niż zwykle nastroju?

Ahlén milczał przez kilka chwil. W tle słychać było muzykę, jakieś brzdęki i stukania.

– Skoro pani o tym wspomniała... – odparł wreszcie. – Tobias wyskoczył na północ, do Norrlandii, trochę powędkować. Co roku tam jeździł, na tydzień albo coś koło tego.

– Kiedy to było?

– Naprawdę nie pamiętam, ale mogę sprawdzić, tylko muszę iść do biura.

Z głębi dobiegł Ann odgłos kroków. Ahlén coś do kogoś powiedział, usłyszała słowa „bułeczki do obiadu”. Kiedy wrócił do telefonu, ciężko sapał.

– Niesamowite, jak czasem wszystko się człowiekowi miesza.

– Znam ten ból – pocieszyła go. – Obiecuję, że to nie potrwa długo.

– Ależ to żaden kłopot – zapewnił uprzejmie. – Teraz popatrzmy, pod koniec sierpnia 2004 roku Frisk miał osiem dni urlopu. Pojawił się na początku września.

– W jakim humorze?

– Zawsze z takich wyjazdów wracał zadowolony.

– Nie wie pan przypadkiem, gdzie dokładnie był w Norrlandii?

– Jeśli istnieje miejscowość Sorsele, to chyba właśnie tam. Wydaje mi się, że taką nazwę wymieniał, ale to mogło być rok wcześniej. W gruncie rzeczy, nie wsłuchiwałem się za bardzo w te jego wędkarskie opowieści.

– A nie wspominał jeszcze o czymś? Że kogoś poznał albo że przydarzyło mu się coś wyjątkowego?

– Nie, o ile pamiętam, nie. Ale, jak już mówiłem, był zadowolony.

Lindell o mało nie zapytała, czy zapach Friska zmienił się po urlopie. Jednak ugryzła się w język, podziękowała Ahlénowi za informacje i zakończyła rozmowę.

Kiedy znalazła się z powrotem w komisariacie, ruszyła prosto do swego pokoju i włączyła komputer. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie leży Sorsele, ale uznała, że nazwa brzmi całkiem nieźle. Prawdę mówiąc, ta podróż na ryby była jak dotąd jedyną rzeczą, która czyniła zmarłego bardziej ludzkim. Jego dom i – wedle wszelkich pozorów nieistniejące – życie towarzyskie nie tylko nie dostarczyły żadnych wskazówek, ale sprawiały, że Tobias Frisk wydawał się dziwnie anonimowy.

Aż wreszcie znalazła punkt zaczepienia: wędkarskie zamięłowania i wyjazd, który Friska odmienił, o ile mogła się opierać na osądzie i zmyśle węchu Lisen Morell.

Po kwadransie surfowania w sieci Lindell zlokalizowała na mapie Sorsele, zapoznała się z miejscowymi rzekami i obozowiskami dla wędkarzy, a nawet dotarła do nazwiska lokalnego wędkarskiego konsultanta.

Zadzwoiła do Torstena Stenberga i wyjaśniła, czego szuka.

– Rozumiem – odparł z wahaniem konsultant. – Wiele osób przyjeżdża do nas na ryby. No i minął już ponad rok. Chodziło o pstrąga czy coś innego?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pojechał wędkować.

– Łowi na muchę?

Ann nie знаła odpowiedzi.

– Jeśli to trochę albo pstrąg, musiał przyjechać przed połową września.

– Dlaczego?

– Wtedy kończy się sezon – wyjaśnił Stenberg. – Ale to był prawdopodobnie lipień. – Mówił teraz pewniej, jakby nazwy różnych gatunków ryb dodały mu energii. Albo też niewiedza słuchaczki sprawiła, że się rozgadał.

– Przyjemna ryba – ciągnął – tyle że wymaga natychmiastowej konsumpcji, bo prawie od razu traci smak. Wie pani, że lipienia czuć trochę tymiankiem?

Zreferował jej też szereg propozycji, pomiędzy którymi musiał wybierać przyjezdny wędkarz. Lindell zapisała informacje o rzekach Laisie i Vindel, a także o różnych możliwościach noclegu dla wędkarzy. W grę wchodziły kempingi, hotele, domki letnie i schroniska młodzieżowe. Miała pełne ręce roboty, by nadażyć z notatkami za Stenbergiem, co uświadomiło jej, że ustalenie, gdzie zatrzymał się Tobias Frisk, pewnie zajmie ładną chwilę.

– Może na polu kempingowym – powiedział spokojnie konsultant. – Najpierw zadzwoniłbym do nich. Pani mówiła, że dla kogo pracuje?

– Jestem z policji – odparła zaskoczona.

– Tyle zrozumiałem, ale dokładniej? Przypuszczam, że nie zajmuje się pani kradzieżami rowerów.

– Zajmuję się przestępstwami z użyciem przemocy.

– Właśnie tak myślałem, że to jakaś grubsza historia. Co on takiego nabroił, ten pani wędkarz?

– Dokładnie nie wiemy. – Lindell nie zdołała stłumić głębokiego westchnienia. – Dopiero zaczęliśmy śledztwo. Chyba wpadnę do pana na trochę i sobie połowię. To brzmi relaksująco.

Stenberg zachichotał.

– Powinna się pani cieszyć... – przerwał w pół słowa, więc czekała na ciąg dalszy.

– Myślę o pracy – dokończył. – Tu, na północy, jest gorzej. Czasami powitałbym z radością jakiś niewielki stres. A policjantów nam potrzeba. Teraz mamy tylko dwóch, niedługo zostaniemy z jednym.

– W Sorsele?

– Tak. Wie pani, jak duża jest nasza gmina? Lekko licząc, dwieście kilometrów długości na pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt szerokości. I na cały ten teren mamy dwóch gliniarzy, Hallina i Lindgrena, przy czym żaden z nich nie jest już młody. Od ostatniego morderstwa minęło tu pewnie z pół wieku, a niedługo nie będzie już kogo zabić. Ale niech pani zadzwoni na kemping. A jeśli zechce pani powędkować, proszę po prostu do nas przyjechać.

Po zakończeniu rozmowy Lindell siedziała jeszcze przez chwilę i przeglądała zapiski nabazgrane w notesie, rozmyślając o tym, co powiedział konsultant. Usiłowała go sobie wyobrazić: głos w telefonie, nieznajoma osoba w tym samym kraju, mówiąca tym samym językiem – nawet jeśli inną jego odmianą. A jednak gmina Sorsele wydawała się jej całkiem obca. Powiedziała „troć” i uśmiechnęła się sama do siebie. Nieznane słowo odbiło się echem od ścian pokoju. Powtórzyła je znowu, tym razem głośniejszym głosem. Brzmiało obiecująco.

Stenberg opowiedział jej o swojej gminie, gdzie policjantów dzieliło siedemdziesiąt kilometrów od najbliższego kolegi – zdaje się w Arjeplog? – i dwieście sześćdziesiąt kilometrów od wsparcia, gdyby któregoś dnia okazało się potrzebne. Już nigdy nie będą narzekać na odległości, pomyślała. Östhammar i Bultudden leżą tuż za rogami.

Pogawędka z Torstenem Stenbergiem wpłynęła na jej nastrój w dwojaki sposób. Przypomniała, że istniało inne życie, wśród innych krajobrazów, innych dźwięków, a mimo to znajome i bliskie. Gdyby tylko po nie sięgnęła, miałyby trocie na co dzień.

– Cholerny cypel Bultudden – wymamrotała, ale to obraz zatoki na Gräsö widziała oczami wyobraźni.

Wstępny kontakt z Sorsele oznaczał mały przełom w śledztwie, co wkrótce potwierdziły kolejne informacje. Jako pierwszy na liście prawdopodobnych noclegów dla przyjezdnych amatorów wędkarstwa figurował miejscowy kemping. Mniej więcej po dziesięciu sygnałach, kiedy już zamierzała się rozłączyć, ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

Lindell wyjaśniła, czego szuka.

– Z tym poradzimy sobie bez trudu – oznajmił mężczyzna, który odebrał telefon i przedstawił się jej jako Gösta Ohlman. – Sprawdźę w naszym rejestrze. Jak pani mówiła, że ten człowiek się nazywa?

– Jeszcze nie mówiłam, ale chodzi o Tobiasa Friska.

– Zaginął?

– Niezupełnie – odparła. – Chciałam tylko sprawdzić, czy...

– Wędkarze to dobrzy ludzie – przerwał jej Ohlman.

Usłyszała, jak kładzie słuchawkę, a potem rozległ się dźwięk kroków i jakieś głosy w tle, może radio. Jak o tej porze roku, pod koniec grudnia, wyglądał kemping na północy Szwecji, w Västerbotten? Nigdy nie dotarła aż tak daleko.

– Nie sprawiają kłopotów – w jej uchu niespodziewanie znów zabrzmiał głos Gösty Ohlmana. Minęła dobra chwila, zanim zorientowała się, że to dalszy ciąg wywodu na temat wędkarzy. – Jak najbardziej był tutaj. Zjawił się pod koniec sierpnia i wyjechał tydzień później. Chyba go sobie przypominam. To facet z wybrzeża, prawda?

– Tak, z Roslagen. Dlaczego pan go zapamiętał?

– Złowił lipienia, który ważył prawie trzy kilo.

– A to dużo?

– Owszem.

– Pamięta pan coś jeszcze?

Po drugiej stronie zapadło wymowne milczenie. Lindell niemal widziała, jak Ohlman się waha.

– Proszę się nie czuć...

– Poznał tu dziewczynę – powiedział nagle. – Nie byliśmy tym zachwyceni.

– Dziewczynę z Sorsele?

– Niezupełnie. Właściwie nawet wręcz przeciwnie.

Gołąb siedział na lewym słupku furtki. Kiedy Sven-Arne zbliżył się do ogrodzenia, ptak powoli odwrócił łebek. Idealnie okrągłe oczy wpatrywały się w przybysza bez widocznego niepokoju.

Sven-Arne uznał to za dobry znak, ale po chwili stracił pewność. A jeśli stworzenie było ranne i nie potrafiło wzbić się w powietrze?

Ulica świeciła pustkami. Podczas krótkiego spaceru z Norbyvägen, gdzie polecił kierowcy zatrzymać taksówkę i wysiadł, nie widział nikogo poza grupką uczniów gdzieś w oddali. Sam się zastanawiał, skąd ta niechęć, żeby przejechać całą drogę do końca, ale nie znalazł dobrego wyjaśnienia. Może potrzebował przestrzeni, która dzieliłaby go od celu na wypadek, gdyby w ostatniej chwili zmienił zdanie?

Przystanął parę metrów przed furtką. Gołąb ani drgnął. Sven-Arne mocniej otulił się połami kurtki.

– Czego ty chcesz? – wymamrotał.

Ptak zrobił kilka ostrożnych kroków wzdłuż ogrodzenia. Persson rozejrzał się dookoła. Stojące rzędem małe domy za niskimi płotami lub żywopłotami wyglądały tak samo jak zawsze. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat ulica właściwie w ogóle się nie zmieniła.

Do tej pory większość pierwotnych mieszkańców zapewne już odeszła, choć może kilku przetrwało mimo upływu czasu. Sven-Arne sądził, że okolicę zasiedlały teraz młodsze rodziny. Niewielkie budyneczki świetnie nadawały się na początkowe lokum dla młodych par, zanim jeszcze pojawią się dzieci.

Ojciec Svena-Arnego miał znajomych, którzy w latach czterdziestych też się tutaj pobudowali. W tamtych czasach realizacja takich projektów ciągnęła się po kilka lat, a solidni murarze i fachowcy z innych branż, ludzie o ugruntowanej pozycji zawodowej, mogli korzystać ze swoich kwalifikacji i wspomagać się nawzajem. Jednego roku kopano piwnice i kładziono fundamenty. Potem wznoszono cały szkielet, rosły ściany, pojawiał się dach, a podczas trzeciego sezonu dom zwykle nadawał się już do zamieszkania.

Prace trwały wieczorami i w weekendy. Kwitła wymiana bezgotówkowa – jedyna możliwość dla robotników i rzemieślników, żeby zebrać materiały. Człowiek był w stanie kupić tanio albo nawet w zamian za przewóz dostać darmo budulec, używane ramy okienne czy futryny, odarte do czysta z gwoździ i starych warstw farby, gotowe do ponownego użytku. Cegły mogły odbywać najniezwyklejsze podróże po mieście, by wreszcie skończyć we wznoszonym samodzielnie budynku. Deski ze skrzynek po cukrze, skrupulatnie uwalniane od wszelkich metalowych elementów, wyścielały wnętrza szop i składzików.

Wlokło się to wszystko latami, ale w końcu projekt zamieniał się w dom, który dla robotnika z Ekeby czy budowlańca od Diösa oznaczał szczyt szczęścia. Dzielnica wyróżniała się harmonią i wyczuciem proporcji pomiędzy zabudowaniami a ogródkami, czyli tym, czego brakowało szeregowym segmentom w Eriksdal, skąd właśnie wracał po odwiedzinach u stryja.

Nagle gołąb poderwał się z trzepotem. Przestraszony Sven-Arne aż się cofnął o krok. Ptak szerokim łukiem wyminął wierzchołki jabłoni. Obfite cienkie, sterczące do góry pędy sprawiały, że drzewka przypominały kępy trzciny. Persson śledził lot gołębia, dopóki stworzenie nie

zniknęło mu z oczu.

Z zamyślenia wyrwał go dopiero warkot silnika. Samochód zwolnił kilka posesji dalej, po czym skręcił w zwirowany podjazd przed bardzo małym garażem. Kierowca wysiadł i wyciągając torby wyładowane zakupami, poddał dziwnego przechodnia ciekawskim oględzinom. Sven-Arne uśmiechnął się i skinął głową. Mężczyzna trzasnął drzwiami auta i wszedł do domu.

Uliczne latarnie zamigotały i włączyły się. Przejechał jeszcze jeden samochód. Sven-Arne wkroczył pomiędzy słupki furtki i ruszył ścieżką w stronę frontowych drzwi. Zupełnie jak przed dwunastu laty. Wszystko szło o wiele łatwiej, niż sądził.

„Niklas Öhman – Jenny Holgersson”, widniało na emaliowanej tabliczce. Zamiast dzwonić, zdecydował się użyć kołatki. W jakimś sensie pragnął, by na jego stukanie nikt nie zareagował.

A jednak drzwi otworzyły się gwałtownie. Mężczyzna, który stanął na progu, wpatrywał się w gościa ze zdumieniem.

– Czego pan chce?

Bezpośredniość pytania sprawiła, że Sven-Arne się speszył.

– Ja ... trochę trudno mi to wytłumaczyć, ale znałem człowieka, który tu poprzednio mieszkał.

– Dufwę?

Sven-Arne kiwnął głową.

– Największy absurd, jaki w życiu słyszałem. Stary nie miał przyjaciół.

– Nie powiedziałem, że był moim przyjacielem. I dla ścisłości, w zasadzie nawet żadnym znajomym.

– Pan jest z policji?

– Nie. Chciałem tylko...

– Proszę wejść. Zimne powietrze wieje do środka.

Sven-Arne zawahał się. Jeszcze mógł się wycofać, ale mężczyzna niemal siłą wciągnął go do holu.

– Piec nam szwankuje, dlatego jest taki ziąb. Siądźmy w kuchni. Tam będzie cieplej.

Niklas Öhman ruszył przodem i zajął miejsce przy stole. Sven-Arne wszedł za gospodarzem, jednak przystanął w kuchennych drzwiach i rozejrzał się dookoła. Poczł zapach ryby. Na blacie leżały świeże warzywa.

– Niech pan siada.

Persson posłuchał. Öhman, który wyglądał na jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu lat, skrzywił się, zaciskając wargi, jakby chwycił go nagły skurcz bólu.

– Pewnie przeszkadzam. Widzę, że jest pan w trakcie szykowania obiadu – powiedział Sven-Arne. Mężczyzna skwitował jego obiekcje machnięciem ręki. – Nie wiem, jak to wyrazić. Nils Dufva sporo znaczył dla mojej rodziny. Co pan może o nim powiedzieć?

– Niewiele. A kim pan właściwie jest?

– Mam na imię Sven-Arne, ale ostatnio z pewnych względów używałem imienia John. Kawał czasu mnie tu nie było, a teraz próbuję jakoś znów ogarnąć swoje życie.

Öhman skinął głową. Wydawał się autentycznie zadowolony. Sven-Arne powoli zaczynał go lubić. W końcu bez zastrzeżeń wpuścił nieznanego człowieka do kuchni.

– W latach trzydziestych Nils Dufva przebywał w Hiszpanii.

– To żadna nowość. W kółko nas tą Hiszpanią zanudzał – odparł gospodarz.

– Więc pan go znał?

– Oczywiście. Jesteśmy z Jenny parą już prawie dwadzieścia lat. Poznaliśmy się jeszcze w szkole. Jenny u starego sprzątała, załatwiała mu zakupy i tym podobne. A ja czasami pomagałem w pracach przy domu, z którymi Dufva nie mógł sobie poradzić. Dwa czy trzy razy do roku zapraszał nas na obiad – albo tu, albo do pubu. Wariackie imprezy. Przez cały czas gadał o najróżniejszych historycznych bzdetach.

– Co państwu mówił o Hiszpanii?

– Walczył tam. Ale jego opowieści dotyczyły głównie pojedynczych zdarzeń, więc nie jestem pewien, o co chodziło, poza tym, że o wojnę domową. Szczerze powiedziawszy, nie słuchałem zbyt uważnie.

– A nie wydawało się panu dziwne, że on się tam w ogóle znalazł i...

– W przypadku tego człowieka nic nie mogło być dziwne – przerwał mu Niklas Öhman. – Był, delikatnie mówiąc, osobliwy. Wie pan, że później, w czasie wojny, siedział w Niemczech?

Sven-Arne przytaknął.

– Prawdziwy wielbiciel Hitlera. Nienawidził Rosjan i komunistów. Miał na ich punkcie bzika.

– Mój stryj Ante też walczył w Hiszpanii.

– No, proszę. Znali się z Dufwą?

– Ante był komunistą.

Öhman utkwiał w swoim gościu pytające spojrzenie.

– Stali po przeciwnych stronach barykady?

– Szybko pan chwyta – skwitował Sven-Arne. – Mogli tam na siebie trafić, ale tego nie jestem pewien. Wiem tylko, że Nils Dufva w jakiś sposób był dla stryja ważny. Przyszedłem tu, mając nadzieję, że może dowiem się czegoś więcej. Słyszałem, że Jenny zamieszkała w tym domu po śmierci starszego pana. Pomyślałem, że może coś wie...

– Pana stryj zmarł?

– Nie, jeszcze żyje. Nawiasem mówiąc, właśnie od niego wracam, ale on nie chce mi nic powiedzieć. W każdym razie nie o Dufwie.

Niklas Öhman wstał, podszedł do kuchennego blatu i wziął nóż. Siekając coś, co Sven-Arne uznał za fenkuły, zaczął opowiadać, jak odnowili cały dom. Jenny Holgersson popadła niemal w fanatyczną obsesję zacierania śladów po zmarłym krewniak.

– Nawet nie chce o nim wspominać.

– Ale zamieszkała tu?

– Trafiła się jej okazja. Zanim stary zmarł, przez wiele lat tułała się po wynajętych mieszkaniach. Odziedziczyć dom... Z pewnością pan rozumie.

– Więc to ona była spadkobierczynią Dufvy? Dużo dostała?

Nóż zastygł w powietrzu.

– Sporo – powiedział Öhman i paroma szybkimi cięciami przepołowił marchewki. – Dufva okazał się bogatszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Nigdy nie mówił o pieniądzach ani...

– Nie byli sobie bliscy?

– Jenny i Dufva? Nie, wcale. Ale czuła się w obowiązku wpadać do niego, sprzątać mu i tak dalej.

– I zapisał jej wszystko – stwierdził Sven-Arne.

Mężczyzna zerknął na niego przez ramię.

– Właściwie, o co panu chodzi? Myślałem, że chce się pan dowiedzieć czegoś o Dufvie?

– Chyba sam nie wiem, czego chcę. Może trochę uporządkować fakty albo zrozumieć stryja. Prawdę mówiąc, jest pan pierwszą osobą, z którą po powrocie do Szwecji naprawdę rozmawiam. Oprócz Antego, oczywiście.

Do tej pory Niklas Öhman tylko czasem zerkał do tyłu, na swego gościa, ale teraz odłożył nóż, odwrócił się i oparł o blat.

– Dlaczego Nils Dufva jest taki ważny?

– Umarł – odparł Sven-Arne.

– Co w pewnym momencie czeka nas wszystkich. Może mi pan wierzyć, mam sporo do czynienia z ludzkimi szczątkami.

– Jest pan...?

– Archeologiem – wyjaśnił Öhman. – A Dufva jest teraz stertą gnatów w ziemi. Nie robi mi to żadnej różnicy. On należy do przeszłości. I dobrze, jeśli o mnie chodzi.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebym szybko rozejrzał się po domu? – zapytał nagle Sven-Arne.

– Po co miałby pan to robić?

– Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale to pomogło by mi zrozumieć argumenty stryja.

Czuł, jak płoną mu policzki. Może kłamstwo było szyte zbyt grubymi nićmi, żeby Niklas Öhman je przełknął?

– Naprawdę nie zamierzam tu węszyć, proszę się nie obawiać. Chciałbym tylko zobaczyć pokój, w którym umarł Dufva. Wierzę...

– Co pan wie o tym morderstwie?

– Nic – odparł Sven-Arne. – Wiem tylko, że Dufva i Ante coś kombinowali.

Wróciła mu odrobina dawnej pewności siebie, więc wdał się w rozwlekłe wyjaśnienia, które z rozmysłem formułował nieco mętnie. Czuł, że prezentując się jako człowiek lekko zdezorientowany, pomaga sprawie. Chciał, żeby Öhman doszedł do wniosku, że równie dobrze może zezwolić na krótką wycieczkę po domu, by potem łatwiej pozbyć się nieproszonego gościa.

– Musi pan stąd zniknąć, zanim wróci Jenny. Ona chce o tym wszystkim zapomnieć. Przede wszystkim o śmierci Dufvy. To ona znalazła go tu martwego. Leżał w pokoju dziennym z roztrzaskaną czaszką. Przez kilka lat chodziła na terapię, żeby się z tym uporać i żyć normalnie. Nadal czasami widzę, jakie to dla niej trudne. Bywa, że nawet nie potrafi tam wejść. Nigdy całkiem się nie uwolni.

– Czy mógłbym dostać marchewkę? Ostatnio niewiele jadłem.

Niklas Öhman przez chwilę wpatrywał się w Perssona, wreszcie pokręcił głową i podał mu obraną marchew.

– Nie chcę, żeby Jenny się zdenerwowała, to wszystko.

– It's okay – powiedział Sven-Arne, nieświadomie przechodząc na angielski, po czym odgryzł kawałek marchewki. – Tylko chwilkę. Może wtedy gadanina Antego nabierze dla mnie większego sensu.

– Okay – powtórzył Öhman. – Pokażę panu. – I zanim Persson zdążył podnieść się z krzesła, opuścił kuchnię i pierwszy pospieszył przez korytarz.

Weszli do pokoju, który sąsiadował bezpośrednio z holem wejściowym.

– Proszę, to tu. Tutaj umarł – oznajmił gospodarz. – Leżał twarzą w dół. Wszystko tu zmieniliśmy. Pomalowaliścmy ściany, przykleiliścmy tapety.

Umeblowanie było stosunkowo współczesne. Sven-Arne uświadomił sobie, że w czasach Dufvy pokój musiał wyglądać całkowicie inaczej.

– Więc tutaj się spotkali?

– Nie wiem – odparł. – Stryj opowiada czasem różne dziwne rzeczy.

Poczuł na sobie wzrok Öhmana.

– Czy Jenny opłakuje Dufwę?

– Co pan ma na myśli?

– Zastanawiam się, czy dlatego nie chce tu wchodzić?

– Chyba pan nie zrozumiał. Ona go znalazła i nie był to przyjemny widok.

Persson skinął głową.

– Dzięki za marchewkę – powiedział. – Była pyszna.

Wrócił do holu, wsunął stopy w sandały i zdjął z wieszaka kurtkę. Niklas Öhman przyglądał mu się, stojąc w progu pokoju dziennego.

– Potrzebuje pan nowych butów – stwierdził.

– Nie tam, dokąd się udaję.

Sven-Arne położył rękę na klamce drzwi wejściowych.

W tym momencie drzwi otworzyły się i stanął oko w oko z jakąś kobietą. Od razu domyślił się, że to Jenny Holgersson. Była mocno zaczerwieniona i zdyszana. Jej policzki nosiły wyraźne ślady trądzikowych blizn.

– Witam panią, Jenny.

Niklas stanął koło niego.

– Proszę wyjść! – szepnął mu chrapliwie do ucha.

Chwycił gościa za ramię i popchnął tak energicznie, że ten o mało nie podciął kobiecie nóg.

Jenny zdołała prześlizgnąć się między framugą i Perssonem, który jednak zdążył dostrzec w jej oczach strach.

– Co tu się dzieje?

– Wprosił się do środka – wyjaśnił jej Öhman.

– Wcale nie – zaprotestował Sven-Arne. – Miło żeścmy sobie pogawędzili. I dostałem marchewkę.

Odczuwał dziwne uniesienie. Cieszył się, że mógł przynajmniej rzucić okiem na krewniaczkę Dufvy, choć przypuszczalnie nigdy nie miał z nią zamienić nawet słowa. Jednak już samo to, że ją widział, pozwalało mu łatwiej wyobrazić sobie życie i śmierć tego człowieka.

– Niech pan stąd idzie!

Niklas Öhman z hukiem zatrzaskał drzwi.

– Chcę rozmawiać z detektywem z wydziału zabójstw – oznajmił, wręczając swój numerek. Był sześcudziesiątym ósmym petentem.

Recepcjonistka wzięła numerek i obejrzała go dokładnie, zanim wrzuciła do koszyka na kontuarze.

– Czego sprawa dotyczy?

Sven-Arne dygotał. Czuł, że twarz robi mu się coraz gorętsza i zapewne płonie rumieńcem.

– To nieistotne.

Kobieta przyglądała mu się bacznie. Zdawał sobie sprawę, że musi przedstawiać godny uwagi, niecodzienny widok: brodaty mężczyzna o spracowanych dłoniach i skórze zahartowanej przez słońce i wiatr, w ubraniu równie nieodpowiednim, jak wówczas, kiedy wysiadł na Arlandzie. W dodatku przesiąkniętym dziwną wonią – pewnie curry. Ante wspominał coś o ziołach.

– Zgłasza pan przestępstwo?

Przytaknął. Bierze mnie za alkoholika, pomyślał. Było mu wszystko jedno.

– Przestępstwo – powiedział. – Poważne przestępstwo. Nazywam się Sven-Arne Persson – dodał po paru sekundach, jak gdyby miało to cokolwiek wyjaśnić.

Nagle od strony wejścia rozległy się krzyki. Sven-Arne odwrócił się. Starszy człowiek w obszernym, sięgającym kostek płaszczu i futrzanej czapie, jaką nosili starsi panowie w latach sześćdziesiątych, gwałtownie wywijał rękami.

Drugi, młodszy mężczyzna, zapewne krewny, co można było wywnioskować z ich podobieństwa, usiłował staruszką uspokoić.

Kobieta za kontuarem westchnęła. Sven-Arne uśmiechnął się do niej.

– Miło, kiedy coś się dzieje – stwierdził i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie była to stosowna reakcja.

– Więc chce pan rozmawiać z kimś z wydziału zabójstw i zgłosić poważne przestępstwo? To może chwilę potrwać...

Przytaknąwszy po raz kolejny, nie zdołał poskromić uśmiechu, bo chcąc przyspieszyć rozwój wydarzeń, odruchowo sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Chwileczkę – powiedziała recepcjonistka i podniosła słuchawkę.

Więc znowu się obrócił, żeby popatrzeć na rodzinną kłótnię. Był to istny teatr. Teraz młodszy krewniak wyglądał na wzburzonego.

– Proszę spocząć – rozległ się głos recepcjonistki. Nie oglądając się na nią, Sven-Arne ruszył w stronę fotela i usiadł, przygotowany na długie czekanie. Ale ledwie umościł się wygodnie, a już stanął przed nim ubrany po cywilnemu policjant.

– Szybciej niż w Bangalurze – mruknął Persson i nie bez pewnego trudu dźwignął się na nogi. Przypominał sobie, że przez cały dzień miał w ustach niewiele więcej niż jedną marchewkę.

– Słucham?

– Powiedziałem, że szybko działacie.

– Sammy Nilsson – przedstawił się policjant i wyciągnął rękę.

Sven-Arne zrobił to samo, ale z wahaniem, jakby nagle stracił pewność, że podjął właściwą decyzję. Wymamrotał coś niezrozumiale.

Policjant najwyraźniej postanowił odczekać. Wyczuwał napięcie rozmówcy i chciał dać mu chwilę, żeby mógł się pozbierać.

– Gotów?

– Nie jestem do końca przekonany – odparł szczerze Sven-Arne.

Wiedział, że jeśli teraz pójdzie za Nilssonem w głąb budynku, to ten jeden krok odmieni jego życie w sposób bardziej radykalny, niż gdy uciekł do Indii.

– Ale myślę, że musimy porozmawiać – zdecydował. – Nie widzę innego wyjścia.

Sammy Nilsson skinął głową z nietajoną satysfakcją. Sven-Arne uświadomił sobie, że rozbudził jego ciekawość i poczuł wyrzuty sumienia. Nie chciał sprawić zawodu, postanowił wszystko mu opowiedzieć.

Trzydzieści dwa stopnie w cieniu. Ile musiało być w słońcu, Sune Stolt nawet nie ośmielił się zgadywać. Szedł tak blisko ściany budynku, jak tylko mógł, by maksymalnie wykorzystać własny cień. Handel działał na pełnych obrotach, sklepy były otwarte już od paru godzin. Niekiedy Stolt słyszał, że ktoś mówi po szwedzku.

Lubił Krabi, pomimo turystów. Miasteczko nie zostało tak zdewastowane jak wiele innych miejsc. Nadal do pewnego stopnia panowała tu nienaruszona tajska atmosfera. Natomiast Phuket nienawidził. Samo miasto jeszcze nie było takie najgorsze, ale plaże na północy uważał za koszarne. Może dlatego, że miał szanse obserwować głównie ciemną stronę turystycznego biznesu: prostytutkę i narkotyki.

A teraz podążał do komisariatu w centrum Krabi. Bywał tam już wcześniej i zawsze wówczas spotykał się z Mr No, jak go nazywano. Stolt nie pamiętał jego prawdziwego nazwiska. Każdy wiedział, kim jest Mr No. Legenda korpusu policji. Niezwykle wysoki jak na Taja, znany z twardej ręki. Może i był skorumpowany – krążyły plotki o jego udziale w obrocie nieruchomościami na wyspach na południe od Krabi i o metodach, które czasem nie grzeszyły uczciwością – ale do Stolta zawsze odnosił się przyjaźnie.

Mr No zadzwonił rano. Stolt nie mógł powstrzymać uśmiechu na wspomnienie satysfakcji, z jaką Taj oznajmił mu, że następnego dnia po tym, jak w Krabi nadano komunikat o zaginionej kobiecie, zgłosiła się do komisariatu pewna młoda osoba. Przyszła razem z bratem. Tylko tyle mu powiedział. Teraz Stolt miał usłyszeć więcej.

Właśnie zakończył wizytę w Bangkoku i znajdował się na lotnisku, oczekując na powrót do Phuket, gdzie pełnił służbę, gdy odebrał wiadomość. Udało mu się zmienić rezerwację biletu i kilka godzin później wylądował w Krabi.

Naturalnie alarm mógł okazać się fałszywy, ale coś w głosie Mr No mówiło Stoltowi, że to strzał w dziesiątkę. Mr No lubił pokazywać, jak wiele może, a tu miał okazję zaprezentować swoją operatywność.

Stolt z ulgą wkroczył w niemal arktyczny chłód klimatyzowanego wnętrza komisariatu. Mr No czekał koło recepcji. Przywitali się serdecznie jak zwykle. Sune Stolt zapytał o zdrowie żony i dzieci. Mr No wyraźnie pochlebilo, że Szwed pamięta imiona jego bliźniaków. Nawiasem mówiąc, tuż przed wejściem Stolt sprawdził je w swoim notesie.

Po kilku chwilach rozmowy gospodarz ujął gościa pod ramię – gest zarezerwowany wyłącznie dla ludzi Zachodu – i poprowadził w głąb korytarza. Zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Mr No je otworzył.

Pokój był nagi i pusty z wyjątkiem drewnianego stołu i kilku krzeseł. Przy stole siedzieli mężczyzna i kobieta. Na widok wchodzących obydwójce poderwali się z miejsc. Pierwsze, co Stolt zauważył, to strach w ich oczach. A potem ogarnęło go zdumienie. Tajka, którą miał przed sobą, wyglądała identycznie jak nieznajoma z fotografii.

Mr No przedstawił go. Stolt skinął głową, uśmiechnął się i pozdrowił kobietę. Natychmiast popłynął gwałtowny potok słów. Mr No zaczekał, aż kobieta skończy mówić. Wreszcie umilkła. Gdy Mr No zaczął tłumaczyć jej wypowiedź, stała i wpatrywała się w Stolta.

To ona była na tym zdjęciu. Zostało zrobione dwa lata temu przed restauracją, gdzie nadal

pracowała. Sfotografowała ją siostra, która wkrótce potem udała się w podróż do Szwecji.

– Dlaczego pojechała do Szwecji?

Mr No rzucił mu spojrzenie wyrażające tyle irytacji, ile żalu, a kobieta udzieliła kolejnych długich wyjaśnień. I znowu Mr No cierpliwie czekał, by dobrnęła do końca.

– Miała zbierać jagody w wielkich lasach – podsumował wreszcie. – Chciała zarobić dużo pieniędzy. Macie tam u siebie wielkie lasy, prawda?

– Tak, mamy – odparł Stolt. – Jak się nazywa jej siostra?

Użył czasu terażniejszego, bo przecież kobieta nie wiedziała, jaki los spotkał zaginioną.

– Pranee Kaew Patima – powiedział Mr No.

Godzinę później, kiedy już dotarł do hotelu, poczuł, jak ogarnia go rozpacz. Dopóki przebywał w komisariacie, potrafił zachować spokój, ale leżąc na łóżku w swoim pokoju, nękany zawrotami głowy, których przyczyny żaden lekarz nie potrafił wyjaśnić, runął w bezdenną, czarną próżnię. Ostatnio ta otchłań stawała się coraz głębsza i rozleglejsza. Dręczył go wstyd – jako Szweda i jako mężczyznę. Marksson podał mu wystarczająco dużo informacji, by Sune Stolt mógł wywnioskować, co się zdarzyło. Ta sama stara historia, tylko tym razem z wynikiem ostatecznym.

Tajlandia pozwalała swoim młodym kobietom doświadczać poniżenia i śmierci. Stolt nienawidził Skandynawów, Brytyjczyków i Niemców, starych facetów, band rozwydrzonych dwudziestolatków, bladych tłuściochów w średnim wieku i tych cieszących się powszechnym uznaniem, ze złotymi kijami do golfa w bagażu. Wszyscy oni przyjeżdżali tutaj dla ciał.

Większość zadowalała się pieprzeniem kogo popadnie w salonach masażu i mrocznych pokojkach za kratami. Byli tacy, którzy zostawali w tym kraju na kilka zimowych miesięcy, żeby zabawić się po królewsku, a jeszcze inni importowali smukłe jak trzciny dziewczęta do życia w Europie bez ciepła i miłości. Oczywiście zdarzały się wyjątki. Oczywiście zdarzały się przypadki prawdziwych uczuć i troski, ale zazwyczaj wszystko sprowadzało się do handlu ciałami.

Teraz do poprzednich mógł dołożyć kolejne imię: Pranee Kaew Patima.

Jak długo jeszcze będzie w stanie przyglądać się z bliska tej niedoli? Wiedział, że jeśli pozwoli sobie na nienawiść, przestanie być dobrym policjantem. Zerknął na tarczę zegarka. Wiedział, że powinien wstać, włączyć komputer i powiadomić o swoich odkryciach Markssona.

Ann Lindell nie mogła nic poradzić, że mając w pamięci wyniosłą minę Beatrice i opór pozostałych kolegów przed zamieszczeniem ogłoszenia w Tajlandii, teraz czuła odrobinę triumfu.

– Super! – wykrzyknęła.

Bosse Marksson, który przeczytał całą wiadomość od Stolta, był bardziej powściągliwy.

– Dobrze, że poznaliśmy jej imię i nazwisko – powiedział. – Ale jak to się wymawia?

– Mówmy o niej po prostu: Patima. Zidentyfikowali ją na sto procent? Żadnych wątpliwości?

– Żadnych. Sune jest całkowicie pewien, że zdjęcie przedstawia kobietę, z którą rozmawiał w Krabi. Poszedł nawet do restauracji, gdzie pracuje. Miejskowa policja obiecała mu zdjęcie siostry, ma je nam przesłać, żebyśmy...

– ...mogli sprawdzić na kempingu – dokończyła Lindell.

Marksson odchrząknął.

– Czas się zgadza – powiedział. – Dziewczyna opuściła Tajlandię na początku sierpnia zeszłego roku.

– Dobra, więc jesteśmy o krok bliżej.

Lindell zdawała sobie sprawę, że śledztwo wyhamowało. Mieli nazwisko ofiary, wiedzieli o jej kontaktach z Tobiasem Friskiem, mieli pasujące do siebie DNA ze stopy i zebranych w domu podejrzanego włosów, mieli piłę – i na tym koniec. Byli w stanie wywnioskować, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Frisk zabił, a potem poćwiartował Patimę. Jak, dlaczego i kiedy, tego mogli się nigdy nie dowiedzieć. Przypuszczalnie mogli też nigdy nie odkryć zwłok, których częścią była odcięta stopa. Morderca zapewne zakopał je albo wrzucił do morza.

Sprawa została rozwiązana, lecz pozostawiła gorzki niesmak. Nie dała im poczucia zwykłej satysfakcji, co skomentował również Marksson.

– Szkoda, że sukinsyn okazał się aż takim sukinsynem, że palnął sobie w łeb – powiedział.

– Kontynuujemy?

– A możemy kontynuować? Przesłuchaliśmy wszystkich, którzy nam przyszli do głowy, sąsiadów, dawną dziewczynę, współpracowników.

– I co w ich zeznaniach jest wspólnego?

– Przekonanie, że Tobias Frisk był oryginałem, ale nie kimś, kto mógł odebrać życie sobie bądź innemu człowiekowi.

– A ty co o tym sądzisz?

– Że świat jest pełen niespodzianek – odparł.

– No dobrze – westchnęła ciężko Lindell. – Zostawmy to. Mogę jeszcze popytać na kempingu. Dobrze byłoby uzyskać pozytywną identyfikację kobiety, ale potem zamykamy sprawę.

– Co zrobimy ze stopą?

– Na razie ją zachowaj – powiedziała po chwili zastanowienia. – Chyba nie odeślemy jej do Tajlandii. To byłoby nie w porządku.

– Stopa może być lepsza niż nic. Co my o tym wiemy? Może są jakieś religijne względy.

Mam na myśli Tajów.

Po telefonie na pole kempingowe w Sorsele i uzgodnieniu z Göstą Ohlmanem, że wkrótce pocztą elektroniczną otrzyma zdjęcie do identyfikacji, Ann Lindell opuściła budynek komisariatu. Potrzebowała ruchu i odrobiny powietrza, nawet jeśli pogoda nie była zachęcająca. Całe miasto spowijały pasma wilgotnej mgły.

Poszła wzdłuż Luthagsleden na zachód. Jej celem była cukiernia Savoy. Podczas szybkiego marszu przypomniała sobie o staruszkę, stryju zaginionego polityka, mieszkającym kilka przecznic stąd, więc siłą rzeczy jej myśli powędrowały do Berglunda. Wkrótce miał zostać wypisany ze szpitala, potem czekało go kilka tygodni rekonwalescencji. Lindell zastanawiała się, co będzie dalej. Wyobrażenie, które miała o Berglundzie, uległo zasadniczej zmianie i to jej się nie podobało. Chciała, by na miejsce roztrzęsionego, postarzałego pesymisty powrócił jej dawny solidny kolega.

W Savoyu było pełno. Zdarzało się tak coraz częściej. Zmierzyła wzrokiem pół tuzina matek, które – wraz ze swymi latoroślami w wysokich krzeselkach albo na kolanach – okupowały dwa stoliki. Posiedzenie trwało już dobrą chwilę. Świadczyły o tym puste filiżanki po kawie i zaśmiecone blaty. Lindell uznała, że urządzenie zebrań mamusiek w takim miejscu to bezczelność. Trzy niemowlęce wózki stały zaklinowane między stolikami i krzesłami. Jakiś maluch pełzał po podłodze, miętosząc w rączce drożdżową bułeczkę. Inny z wysokości swego krzeselka wydawał przeraźliwe piski.

Upłynęło kilka minut, ale żaden z gości nie wyglądał, jakby zbierał się do opuszczenia lokalu – a już zdecydowanie nie młode matki.

Lindell westchnęła i wyszła. Wolnym krokiem minęła kwaciarnię, potem kiosk na rogu i ruszyła przez Ringgatan na wschód z niejasnym uczuciem, że nic nie jest tak, jak powinno. Nie chodziło jej tylko o kiepską formę Berglunda. To akurat mogła zrozumieć. Ale Beatrice stała się wyjątkowo drażliwa, Sammy zmienił się nie do poznania. Nawet Ottosson był jakiś apatyczny. Może to nadchodzące święta tak ludzi dołowały.

Nieoczekiwanie zatrzymała się przed Konsumem. Podczas całego śledztwa na Bultudden miała wrażenie, że coś jest nie tak. Dotychczas odbierała swoje wątpliwości jako irytujące zakłócenia w tle. Ale Marksson wyrażał podobne obiekcje. A przecież wszystko wydawało się oczywiste, nawet jeśli frustrowała ich ilość luźnych wątków. Więc co ją tak uwierało?

Rozejrzała się dookoła, próbując zrozumieć, cóż takiego mogło wyzwolić ten nagły niepokój i poczucie niedokończenia. Nie dostrzegła niczego nadzwyczajnego. Wrzeszcząca grupka nastolatków. Plecy starszej kobiety z torbą na zakupy. Ann zamknęła oczy i usiłowała raz jeszcze pochwycić ulotne wrażenie. Zdarzało jej się już czegoś takiego doświadczać: tego podpełzającego ukradkiem lęku, który mieszał się z podnieceniem, a czasem, kiedy rosła świadomość bezpowrotnie straconych szans, zamieniał się w koszmar i panikę. Może to wizyta w cukierni wywołała ten impuls? Odwróciła się i spojrzała w stronę lokalu, odtwarzając zapamiętaną scenę: matki z dziećmi, w kącie paru starszych panów, których widywała niezliczoną ilość razy, zawsze przy tym samym stoliku, kilkoro uczniów pijących gazowane napoje. Pozostali klienci byli dla niej cieniami.

Czy to drożdżowa bułeczka, którą przeżuwał tamten maluch? Frisk pracował w piekarni. Albo zapach? Może to miało związek z kawą? Podczas pierwszej wizyty na Bultudden piła kawę z Torstenem Anderssonem. Czyżby Andersson zrobił jakąś uwagę, która wtedy nie

wydała się jej dziwna, a teraz budziła podświadomy niepokój? Czy może to Marksson powiedział coś, kiedy siedzieli w kuchni Friska?

Ann zaczerpnęła powietrza i podjęła swoją wędrówkę teraz już znacznie spokojniejszym krokiem. W myślach prześledziła trasę na cypel, aż w końcu dotarła do chaty Lisen Morell, ale wzdłuż ulicy nie natrafiła na nic frapującego.

Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Bossego Markssona.

– Myślę, że coś jest nie tak – oznajmiła z miejsca.

– Jak to? – W głosie jej współpracownika brzmiało zmęczenie.

– Nie tak ze śledztwem. Z naszym tokiem rozumowania. Coś przegapiliśmy.

Milczał. Bo niby co miał powiedzieć, przemknęło jej przez głowę.

– Na pewno znasz to uczucie, czasem każdego nachodzi.

Marksson chrząknął. Przypomniała sobie jego wątpliwości, kiedy byli na Bultudden. Kwestionował ciąg wydarzeń, chociaż nie potrafił wskazać nic konkretnego, co umocniłoby poczucie, że się mylą. Ostatecznie poddali się. Fakty wydawały się niepodważalne: ślady krwi na pile, dowody obecności Patimy w domu Friska, wreszcie wyjazd do Sorsele.

– Musimy się spotkać – ciągnęła Lindell. – Mogę jutro przyjechać?

– W takim razie z samego rana. Po południu wybieram się do Öregrund.

– Będę o wpół do dziewiątej.

Chcę się przyznać do popełnienia morderstwa.

Sammy Nilsson podniósł wzrok znad kartki, na której właśnie zapisał datę i nazwisko Perssona, ale powstrzymał się od uwag.

– To się zdarzyło wiele lat temu.

– Proszę dalej – odezwał się policjant po dłuższej chwili milczenia.

– Zabiłem człowieka jesienią 1993 roku. Nazywał się Nils Dufva. Morderstwo miało miejsce w Kungsgärdet. Potem wyjechałem do Indii i tam pozostałem. To wszystko. Od jak dawna pracuje pan w Uppsali?

– Prawie dwadzieścia lat.

– Więc musi pan pamiętać morderstwo Dufvy.

Nilsson przytaknął. Pamiętał i to bardzo dobrze, chociaż w tamtych czasach jeszcze patrolował ulice i nie był bezpośrednio związany ze śledztwem. Sprawa starego człowieka w wózku inwalidzkim, którego ktoś brutalnie zatłukł. Wiedział tylko, że prowadził ją Berglund. To była jego nierozwiązana zagadka. Nagle uświadomił sobie, że powinien natychmiast skontaktować się z Berglundem. Na pewno sprawi mu to może nie radość, ale powinien się ucieszyć.

– Może mi pan opowiedzieć, co się stało? Rozumie pan oczywiście, że nagram naszą rozmowę.

Sven-Arne skinął głową.

– Był pan znajomym Dufvy?

– Nie, tak bym tego nie określił.

– Po prostu wszedł pan i zabił całkiem nieznanego staruszka w jego własnym domu?

– Niezupełnie nieznanego.

– Był pan pod wpływem środków odurzających?

– Nie, byłem absolutnie trzeźwy.

Policjant siedział i milczał. W magnetofonie przesuwiała się taśma.

– Czy mógłbym dostać kanapkę albo cokolwiek? Od dawna nie jadłem.

Nilsson natychmiast zadzwonił do Allana Fredrikssona z prośbą, żeby zamówił termos kawy i kilka kanapek, a potem dołączył do przesłuchania.

– Chodzi o sprawę Dufvy – dodał, zerkając na Svena-Arnego.

Persson nagle wstał i podszedł do okna. Sammy Nilsson rozłączył się i obserwował go. Facet nie wyglądał na zabójcę.

– Jedzenie zaraz będzie, a na razie możemy trochę pogawędzić. O ile zechce pan usiąść.

– Oczywiście – odparł Persson i wrócił na swoje krzesło.

– W jaki sposób dotarł pan do Indii?

– Samolotem.

Sammy Nilsson uśmiechnął się.

– Załatwiłem sobie nowy paszport. Pomógł mi Bertil Grönlund, jeśli go pan pamięta. Mogę to powiedzieć, bo wiem, że teraz żadna kara już go nie dosięgnie.

Bertil Grönlund, powszechnie znany jako „Gävle-Berra”, był przez wiele lat stałym

klientem uppsalskich posterunków policji, głównie za sprawą swojej skłonności do fałszowania czeków. Przestępca z gatunku stroniących od przemocy, po prostu notoryczny łobuz bez szczególnych sukcesów. Od czasu do czasu spędzał rok za kratkami, wychodził i znowu go łapali, co przyjmował jako naturalną kolej rzeczy. Sammy Nilsson osobiście aresztował Grönlunda tylko raz, we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Teraz go sobie przypominał. Chudy mężczyzna, w średnim wieku, o nieśmiałym sposobie bycia. Zawsze bez oporu przyznawał się do wszystkiego, o co był oskarżany.

– Nie wiedziałem, że nie żyje – powiedział z roztargnieniem. – Jak pan go poznał?

– Byłem jego kuratorem.

Sammy parsknął śmiechem i pokręcił głową. Persson wyczuł, że policjant uważa jego opowieść za coraz bardziej fantastyczną.

– Miał pan jakieś związki z Indiami?

– Nie, żadnych. Ale to równie dobre miejsce jak każde inne. Polubiłem je.

– Więc dlaczego pan teraz wrócił?

– Chciałem mieć to już za sobą.

– Mówi pan o Nilsie Dufvie?

Sven-Arne skinął głową. W tym momencie otworzyły się drzwi. Allan Fredriksson postawił tacę na stole, po czym wyciągnął rękę i przedstawił się Perssonowi.

– Wspaniale – zaskoczył go swoim entuzjazmem przesłuchiwany. – To znaczy, cieszę się, że mam do czynienia z doświadczonymi śledczymi, a nie z parą żółtodziobów.

– Bierzmy się do jedzenia – powiedział Fredriksson. Otworzył termos z nierdzewnej stali i nalał kawy. Na zakrętce widniały duże litery AF.

– Tu obecny Sven-Arne Persson właśnie przyznał się do morderstwa – wyjaśnił koledze Sammy Nilsson. Oznajmił to takim tonem, że rewelacja zabrzmiała całkiem prozaicznie. – Zechce pan nam o tym opowiedzieć?

– Jeszcze tylko jedno – wtrącił Allan Fredriksson. – Zanim zaczniemy, muszę zapytać, czy to pan Sven-Arne Persson, radny gminy?

– We własnej osobie.

– Wydawało mi się, że pana rozpoznaję. Ale dawniej nie nosił pan brody, prawda?

Były polityk poczęstował się kanapką z szynką, odgryzł spory kęs i zanim odpowiedział, przeżuł go dokładnie.

– Dawniej byłem innym człowiekiem. Bez brody.

– Pan jest tym radnym, który zniknął?

Sammy Nilsson ze zdumieniem wpatrywał się w Perssona.

– Możemy kontynuować? – spytał Sven-Arne.

Policjant skinął głową.

– Powiedział pan, że zabił Nilsa Dufwę.

– Uderzyłem go w głowę inwalidzkimi kulami.

– Kulami? Miał je w domu?

Nilsson nie mógł sobie przypomnieć żadnych szczegółów morderstwa poza faktem, że Dufwa był niepełnosprawny.

– Nie, przywiozłem je ze sobą, a potem zabrałem. Należały do mego stryja. Chciałem mieć coś do obrony. W razie czego.

- Jakim samochodem pan wtedy jeździł?
- Ciemnoniebieskim saabem.
- Stryj był z panem? – wszedł im w słowo Fredriksson.
- Nie.

Sammy Nilsson zdecydował się zablefować.

– Według zeznań świadków, wozem, który parkował przed domem Dufvy, przyjechało dwóch mężczyzn.

Persson odgryzł kolejny kęs kanapki i przelotnie zerknął na Fredrikssona.

- Stryj czekał w samochodzie – odparł w końcu. – Z trudem się poruszał.
- Spodziewał się pan kłopotów? – spytał Nilsson.
- Naprawdę nie pamiętam. Ale z jakiego innego powodu brałbym kule? – Popił kanapkę łykiem kawy. – Już mi lepiej – dodał z uśmiechem.
- Dobrze pan znał Dufwę?
- Nie, nie bardzo.
- To dlaczego, u licha, pan go zabił? – nie wytrzymał Fredriksson.
- Bo był zbrodniarzem wojennym – oznajmił spokojnie przesłuchiwany.
- Proszę nam to wyjaśnić.

– Przede wszystkim muszę chwilę odpocząć. – Sven-Arne Persson pochłonął kanapkę z serem i kilkoma szybkimi łykami dokończył kawę. – Nie mają panowie nic przeciwko temu? Nie chcę być nieuprzejmy, ale naprawdę jestem kompletnie wyczerpany. Prawdę mówiąc, mam dreszcze i kręci mi się w głowie. Potem możemy dalej rozmawiać. Na pewno jest tu jakiś pokój, gdzie mógłbym na moment się wyciągnąć. Później będę do panów dyspozycji i wszystko wyjaśnię.

– W porządku – powiedział Sammy Nilsson po krótkiej chwili wahania. Oficjalnie zakończył przesłuchanie i wyłączył magnetofon.

Fredriksson zaprowadził Svena-Arnego do aresztu, po czym wrócił do pokoju Nilssona.

– To ci dopiero – powiedział, siadając na krześle, które niedawno zwolnił były radny. – I co mamy o tym myśleć?

– Albo facet jest kompletnie stuknięty, albo przeciwnie: ma absolutną jasność, do czego zmierza – odparł Sammy Nilsson.

- Nie jest stuknięty.
- Mógł tam zwariować – odpowiedział Nilsson zamyślony. – Mógł wybrać Indie z powodów duchowych. Mam na myśli wpływ jakiegoś guru albo jogina, czy kogoś w tym stylu.
- Trudno mi w to uwierzyć – powiedział Fredriksson i poczęstował się kanapką.
- Powinniśmy zawiadomić Berglunda. W końcu to jego nierozwiązany przypadek.
- Zadzwoń do szpitala.

– Załatwisz to? Byłbym ci wdzięczny. Dajmy Perssonowi pospać godzinę czy dwie. Nie wiem, co myślisz o przerwie w przesłuchaniu, ale on naprawdę wyglądał na wykończonego. Tymczasem wydostanę akta tamtej sprawy. I zwołaj tu Lindell, żebyśmy mogli ją poinformować.

Kiedy Sammy zakończył swoją relację, Ann Lindell tylko pokręciła głową.

– Wysoce nieprawdopodobne – stwierdziła. – Niedawno rozmawiałam z jego stryjem.

Mężczyźni patrzyli na nią skonsternowani.

– Wiecie, że przed paroma tygodniami żonę Perssona potrącił samochód? Na Luthagsleden.

Biedaczka nadal leży w śpiączce.

– Teraz ty nam musisz powiedzieć, co jest grane. Berglund?

Lindell przytaknęła i zreferowała im całą historię.

– I jak to się wszystko ma do siebie? – spytał Allan Fredriksson.

– Odpowiedź chwilowo śpi – odparł Nilsson.

– Czyżby wypadek jego żony rozpętał całą sprawę? Dlatego Persson po dwunastu latach wrócił do Uppsali, żeby ulżyć sumieniu? Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim stryj? To element, który łączy Perssona z Dufwą? Co w tym kontekście oznacza „zbrodniarz wojenny”? – Pytania mnożyły się.

– Odpowiedź śpi – powtórzył z uśmiechem Nilsson.

– On ma kule – oznajmiła nagle Lindell. – Mówię o stryju. Widziałam je w jego pokoju, w domu opieki, w Ramund.

Allan Fredriksson tylko pokręcił głową.

Po krótkiej dyskusji postanowili, że przesłuchanie Svena-Arnego wezmą na siebie Nilsson z Fredrikssonem.

– Dajmy mu dodatkową godzinę snu, zanim zacznie zeznawać – zaproponował Sammy. – Później będzie mógł sobie wszystko jeszcze raz przemyśleć i zobaczymy, czy jutro nadal będzie obstawał przy swojej wersji. A potem trzeba odwiedzić tego stryja. Może byś nam w tym pomogła, skoro go znasz?

– Wczesnym rankiem muszę wyskoczyć do Östhammar – odparła Lindell. – Ale mogę wpaść do starszego pana po południu.

Opowiedziała im o doniesieniach Stolta z Tajlandii. W świetle nieoczekiwanych wyznań Perssona sukces z identyfikacją Tajki trochę przybladł. Nie wyglądało, żeby koledzy byli pod szczególnym wrażeniem. Ich uwagę całkowicie pochłonęli Sven-Arne Persson i zamordowany Nils Dufva.

– Dzwoniliście do Berglunda? – spytała Lindell.

– Jutro ma się zjawić – powiedział Allan Fredriksson.

– Jak to przyjął?

– Mówił głównie o motywie. Uczepił się tego „zbrodniarza wojennego”. Twierdzi, że dawałeś mu cynk, że Dufva był nazistą.

– Ja?! – wykrzyknął Nilsson, wyraźnie skonsternowany.

– Pokazałeś mu jakąś książkę.

– Faktycznie. Cholera. Teraz sobie przypominam. To była praca o szwedzkich nazistach. Nazwisko Dufvy figurowało w swego rodzaju rejestrze.

– Naziści – powiedziała z namysłem Ann Lindell i przed oczyma stanął jej obraz biblioteczki Antego Perssona. – Jeśli on był nazistą, to Ante Persson najprawdopodobniej jest komunistą.

– A jego bratanek socjalistą – dodał Allan Fredriksson.

– Teraz trzeba jeszcze skądś wytrzasnąć członka partii liberalów** i będziemy mieć komplet – uśmiechnął się szeroko Nilsson.**

– Muszę jechać odebrać Erika – oznajmiła Lindell, wstając. – Powodzenia.

Obudził się nagle, usiadł oszołomiony i w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć,

gdzie się znajduje. Śnił mu się Lester. I sadzenie drzew w Lal Bagh.

Sven-Arne Persson przetarł oczy.

I wtedy ogarnęło go przerażenie. Wpatrywał się w bure, pozbawione okien ściany z przytwierdzoną umywalką i sedesem. Po chwili odsunął koc i spuścił nogi za krawędź łóżka. Cella miała kilka metrów kwadratowych. Solidne drzwi były wyposażone w wizjer.

Sven-Arne opadł z powrotem na posłanie i skulił się, podciągając kolana.

Leżał w tej pozycji, kiedy dobiegł go odgłos przekręcanego w zamku klucza. Drzwi otworzyły się. Zacisnął powieki. Umieram, pomyślał. Wyobraził sobie, że wpadną do celi i bez słowa zaczną go okładać bambusowymi kijami, a potem wywloką na podwórze, by dalej bić. Wiedział, że to nedorzeczność – już nie był w Indiach – a jednak szykował się na pierwsze ciosy.

– Już pora – usłyszał męski głos i otworzył oczy.

W drzwiach stał Sammy Nilsson. Uśmiechał się.

– Dobrze się panu spało?

Zapytany skinął głową, wstał, zebrał z podłogi koc i zaczął go składać. Nilsson czekał.

– Tak, spałem. Ja ...

Sven-Arne przerwał, nie kończąc zdania. Bardzo starannie umieścił koc w nogach polowego łóżka i dopiero wówczas spojrzął na policjanta.

– Będziemy dalej rozmawiać?

Sammy Nilsson przytaknął.

Przesłuchanie trwało dwie godziny. Zaczęło się od rozmowy o Indiach. Persson zdawał sobie sprawę, że chodziło o to, żeby się rozluźnić, więc skwapliwie opowiadał o ogrodzie botanicznym i życiu w Bangalurze. Ale wkrótce policjanci przeszli do wydarzeń tamtego jesiennego dnia w 1993 roku. Po raz kolejny Sven-Arne zmuszony był brnąć przez sekwencję wypadków. Odpowiadał na pytania mętnie, monosylabami. Nilsson i Fredriksson drążyli temat, chcąc uzyskać jaśniejszy obraz.

– Jak pan wszedł do domu?

– Drzwi nie były zamknięte.

– Skoro nie znał pan Dufvy, skąd pan wiedział, gdzie mieszka?

– Znalazłem adres w książce telefonicznej.

– Jak wyglądał salon?

– Nie pamiętam.

– Niczego?

– Niczego. No, może coś. Meble były ciemne, stół, coś w rodzaju biurka... Potknąłem się o dywan, tak mi się zdaje... Tamtego dnia mocno wiało, wiem, że pod oknem rosło drzewo, które... no, rozumieją panowie, gałęzie się poruszały. Prawdę mówiąc, nie bardzo mogę sobie przypomnieć. Wszystko działo się tak szybko.

Sammy Nilsson przyglądał mu się badawczo.

– Chce pan, żebyśmy uwierzyli, że powszechnie szanowany radny wdziera się do nieznanego sobie starca i brutalnie go zabija? – powiedział wreszcie.

W ciągu całego przesłuchania Sven-Arne siedział pochylony nad stołem, od czasu do czasu wypijał łyk kawy – nawet kiedy już całkiem wystygła – i tylko z rzadka spoglądał na Nilssona. Jednak teraz podniósł głowę i spojrzął policjantowi prosto w oczy.

– Tamten człowiek... – zaczął. Urwał, milczał chwilę, a potem mówił dalej, już znacznie ostrzejszym tonem, jak gdyby na chwilę obudził się w nim dawny polityk. – To była nędzna kreatura. Niczego nie żałuję. Chociaż owszem, jednej rzeczy. Powinienem był pójść prosto na policję. Wtedy, dwanaście lat temu.

– A zamiast tego pan wyjechał? – zauważył Allan.

– Wyjechałem.

– Dlaczego?

Po tym prostym pytaniu nastąpiło kilka minut ciszy. Przesłuchujący nauczyli się już nie popędzać Perssona.

– Chyba byłem zbyt wielkim tchórzem – odparł wreszcie. – Zabrakło mi odwagi. Myślałem o Elsie, ile wstydu będzie musiała się najeść. Nie mówię, że między nami dobrze się układało, ale nadal była moją żoną. I myślałem o partii. Byłem jednym z jej czołowych działaczy. To by jej zaszkodziło. No i o sobie. Że nie zniosę zamknięcia.

– A teraz Elsa leży w śpiączce w szpitalu akademickim, więc sprawa jest już dla niej bez znaczenia. To pan ma na myśli? Dowiedział się pan o wypadku przed powrotem do kraju?

Sven-Arne skinął głową.

– I to pana skłoniło do przyjazdu?

– Tak.

– Ale nie próbował pan jej odwiedzić?

– Nie.

– A zamierza pan?

– Nie. Między nami wszystko skończone. Nasz związek rozpadł się wiele lat temu.

– Nie czuje pan już lęku przed więzieniem?

– Zestarzałem się – odparł z prostotą Sven-Arne. – Nie tak wiele mi już zostało. Jakoś to wytrzymam. Dostanę jeszcze trochę kawy?

Allan Fredriksson wstał i wyszedł z pokoju, a Sammy Nilsson przełączył magnetofon na pauzę.

Sven-Arne głęboko zaczerpnął powietrza i zamknął oczy. Okłamał ich. W rzeczywistości bał się zamknięcia. Kiedy pożegnał się z Antem, wyobraził sobie karę więzienia, która pozwalałaby mu spędzać czas na pielieniu grządek gdzieś w jakimś zakładzie na prowincji, na doglądaniu klombów i grabieniu liści pod gołym niebem. Wiedział, że to myślenie życzeniowe. Mordercom raczej nie przyznawano takich przywilejów.

I oczywiście chciał zobaczyć Elbę, ale tylko z jednego powodu: by poprosić o przebaczenie. Nie za Dufwę ani nie za to, że od niej odszedł, uciekł z kraju. Nie. Chciał prosić, żeby przede wszystkim wybaczyła mu fakt, że w ogóle się pobrali; że namówił ją na wspólne życie.

Partia? W głębi duszy nigdy w nią nie wierzył. Zdał sobie z tego sprawę podczas pobytu w Indiach.

Powróciły myśli o Elsie. To był drażliwy punkt, wiedział o tym. Dlatego przyleciał. A teraz znowu ją zawiódł. Nie pojawił się nawet przy jej szpitalnym łóżku. Nigdy już nie wyzbędzie się poczucia winy. Potrafił – chociaż z pewną obawą – przyjąć wyrok więzienia, osiem, dziesięć lat. Jednak świadomość, że wciąż sprzeniewierzał się kobiecie, którą poślubił, będzie mu ciążyć już zawsze.

Angażując się w politykę, wpływał na życie wielu ludzi, ale w bardziej bezosobowy sposób.

Teraz chodziło o jego własną żonę. W głębi duszy cały czas wiedział, że źle ją traktuje. Wiedział, ale nigdy nic z tym nie zrobił. Wręcz przeciwnie, pozwalał, by taka sytuacja trwała i powoli, ale systematycznie łamał w Elsie wszelkie przejawy oporu. To on, Sven-Arne, zawinił.

Te rozmyślania przerwał mu Allan Fredriksson, który powrócił ze świeżą kawą w termosie. Dopiero teraz Persson uświadomił sobie, jak bardzo w Indiach brakowało mu szwedzkiej kawy.

– Trochę nakłamałem – oświadczył. – Mam na myśli motyw. Jak wiadomo, Nils Dufva był nazistą. Walczył na froncie wschodnim i w Finlandii, a pod koniec wojny był nawet w Berlinie. Jeden z ostatnich entuzjastów. Potem wrócił do domu i niemal natychmiast dostał pracę w szwedzkim aparacie obrony. I co panowie na to?

– No, właśnie, co? – mruknął Sammy Nilsson.

– Okazał się niezwykle cenny i mógł się przydać – wyjaśnił Persson.

– W jakim sensie cenny?

– Był zajadłym antykomunistą, ale i człowiekiem kompetentnym. Jego prywatny wykaz ekstremistów należał do najdokładniejszych w kraju. Jednym słowem, był przydatny. Pasował do czasów zimnej wojny. Wiecie, co się działo po 1945 roku?

– Niech pan opowie – zaproponował Fredriksson.

– Wojna trwała. Nie wiem, jakie panowie mają poglądy polityczne, i prawdę mówiąc, wszystko mi jedno. Nie oczekuję, że ktokolwiek to zrozumie. Nie dzisiaj. Ale Szwecja wyglądałaby inaczej...

Umilkł. To już nie miało znaczenia. Było za późno, by próbować kogoś przekonać. Sven-Arne westchnął ciężko i sięgnął po kawę.

– Przecież po wojnie rządzą socjaldemokraci – powiedział Allan Fredriksson. – To znaczy...

– To niczego nie zmienia – odparł Persson, po raz pierwszy od początku przesłuchania podnosząc głos.

– Pan jest, a przynajmniej był, socjaldemokratą. Musiało pana zboleć, że człowiek pokroju Dufvy – jak pan utrzymuje, nazista – wrócił z Berlina i natychmiast został zaakceptowany.

– Prawdę mówiąc, minęło parę lat, zanim dostał tę pracę. Ale to też niewiele zmienia – wyjaśnił Sven-Arne. – Całą sprawę trzymano w tajemnicy. Rzecz jasna, nie jest to zbyt pochlebne dla socjaldemokratów, którzy wtedy rządzą, ale w czasach mojej kariery politycznej zetknąłem się z wieloma bolesnymi sprawami.

– Więc motywem była polityka? Poglądy Dufvy – ciągnął Fredriksson – dały panu prawo, żeby zatłuc go jak zwierzę?

– Skoro pan chce to tak ująć – przyznał beznamiętnie były radny.

– Tak ujmie to prokurator.

Sven-Arne Persson wzruszył ramionami.

– Skąd pan o tym wszystkim wiedział? Mam na myśli jego działalność podczas wojny i potem.

– Natknąłem się na pewne dokumenty.

– Jakie dokumenty?

– A co za różnica? Zresztą i tak zostały już zniszczone. Ale mogę panom powiedzieć, że byli tacy, którym to się nie podobało. Nie każdy był agentem IB.

– Co to takiego IB? – spytał Sammy Nilsson.

– Jest pan za młody, żeby pamiętać tamte czasy – odparł Persson. – Będzie pan musiał sobie o tym przeczytać. IB była półwojskową tajną organizacją wywiadowczą, sterowaną w zasadzie przez socjaldemokratów. Do zadań IB należało wytropienie wszystkiego co lewicowe i opozycyjne w ruchu związkowym. Krety działały wszędzie, w każdej gminie, w każdym większym zakładzie pracy, nawet w publicznym radiu. Rejestrowano poglądy ludzi, szpiegowano. Posuwano się nawet do włamań z kradzieżą i przestępczych grózb. Wystarczyło, że ktoś był przeciwnikiem szwedzkiego przemysłu jądrowego albo niewłaściwie zagłosował w wyborach związkowych czy zaprenumerował nieodpowiednią gazetę, by jego nazwisko znalazło się w rejestrze. Dufva współpracował z IB.

– A pan to odkrył, ponieważ zajmował pan wysoką pozycję wśród socjaldemokratów?

– Tak, ale sądzę, że był to zwykły przypadek. Mój dawny znajomy, który pracował w firmie telekomunikacyjnej, w Televerket, kiedyś po pijaku przechwalał się swoją tajną misją. Później IB została zdekonspirowana przez jakichś dziennikarzy^{*****}, którzy skończyli w więzieniu. Świat na opak. Po ujawnieniu afery IB nie zaprzestało swojej aktywności, zmieniono tylko metody pracy.

Persson odwrócił się w stronę Allana Fredrikssona i znów westchnął.

– Czy już nie wystarczy? Wiadomo, że go zabiłem. Co jeszcze chcieliby panowie wiedzieć?

– Prawdę mówiąc, mam kłopot ze złożeniem tego do kupy – stwierdził Sammy Nilsson. – Ale oczywiście możemy kontynuować jutro. Będziemy widywać się jeszcze przez jakiś czas.

– Ostatnie pytanie – powiedział Fredriksson. – Co pan powiedział stryjowi?

– Słucham?

– Musiał usłyszeć albo przeczytać o morderstwie. Byliście tam razem. Z pewnością dodał dwa do dwóch.

– Już wtedy był starym człowiekiem.

– Chce pan powiedzieć, że nie nadążał za tym, co się dzieje? Czy że był zbyt stary, by go to obeszło?

– Pewnie i jedno, i drugie.

– A może popierał pana wyczyn?

– Wyczyn? – powtórzył Persson.

– Żałuje pan tego, co zrobił?

– To już drugie pytanie – odparł Sven-Arne.

Próbował się uśmiechnąć do Fredrikssona i Nilssona, ale ogromne zmęczenie, które ogarnęło go podczas przesłuchania, zmieniło uśmiech w grymas. Dlaczego nie mogą po prostu zostawić mnie w spokoju, pomyślał.

Jeszcze jedna taka noc z księżycem wznoszącym się nad horyzontem. Mężczyzna stał w ogrodzie i odprowadzał wzrokiem samolot, który leciał na wschód. Światła maszyny błyszczały jak gwiazdy. Próbował wyobrazić sobie pasażerów w fotelach i stewardesy krzątające się w przejściach, ale przed oczami przelatywały mu tylko niespójne, migoczące obrazy.

Przeszedł kilka kroków. Małe kamyczki chrzęściły mu pod stopami. Dźwięk powtarzał się w nocnej ciszy, dopóki mężczyzna nie zбочył ze ścieżki na trawnik, koło masztu flagowego i krzewów pięciornika.

Panował całkowity spokój. Powoli narastał chłód. Temperatura spadała o jeden stopień na godzinę. Szykowała się najzimniejsza, jak dotychczas, noc w tym sezonie.

Im bardziej mężczyzna się oddalał, tym gęściejsza spowijała go ciemność. Zerknął za siebie, ale nadal szedł. Znał drogę, więc nie musiał się zastanawiać, gdzie stąpać. Po chwili jego oczy przywykły i zaczął rozróżniać szczegóły: stary, w połowie zwalony kamienny murek, pnie licznych jarzębin o ciemnych owocach, niczym duchy, brezentowa płachta udrapowana jak całun na stosie drewna, które zamówił, żeby wybudować garaż. Niewyraźne kształty majaczyły w mroku. Szedł, myśląc o tym, co podsuwały mu wyłaniające się z ciemności obrazy. Wszystko budziło skojarzenia, miało swoją historię, mówiło o czasie, który przeminął. Swoiste muzeum wspomnień.

To jest twoje miejsce na ziemi, pomyślał nagle. Te cztery tysiące metrów kwadratowych to strefa przesądzająca o twoim życiu. Ograniczenia. Znowu spojrzał w niebo. Samolot odleciał i teraz pewnie był już daleko za Morzem Alandzkim.

Mężczyzna wędrował bez celu, ale w końcu i tak dotarł na brzeg. Fale nadpływały powoli i załamywały się. Mężczyzna czuł więź z wodą, która też sztywniała od narastającego mrozu. Zima nadchodziła nieubłaganie. A morze – zawsze tak myślał – miało w sobie jakiś smutek. Osnuwały je chłód i ciemność. Słabe, powtarzające się pluśnięcia odsłaniały kamień, który pieściła lodowata dłoń. Morze było śmiercią. Albo na odwrót: morze było życiem? Mężczyźni mąciło się w głowie od sprzecznych myśli. Pochodził z rodu rybaków. Czyżby to wewnętrzne splątanie odziedziczył po tych, którzy już odeszli? O swoich przodkach wiedział mniej więcej tyle, że utrzymywali się z morza, i że kilku z nich zatoneło razem ze swoimi łodziami. Albo zginęło pod lodem, który się załamał.

Bezkresne morze. Niewielki kawałek ziemi i dom. A pomiędzy nimi pas lasu, mokradła porośnięte olchami i ciężka woń skarłowaciałej roślinności o bladych kwiatach i skórzastych liściach. Kiedyś ujrzał swoje życie z góry, siedząc w kabinie sportowego samolotu. Jakiś czas temu jego dawny kolega zaprosił go na lot nad wybrzeżem. Oglądali szkiery koło Östhammar z wysokości paruset metrów. Z tej perspektywy dom i cały cypel Bultudden wyglądały nienaturalnie pięknie, jak krajobraz ze snu. Mężczyźni trudno było pojąć, że naprawdę mieszka tam, w dole.

Kawałek dalej mignęła mu ciemna sylwetka budynku. Rybacka chata. Wpatrzony w odbicie księżycowej poświaty w jej szybach, ruszył krętą ścieżką wzdłuż brzegu. Nagle jedno z okien zajaśniało. Ciepły, żółty język światła lizał nadmorską skałę. Mężczyzna zatrzymał się, skulił

instynktownie i przykucnął za gąszczem rokitnika, światło przyciągało go niczym ćmę, chybotliwie kołującą w ciemnościach.

Chciał się ogrzać. Nic więcej. Pragnął ciepła. Był przekonany, że Sroka mogłaby go ogrzać. Była równie delikatna jak on. Outsiderka żyjąca nad morzem, osoba, która z własnej woli trafiła na cypel w pogoni za swoimi wizjami. Rozumiał jej tęsknotę.

Powoli zbliżał się do chaty, aż wreszcie zastygł przy ścianie. Sylwetka kobiety rzucała na skałę trzepoczący cień. Gdyby dano mu szansę wytłumaczyć, że jest dobrym człowiekiem, może zostaliby przyjaciółmi. Brak akceptacji zastąpiłoby ciepło.

Przecież nie życzył jej źle. Na pewno by to zrozumiała.

Dlaczego niektóre noce były takie trudne? Jak była tego przyczyna? Chociaż nie wypila ani łyka wina, które zwykle powodowało jej kłopoty ze snem i koszmary, i tak budziła się w nocy. Parę razy wstawała, żeby zajrzeć do Erika, ale zawsze okazywało się, że synek spokojnie śpi. To nie on budził ją nocnym pojękiwaniem.

Chodziło o coś innego. Czula, co to mogło być, ale odsuwała od siebie te myśli. Poprzedniego wieczoru, kiedy już położyła małego spać, pozbierała rozrzucone zabawki, podlała kwiaty i zrobiła wszystko, czego wymaga utrzymanie domu we względnym porządku, zafundowała sobie długi, ciepły prysznic. Pod strumieniami wody ogoliła najpierw nogi i pachy, wreszcie linię bikini. Boleśnie świadoma tego, co robi, pozwoliła ostrzu wędrować dalej, aż jej ciało zrobiło się idealnie gładkie. Następnie przestudiowała własne odbicie w lustrze, a nawet wyciągnęła małe lusterko i dokładnie obejrzała obnażone krocze. Kiedy znów odwróciła się do ściennego lustra, jej twarz oblewał głęboki rumieniec. Nigdy jeszcze nie była aż tak naga.

Opuszki palców na skórze, potem mocny ucisk całej dłoni jak pieścizny podnieconego kochanka, przejmujące uczucie rozkoszy, kiedy udawała, kiedy na krótki moment oddała się marzeniom. Najbardziej doskwierał jej nie brak mężczyzny, tylko to, że nikt na nią nie patrzył. Była piękna. Jej ciało, mimo że nie była już taka młoda i urodziła dziecko, było nadal piękne. Chciała budzić pożądanie. Oczywiście pragnęła miłości i pieścizny, ale przede wszystkim pożądania. A nikt na nią nie patrzył – wydepilowaną czy nie. Nikt nie muskał jej wzrokiem.

Za to wszystko przyszło jej zapłacić. Noc okazała się udręką. Ann wstała zawstydzona nie swoim ciałem i jego żądzami, ale własnym marazmem. Głęboko pod pokładami coraz bardziej uporządkowanej codzienności – bo już zdecydowanie lepiej radziła sobie z domem i Erikiem, z całą tą krzątaniem, podlewaniem kwiatów, sprzątaniami – kryło się podejrzenie, że nigdy więcej nie zazna bliskości z mężczyzną.

Uchyliła drzwi do pokoju synka. Erik spał i miał spać jeszcze pół godziny. Kochała go. Niewątpliwie zajmował w jej uczuciach centralne miejsce, ale czy życie nie miało dla niej nic więcej w zanadrzu? Erik wniósł do niego niewiarygodnie dużo, ale co potem? Za kilka lat wyrośnie na nastolatka, o wiele za szybko stanie się młodym mężczyzną i coraz bardziej zacznie usuwać się poza jej zasięg. Czy nadal będzie zajmowała się domem i chodziła do pracy wypełnionej przemocą i ludzkim cierpieniem? Czy dobrze wychowany syn i perspektywa wnuków to wszystko, co ją czeka?

Zaczynała wierzyć, że aby zaszły jakieś zmiany, musiałaby się posunąć do skrajności. Nie wystarczała depilacja i harce przed lustrem, odbijającym jej lęki. Nagle parsknęła stłumionym śmiechem, bo oczyma wyobraźni zobaczyła, jak rozpaczliwie miota się z odkurzaczem albo przesłuchuje potencjalnych morderców, podczas gdy jej narządy płciowe błagają o czyjeś ręce i pulsujący członek. Dałaby wszystko za gorący oddech na szyi.

Ale co mogła zrobić? Coś radykalnego? Czy może powinna sobie odpuścić? Jaką miała alternatywę? Zacząć wychodzić? Miejsca, które znała z nocnego życia miasta, kluby, nie kusily jej. Szanse na zaliczenie przelotnej przygody były znaczne, tylko co potem?

Zanim skończyła szykować śniadanie, poczucie, że jest samotna i niekochana, coraz bardziej zastępował gniew. Gniew skierowany do wewnątrz. Miała dać się pokonać swoim

wadom i swojej bierności? Czy nie powinna przejść do działania i po prostu zacząć żyć? Co było złego w przygodzie na jedną noc? Może właśnie to było rozwiązaniem? Gdyby przy okazji pojawił się mężczyzna, rokujący nadzieję na coś więcej niż przelotny kontakt, wówczas sprawy pewnie potoczyłyby się własnym trybem.

Zastygła z dłonią na uchwycie lodówki. Już widziała się w Svenssons albo we Flustret. Co miała zrobić? Przecież nie mogła iść sama. Poza tym nie mam odpowiednich ciuchów, pomyślała. Przez chwilę przetrząsała w pamięci swoją garderobę.

– Lepiej kupię wibrator – mruknęła.

Kiedys słyszała, jak w radio mówili o wielofunkcyjnym czarodziejskim cudeńku nazywanym „motylem”. Podobno „motyl” dostarczał niezwyklej rozkoszy.

Podniecenie spowolniło jej ruchy. Musiała się zmusić, żeby otworzyć lodówkę i wyjąć jogurt.

Kiedy Erik wbiegł do sali, kierując się prosto do stojącego na środku indiańskiego namiotu, Ann Lindell zatrzymała się jeszcze na chwilę, by porozmawiać z nowo zatrudnioną opiekunką o imieniu Lotten. Przedszkolanka wyjaśniła, że obecnie tematem jej zajęć z dziećmi jest „dom”. Ostatnio budowali namioty, wkrótce przeniosą się do jurt, a po Bożym Narodzeniu, jeśli wszystko dobrze pójdzie, do igloo.

Lindell zaczęła chwalić jej kreatywność i trud może trochę zbyt entuzjastycznie, bo Lotten sprawiała wrażenie niemal zażenowanej i broniła się przed komplementami.

– Zazdroszczę pani – ciągnęła Lindell, aczkolwiek ze świadomością, że nie jest do końca szczerą – kiedy widzę, czego pani tu dokonuje. To takie inspirujące. Moja praca to jedynie ludzkie cierpienie.

Lotten przyglądała się jej uważnie.

– Pani jest policjantką, prawda?

Lindell przytaknęła. Zauważyła, jak Erik wypełził z namiotu i zanim znowu zanurkował do środka, odwrócił się w jej stronę i posłał jej szybki uśmiech.

– Dziś rano czytałam o tym byłym polityku. Co za dziwna historia.

– Ma pani przy sobie gazetę?

– Tak, powinna tu gdzieś być.

Weszły do pokoju dla personelu. Dziennik leżał na stole. Ann natychmiast dostrzegła tytuł: Zaginiony polityk mordercą?

Lotten zostawiła ją i Lindell szybko przejrzała artykuł, który wypełniał całą stronę. Pisano, jak Persson w tajemniczy sposób zniknął z Uppsali jesienią 1993 roku i jakie spekulacje jego zniknięcie wywołało.

A teraz radny powrócił, dobrowolnie oddał się w ręce policji i wyznał, że to on zabił Nilsa Dufwę, ofiarę tak zwanego „morderstwa w wózku inwalidzkim”, które miało miejsce tego samego roku.

Lindell pospiesznie wyszła z przedszkola, wskoczyła do samochodu i zadzwoniła do Ottossona.

– Kto się wygadał?

– Nie mam pojęcia – odparł Ottosson smętnie.

– Uzgodniliśmy, że nikt nie puści pary, a już mamy w prasie alarmujące nagłówki. Co jest grane?

– Ani Fredriksson, ani Nilsson nie pisnęli słowa żadnemu dziennikarzowi, tego jestem pewien. Obaj są równie wściekli jak ty.

– Mogę się założyć, że to ta suka z recepcji – warknęła Lindell. – Albo Riis.

– Tego nie wiemy.

Wykonawszy gwałtowny manewr na czerwonym świetle przy Vaksalagatan, Lindell wyskoczyła przed sznur samochodów. Żałowała, że nie ma na dachu koguta.

– I zapewne nigdy się nie dowiemy – dodał Ottosson. – Jedziesz na wybrzeże?

– Mam się spotkać z Markssonem o wpół do dziewiątej. Już jestem spóźniona.

– Jak sobie radzisz?

Z Ottossonem nigdy nie było pewności, co naprawdę znaczyły jego specyficzne pytania. Jednak Lindell uznała, że tym razem miał na myśli śledztwo.

– Myślę, że coś przegapiliśmy – odpowiedziała, ale nie ciągnęła tego dalej, głównie dlatego, że sama nie rozumiała, w czym rzecz.

Ustalili, że spotkają się po południu. Zakończyła rozmowę, a tym samym oderwała się od Ottossona i całego wydziału. Myślała o tym, co mówiła Lotten. Czy naprawdę jej zazdrościła? Czy przedszkole – albo inne równie mało dramatyczne miejsce – było realną alternatywą dla pracy w policji?

Parsknęła śmiechem.

– Chrzanić to – zaklęła głośno.

Właśnie jechała do mężczyzny, który mieszkał na wybrzeżu. Ale to nie był ten mężczyzna.

Przesłuchanie zostało wznowione o wpół do dziewiątej rano. Sammy Nilsson pomyślał, że były radny wygląda zdecydowanie przytomniej niż poprzedniego dnia. Pochwalił śniadanie, ale wyznał, że szwankuje mu żołądek.

Kiedy na stole pojawiła się kawa, Sammy włączył magnetofon i zarejestrował dane dotyczące przesłuchania, po czym spojrział na Perssona, jakby oczekiwał, że automatycznie będzie kontynuował swoją opowieść.

– Zastanawiał się pan...

– Tak, zastanawiałem się – przerwał mu natychmiast Persson. – Zastanawiałem się tak mocno, jak tylko mogłem. I nie mam nic do dodania. Teraz chcę tylko spokoju i ciszy, to jedyne, czego pragnę.

Spokój i cisza, pomyślał Sammy Nilsson w nagłym przyplywie irytacji na mężczyznę po drugiej stronie stołu. Facet zabija bezbronnego starca, a potem żąda spokoju i ciszy.

– Jak się pan czuł tamtej jesieni dwanaście lat temu? – spytał Allan Fredriksson.

– Świetnie – odparł gładko Persson, ale od razu się poprawił. – Nie, szczerze mówiąc, czułem się bardzo źle. Miałem dosyć polityki. Wszystkich tych koszmarnych bab.

– Koszmarnych bab?

– Tak. Nie zauważył pan, że władzę przejęły humorzaste babsztyle? Wygadane damulki w eleganckich bluzkach. Mówiące bez sensu, bez rozumu. Puste słowa. Niektórzy mężczyźni też są takimi babsztylami. Niewykluczone nawet, że w tej kategorii mamy nawet więcej mężczyzn niż kobiet.

Allan Fredriksson nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Po raz pierwszy Sven-Arne Persson pokazał ludzką twarz. Aż do tego momentu, mimo całej swojej uprzejmości, wydawał się całkowicie pozbawiony uczuć. Teraz pojawiła się odrobina humoru. Fredriksson wiedział, że to dobry znak, więc dalej drażył temat.

– Mówi pan o swoich przeciwnikach politycznych?

– I o kolegach – wyjaśnił Sven-Arne. – Bajeranci występują po obu stronach barykady. Nie jest to specyfika żadnej partii.

– A siebie nazwałby pan babsztylem?

Persson spojrział na niego, skonsternowany.

– Robił pan karierę. Jak pan osiągnął swoją pozycję? Przez czcze gadanie, czy też był pan taki wyjątkowy?

– Wyjątkowy? Nie, raczej nietypowy. Rzeczywiście byłem na najlepszej drodze, żeby stać się babsztylem. Ale dajmy już temu spokój. To nie seminarium z historii polityki. Wyjechałem do Indii, bo chciałem uciec od tego gładzenia o niczym.

– A nie dlatego, że popełnił pan morderstwo?

– To też.

– Bał się pan, że zostanie złapany?

– Nie, właściwie nie. Śledztwo najwyraźniej do niczego nie doprowadziło. Miałem swoje kontakty, więc byłem na bieżąco. Proszę nie brać tego osobiście. Rozumiem, że sprawa nie należała do łatwych.

– Pański wyjazd musiał być drobiazgowo zaplanowany. Zorganizował pan fałszywy paszport, odłożył znaczną sumę pieniędzy i nawet przygotował kamuflaż, żeby móc dyskretnie opuścić ratusz.

– To mnie bawiło.

– Planowanie ucieczki?

Persson skinął głową.

– Wie pan, na kogo mi pan wygląda? – nie wytrzymał Sammy Nilsson, który dotąd się nie odzywał, przysłuchując się jedynie wymianie zdań. – Na zimnego, wyrachowanego drania. Chce pan udawać obrońcę uciśnionych i jedyne go prawego wśród polityków, a w rzeczywistości jest pan bezlitosnym mordercą, którego bawi, że może zniknąć po dokonaniu zbrodni, uciec nie tylko od sprawiedliwości i cywilnej odpowiedzialności, ale nawet od własnej rodziny.

– Miałem tylko żonę, nie rodzinę.

– Krótko mówiąc – ciągnął Sammy, ignorując komentarz Perssona – jest pan łajdakiem, który kryje się za pseudoargumentami o „koszmarnych babach”. Zostawił pan żonę i przyjaciół na pastwę lęków i kompletnej niewiedzy. I najwyraźniej był pan z tego zadowolony.

– Całkiem celny opis – odparł Sven-Arne. – Nie zamierzam oponować.

– Więc pytanie brzmi: dlaczego wraca pan po takim czasie? Nie wydaje się pan szczególnie skruszony.

– Indie mnie zmęczyły. Uznałem, że lata, które mi jeszcze pozostały, spędzę w jakimś zakładzie.

– Bzdura – warknął Sammy Nilsson.

Fredriksson zakasłał i pochylił się do przodu, jakby chciał odsunąć kolegę.

– Wróćmy do wczorajszego wątku – powiedział z uśmiechem. – Pański stryj, Ante Persson. Najpierw usłyszeliśmy, że w Kungsgärdet był pan sam, później zmienił pan zeznania i okazało się, że stryj czekał w samochodzie. Obstaje pan przy tej wersji?

– Tak, został w aucie. Wziąłem jedną z jego inwalidzkich kul, więc i tak nie mógł wsiąść.

– Dlaczego w ogóle się tam pojawił?

– Chcieliśmy się przejechać. Tak czasem robiliśmy. Urządzaliśmy sobie małe wycieczki.

– Małe wycieczki – powtórzył Fredriksson. – Czy stryj wiedział, jaki był cel tej małej wycieczki? Z kim pan jechał się spotkać?

– Nie. Wspomniałem tylko, że mam coś do załatwienia.

– Dlaczego wybrał pan właśnie dzień waszej tradycyjnej przejażdżki?

– To znaczy?

– Skoro planował pan morderstwo, czy nie było lepiej pojechać samemu?

– Może nie chciałem zabić.

– Kula.

– Wziąłem ją dla własnej obrony. Miałem powody uważać, że Nils Dufva jest człowiekiem agresywnym.

– Przykuty do wózka inwalidzkiego?

– Na pewno?

– Czy potrafi pan powtórzyć waszą rozmowę?

– Nie mówiliśmy wiele.

– Rozpoznał pana?

– Tak sędzę.

– I co powiedział?

– Chyba się zdziwił, co robię w jego domu. Dokładnie nie pamiętam. Minęło tyle lat. Poza tym w pokoju był taki hałas, że nie wszystko słyszałem.

– Jakiego rodzaju hałas?

– Stary miał nastawione i radio, i telewizor. Oba na pełen regulator. Panował piekielny harmider.

– Nie wyłączył pan odbiorników?

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– A nie przyszedł pan porozmawiać?

Sven-Arne milczał. Fredriksson zapisał coś w notesie.

– I co mu pan odpowiedział, kiedy się dziwił, dlaczego pan wszedł do jego domu? – odezwał się po krótkiej, nieco złowieszczej przerwie.

– Spytałem, czy to on jest Nilsem Dufwą.

– Nie rozpoznał go pan?

– Chciałem mieć pewność.

– Chciał pan mieć pewność, że zamorduje właściwą osobę?

Były radny nie zareagował i praktycznie na tym przesłuchanie się zakończyło. Sven-Arne Persson nie miał ochoty dodawać już niczego więcej. Bojkotował ich wysiłki, zmierzające do wyjaśnienia tego, co się zdarzyło tamtej feralnej jesieni 1993 roku, co sprawiło, że stał się mordercą. Przybrał prześmiewczy ton, udzielał coraz krótszych odpowiedzi, aż w końcu popadł w całkowite milczenie. Wreszcie został odprowadzony do celi.

Sven-Arne Persson w żadnym razie nie czuł się usatysfakcjonowany swoim występowaniem, ale nie wiedział, jak inaczej mógł się zachować. Żałował tylko wybuchu na temat kolegów-polityków. Niepotrzebnie tracił energię na takie rzeczy.

Rozumiał, że policjanci są niezadowoleni. Zauważył wyraźne rozdrażnienie Nilssona, wręcz złość. Drugi z policjantów, Fredriksson, wydawał się podchodzić do sprawy spokojniej. Możliwe, że chcąc zmusić go do mówienia, odgrywali różne role. Nie, żeby specjalnie się przejmował; to niczego nie zmieniało.

Jeśli nie liczyć bólów żołądka, które powracały przez całą noc, czuł się świetnie. Szczególnie cenił sobie świadomość, że nie musi już podejmować żadnych ważnych decyzji. Egzystował w przyjemnej próżni. Celę miał małą i urządzonej po spartańsku, ale od czasu pobytu w Indiach przywykł do skromnych warunków. Tak więc ostatecznie uznał ją za całkiem miłą. Jedyne, na co się skarżał, to brak książek. Obiecano mu dostarczyć kilka powieści. Gazet nie chciał. Telewizją nie był zainteresowany. Wegetował, lecz gdzieś w jego umyśle czaiło się pytanie, jak długo ta sytuacja potrwa, a przede wszystkim, jak on ją zniesie. Może obudzi się pewnego ranka i więzienie wyda mu się tym, czym naprawdę było: klatką.

Na razie jednak zbytnio się tym nie przejmował. Położył się na łóżku, zamknął oczy i po kilku minutach zapadł w sen.

To naprawdę dobra książka – powiedział Bosse Marksson, unosząc w górę cienki tomik.

– Hm? – mruknęła Lindell, zbita z tropu nietypowym początkiem rozmowy. – A o czym?

Była spóźniona. Zatrzymała się przed posterunkiem policji w Östhammar dokładnie za kwadrans dziewiąta. W recepcji siedziała Angelina. Rozmawiały już wcześniej, o podróżach. Recepcyjną ladę zdobił globus. Kiedyś, gdy Lindell żaliła się na stres, Angelina wprawiła globus w ruch, nalegając, by Ann zatrzymała go palcem. Trafiła na Amerykę Południową. Paragwaj.

– Niech pani tam jedzie – poradziła recepcjonistka. – Na pewno znajdzie pani tam spokój.

Tego ranka, gdy Ann Lindell wpadła na posterunek jak burza, Angelina tylko wskazała jej globus i uśmiechnęła się szeroko.

– To opowieść o człowieku, który jedzie pociągiem na północ, żeby wziąć udział w pogrzebie starszego krewnego.

– Brzmi fascynująco – mruknęła Lindell.

– Posłuchaj. – Marksson otworzył tomik. – „Naszą Ziemię zaczął zmieniać ktoś, kto nas nie kocha” – odczytał zdecydowanym głosem.

Podniósł wzrok i popatrzył na nią. Oczy Lindell utkwione były w stojącej na parapecie ramce ze zdjęciem, które przedstawiało jakąś kobietę; pewnie żonę Markssona.

– Coś w tym jest – powiedziała, nagle niepewna, czego on od niej oczekuje.

Już przedtem Marksson wspominał jej o książkach. Domyśliła się, że był zapalonym czytelnikiem, a może też swego rodzaju domorosłym filozofem. Ona sama nie czytała zbyt wiele. Pewnie z tuzin tytułów na rok.

Marksson powtórnie wyrecytował zdanie, teraz nawet nie zaglądając do tekstu.

– Wcześniejszy kawałek też nie jest zły. „Skoro mam brać udział w przemianach mego kraju, chcę to robić po to, by ci, których kocham, później mogli tu żyć”.

Zamknął tomik.

– Ale nie przyjechałaś rozmawiać o literaturze. Dzisiaj muszę tę książkę zwrócić, dlatego ją przyniosłem. To Stig Claesson, jeden z moich ulubionych autorów.

– Wydaje się niezły.

– Ktoś zmienia tę Ziemię... To właśnie się dzieje, prawda?

Lindell przytaknęła. Chciała zabłysnąć jakąś inteligentną uwagą, jednak stresująca jazda i własne patetycznie żalotne myśli wyraźnie ją otępiły.

– Ktoś, kto nas nie kocha.

– Zarząd Policji Krajowej – wypaliła.

Marksson przyjrzał się swojej współpracownicy z miną trudną do zinterpretowania.

– Sprawiasz wrażenie zmęczonej.

– Ledwie żyję. To znaczy, nie aż tak, ale sam wiesz...

– Że coś jest nie w porządku – wpadł jej w słowo.

Lindell wzięła głęboki oddech i wyprostowała się na krześle.

– Nie mam pojęcia, w czym rzecz – ciągnęła. – Coś w tej historii mi nie pasuje. Może to obraz Tobiasa Friska. Znałeś go, więc pewnie mógłbyś powiedzieć coś więcej, ale Frisk nie

wygląda mi na mordercę. Wiem, że to brzmi głupio, bo zbrodniarze często niczym się nie wyróżniają, ale jednak. Nie chodzi o to, jak ja go widzę. Zbyt mało o nim wiem. To wynika z czegoś zewnętrznego. Rozumiesz, do czego zmierzam? Chcę powiedzieć, że... – Pochyliła się nad biurkiem. Kątem oka uchwyciła cień uśmiechu, który pokazał się na twarzy Markssona i niemal natychmiast znikł. – Może coś zobaczyłam albo coś usłyszałam. Coś, co doprowadziło mnie do przekonania, że Frisk nie zamordował, że w moich oczach przestał być oczywistym sprawcą.

Bosse Marksson pokiwał głową.

– Mów dalej – poprosił.

– Wrażenie wzrokowe.

Opowiedziała mu o niepokoju, którego doznała na Ringgatan, kiedy wyszła z cukierni. Jakaś nagła myśl kazała jej się zatrzymać w pół kroku.

– Z cukierni? Frisk był piekarzem. Może stąd to skojarzenie?

– Też tak w pierwszej chwili pomyślałam, ale to ty byłeś w tej piekarni. Ja tylko rozmawiałam z Ahlénem przez telefon. Miewałam już takie doświadczenia, reaguję na obrazy. Mogę godzinami czytać akta albo rozmawiać z ludźmi i nic, a potem widzę jakiś szczegół, na pozór zupełnie bez znaczenia, i natychmiast wszystko staje się jasne.

Wspólnie zaczęli się zastanawiać, co to mogło być, co mogła zobaczyć w cukierni. Odtworzyła obraz sali pełnej ludzi. Starając się pobudzić pamięć, wyciągnęła kartkę i spróbowała naszkicować jej wnętrze.

– Kawa, dzieci, emeryci, bożonarodzeniowe ciasta... – recytował Marksson. – Brak wolnej przestrzeni i pewnie duchota... Płacz niemowląt, matki, wózki, jakiś maluch, który nie chce zdjąć kombinezonu, może jakieś nastolatki przy sąsiednim stoliku, świąteczne dekoracje...

– Stój!

Teatralnym gestem Lindell podniosła rękę, ale po kilku sekundach ją opuściła.

– Nie, to nie to.

Wiedziała, że jest blisko, jednak fragmentaryczny obraz, który mignął jej przed oczami, zaraz się rozmył.

– Nie przejmuj się – pocieszał ją Marksson. – Jestem pewien, że ci się przypomni. Musimy zacząć od czegoś innego. Jeśli to nie Frisk ją zabił, to dlaczego popełnił samobójstwo?

– Wstyd – powiedziała Ann. – Wiedział, że się do niego wybieram, a nie był szczególnie dobrym kłamcą. Wiedział, że w jakimś sensie odpowiada za śmierć Patimy, bo przywiózł ją tu, na Bultudden. Wiedział, że nie będzie w stanie blefować...

– Zbyt zawile – uznał Marksson. – Sprowadzić sobie kobietę z Azji to jedno, ale zabić ją to już całkiem co innego. Wielu mężczyzn...

– Owszem, ale może Frisk się tym zadreślał. W dodatku mógł coś wiedzieć. Jak i dlaczego zginęła.

Marksson przypatrywał się Ann zamyślony.

– Tak czy inaczej czuł się współwinny – odparł wreszcie.

– Wstyd – powtórzyła.

– Wiesz, ilu mężczyzn musiałyby odbierać sobie życie?

– Czuł się nieszczęśliwy. Węszyłam w okolicy, poczuł, że dotarł do ściany.

– Wykwalifikowany piekarz, zapalony wędkarz. Frisk, którego ja znałem, był człowiekiem

życzliwym i delikatnym.

– Życzliwy morderca – mruknęła z zadumą.

– Teraz wiele więcej nie wskóramy – stwierdził Marksson, potwierdzając jej własne wnioski.

– Twoja żona? – Lindell wskazała ramkę na parapecie.

– Tak, to Ing-Marie. Zdjęcie sprzed paru lat. Pojechaliśmy wtedy na Lofoty.

– I było fajnie?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

– W rzeczywistości pytasz: czy jesteście szczęśliwi?

– Może – przyznała, odpowiadając mu uśmiechem. – Tak łatwo mnie rozszyfrować?

– Jesteś jak otwarta książka. Myślę, że te wizyty w Roslagen kosztowały cię trochę wewnętrznego zamętu, prawda?

– Może – powtórzyła Lindell.

Napięcie między nimi zelżało, kiedy Marksson podniósł się z krzesła.

– Wyskoczmy na małą przejażdżkę?

Lindell wiedziała, co to oznaczało. Będą krążyć po szutrowych drogach wokół Östhammar. Marksson opowie jej o swojej młodości, o mijanych domach i ludziach, którzy w nich mieszkają. Aż wreszcie dotrą na Bultudden.

– Jest jakiś szczególny powód?

– Nie – odparł, chociaż w jego głosie dosłyszała coś innego.

Nie miała pojęcia, co chodziło mu po głowie, ale nie zamierzała pytać. Uświadomiła sobie, że on również ma wątpliwości, tylko w przeciwieństwie do niej nie wypowiada ich na głos.

Podobnie jak ostatnio przed szopą Lassego Malma, gdy tylko atmosfera stała się gorętsza, Marksson się wycofał. Teraz też chwycił leżące na biurku kluczyki i pospiesznie opuścił pokój.

– Jedziemy – dobiegło ją z korytarza, ale zanim dotarła do recepcji, on zdążył już wyjść. Czekał na nią na dworze, koło samochodu.

– Faceci – westchnęła Angelina na widok jej miny.

Otóż to, pomyślała Lindell. Nie byłoby tak źle.

Kiedy dotarli na Bultudden, Marksson wysiadł przed domem Torstena Anderssona. W kuchennym oknie przez moment mignęła im twarz starszego pana. Lindell przesiadła się na fotel kierowcy i pojechała dalej Ulicą.

Marksson nie spytał, co zamierza, ale była przekonana, że się domyślał. Umówili się na kontakt przez komórkę.

Samochód Lisen Morell stał zaparkowany pomiędzy kępą krzaków a kilkoma ogromnymi sosnami. Identycznie jak ostatnim razem. Lindell nie potrafiłaby powiedzieć, czy od tamtej pory ktoś go w ogóle przesuwiał. Rozejrzała się dookoła.

Absolutny spokój, morze lśniło jak wypolerowane. Niskie chmury zdawały się przytłaczać zatokę. Stojące powietrze, bez śladu najłżejszej bryzy, smukłe pnie sosen i prześwitująca zza nich ciemna, niemal czarna woda, wszystko to sprawiało złowieszcze wrażenie. Bezruch. Statyczny krajobraz. W tej scenerii nie było nic urzekającego. To jest również archipelag, pomyślała Lindell. Tak spokojny jak śmierć.

– Halo – krzyknęła, głównie, by przerwać ciszę.

Sięgnęła po telefon i wystukała numer Markssona, ale nie wcisnęła połączenia.

Podeszła do drzwi chaty i chwilę nasłuchiwała. Cisza. Zastukała. Po kilku sekundach jeszcze raz. Dłoń ściskająca telefon lepiła się od potu. Żadnych dźwięków. W tej intensywnej ciszy kolejne stukanie zabrzmiało niemal nieprzyzwoicie.

Już kiedyś stała pod drzwiami samotnej kobiety. Wtedy też się dobijała i nikt jej nie odpowiedział. Kobieta, do której próbowała się dostać, została uduszona.

Lindell łokciem nacisnęła klamkę przypominającą staroświecki żelazny pręt. Drzwi otworzyły się z jęklwym skrzypnięciem.

– Halo? Czy jest ktoś w domu? – zawołała, chociaż wydawało się to mało prawdopodobne.

Nagle rozbłysło słońce i przez okno od strony morza wdarł się promień światła. Zastygła w pół kroku. Na lewo od wejścia ujrzała akwarelę. Od razu rozpoznała, co przedstawia: najdalszy kraniec Bultudden.

Zrobiła kilka kroków i weszła do środka, skąd mogła objąć spojrzeniem całe wnętrze chaty, łącznie z sypialnią i łóżkiem po prawej stronie. Łóżko było rozesełane, poduszki zmiętoszone, odrzucony na bok koc tworzył trójkąt. A więc Lisen Morell wstała. Lindell odetchnęła z ulgą. Podświadomie obawiała się, że znajdzie malarzkę w pościeli. Uduszoną.

Wyszła przed dom i zatrzasnęła drzwi. Usłyszała, jak zamek zaskoczył. Potem skręciła za róg i obezła chatę dookoła. Obok ławki, na której poprzednio siedziały z Lisen, stała butelka wina. Marka, którą Lindell dobrze знаła.

Chmury znów zasnuły niebo. Lekki powiew zmarszczył powierzchnię wody. Na brzegu sterczał stary pomost, nieco wyżej dojrzała łódź, okrytą zielonym brezentem. Końce sznura mocującego brezent zaciskały się wokół ćwieków wbitych w drewno służące za podkład. Oparła się pokusie, by rozplątać supły i rzucić okiem do wnętrza łodzi.

Lisen Morell znajdowała się gdzieś tutaj, to jasne. Jej samochód był na miejscu, dom stał otworem. Pytanie tylko: żywa czy martwa?

Nagle usłyszała trzask, wzdrygnęła się i skuliła, jakby oczekiwała ciosu. Instynktownie zacisnęła palce na komórce i przydusiła odpowiedni klawisz.

– Czego pani chce?

W głosie Lisen Morell było tak intensywne napięcie, że Lindell nie zdołała wykrztusić odpowiedzi. Machnęła ręką wymijająco i w tym samym momencie usłyszała Markssona. Przyłożyła telefon do ucha.

– Nie, wszystko w porządku. Przypadkowo uruchomiłam połączenie.

Popatrzyła na kobietę, która zatrzymała się parę metrów od niej. Jakim cudem Morell zdołała podejść tak blisko, nie robiąc żadnego hałasu?

– Nie, nie, właśnie spotkałam Lisen. Zadzwoń do ciebie później.

Rozłączyła się.

– Przepraszam – powiedziała. – Przestraszyłam panią?

– To raczej ja panią przestraszyłam. Ale co pani tu robi? To pani zakradła się tu zeszłej nocy?

Lindell pokręciła głową.

– O co chodzi?

– W nocy ktoś tu był. Właśnie przeszłam się dookoła, żeby sprawdzić, czy nie znajdę jakichś tropów.

– Tropów?

– Tak, tropów. Prawdę mówiąc, wygląda pani na roztrzęsioną.

– Trochę się przestraszyłam – przyznała Ann. – I rzeczywiście coś mnie niepokoi. W moim fachu to się często zdarza. Możemy wejść do środka?

Lisen skinęła głową. Ruszyła w stronę chaty, ale zaraz zatrzymała się gwałtownie i zawróciła.

– Niepokoi się pani o mnie? Dlatego pani przyjechała?

– Nie, nie – zapewniła Lindell. – Chciałam tylko zamienić z panią parę słów.

Na jej prośbę, kiedy już zaopatrzone w kubki kawy usiadły przy starym stole z blatem o opuszczanych skrzydłach, Lisen Morell opowiedziała, co zobaczyła i usłyszała poprzedniej nocy.

– Coś się działo na dworze. Jeszcze nie spałam, było mniej więcej w pół do pierwszej. Czasem mam problemy ze snem, wtedy wstaję. Czytałam, że tak jest lepiej. Że człowiek nie powinien przewracać się w łóżku z boku na bok. W łóżku należy spać.

I kochać się, pomyślała Lindell.

– Wiem, też tak robię – odparła nie do końca zgodnie z prawdą.

– Chwilę się pokrzątałam. Widzi pani tę akwarełę? Oprawiłam ją w nocy. Nagle usłyszałam jakieś odgłosy. Zupełnie, jakby ktoś skradał się koło domu. Najpierw szelest kroków, potem cisza i znowu kroki.

Lisen Morell uniosła kubek, ale nie piła. Lindell widziała, że na nowo przeżywa wydarzenia ubiegłej nocy.

– Może wszystko sobie wyobraziłam, tylko że to było bardzo intensywne. Jakby cały dom wibrował. Głupio brzmi, ale nie chodzi mi o dosłowność. Czasem odczucie jest tak silne, przekłada się na coś fizycznego.

Lindell odstawiła kubek z nieruszoną kawą. Zauważyła, że kobiecie drży ręka i przypomniała sobie, jak Lisen opowiadała o swoich mezzotintach; o ręce, która drży.

– Wiem, że wychodzę na wariatkę, ale jestem typem skrajnie fizycznym. Mój umysł i moje ciało to jedność. To warunek, żeby człowiek mógł tworzyć. A ostatniej nocy wiedziałam – całe moje ciało wiedziało – że tam, na dworze, ktoś był. Ktoś, kto nie życzył mi dobrze.

– Znalazła pani jakieś ślady?

– Nie. Ale też nie sądziłam, że znajdę. Taki natręt nie zostawia śladów.

– Podejrzewa pani kogoś?

Lisen nie odpowiedziała.

– Może wróci pani do siebie?

– Mam zamiar spędzić tu święta. Nie znoszę miasta. Wszystkich tych ludzi, którzy miotają się jak szaleni, przekonani, że biegając po sklepach, dopóki nie padną, uczestniczą w tym, co jest istotą Bożego Narodzenia.

– Czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło się, żeby ktoś tu wtargnął?

– Być może – westchnęła Lisen. – To dziwna okolica, pełna samotnych dusz. Jesteśmy tu tak daleko od wszystkiego, narażeni na różne niebezpieczeństwa, i nie mam na myśli tylko pogody. Powinniśmy trzymać się razem, a tymczasem każdy zaszywa się w swoim małym domku. Torsten Andersson, na przykład, ten, od którego wynajmuję tę chatę. Poznała go pani, prawda? Taki samotny, taki odizolowany, że niemal wyje z rozpacz, ale nic z tym nie robi, tylko gada o przeszłości i wyrzeka na wszystko co nowe. Jakby to egzystowanie na obrzeżach życia

pozbawiło go całego dobra, zraniło tak bardzo, że stał się innym człowiekiem. A on jest dobry, tylko ukrywa to pod tymi swoimi wybuchami złości.

– Tobias Frisk też taki był?

Potrząsnęła głową i wreszcie wypila łyżeczek kawy. Lindell czuła się dziwnie zaniepokojona, że już opróżniła kubek, podczas gdy kawa gospodyni stała w zasadzie nietknięta.

– Nie, on był inny. Bardziej niezdecydowany, poszukujący. Nie grzmiał tak, nie szalał, raczej wydawał się przepraszać, że żyje. A jednak nie potrafił ukryć swoich tęsknot.

– Zdradzał go zapach.

Lisen Morell rzuciła jej przelotny uśmiech.

– Za czym Frisk tęsknił?

– Za tym, co wszyscy. Za kimś, kogo mógłby pokochać, za czymś, co nadałoby jego życiu sens, pozwoliłoby mu poczuć się częścią większej całości. Jestem artystką, a to najbardziej samotny zawód świata. Zero kolegów, nikogo do zwierzeń, żadnych wspólnych przerw na kawę. Wszystko zależy ode mnie. Człowiek robi swoje i ma nadzieję, że to cokolwiek jeszcze dla kogoś znaczy.

Lindell zerknęła na obraz, który stał oparty o ścianę.

– Jest na sprzedaż? – spytała.

– Co w nim jest dla pani ważne?

– Morze – odparła Lindell. – Brzeg.

Nie chciała mówić dalej w obawie, by nie przejść na grunt zbyt osobisty, nie odsłonić się. Pamiętała, że poprzednio Lisen ją przejrzała, wyczuła zapach nie tylko mydła Dove i jaśminu, ale także osamotnienia. Skoro była taka spostrzegawcza, mogłaby też wychwycić inne rzeczy.

– Proszę go sobie wziąć.

Mimo protestów Lisen Morell uparła się, żeby podarować jej obraz. Nie zamierzała go sprzedawać. Skoro Lindell chciała go mieć, musiała przyjąć go jako świąteczny podarunek.

– Dziękuję. To najpiękniejszy...

Artystka przerwała jej ruchem ręki. Ich pojrzenia się spotkały. Lindell wiedziała, że ma w Lisen przyszłą przyjaciółkę, jeśli tylko będzie umiała tę przyjaźń pielęgnować. Spuściła wzrok i spojrzała na zegarek. Zorientowała się, że powinna zadzwonić do Markssona i po niego pojechać.

– A pozostali, Sunesson i Malm. Jacy oni są?

– Lasse Malm wpadł tu kilka razy. Próbował mi trochę zaimponować, puszył się. Na pewno jest bardzo silny. Thomas lubi się przechwalać, ale w gruncie rzeczy to miły facet. Nieco przesadnie skrupulatny. Myślę, że miałby problem z dopuszczeniem kogoś zbyt blisko.

Lindell przypomniała sobie dom Sunessona – schludny, czysty, na granicy pedanterii.

– Obaj są na najlepszej drodze, żeby skończyć jak Torsten, więc przyszłość Bultudden jest pewna – podsumowała Lisen z uśmiechem.

– Co pani robi, jeśli tajemniczy gość wróci?

– Wyciągnę pojemnik z gazem pieprzowym.

– Uważam, że powinna pani zadzwonić.

– Do kogo?

– Do mnie albo jeszcze lepiej do Bossego Markssona. Albo na 112.

– Pani mi wierzy? Chodzi mi o to, że kogoś słyszałam.

– Dlaczego miałabym nie wierzyć?

– Ale kto to mógł być? Gdyby Tobias żył, stawiałabym na niego. Był mną zainteresowany.

Lisen podniosła się z krzesła.

– Zapakuję obraz – powiedziała.

– Mogę tymczasem przejść się wokół domu?

– Oczywiście. Pewnie lepszy z pani pies policyjny niż ze mnie.

Morze nadal lśniło połyskliwie. W powietrzu wirowały nieliczne pojedyncze płatki śniegu, potęgując wszechobecne wrażenie izolacji. Lindell szła nad samą wodą, przekonana, że nocny gość trzymał się linii brzegu. Całkowitej pewności oczywiście nie miała, ale spacer w ciemnościach przez leśne chaszczki wydawał się znacznie trudniejszy.

Nie dostrzegła niczego nadzwyczajnego, żadnych śladów człowieka, poza aluminiową puszką podrygującą w kępie trzciny. Czyżby Lisen przestraszyła się bez powodu? Fakt, że przez drewniane bale, z których wzniesiono chatę, potrafiła dosłyszeć odgłos kroków świadczył albo o nadzwyczajnym słuchu, albo o żywej wyobraźni. Wywody na temat jedności ciała i umysłu jakoś Lindell nie przekonywały.

Po paru minutach zawróciła i ruszyła z powrotem. Lisen czekała w drzwiach, wypatrując jej. Lindell tylko pokręciła głową.

– Proszę, prezent z Bultudden – powiedziała Lisen Morell, wręczając swemu gościowi zapakowany obrazek.

– Dziękuję!

Przez chwilę stały w milczeniu.

– Niech pani do mnie dzwoni, gdyby działo się coś niezwykłego – odezwała się w końcu Ann.

– Musiałabym dzwonić codziennie. – Twarz artystki rozjaśnił nagły uśmiech. Lindell pojęła, że mężczyźni z sąsiedztwa byli zainteresowani, jeśli nie sztuką Lisen, to na pewno jej pełnym ciepłym uśmiechem.

– Do zobaczenia – powiedziała, ale jej słowa nie brzmiały szczególnie przekonująco.

Bosse Marksson czekał koło skrzynek na listy przed domem Torstena Anderssona. Kiedy Lindell zatrzymała się na poboczu, wszedł szybko do samochodu. Nawet jednym słowem nie skomentował, że jej wizyta u Morell się przedłużyła.

– I co mówi nasz przyjaciel, Torsten?

– Niewiele. Głównie gadki-szmatki o dawnych czasach. Zna tu wszystkich.

– Ale z nikim się nie przyjaźni.

Marksson spojrział na nią.

– Lisen tak twierdzi?

Lindell przytaknęła.

– Może być, że całkiem słusznie – rzucił. – Co jeszcze mówiła?

Lindell zreferowała mu nocne przeżycia Lisen Morell.

– A to wszystko nie działo się w jej głowie?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, ale czuję, że rzeczywiście mogło tak być. Ta okolica jest podminowana emocjami, nie czujesz tego? Od domu Anderssona do chaty Lisen: wznajęcy się w morze skrawek lądu z czterema – teraz trzema – kawalerami, trzema leciwymi małżeństwami i samotną artystką.

– Podminowana emocjami?

– Nie wiem, jak inaczej to wytłumaczyć. Możliwe, że to moje zwidy i omamy, ale czuję, że pod powierzchnią pulsuje tu energia. Jakiś gniew, który nigdy nie został uwolniony, w każdym razie nie konstruktywnie. To wściekłość zwrócona do wewnątrz.

– Aha – mruknął Marksson.

– Próbuje coś z tego zrozumieć – ciągnęła Ann Lindell. – Być może nie ma to sensu. Same przecucia, za mało faktów. I tyle tragizmu. Jeśli mieszkańcy tego kawałka Szwecji nie mogą być szczęśliwi, to kto może? Rozumiesz? Tutaj wszystko nabiera przejrzystości. W mieście maskujemy się dzięki innym ludziom, kryjemy się za nimi, chowamy. Na Bultudden nie ma gdzie się ukryć.

– Dlaczego uważasz, że oni są nieszczęśliwi?

Lindell zerknęła na Markssona.

– Wiem, uznasz, że to bzdury, ale ja wszędzie tu wyczuwam smutek i tłumione emocje.

– Tu żyje się inaczej, ale żeby ludzie tu byli nieszczęśliwi...

– Nie o to mi chodzi! Lisen wspomniała o Bożym Narodzeniu, o napięciu i szaleńczych zakupach. Zamierza obchodzić święta na Bultudden. Można uznać, że jest strasznie samotna, ale samotność w mieście bywa równie wielka. Tylko tutaj wyraźniej ją widać. Wyobraź sobie taki obrazek: kobieta zapala ostatnią świecę adwentową, potem siada do śledzia i szynki. Przez cały czas sama. Żałosne. Ale czy w Uppsali nie ma setek samotnych ludzi?

– Ty pewnie wiesz to lepiej – stwierdził Marksson.

– Dobra, dajmy spokój moim zwidom. Mamy dochodzenie, które pozostawiło więcej pytań niż odpowiedzi. Co z tym zrobimy?

– Myślałem o sztucerze na foki, tym, który Frisk przystawił sobie do głowy. Skąd ta broń się wzięła? Torsten coś dukał, ale nie doszedłem z nim do ładu.

– A co mówił? – spytała Lindell.

– Że w przeszłości widział wiele takich sztucerów.

– Ale nie ten? Pokazałeś mu go, prawda?

– Sądzę, że go rozpoznał, tylko nie chciał nic powiedzieć.

– Może po prostu próbował zamącić nam w głowach.

– To byłoby w jego stylu. Jednak mimo wszystko odniosłem wrażenie, że on coś świadomie zataja.

– Co by znaczyło, że sztucer należał do kogoś innego. Gdyby należał do Friska, Torsten mógłby nam o tym sporo powiedzieć. Nie uważasz? Nawet jeśli lubi bawić się z policją w kotka i myszkę.

– Wydukał, że wszyscy wiedzieli, że Frisk nigdy nie miał broni. Żadnej. I coś w rodzaju: „na co broń komuś, kto nie poluje?”

– Dostał go w spadku. Sztucer jest stary.

– Podpytałem tatę. Jest pewien, że ojciec Friska też nie polował.

Lindell przetrawiała to, co właśnie usłyszała. Było dla niej jasne, że Marksson też się nad tym zastanawiał.

– Mógłbyś zagrać lekko nieuczciwie – odezwała się po kilku kilometrach. – Idź do Sunessona i powiedz, że dostaliśmy cynk, że sztucer należał do niego. A potem zrób to samo z Malmem. Zamieszaj trochę. Zobaczymy, jak zareagują.

– Ryzykowny pomysł – podsumował Marksson bez wdawania się w szczegóły.

- A czy to ważne?
- Co przez to rozumiesz?
- Nie wiem – odparła Lindell.

Padło coraz obficie. Tuż przed Östhammar napotkali pług śnieżny.

– Białe Boże Narodzenie – powiedziała Ann.

– Radosne Boże Narodzenie – zawtórował jej Marksson i wyszczerzył zęby w najszerszym uśmiechu, na jaki mógł się zdobyć.

Rozstali się pod posterunkiem policji. Przed lunchem Marksson zamierzał jeszcze wyskoczyć do biblioteki i oddać książki. Lindell odrzuciła propozycję, by mu towarzyszyć. Chciała przez chwilę pobyć sama. Poza tym na wczesne popołudnie umówiła się już z Ottossonem.

Jednak co najważniejsze, zaczęła się odchudzać, do czego nie przyznawała się nawet przed samą sobą. Nie jestem głodna, wmawiała sobie. Zatrzymam się gdzieś po drodze i kupię jakiś owoc.

Czuła, że kręcą się w kółko. Była niezadowolona z tego, jaki obrót sprawa przybrała: nie posuwali się do przodu, wyhamowali. Sorsele nadesłało informację, iż Tobiasa Friska widywano z Tajką. Kobieta towarzyszyła mu, kiedy opuszczał kemping. Miejscowa policja obiecała skontaktować się z agentami sprowadzającymi zagraniczną siłę roboczą i sprawdzić, czy w ich rejestrach nie figurują dodatkowe dane osób zwierzbowanych do zbierania jagód.

W Krabi Stolt pobrał od siostry Patimy próbkę śliny i przesłał do Szwecji. W ciągu tygodnia lub dwóch mieli się dowiedzieć, czy zachodzi zbieżność z DNA zmarłej. DNA każdego człowieka jest unikatowe, ale pomiędzy bliskimi krewnymi zawsze istnieją podobieństwa, które wspomagają identyfikację.

Niby wszystko układało się w logiczną całość, a jednak nie. Lindell chciała znać motyw. Chciała odnaleźć ciało. Chciała zrozumieć, dlaczego Frisk palnął sobie w łeb. Chciała wiedzieć coś więcej o pochodzeniu sztucera. Wiele pytań i nikłe szanse, żeby znaleźć na nie odpowiedź. Właściwie tylko kwestia broni samobójcy miała szansę na rozwiązanie.

Podczas lunchu – banan, jabłko i butelka wody mineralnej – spożytego w samochodzie na stacji benzynowej w Gimo, Ann rozmyślała o człowieku, który krążył wokół domu Lisen Morell. Wierzyła jej, chciała wierzyć, chociaż słowa Lisen o uczuciach i nastrojach wydały się nieco nadto szalone. Jeśli miała rację, że jakiś mężczyzna był w nocy w pobliżu jej domu, to kim on był? Oczywiście, mógł się pojawić ktoś z jej wcześniejszego życia. Może jakiś odrzucony wielbiciel wrócił, żeby ją szpiegować? Znacznie prawdopodobniejsza wydawała się wersja, że to któryś z mieszkańców Bultudden zakrada się do niej w ciemności. Pytanie brzmiało: dlaczego? I czy stanowił rzeczywiste niebezpieczeństwo? Czy miało to związek z Patimą i samobójstwem Tobiasa Friska, a jeśli tak, to jaki? Czy Lisen mimowolnie stała się świadkiem czegoś, czego znaczenia nie doceniała?

Rozważywszy wszystkie kandydatury, Lindell wyłoniła trzy najbardziej prawdopodobne: Torsten Andersson, Thomas B. Sunesson i Lasse Malm. Całe to trio, była o tym głęboko przekonana, ukrywało informacje o Frisku, które mogłyby pomóc w wyjaśnieniu tego, co się stało.

Wysiadła z samochodu, podeszła do kosza na śmieci i wyrzuciła pozostałości po lunchu. Na tablicach przedstacją benzynową czołówki brukowców były po oczach rewelacjami o pewnej

telewizyjnej gwiazdce, która miała przygodę z żonatym mężczyzną, a ten z kolei miał problemy z alkoholem i żonę w ciąży. Czołówka „Upsala Nya” prezentowała się dyskretniej, niemniej również dramatycznie, dzięki sensacyjnym wiadomościom o powrocie byłego radnego.

– Bultudden – wymówiła Lindell na głos, próbując wyobrazić sobie reality show o mieszkańcach domów przy Ulicy.

Kto z kim sypia? Kto kogo nienawidzi? Kto oszukuje sąsiadów? Kto zwodzi gliny?

Zjawiała się jakaś wrona i w podskokach sunęła po betonie. W dziobie trzymała kawałek papieru. Wrona pocztowa, uśmiechnęła się Ann. Masz dla mnie list? Wyobraziła sobie orła, trochę przyciężkiego i niezgrabnego, ale pełnego majestatu, jak szybuje wysoko nad Bultudden. W szponach niesie stopę, z której na wody zatoki kapie krew.

Zbieraczka jagód, pomyślała. A potem przed oczami pojawił jej się obraz pił rozwieszonych na ścianie w sklepie Såma. Wzdrygnęła się. Poczowała ból promieniujący od pasa. Wrona przykicała bliżej, zatrzepotała skrzydłami i wystartowała. Chybcząc się na wietrze, zniknęła za myjnią samochodową.

Facet stanowi psychologiczną zagadkę – oznajmił Ottosson i Lindell nie zdołała powściągnąć uśmiechu. – No już, nie śmieć się ze mnie. Polityk. Człowiek u szczytu kariery popełnia podłą zbrodnię, mordując bezbronno starca, po czym wraca po dwunastu latach i wydaje się dumny ze swojego czynu. Zero wyrzutów sumienia.

– Miewaliśmy już do czynienia z podobnymi przypadkami – zauważyła Lindell.

– Nie z takimi. Musisz przyznać, że to nadzwyczaj nietypowy morderca.

– Ma też nadzwyczaj nietypowego stryja. Wspominałam ci już o nim. Niewiarygodna postać.

– Beatrice go przesłuchiwała – powiedział Ottosson.

– Bea? I co jej powiedział?

– Ante Persson był kompletnie ogłuszony informacją, że Sven-Arne przyznał się do zabójstwa. Słowa nie mogła z niego wydobyć. Staruszek po prostu się zaciął. Beatrice oceniła go jako całkiem zdemenciałego.

– Kompletna bzdura! Ma bystrzejszy umysł niż większość z nas.

Opowiedziała mu o zawartości biblioteczki Antego, o tym, że facet najwyraźniej przedzierał się przez lektury w kilku obcych językach i że podczas jej wizyty nie okazywał żadnych oznak niedołęstwa poza wyraźną słabością nóg.

– On też udzielał się w życiu politycznym?

– Jeśli tak, to z pewnością po lewej stronie – odparła.

– Morgansson pojechał i pobrał od niego odciski palców. Jak wiesz, mamy ślad dłoni z jakiegoś mebla u Dufvy.

– Nie pasuje do linii papilarnych naszego radnego?

Ottosson pokręcił głową.

– Dufva nie miał dużego kręgu znajomych. Ściślej mówiąc, nie miał ani jednego znajomego. Jenny Holgersson – krewna, która się nim opiekowała – nie potrafiła przypomnieć sobie żadnego gościa spoza rodziny.

– Więc sądzisz, że Ante Persson jednak wszedł do domu?

– Zobaczymy. Allan też tak myśli. Po co jeździliby tam samochodem we dwóch?

– Morderstwo przy okazji.

– Tak właśnie twierdzi Sven-Arne, ale ja mu nie wierzę.

– Na czym się opierasz?

– Na trzydziestu ośmiu latach pracy w policji – odparł Ottosson, szczerząc zęby w uśmiechu.

Przez uchylone drzwi zajrzał Fredriksson. Na widok Lindell skinął głową.

– Odciski w domu Dufvy należą do Antego Perssona. Lewy kciuk i palec wskazujący na wypolerowanym do połysku dębowym kredensie. Nie ma cienia wątpliwości. Starszy pan wszedł do środka.

– Do diabła, doskonale! – wykrzyknął Ottosson. – Rozmawiałeś już z radnym?

– Znowu śpi. Facet najwyraźniej potrafi kimnąć w dowolnym momencie. Uznaliśmy z Nilssonem, że zaczekamy, aż się sam obudzi. Naszym zdaniem tak będzie lepiej. Ale musimy

jeszcze raz przesłuchać staruszkę i dowiedzieć się, co on ma do powiedzenia.

– Pojadę z wami – oznajmiła impulsywnie Lindell. – Już go poznałam. Może załatwimy to we dwoje, Allan?

Allan Fredriksson zerknął na Ottossona, a ten po sekundzie namysłu przyzwalająco skinął głową.

Ante Persson, który tym razem ją powitał, był już innym człowiekiem. Energia i pewność siebie znikły bez śladu. Pozostał starzec o drżących dłoniach i zakłopotanym, bezradnym spojrzeniu.

– Znowu policja – stwierdził.

Siedział na łóżku w pomiętych spodniach i rozpinanym, względnie czystym swetrze. Na nogach miał kapcie. Jedną ręką opierała się o udo, druga skubała kłaczki wełny z przodu swetra.

– Witam pana, Ante – powiedziała Lindell. – Pamięta mnie pan? Byłam już u pana. To jest mój kolega, Allan Fredriksson.

Persson podniósł na nią wzrok. W jego oczach pojawił się ślad dawnej irytacji. Lindell uświadomiła sobie, że mówi zbyt głośno.

– Mamy pewne sprawy do omówienia – ciągnęła, zastanawiając się, czy nie powinna zacząć od błahych tematów. Postanowiła jednak przejść prosto do rzeczy. – Jak pan słyszał, pana bratanek przyznał się do zamordowania niejakiego Nilsa Dufvy. Chcemy wiedzieć, czy mógłby pan rzucić trochę światła na wydarzenia tamtego dnia. Zdobyliśmy pewne nowe informacje.

Z twarzy Antego Perssona nie sposób było wyczytać, czy usłyszał albo zrozumiał choć jedno słowo. Starcze palce nadal skubały wełniane nitki i zwijały je w maleńkie kuleczki.

– Sądzimy, że pan tam był – włączył się Allan Fredriksson.

– To znaczy?

– Że był pan w domu Dufvy, kiedy został zabity.

– Nie mam pojęcia, co Sven-Arne kombinuje – powiedział Ante Persson. – Musiał w tych Indiach trochę zbzikować.

– Był pan tam wtedy?

– Nils Dufva od dawna gryzie ziemię. I bardzo dobrze.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Ante głośno zaczerpnął powietrza.

– Sven-Arne nie jest człowiekiem wojowniczym.

– W domu Dufvy zostały pana odciski palców – powiedziała Lindell, siadając koło staruszka.

– Był pan świadkiem morderstwa? Czy może odwiedził go pan wcześniej?

Ante pokręcił głową. Zła taktyka, uznała. Dwa pytania za jednym zamachem. Zaczęła jeszcze raz.

– Znał pan Nilsa Dufwę?

Położyła dłoń na lewym ramieniu mężczyzny. Ante odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Czy ja też się tak zestarzeję?, pomyślała. Jego policzki pokryły czerwone cętki. Na podbródku sterczało kilka siwych włosów. Dyszał ciężko, oddech miał chorobliwie słodki, niezbyt przyjemny.

– Dufva był nazistą, zagorzałym nazistą. Umarł. A teraz myślę, że powinniście już wyjść.

– Nie, dopóki nie odpowie pan na wszystkie pytania.

– Będzie pani mogła sobie o tym poczytać w moich pamiętnikach.

– Pisze pan pamiętniki? – wtrącił Fredriksson.

Lindell rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Pan jest socjalistą, on był nazistą. To już wyjaśniliśmy – podjęła znowu. – Co znaczy, że na pewno nie mogli być panowie najlepszymi przyjaciółmi. Ale czy poznał go pan w związku z polityką?

– Nigdy nie widziałem jego twarzy – odparł Ante.

– To znaczy?

– Nie chcę o tym myśleć, tak trudno to zrozumieć? Nad tyloma innymi rzeczami muszę jeszcze popracować. Jestem stary, za stary. Jestem jednym z ostatnich. Co wy wiecie o biedzie? Nic!

Doskonale, pomyślała Lindell, dając znak Fredrikssonowi, żeby pozwolił Antemu mówić.

– Uganiacie się za jakimiś drobnymi złodziejzaskami, a prawdziwi przestępcy chodzą wolni. Ilu umarło? Moje najlepsze wspomnienia i moi przyjaciele, wszystko szeszło na moich oczach. Rozpadło się. Więc co mnie obchodzi Nils Dufva? Nic, do diabła. Istnieje linia, łącząca tamto miejsce – podniósł rękę i wskazał oprawione w jasną ramkę zdjęcie czerwonego domku, które wisiało na ścianie – i to, gdzie teraz siedzę. Czasy są inne, a jednak te same. Zdarzały się zakręty, ale zawsze trzymałem się tej linii. To było jak wojna. Ciągłe. Urodziłem się w czasach wojny. Dlaczego miałbym brukać swoje ostatnie dni myślami o jakimś naziście?

Umilkł.

– Więc był pan świadkiem, jak pana bratanek zabił Nilsa Dufwę, ale nie chce pan o tym mówić?

Ante Persson cmoknął wargami.

– Może tak, a może nie.

– Przecież pan rozumie, że musimy dociec, co się wydarzyło – powiedziała błagalnie Lindell.

Starzec uniósł ręce w jej stronę, jakby odpierał atak. Nie potrafiła oderwać wzroku od kikutów palców jego lewej dłoni.

– Widziałem wojnę – powiedział – i nie był to placyk zabaw. Dlaczego miałbym przejmować się Dufwą? Dufva to cholernie nietrafne nazwisko dla faceta takiego jak on^{*****}. W najmniejszym stopniu nie przypominał gołąbka. Wręcz przeciwnie. Kochał prowadzić wojnę i sprawiać ból. To był sęp.

– Co pan ma na myśli?

– Dostał pracę w wojsku, to nawet logiczne. Pieniądze z moich podatków szły na tego drania. Rozumie pani? Współfinansowałem go! Sama myśl o tym doprowadza mnie do szału.

Skąd w nim aż tyle nienawiści?, zastanawiała się Ann. Zerknęła na Fredrikssona, który słuchał tych wynurzeń z kamiennym wyrazem twarzy. Wymienili się spojrzeniami i Allan niemal nie dostrzegalnie skinął głową.

– Muszę porozmawiać z bratankiem – krzyknął Ante Persson i przyciągnął balkonik, jakby zamierzał natychmiast wyjść.

– Co pan chce mu powiedzieć?

– Że jest idiotą! Nie rozumiem, po co poleciał na policję. Powinien był zostać w Indiach, ale widać dostał tam lekkiego bzika. Załatwcie, żebyśmy mogli się z nim zobaczyć.

– Musimy się zastanowić – odparła Lindell. – Jest jeszcze jedna kwestia, która budzi moje

zadziwienie.

Ante Persson zachichotał. Zdumiał ją dźwięk jego suchego śmiechu.

– Budzi zdziwienie – prychnął.

– Elsa Persson – ciągnęła Lindell. – Dlaczego wpadła pod samochód? Zakładam, że faktycznie złożyła panu wizytę i z tego co rozumiem, po rozmowie z panem wyszła kompletnie rozbita, żeby nie powiedzieć zrozpaczona. Dlaczego? Co pan jej powiedział?

– Nigdy mnie nie lubiła – odparł Ante. – Spotkania ze mną zawsze wytrącały ją z równowagi.

– Nie miała pojęcia, że jej mąż mieszka w Indiach – stwierdziła raczej, niż zapytała Lindell.

– A pan od początku wiedział, w jaki sposób Sven-Arne zniknął. Jak to przyjęła?

– Elsa traktowała go z góry. Mógłbym się założyć, że z ulgą się uwolniła, chociaż nigdy nic takiego nie powiedziała. Nie, ta nauczycielka ma twarz rasowego pokerzysty. Wcześniej specjalnie nie przejmowała się mężem, więc dlaczego miałyby się przejąć, kiedy odszedł? To wszystko gównu ją obchodziło. Liczyły się tylko pieniądze i prestiż. Zawsze uważała mnie za pomyłkę.

– Czy stanowił pan zagrożenie?

– Ja? Dlaczego?

– Jest pan blisko związany z bratankiem. Mieliście swoje tajemnice.

Ante znów parsknął niewesołym śmiechem.

– Kiedy mogę zobaczyć Svena-Arnego?

– Najpierw musimy z nim porozmawiać – powiedziała Lindell.

– A on się opiera?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jeśli pan chce się z nim zobaczyć, będzie pan musiał trochę współpracować. Był pan z nim w tamtym domu, kiedy Nils Dufva zginął, i oczekuję, że usłyszymy, co się stało. Milczeniem nie pomoże pan bratankowi. Wiemy, że pan tam był.

– Skąd to wiecie?

– W domu Dufvy znaleziono pańskie odciski palców. Pan go znał. Był pan tam. Proszę nam o tym opowiedzieć.

Stary człowiek utkwiał w niej swoje spojrzenie.

– Jak się czuje Sven-Arne?

Tym razem odpowiedział Allan Fredriksson.

– Wygląda, że mu ulżyło. Jest zmęczony.

– Co pan robił w czasie wojny?

– Nie było mnie jeszcze na świecie – odparł Fredriksson i uśmiechnął się.

Ante Persson bacznie mu się przyjrzał.

– Aha – mruknął, najwyraźniej tracąc zainteresowanie dla jego osoby. Znowu zwrócił się do Lindell: – Niech pani jakoś zorganizuje, żebym mógł zamienić parę słów z bratankiem. To bardzo ważne.

Lindell nie skomentowała jego prośby, milczała. Nie doczekała się żadnych wyjaśnień, Ante odmówił dalszej rozmowy. Sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego. Zwiesił głowę, ręce spoczywały bezwładnie na poręczy balkonika.

– Chciałby pan trochę odpocząć? – zapytała po minucie ciszy.

Spojrzał na nią spod oka. Z jego gniewu i buntu nic już nie zostało. Pełne smutku, sędziwe

oczy wpatrywały się w policjantkę przez chwilę, a potem głowa znów opadła mu na piersi.

Lindell zerknęła na Fredrikssona, który wstał, podszedł do staruszka i dotknął jego ramienia.

– Może chce się pan położyć? – zaproponował.

Ante Persson nie odpowiedział. Lindell wskazała głową na drzwi, sugerując Allanowi, że muszą już iść.

– Porozmawiamy z personelem – powiedziała, kiedy opuścili pokój. – Niech ktoś później do niego zajrzy. Teraz niczego więcej się nie dowiemy.

– Co o tym myślisz?

– Sama nie wiem – odpowiedziała zamyślona. W drugim końcu korytarza dostrzegła jakąś kobietę, którą uznała za pracowniczkę domu opieki. – Porozmawiam z nią. Nie możemy zostawić go w takim stanie.

Podeszła do pielęgniarki, Anneli Hietanen, jak przeczytała na identyfikatorze. Kiedy wymieniła nazwisko Perssona, Anneli rozpromieniła się.

– Och, Ante. Tak, to wyjątkowy człowiek. Zdarza się, że bywa trochę znużony, ale ogólnie jest żwawszy niż wszyscy pozostali razem wzięci.

– Myślę, że dobrze byłoby, gdyby pani do niego zajrzała – powiedziała Lindell. – I proszę przez jakichś czas go obserwować.

– Państwo są jego krewnymi? Nigdy dotąd tu państwa nie widziałam.

– Jestem oficerem policji.

Uśmiech Anneli natychmiast zgasł.

– Czy coś się stało?

– Nie – odparła Lindell po chwili wahania. – Po prostu przesłuchiwalismy Antego Perssona w sprawie... Chodzi o kogoś z jego rodziny.

– Rozumiem – powiedziała pielęgniarka. – Tej dziewczyny w Indiach?

– O kim pani mówi?

– Ante czasami dostaje listy z Indii. Żartowałam, że ma tam dziewczynę, jakąś gejszą czy coś takiego.

– Gejszą?

– Tak się chyba nazywają.

– Nie wie pani, czy zachował te listy?

– Myślę, że tak. To znaczy, wiem, że tak. Trzyma je w pudełku w biblioteczce. To pudełko jest trochę takie byle jakie. Dlaczego pani pyta? Czy tej dziewczynie coś się stało? Ante jest przygnębiony? Dlaczego pani wcześniej nic nie powiedziała?

Pielęgniarka zostawiła Lindell i szybkim krokiem podążyła do pokoju Perssona. Zastukała, uchyliła drzwi i znikła w środku.

Allan czekał koło windy. Lindell zreferowała mu sprawę listów z Indii.

– Warto byłoby je przeczytać – stwierdził.

– Musimy to omówić z prokuratorem.

Zerknęła na zegarek. Już miała zadzwonić do Fritzéna, ale po chwili zrezygnowała. Nilsson i Fredriksson mogli się tym zająć sami. Męczyło ją uczucie, że nie powinna za bardzo wikłać się w tę sprawę, bo myślami tkwiła nadal na Bultudden. W dodatku chciała wyrwać się wcześniej do przedszkola po Erika. Ostatnio była bardzo zapracowana, pragnęła spędzić z synkiem trochę

więcej czasu.

– Chodźmy.

Fredriksson oparł się o ścianę windy i przymknął powieki.

– Gejsze – mruknęła Lindell. – Czy to przypadkiem nie Japonki?

Otworzył oczy.

– Niekiedy tak – powiedział i spojrział na nią w ten charakterystyczny sposób, który sprawiał, że lubiła go i ceniła. – To wszystko doprowadza mnie do rozpacz – ciągnął dalej. – Bez przerwy się z czymś zmagamy. Ante Persson ma ponad dziewięćdziesiąt lat i zasługuje na trochę spokoju. Słyszałaś, co powiedział? „Bez przerwy toczyły się jakieś walki. Urodziłem się w czasach wojen”.

– Myślę, że dotrwał do dziewięćdziesiątki właśnie dzięki tym wewnętrznym zmaganiom.

– Jego wojna nadal trzyma w potrzasku. Nie zauważyłaś, jak on cierpi?

– To prawda, ale wciąż jest pełen życia, może bardziej niż ja – odparła.

Winda zatrzymała się z lekkim szarpnięciem. Fredriksson uśmiechnął się do Ann.

– Ty jesteś wyjątkowa – powiedział po prostu i pchnął drzwi.

Idąc za swoim nieco przygrabionym kolegą, wyszła na zewnątrz w grudniowy dzień. Śnieg zasypywał dachy i podwórka Eriksdal.

Ślady stóp na świeżym śniegu znaczyły trasę, którą powoli przemierzał zamyślony mężczyzna. W pewnym momencie odwrócił się i uważnie obejrzał własne ślady. Skojarzyły mu się z zajęczymi tropami. Tylko że zajęce się nie odwracają, pomyślał. Trajektorie ich biegu są nieregularne. Zajac pędzi to tu, to tam. A ja idę prosto przed siebie. Zawsze tak robiłem.

Kiedy dotarł do głazu i brzozy, której pień był rozszczepiony ze starości, zatrzymał się po raz drugi. Płatki śniegu wirowały na wietrze. Mężczyzna rozwiązał troczki czapki i spuścił klapy na uszy. Rozejrzał się dookoła: rzadki las z łatanami porostów i krzaków. Swojski widok dodawał mu otuchy, ale mrowiący niepokój nie ustępował. Właśnie tutaj zamierzał kiedyś sprzedać kilka działek. Spróbował wyobrazić sobie osadę powiększoną o dwa, może trzy nowe domy i ogarnęło go zadowolenie, że w ostatniej chwili się wycofał.

Koniec końców dobrze zrobiłem, uznał i po raz pierwszy tego ranka poczuł się usatysfakcjonowany. Ruszył dalej. Samotny spacer rozgrzewa, pomyślał. Maszerował przed siebie, rozglądając się na boki. Tej zimy powycinam trochę drzew, postanowił. Podjęta decyzja przyniosła mu chwilową ulgę. W rzeczywistości postanowił to już wcześniej, rok temu, ale przyjemnie było do niej wrócić.

Będzie musiał kupić nową piłę. Stara nie nadawała się już do użytku.

Zacinał północny wiatr. Mężczyzna szedł, żeby się rozgrzać. Klapy uszanki luźno powiewały, ale nie zawracał sobie głowy wiązaniem troczków pod brodą. Zawiąże je po Bożym Narodzeniu. Wtedy zacznie wyrąb. Tęsknił za ciężarem kasku, słuchawkami otulającymi uszy i sztywnym dotykiem ochronnej odzieży.

Przystanął po raz trzeci. Teraz znajdował się już blisko. Nie mógł dłużej odwlekać decyzji, zajmując się rozmyślaniami o wycince. Irytowało go, że nie umie się uwolnić od dręczących go myśli. Może dlatego że widział tamtą dziewczynę. Było to podczas sezonu na jagody, pojawiła się niczym egzotyczne zwierzę, smukła i zwiewna, niemal znikwała między drzewami. Podążał za nią w dużej odległości, z rzadka podchodząc bliżej, i odkrył, jaka jest szybka. Pracowała na wyprostowanych nogach, co bardzo mu się podobało. Kucanie albo klękanie było stratą czasu.

Miała mały, niemal chłopięcy tyłeczek, bez kobiecych, wyraźnie zarysowanych bioder, ale mimo to była ponętna. Od czasu do czasu rozglądała się dookoła, jakby coś ją niepokoiło. Wtedy się przyczajał. Jak długo za nią szedł? Godzinę? Dwie? Miał wrażenie, że ona nigdy się nie zmęczy.

Potem pojawiała się również, ale już tylko w jego snach. Ostatnio, gdy zrozumiał, kim jest – albo raczej kim była – nawiedzała go jeszcze częściej. Nie potrafił się obronić.

Nie potrafił odpuścić sobie tej sprawy i to go drażniło. Szedł dalej. Ślady w śniegu na drodze. Wiejący od północy wiatr. Szum drzew. Szyszka, która nagle spadła. Huczące w oddali fale przyboju. Wkrótce dotarł do domu Kallego i Margit. Przecież nie mógł go minąć i nie zajrzeć.

Wszedł bez pukania. W przedsionku stał wielki garnek. Dotknął go – jeszcze ciepły. Uchylił pokrywkę: jakiś gulasz, dostrzegł marchew i cebulę.

– Witaj! – zawołał Kalle ze swego miejsca przy kuchennym stole.

Torsten Andersson ściągnął buty i starannie powiesił kurtkę. Wiedział, że Margit sobie tego życzy.

– Proszę, proszę – mruknął gospodarz.

– Jak leci?

– Każdy dostaje to, na co sobie zasłużył – odparł Kalle dobrotliwie.

Torsten usiadł.

– Kawy?

– Może filiżankę.

– Margit!

– Sam sobie wezmę.

Gość sięgnął po filiżankę i nalał kawy z dzbanka.

– Zaparzona godzinę temu – powiedział Kalle. – Ale nadal to trucizna.

– Chciałem cię spytać – odezwał się Torsten, skosztowawszy kawy – czy Marksson był u ciebie z tym sztuczerem. No wiesz, z tym, z którego Frisk się zastrzelił. Wpadł do mnie i chciał żebym rzucił na niego okiem.

Kalle wpatrywał się w okno. Wyglądało, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Tak, do mnie też – przyznał w końcu. – Starość. Od Bóg wie jak dawna czegoś takiego nie widziałem.

– Rozpoznałeś go?

Kalle zerknął na sąsiada.

– Chyba doleję sobie jeszcze odrobinę – oznajmił, dźwigając się z krzesła.

– Jak biodro?

– Konował twierdzi, że będzie dobrze, ale diabli wiedzą. – Dolał sobie kawy i znowu usiadł.

Oddychał z trudem. – Myślę, że już kiedyś widziałem tę broń.

– Co powiedziałaś Markssonowi?

– Zapewne to samo, co ty. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

Torsten skinął głową. Tak właśnie podejrzewał.

– I jak to widzisz?

– A jak mam co widzieć? – Kalle siorbnął łyk kawy. – To naprawdę trucizna – wykrzyknął.

Powiem Margit, żeby zaparzyła nowy dzbanek.

– Jak dla mnie jest w porządku – odpowiedział Torsten Andersson. – A gdzie Margit się podziewa?

– Pałęta się gdzieś na górze.

– Co o tym wszystkim myślisz? Chodzi mi o to, że Frisk...

– Uważam pewnie tak samo jak ty. On był ostatnią osobą, która by... – zaczął i urwał. –

Zagadkowa sprawa – dodał po chwili.

– Rozmawiałeś z...

– Nie, nie chciałem się mieszać – powiedział Kalle. – Już i tak jest dość kłopotów.

– Wiem. Kto by przypuszczał, że coś takiego się zdarzy. Ja ją widziałem.

– Kogo?

– Ją. Tę, która zniknęła – wykrztusił Torsten.

– Widziałeś ją? Gdzie?

– W lesie.

– Jak wyglądała?

– Drobniotka, chuda.

Kalle skinął głową, jakby ta informacja potwierdzała jego własny obraz dziewczyny.

– A potem zniknęła – powiedział z westchnieniem.

– Jak myślisz, co się stało?

– Nie wiem. Ale Frisk trzymał ją w ukryciu, to oczywiste. Może chciała wrócić do domu. Co my możemy wiedzieć? W takich sprawach nigdy nic nie wiadomo. To znaczy, z kobietami.

Torsten dopił resztkę kawy. Poczł się lepiej, bo wreszcie opowiedział komuś, co widział. Ale teraz musiał już iść. Był zadowolony, że mógł pogadać z Kallem sam na sam. Margit zaraz zaczęłaby naciskać, żeby poszedł na policję.

Podziękował sąsiadowi za kawę i odstawił filiżankę do zlewu.

– Do zobaczenia – rzucił, a Kalle podniósł rękę.

Lasse był w domu. TorsteN był tego pewien, bo godzinę wcześniej widział na drodze jego auto. Nie miał pojęcia, jak to przyjmie, Znali się dobrze, ale przez ostatnich kilka lat rzadko się kontaktowali. W dzieciństwie przyjaźnił się z jego ojcem. Kiedy stary Malm popełnił samobójstwo, Torsten niemal każdego wieczoru wpadał do Lassego na pogawędkę. Wszyscy na Bultudden robili, co mogli, żeby chłopaka wesprzeć. Margit wielokrotnie zapraszała go na obiad, a Kalle zabierał w morze. Przez chwilę mogło się zdawać, że tragedia zbliżyła mieszkańców cypla.

Pick-up Malma stał zaparkowany przed frontowymi drzwiami. W skrzyni ładunkowej leżała wielka paczka, owinięta w folię termokurczliwą. Kiedy Torsten Andersson zbliżał się do domu, na schodkach pokazał się Lasse.

– Zjawiasz się jak na zawołanie – powiedział Andersson. Wskazał ręką na samochód. – To lodówka? – spytał.

– Szafa – odpowiedział Malm.

– Będziesz musiał sam wtaszczyć ją do domu – uśmiechnął się Torsten.

Malm zarechotał i żartobliwie walnął gościa w ramię.

– Jak leci?

Torsten coś odburknął, po czym cofnął się w stronę pick-upa. Nie chciał zadać tego pytania, ale musiał. Teraz albo nigdy. Nie był tchórzem, jednak podejmując z Malmem temat sztucera, poczuł się nielojalny. Wiedział, że Lasse nienawidzi wszelkiej broni palnej od dnia, kiedy znalazł swego ojca na piętrze.

– Jest taka sprawa – powiedział, odwracając się do Malma. – Dużo o tym myślałem i muszę zadać ci to pytanie, chociaż nie czuję się z tym dobrze.

– Tak?

– Ten sztucer na foki. W jaki sposób wpadł w ręce Friska?

Lasse Malm wpatrywał się chwilę w swego rozmówcę, po czym uciekł wzrokiem gdzieś w bok. Andersson spróbował znowu:

– Muszę...

– Gównu musisz!

Spokojnie, pomyślał Torsten.

– Był u mnie Marksson i pytał, czy rozpoznaję sztucer. Powiedziałem, że nie. Zrobiłem to tylko przez wzgląd na ciebie. Nigdy bym...

Malm uniósł rękę, by powstrzymać potok słów. Twarz miał ponurą. W jego małych oczach pojawił się błysk, który można było wziąć za nienawiść.

– Wiedziałem, że wcześniej czy później zaczną się plotki.

– Nie ma żadnych plotek – powiedział Torsten, pamiętając, by nie podnosić głosu. – Na całej Ulicy nikt nie plotkuje. Nikt nie wygadał się glinom. Po prostu chciałem wiedzieć. To sprawa tylko między tobą i mną.

Lasse opuścił tylną klapę skrzyni i zaczął ciągnąć paczkę z szafą. Torsten położył mu dłoń na ramieniu.

– Możemy to zrobić razem – powiedział. – Tylko się uspokój. Wejdę na górę.

– Idź do diabła! Nie potrzebuję pomocy!

– Lasse – odezwał się Torsten niemal błagalnie. – My dwaj musimy trzymać się razem, wiesz o tym. Chciałem tylko wyjaśnić sytuację.

Malm szarpnął się, wyswobodził ramię z jego uścisku, ale już nie próbował w pojedynkę rozładowywać samochodu. Stał, wpatrzony gdzieś przed siebie.

– Sprzedałem go Friskowi – odezwał się wreszcie. – Sprzedałem? Raczej mu go podarowałem. W zamian za jakieś sieci. Nie chciałem patrzeć na tę cholerną broń. Nie po tym, jak... Skąd, do diabła, mogłem wiedzieć, że dwadzieścia lat później on się z niej zastrzeli. Skąd mogłem wiedzieć! To nie moja wina.

– Nikt tak nie twierdzi. Odpowiedzialny jest tylko Frisk, wszyscy to wiedzą. Nikt cię nie wini.

Torsten poczuł przyływ wdzięczności. To wszystko wyjaśniało.

– Bierzmy się za tę szafę. – Wspiął się na tylne koło, przerzucił nogę przez krawędź skrzyni pick-upa i wdrapał się do środka. – Teraz już wiem, koniec gadania, w porządku?

Lasse Malm jeszcze przez chwilę tkwił nieruchomo na podwórzu. Potem chwycił pakunek i pociągnął tak mocno, że tylko sam kraniec opierał się o tylną klapę platformy.

– Możesz już zejść – powiedział. – To nie jest aż takie ciężkie.

Jedenastego grudnia Sammy Nilsson i Allan Fredriksson uzupełnili przesłuchanie Antego Perssona, tym razem z magnetofonem i kamerą wideo. Zdecydowali się odbyć je w domu opieki. Nie było sensu przewozić dziewięćdziesięcioletniego starca do komisariatu. Niepotrzebnie by się zmęczył, a obce otoczenie mogło osłabić jego chęć do rozmowy.

W końcu okazało się to bez znaczenia, ponieważ Ante Persson postanowił nie mówić nic ponadto, co już powiedział Lindell i Fredrikssonowi.

Tego samego dnia wydano sądowy nakaz rekwizycji listów, które – według Anneli Hietanen – Ante otrzymywał z Indii. Wcześniej, rankiem, Allan Fredriksson zdołał potwierdzić istnienie drewnianego pudełka w biblioteczce.

Zarówno Ottosson, jak i prokurator okręgowy nie mieli wątpliwości, że w takim wypadku mają do tego prawo. Listy mogły rzucić nieco światła na to dziwne morderstwo.

Allan Fredriksson i Sammy Nilsson otrzymali niewdzięczne zadanie powrotu do Ramund. Nie byli zachwyceni, tym bardziej że Ante od razu zagroził, że ich wyrzuci. Zerwał się na równe nogi – tym razem najwyraźniej bez problemów – i zamachnął na Fredrikssona.

Sammy Nilsson zmusił starca do opuszczenia ręki, niemal wcisnął go z powrotem w fotel i położył na stole urzędowy dokument.

– Przykro nam, ale musimy to zrobić – oświadczył.

– Pieprzeni faszyci! Nie zmieniliście się od wojny ani na jotę.

Allan Fredriksson podszedł do biblioteczki. Kiedy delikatnie wyciągał pudełko, zaklinowane między dwoma bordowymi tomami, powiódł wzrokiem po grzbietach książek. Lindell miała rację: księgozbiór Antego Perssona robił wrażenie.

– Zwrócimy je zaraz po przeczytaniu, to jasne – oznajmił Sammy Nilsson, próbując uspokoić Antego, który najwyraźniej podczas pierwszego ataku wyczerpał wszystkie swoje siły i teraz siedział pochylony bezwładnie nad stołem.

– Tu jest pokwitowanie dla pana.

Staruszek obrzucił go spojrzeniem pełnym niesmaku i bezsilności, ale nawet nie spróbował odebrać kartki, więc Nilsson położył ją na stole.

Po powrocie do komisariatu usiedli w pokoju Sammy'ego Nilssona. Zanim Fredriksson przyniósł kawę, Sammy sięgnął po pierwszy list. Przesunął go po stole w stronę kolegi, kiedy ten się pojawił, i sięgnął po następny. Po upływie pół godziny zajrzał Ottosson, ciekaw, jak się sprawy mają. W odpowiedzi usłyszał tylko pochrząkiwania, więc zostawił ich w spokoju.

Policjanci od czasu do czasu odrywali wzrok od lektury, ale jej nie komentowali. Początkowe skrepowanie zastąpiło narastające podniecenie. Opowieści o Indiach były zabawne i porywające, pisane w stylu całkowicie wolnym od suchej rzeczowości polityka. Dawały bardzo dobre wyobrażenie o życiu Svena-Arnego w Bangalurze. Opisy pracy w ogrodzie botanicznym, z każdym rokiem coraz bardziej obszerne i szczegółowe, przeplatały migawki z życia ulicy oraz wieści o sąsiadach i znajomych.

Było jasne, że przez cały ten czas – w ciągu dwunastu lat uzbierała się setka listów – Sven-Arne wkładał wiele wysiłku w to, by dostarczać stryjowi przyjemnej lektury, a nie tylko z obowiązku przesyłać mu pozdrowienia.

Jednak śledczy nie znaleźli w listach żadnej wzmianki na temat Uppsali, ani jednego zdania dotyczącego rodziny, codziennych spraw, pogody w Szwecji czy polityki. Przypuszczali, że o tym zapewne opowiadał w swoich listach Ante. Jednak nawet jeśli tak było, nie zaowocowało to żadnymi komentarzami czy innymi reakcjami ze strony bratanka.

W pewnym momencie Allan podniósł wzrok i zerknął na Sammy'ego, który tylko skinął głową i czytał dalej w milczeniu.

List datowany był na dwudziestego ósmego grudnia 1999 roku. Może to zbliżający się koniec tysiąclecia wywołał potrzebę podsumowań, bo Sven-Arne po raz pierwszy nawiązał do tego, co sześć lat wcześniej wydarzyło się w Kungsgärdet.

Fredriksson zdjął okulary i przetarł oczy.

– Co za bagno – powiedział, ciężko wzdychając.

– Dlaczego?

– Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Po co on w ogóle wracał do tej sprawy? Nic na nich nie mieliśmy, ani wtedy, ani teraz. I nagle facet zjawia się tu po dwunastu latach i zaczyna nam opowiadać.

– W dodatku same kłamstwa – podsumował Sammy Nilsson. – To najdziwniejsza sprawa, z jaką się zetknąłem.

Lektura zajęła im półtorej godziny. Obaj mieli wrażenie, jakby czytali powieść.

– Można by z tego zrobić książkę – stwierdził Sammy.

– I to jaką. Te listy są poruszające, szczególnie, kiedy opowiada o babci.

Fredrikssona dręczyły sprzeczne uczucia. Z jednej strony odczuwał podniecenie w związku z sensacyjnymi informacjami na temat śmierci Nilsa Dufvy, z drugiej, miał wrażenie, że naruszył czyjąś prywatność. Zaglądali w czyjeś najbardziej osobiste myśli, nieprzeznaczone dla osób postronnych, wyjawiane z założeniem, że ujrzą je oczy tylko jednego człowieka. A teraz te listy – przynajmniej niektóre – stały się częścią urzędowej dokumentacji.

– Co robimy?

– Przypuszczam, że będziemy musieli sprowadzić tu starszego pana.

– Najpierw porozmawiajmy z bratankiem – powiedział Sammy Nilsson.

– Może stawiać opór.

– Masz na myśli Antego?

Fredriksson skinął głową.

– Tym razem pogadamy tylko z Ottossonem, Lindell i Frittem. Musimy mieć całkowitą pewność, zanim dziennikarze zwietrzą sensację.

Zebrali listy i ułożyli je starannie w porządku chronologicznym. Najbardziej godne uwagi Sammy Nilsson oznaczył żółtymi samoprzylepnymi karteczkami. Potem udali się do gabinetu Ottossona.

Wyglądało, jakby na nich czekał, bo kiedy weszli, tkwił beczynn timer za biurkiem, z założonymi rękami. Po drugiej stronie stały dwa krzesła. Ottosson wykonał nieco przesadny zapraszający gest. Usiedli.

– No więc mamy tu trochę materiału – zaczął Sammy Nilsson, unosząc pakiet listów, jakby to był zwycięski łup.

– To widać po was z daleka. – Szef uśmiechnął się, jego twarz się rozpromieniła. – Wyglądaliście jak dwaj zakonnicy pochyleni nad albumem zdjęć z czasów Jezusa.

Allan Fredriksson zreferował pokrótce, co znaleźli w listach. Ottosson słuchał z miną, która niczego nie zdradzała, a kiedy Fredriksson skończył, otworzył szufladę i wyjął tekturową teczkę. Sprawiała wrażenie starej – typowa brązowa archiwalna teczka ze wzmocnionymi rogami i tasiemkami związanymi w schludną kokardkę. Przypomniała Fredrikssonowi jego karierę kancelisty w A6 w Jönköping. Dowódca batalionu, niejaki Anner, człowiek-legenda, jeśli chodzi o niekompetencję, miał zwyczaj w atakach nadgorliwości wymachiwać niezwykle ważnymi teczkami o podobnym wyglądzie, w których tak naprawdę nie było niczego ważnego. Fredriksson wzdrygnął się na samo wspomnienie tego zniechęconego okresu w swoim życiu.

– Tu mamy drugi kawałek łamigłówki – powiedział Ottosson, a obaj śledczy wyczuli, że szef tylko czekał na tę okazję.

– Co to jest? – spytał Sammy Nilsson i pochylił się do przodu.

Wiedział, że musi sprawiać wrażenie autentycznie zaintrygowanego i zaangażowanego, by Ottosson mógł przedstawić im wszystko z dostojeństwem, na które teczka najwyraźniej zasługiwała.

– Akta Nilsa Dufvy.

– Rozumiem – mruknął Fredriksson. – I co...?

– Motyw był ewidentnie polityczny – wyjaśnił Ottosson. – Zabójstwo Dufvy okazało się niewytłumaczalne, a w każdym razie trudne do pojęcia w 1993 roku. Tutaj jednak mamy to, o czym wówczas nie wiedzieliśmy. Wątki wiodące w przeszłość. Motyw. Dzięki waszym listom obraz jest teraz kompletny. Tajemnica została rozwiązana.

Och, daj już spokój, pomyślał Nilsson. Dość tych przemów.

– Skąd pochodzą te akta? – zapytał na głos.

– Z sił zbrojnych – wyrwał się Fredriksson.

Ottosson położył teczkę na biurku i spojrzał na Allana sponad krawędzi okularów.

– Możliwe – powiedział. – Ale nie wolno nam ich użyć. Są wypożyczone i niech was ręka boska broni, gdybyście choć zająknęli się na ich temat.

Dla podkreślenia wagi tej przestrogi gwałtownie wstał, pochylił się nad biurkiem i wbił wzrok w Nilssona, który w pierwszej chwili osłupiał, po czym się uśmiechnął. I we Frederikssona, który bardzo starał się nie wybuchnąć śmiechem.

– Tak jest, szefie – powiedział Nilsson i niedbale zasalutował.

Był zadowolony z postępów śledztwa. Pomyślał, że nawet polubił swojego rozbawionego kolegę. No i doceniał swego – niekiedy dramatyzującego – szefa, który próbował budzić grozę, doskonale wiedząc, że mu się to nie udaje.

– Dobrze, chłopaki – podsumował Ottosson z dwuznacznym uśmiechem. – A teraz wprawmy koła w ruch i przyskrzyńmy dziewięćdziesięciolatka, który gdzieś około trzech wieków temu zatłukł kulą starego nazistę. Zostaniemy bohaterami, społeczeństwo będzie nas chwalić pod niebiosa, telegramy i bukiety zasypią komisariat. Ante Persson pójdzie odsiadywać dożywocie. Sprawiedliwości stanie się zadość. Alleluja!

Pali się!

Doris Utman była wyraźnie wstrząśnięta.

– O czym ty mówisz?

– Wyjdź na ganek, to poczujesz – zwróciła się do sąsiada.

Thomas B. Sunesson porzucił swoje miejsce na kanapie przed telewizorem – właśnie zaczęły się wieczorne wiadomości – wziął do ręki słuchawkę telefonu, wsunął stopy w chodaki i uchylił drzwi. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność, chociaż cienka warstwa śniegu odbijała blask lampy obok garażu, pokrywając ogród upiorną, matową poświatą.

– Nie czuję żadnego dymu – powiedział Sunesson. – Może ktoś rozpałił w kominku?

– Wieje z południa. Pomyślałam o niej, tam dalej.

Zrozumiał, że Doris mówi o Lisen Morell.

– Dzwoniłaś do Lassego?

– Nie odbiera. Poza tym on nigdy nie rozpała kominka.

Thomas też o tym wiedział. Komin na domu Malma od dłuższego czasu groził zawaleniem. Lisen Morell nie miała kominka, a wiatr naprawdę dął z południa.

– Ulla i Magnus są w Gimo. Z wizytą u siostry Ulli.

Sunesson uśmiechnął się do siebie. Jak zwykle Doris Utman była świetnie poinformowana.

– Nie mogę zostawić Oskara. Znowu kiepsko się czuje. Inaczej sama poszłabym sprawdzić.

Jesienią stan Oskara Utmana uległ pogorszeniu i Doris za pomocą specjalnej pompki pomagała mężowi usuwać wydzielinę, której nie miał siły odkrztuszać.

– Pójdę się rozejrzeć – uspokoił ją Thomas. – A później do ciebie zadzwonię.

Wcale mu się to nie uśmiechało. Nie tylko miały mu przepaść wiadomości, ale jeszcze musiał wyjść na takie zimno. Miał nadzieję spędzić miły wieczór przed telewizorem, bo przez całe popołudnie zajęty był pracą. Zamontował nową słuchawkę do prysznicza, dokończył kłaść fugi w łazience, a później odkurzył i przetaił na mokro cały parter.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa szykowała się jak dotychczas najzimniejsza noc w tym sezonie. Załedwie przeszedł kawałek, a już wiedział, że powinien był założyć coś cieplejszego pod kurtkę.

Nagle poczuł zapach dymu. Zatrzymał się i wciągnął nosem powietrze. Doris miała rację. Zrobił jeszcze parę kroków i zawrócił po samochód.

Czyjaś postawna sylwetka majaczyła za płomieniami, buchającymi z ogniska pośrodku ogrodu, rzucając cień na ścianę rozświetlonego domu. On ma chyba nie po kolei w głowie, pomyślał Thomas. Palić ognisko o tej porze!

Skręcił i zaparkował samochód za pick-upem. Zanim wysiadł, zatelefonował do Doris, żeby ją uspokoić.

W blasku ognia uśmiechnięta twarz Lassego Malma wyglądała niemal diabolicznie.

– Masz kielbaski? – odezwał się donośnym głosem, jakby chciał zagłuszyć trzask płomieni.

Sprawiał wrażenie podnieconego. W ręku trzymał grabie.

– Dzwoniła Doris – powiedział Sunesson. – Poczula dym i się przestraszyła. Myślała, że to Sroka zaczęła coś palić.

– Dobrze pozbyć się tego starego gówna – oznajmił Lasse.

– Trochę wieje.

– Nie jest tak źle. Poza tym sporo tu śniegu.

Stali w milczeniu, obserwując ogień i iskry, które latały dookoła w ciemnościach.

– Co palisz? Kuchenne szafki?

– Nie, robię generalne porządki na górze. Przez całe lata niczego tam nie tykałem.

Wszyscy na Bultudden wiedzieli, że Lasse Malm rzadko wchodził na piętro, a już na pewno nigdy nie zaglądał do pokoju, gdzie zastrzelił się jego ojciec.

– Rzeczywiście lepiej się tego pozbyć – przyznał Thomas.

Natychmiast poczuł się życzliwej usposobiony. Początkowa złość, że musi chodzić po nocy, żeby odkryć, że Lasse właśnie wziął się do palenia śmieci i wystraszył Doris, ustąpiła. Zrobił krok w stronę ognia, wyciągnął ręce i zaczął grzać skostniałe dłonie.

– Widziałeś ją ostatnio?

– Kogo masz na myśli? – spytał Lasse Malm.

– Srokę.

– Jakiś czas temu.

– Zawsze kursuje tam i z powrotem, ale ostatnio jakby się uspokoiła – powiedział Thomas.

Cofnął się nieco. Od gorąca zaczerwieniły mu się policzki. – Może znowu coś jej wysiadło w aucie.

Lasse przesunął grabiami jakiś strzęp bliżej płomieni.

– Może ma faceta? – spytał nagle. – Widziałeś może kogoś?

– Nie. – Thomas uśmiechnął się szeroko. – Nie sądzę, żeby kogoś do siebie dopuściła.

– Nie? Myślisz, że ona może...

– Jest lesbijką? Nie, nie sądzę. Po prostu jest trochę świrnięta. Ale tak poza tym to niczego sobie.

– Tak myślisz? Nie jest trochę za chuda?

– Mnie się podoba – odparł Sunesson. – Jest całkiem apetyczna.

Malm spojrzał na niego z ukosa.

– Nie miałbym nic przeciw małemu bara-bara w tej rybackiej chacie, to na pewno – ciągnął Thomas. – Miło by było mieć kogoś w pobliżu.

– To jedź do niej – powiedział Lasse. – Tylko najpierw popilnuj przez chwilę ognia. Właśnie przypomniałem sobie, że mam jeszcze trochę gratów w szopie.

Podał sąsiadowi grabie i zniknął za rogiem domu jak zjawą. Thomas oparł się o grabie. Płomienie nie były już takie wysokie. Wokół unosił się cierpki, nieco gryzący zapach. Sunesson domyślał się, że Lasse puścił z dymem całą masę najróżniejszych rzeczy.

Malm wrócił, ciągnąc dwa wory śmieci i bez wahania cisnął je na stary materac, który właśnie się dopalał. Plastik niemal natychmiast zaczął się zwijać i worki pękły, odsłaniając stosy starych szmat i opakowań. Jakiś gałgan, zapewne nasączony rozpuszczalnikiem, zajął się gwałtownie. Butelka po oleju potoczyła się po ziemi, ale Thomas dobrze wymierzonym kopniakiem posłał ją z powrotem do ogniska.

Lasse znów się oddalił, po chwili wrócił z kolejną parą worków, które wepchnął w rozgorzałe na nowo płomienie.

– No, od razu lepiej – oznajmił. – Trochę mniej tego gówna.

– Myślałem o tej sprawie ze Sroką – powiedział Thomas.

– Już je wezmę. – Lasse wyciągnął rękę po grabie.

– Doszedłem do wniosku, że pewnie może być jakiś facet w tle.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie sądzę, żeby sprzedawała dużo tych swoich obrazów. Więc z czego żyje?

Lasse zgrabiał wprawdzie kilka kawałków drewna, plastik i parę innych rzeczy.

– Myślisz, że ktoś ją sponsoruje?

– Sponsoruje. Ładnie to określiłeś – odparł Thomas i parsknął stłumionym śmiechem.

– Mnie tam wszystko jedno – stwierdził Lasse. – Ani mnie ona ziębi, ani grzeje.

Schylił się i podniósł kawałek materiału. Przyglądał mu się przez chwilę, po czym cisnął do ognia.

– Aha, akurat. Przyznasz, że ...

– Przestań! Chcesz się z nią pieprzyć, to jedź do niej i zapytaj. W porządku?

Jeden z worków zaczął się ześlizgiwać na bok. Lasse podtrzymał go grabiami i przesunął z powrotem.

Sunesson zmienił temat.

– No dobra. Co planujesz na święta?

Malm pokręcił głową, ale nie odpowiedział.

– Ja pewnie wyskoczę do Fagerviken.

Lasse milczał. Nie spytał, co sąsiad planuje tam robić.

– Zadzwoń do Doris, żeby ją uspokoić – oznajmił ni z tego, ni z owego Thomas.

– Świetnie – odparł Lasse bez entuzjazmu.

– Widziałeś jeszcze gliny?

– Nie. A z tobą gadali? Myślałem, że już dali sobie spokój z tą sprawą?

– Ta babeczka z Uppsali... Tak sobie myślę, czy między nią i Markssonem coś się nie kroi. Bo inaczej po co by tu ciągle wpadała? Skoro wiadomo, że Frisk zabił tamtą dziewczynę... Spotkałeś ją kiedyś?

– Nie – odpowiedział Lasse.

– Ciekawe, jak Frisk ją poderwał?

Umilkli i wpatrywali się w ogień.

– Narobili zamieszania z tymi piłami. Widziałem, że twoją też wzięli.

– Trochę tu myszkowali – powiedział Lasse. – Możesz przesunąć się kawałek?

Zaczął zgarniać niedopalone resztki do ognia. Nagle trzonek grabi złamał się.

– Niech to szlag!

– Jesteś za silny. – Sunesson posłał mu ironiczny uśmiech.

Lasse Malm cisnął grabie na bok. Przez chwilę stał odwrócony tyłem, po czym gwałtownie ruszył przed siebie i rozpląnął się w mroku.

W ognisku coś zaskwierczało, buchnął pomarańczowy płomień. Thomas wsłuchiwał się w ciemność za rogiem, gdzie zniknął gospodarz. Minęło kilka minut. Z początku pomyślał, że Lasse poszedł po inne grabie, ale sąsiad nie wrócił.

Czyżby tak bez słowa poszedł do domu? Ogień zaczął przygasać, nie wydzielając już tyle ciepła co przedtem. Sunesson zerknął w stronę zabudowań.

Wreszcie wrócił do samochodu, włączył silnik, odczekał jeszcze chwilę, po czym wycofał

auto z podjazdu Malma i skierował się na południe.

Była za dwadzieścia dziesiąta, kiedy nagle przyszło jej to do głowy. Ann Lindell spędziła wieczór, porządkując zabawki i ubrania. Zebrała walające się po mieszkaniu gazety, zapełniła nimi dwie reklamówki, które postawiła koło drzwi. Odkurzyła całe mieszkanie, przetrła parapety, nastawiła kilka porcji prania. Przez całą noc nie opuszczała jej obraz Antego Perssona. Widziała bezsilną rozpacz i udrękę na jego twarzy, kiedy przewożono go do komisariatu, a potem wwieziono windą na drugie piętro i umieszczono w pokoju przesłuchań. Pochyliła się nad kruchym ciałem w wózku inwalidzkim i objęła je ramieniem. Fredriksson i Sammy Nilsson czekali już, gotowi rozpocząć przesłuchanie, ale rozumieli, że staruszka trzeba najpierw uspokoić.

Nie czuli radości. Wyjaśnienie morderstwa Nilsa Dufvy sprawiło, że ogarnął ich smutek, który przybrał na sile, kiedy Ante Persson znalazł się na komisariacie.

Starzec mamrotał coś, że „wszystko kołem się toczy”. Jednak naprawdę zdumiał Lindell strach w jego oczach. Oczekiwali oszołomienia, może zmęczenia, ale nie byli przygotowani na jawną grozę.

Ann Lindell wyszła z komisariatu, zanim rozpoczęło się przesłuchanie, więc nie wiedziała, jak przebiegło. Czy Ante został zatrzymany, czy odesłano go z powrotem do Ramund? To ostatnie wydawało się bardziej prawdopodobne. Przynajmniej taka była opinia Ottossona. Szef twierdził, że starszy pan nie ma szansy uciec, a na wszelki wypadek można było postawić pod drzwiami strażnika.

Właśnie kończyła pranie, kiedy doznała olśnienia i niepokój, który zaatakował ją tak gwałtownie przed cukiernią Savoy, nareszcie się wyjaśnił. Opróżniwszy suszarkę, sortowała ubrania, rozdzielając je na dwie schludne kupki – jedną swoją, drugą Erika – gdy przyszło jej na myśl, że przydałaby się jeszcze trzecia. W tym samym momencie gwałtownie wróciła pamięć. Miała uczucie, jakby poraził ją prąd.

Puściła wszystko, co miała w rękach i pobięła do kuchni sprawdzić, która godzina.

– Nie jest jeszcze za późno – wymamrotała.

Znajome podniecenie sprawiło, że zniecierpliwiona podeszła do okna i przez chwilę badawczo wpatrywała się w termometr. Jakby temperatura na zewnątrz mogła coś wyjaśnić albo rozstrzygnąć, co powinna zrobić.

A potem naszły ją wątpliwości. Podczas gdy zegar niezrażony tykał dalej, ona stawała się coraz bardziej niezdecydowana. W końcu, tuż po dziesiątej, wzięła do ręki komórkę.

Odezwał się natychmiast. Głos miał przytomny, co rozproszyło jej obawy. Nawet jeśli już się położył, to na pewno jeszcze nie spał.

– To ja – powiedziała. – Uświadomiłam sobie, co mnie dręczyło. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę z kimś pogadać.

– W porządku, oboje jesteśmy sowami – odparł Bosse Marksson.

– Pamiętasz, jak odwiedziliśmy Lassego Malma? Chciałam zwrócić mu piłę. Odnieśliśmy ją na miejsce, do szopy za domem.

– Tak?

– Stało tam kilka worów śmieci. Jeden się przewrócił, pamiętasz?

Marksson wydał potwierdzający pomruk.

– I wypadła z niego jakaś szmata. Zanim wyszliśmy, wepchnęłam ją z powrotem.

Lindell przerwała i bezwiednie poruszyła wolną ręką, naśladowując gest, który zrobiła wtedy w szopie.

– Teraz już wiem, co to było – odezwała się znowu. – Albo wydaje mi się, że wiem. Kiedy weszłam do cukierni, zauważyłam może roczną dziewczynkę. Siedziała na podłodze w różowej podkoszulce. Wylała coś na siebie, poplamiała koszulkę.

– Rozumiem, różowa koszulka – powiedział Marksson, żeby wspomóc jej pamięć.

– Ten sam kolor widziałam w worku ze śmieciami. Ciuch, który wepchnęłam z powrotem do worka, był właśnie takiego koloru.

– Tak?

– Rozumiesz?

– Nie, jeśli mam być szczerzy, to nie bardzo.

– Z worka wypadła różowa koszulka na ramiączkach.

Marksson przez chwilę przetrwał tę informację.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Co różowy top robił u Malma? Mówiłeś, że od wieków nie miał dziewczyny.

– Od paru lat – potwierdził Marksson. – Myślisz, że to top tej Tajki? Ale między nią i Malmem nie ma żadnego związku.

– Nie. O ile nam wiadomo.

– Trochę naciągane – dodał po chwili namysłu.

– Wiem. A kto by przypuszczał, że twój kumpel znajdzie na plaży stopę?

– To nie jest dobre porównanie – odparł. Lindell poznała po jego głosie, że się uśmiecha.

– Możesz wyskoczyć tam jutro i sprawdzić?

Znał Lassego od dzieciństwa, więc doskonale rozumiała, że się zawahał.

– Sama pojedę – powiedziała, gdy nie doczekała się odpowiedzi. – Znajdę jakiś powód, żeby powęszyć trochę w szopie. Powiem, że dostałam cynk, że Frisk mógł coś tam ukryć.

– Spokojnie, jeszcze myślę.

– Wpadnę jutro – powtórzyła. – Dam ci znać.

Skończyli rozmowę. Była za dwadzieścia jedenasta. Lindell złamała jedną ze swoich zasad, by nie pić alkoholu w dni robocze. Poszła do kuchni, otworzyła butelkę portugalskiego wina i naląła sobie kieliszek.

Zanim je spróbowała, rozebrała się, wzięła szybki prysznic, otuliła się szlafrokiem i usiadła na kanapie w pokoju dziennym.

– Na zdrowie! – powiedziała. Wzniosła kieliszek w kierunku telewizora i upiła łyk.

Usłyszała zbliżający się samochód i nie tyle się przestraszyła, co poczuła złość, że ktoś zakłóca ciszę. Przez kilka godzin szkicowała. Raz za razem powracała do tematu, zużyła wiele papieru, zanim szkic powoli zaczął przybierać pożądany kształt.

Odgłos silnika umilkł. Podeszła do okna, które wychodziło na ścieżkę, ale nie zobaczyła niczego oprócz ciemności pomiędzy pniami sosen.

Od Ulicy do chaty prowadziła wąska droga. Kto ją minął i pojechał dalej, zaledwie po stu metrach docierał do zawrotki na krańcu cypla. Zdarzało się, że ludzie tam zawracali, ale nigdy o tak późnej porze.

Lisen Morell wpatrywała się w grudniową noc. Czuła narastający strach. Wizytówka, którą zostawiła Ann Lindell, wisiała przypięta na korkowej tablicy. Komórka leżała na łóżku. Kolejne spojrzenie w okno, tym razem po zgaszeniu światła, nic nie dało. Ciemności i cisza były nieprzeniknione.

Nagle rozległo się pukanie. Obróciła się gwałtownie i wlepiła oczy w drzwi, a potem skoczyła w stronę łóżka, chwyciła telefon i wystukała numer 112.

– Kto tam? – krzyknęła.

– To tylko ja.

Wpatrywała się w drzwi. Głos brzmiał znajomo, ale przerażenie nie pozwoliło jej od razu go rozpoznać. Wcisnęła klawisz „połącz”. Ręce jej się trzęsły. Zabrział jeden sygnał, drugi, potem ktoś się odezwał. Kobieta. W tym momencie drzwi się otworzyły.

– Cześć – powiedział Thomas B. Sunesson.

Wszedł do środka i natychmiast zamknął je za sobą.

– Jest lodowato – powiedział z uśmiechem. – Nie chcę wypuścić ciepła.

Kobieta w telefonie wołała „halo”.

– Przestraszyłem cię?

Lisen Morell pokręciła głową.

– Rozmawiasz z kimś?

Kolejny przeczący ruch głową.

– Chciałem cię tylko uprzedzić, że Lasse pali śmieci. Na wypadek, gdyby zaniepokoił cię zapach dymu.

W końcu zdołała odpowiedzieć coraz bardziej wzburzonemu głosowi po drugiej stronie.

– Wybrałam zły numer – wykrztusiła i rozłączyła się.

– Jak się czujesz? Wyglądasz okropnie. Nie chciałem cię przestraszyć.

– Ale to zrobiłeś!

– Chciałem tylko ...

– Wiem, czego chciałeś! Przychodzisz tu, skradasz się.

– O czym ty mówisz?

– Idź już.

– Uspokój się – powiedział Sunesson.

Lisen Morell podniosła rękę, żeby go uciszyć.

– Wyjdź – powiedziała. – Albo zadzwonię po policję.

Patrzył na nią z zakłopotaną miną.

– O co ci chodziło z tym skradaniem się? Przecież zastukałem, prawda?

Opowiedział, jak to Doris Utman zatelefonowała do niego i musiał wyjść, żeby sprawdzić, skąd pochodził zapach spalenizny.

– Doris myślała, że to może u ciebie się pali.

– Tu nic się nie paliło – odpowiedziała Lisen.

– W porządku, teraz już wiem.

Zerknął na stół, po czym schylił się i podniósł z podłogi kawałek papieru.

– Niezłe – stwierdził.

– To tylko szkic. Przeszkadzasz mi. Chciałabym, żebyś już sobie poszedł.

Przyglądał się jej uważnie, upuścił kartkę, która znów sfrunęła na ziemię.

– Nie nadajesz się na dyplomatkę. Przyszedłem tu z troski. Bo my tutaj troszczymy się o siebie.

– Zauważyłam – odparła tak cierpko, że aż się skrzywił.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, że to dobry pomysł, żebyś mieszkała sama.

– A kto cię prosił o szczerłość? Też mieszkasz sam.

– Rozmawiałaś kiedyś z Friskiem? Przychodził tutaj?

– Czasami.

– A spotkałaś tę Tajkę?

Lisen pokręciła głową. Nagle odkryła, że cały jej gniew i strach znikły bez śladu. Pomyślała, że to zapach dymu ją uspokoił.

– Jak myślisz, co się wydarzyło?

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Mówiłaś, że ktoś się tu kręci. Kiedy ostatnio tu był?

– Niedawno, w nocy. Słyszałam kroki i jakieś odgłosy.

Sunesson podszedł do okna wychodzącego na morze i wlepił wzrok w ciemność. Obserwowała jego kark porośnięty sterczącymi włosami. Thomas jakby wyczuł jej spojrzenie, bo przeciągnął dłonią po barkach.

– Domyślasz się, kto to mógł być?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Wzruszyła ramionami.

– Mówiłaś komuś, że ktoś się tu zakrada? Mam na myśli policję.

– Wspomniałam o tym Ann Lindell. Poznałaś ją, prawda?

– Pewnie. Pożyczała sobie moją piłę – odparł.

Ruszył do drzwi, położył rękę na klamce, odwrócił się i spojrzał na nią poważnie.

– Musisz mieć oczy i uszy otwarte – powiedział. – Gdyby coś się działo, natychmiast do mnie dzwoń.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzył drzwi i wyszedł.

Po chwili usłyszała jego samochód. Dlaczego zaparkował aż przy zawrotce?, zastanawiała się, zamykając drzwi na zasuwę.

Lisen Morell skuliła się pod kocami. Kończyny miała zeszywniałe i zmarznięte, bolał ją krzyż. Jak zwykle kiedy pracowała zbyt długo. Zawsze miała skłonność do przesady. Pracowała za dużo, pochylała się i prostowała raz za razem, dopóki ze zmęczenia nie zaczynały jej drżeć ręce. Wieczór często zamieniał się w noc, zanim wreszcie odkładała ołówek, węgiel

albo pędzel. Teraz własne ciało karało ją za to.

Powiodła wzrokiem po izbie, gdzie w przyćmionym świetle białe kartki papieru zaścielały podłogę, dając świadectwo jej pracy. W tym chaosie prób znalazłaby się może jedna naprawdę coś warta, która posuwała pracę do przodu i być może – po kolejnych godzinach, dniach czy tygodniach harówki – mogła zaowocować obrazem do zaakceptowania.

Lisen balansowała na ostrej jak brzytwa krawędzi, zawieszona między całkowitym załamaniem, tak fizycznym, jak i artystycznym, a świetnością.

Pomyślała o nieoczekiwanej sąsiedzkiej wizycie i nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. Czyżby cała ta gadanina o dymie była po prostu pretekstem do nawiązania kontaktu? Czy to Sunesson zakradał się pod dom? Był nieszkodliwy. Nigdy by jej nie skrzywdził. Postanowiła, że któregoś dnia zaprosi go na kawę. Co nie znaczyło, że była nim zainteresowana. Chciała mu tylko pokazać, nad czym pracuje. Może będzie to pierwszy krok do lepszych stosunków z sąsiadami?

Późno zapadła w sen, ale ocknęła się niemal natychmiast. Usiadła w łóżku, zdeorientowana. Zegar na nocnym stoliku pokazywał drugą czternaście.

Panowała absolutna cisza. Nie było słyhać nawet wiatru ani szumu morskich fal. Ale coś ją obudziło. Ostrożnie odsunęła koce, narzuciła na ramiona szlafrok i otuliła się nim. Odgłos skrobania, gdzieś na zewnątrz, sprawił, że wydała stłumiony okrzyk. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Jeszcze mocniej przycisnęła połę szlafroka do piersi, jej serce waliło jak oszalałe.

Cyfry na elektronicznym zegarze informowały, że jest druga piętnaście. Lisen Morell wypuściła ustami powietrze, ledwie była w stanie oddychać.

Wiedziała, że powinna odszukać telefon komórkowy, leżał gdzieś wśród bałaganu na stole, ale nie była w stanie się podnieść. Drżała z zimna i ze strachu. Sparaliżowana grozą, ujrzała, jak odcięta stopa przesuwa się po podłodze, dotyka rozrzuconych papierów, zostawiając brudne, krwawe ślady na szkicach, po czym znika z pola widzenia. Smukła, zabłąkana stopa. Stopa kobiety. Jakby szukała swojego ciała, pomyślała Lisen.

– Nie chcę – wymamrotała, wsuwając ostrożnie ręce w rękawy szlafroka.

Przyszło jej do głowy, że może to ptak uderzył w szybę. Zdarzało się tak parokrotnie każdego roku, ale jakie ptaki latają w grudniową noc?

Wstała i na trzęsących się nogach przeszła kilka kroków w głąb pokoju. Okno wychodzące na zatokę było czarne. Nagle nadciągnął podmuch wiatru tak silny, że chata zadrziała w posadach, a morze odpowiedziało stłumionym łoskotem, bezlitośnie bijąc o brzeg i zdartą powierzchnię skał.

Lisen podeszła do okna. Ktoś tam, na zewnątrz, chce, żebym wpadła w obłąd, pomyślała. Co ja takiego zrobiłam? Zostawcie mnie w spokoju!

I wtedy kątem oka dostrzegła za szybą jakiś ruch. Jakby przemykający pospiesznie cień człowieka. Natychmiast odskoczyła na bok i przywarła do ściany. Na udach poczuła strużkę ciepłego moczu.

W Upplandii pierwsza prawdziwa zamieć tej zimy – z intensywnymi opadami śniegu i silnym północnym wichrem – nadeszła już nocą. Policja zmuszona była zamknąć wiele szos na obszarze wokół Tierp i Älvkarleby. Autostrada E4 pozostała otwarta dla ruchu, ale praktycznie okazała się nie do przebycia, w związku z czym część samochodów zjeżdżała z drogi. Koło kościoła w Björklinge obsunął się jakiś ciągnik i przyczepa zablokowała jeden pas ruchu.

Dla Allana Fredrikssona była to pierwsza zima w jego karierze mieszkańca wsi, toteż o godzinie dziewiątej, kiedy wreszcie zdołał pokonać dwadzieścia kilometrów dzielących go od Uppsali, był w fatalnym nastroju. Podczas pełnej wyzwania podróży miał dość czasu, by pożałować decyzji o przeprowadzce.

– Za parę miesięcy będzie lepiej – usiłował podnieść go na duchu Sammy Nilsson, aczkolwiek nie bez złośliwej satysfakcji.

Ostatniego lata Allan Fredriksson rozplątywał się nad swoim wiejskim życiem, zanudzając wszystkich opisami ptasich treli. Jesienią rozwodził się bez końca o rześkich dniach i fantastycznych kolorach. A teraz musiał odszczekać swoje zachwyty.

– Odsnieżanie dobrze robi na sylwetkę – stwierdziła Beatrice.

Allan spiorunował ją wzrokiem. Ann Lindell zerknęła na koleżankę i już miała na końcu języka, że każdy powinien zająć się własną walką z nadwagą, ale zrezygnowała i tylko się uśmiechnęła. Ona sama, zostawiwszy w przedszkolu rozradowanego Erika, wlokła się po śliskich jezdniach przez sparaliżowane miasto, w pewnym momencie o mało nie rozjechała starszego pana, który oślepiiony śniegiem zszedł na jezdnię.

Ottosson pospiesznie poprosił o ciszę, wyczuwając napiętą, lekko anarchistyczną atmosferę, wywołaną przez burzę śnieżną.

Rozpoczął naradę od zreferowania sprawy listów, które znaleźli u Antego Perssona. Siedzący przy drugim końcu stołu Riis parsknął śmiechem.

– Co się dzieje? – zapytał Ottosson.

– Nic – zapewnił go Riis, starając się zachować powagę.

Lindell popatrzyła na kolegę, który coraz bardziej tracił w jej oczach. Czyżby bawiło go, że będą sądzić „czerwonego” za morderstwo?

– Zaprosimy starszego pana na rozmowę i wysłuchamy, co ma do powiedzenia – oznajmił Sammy Nilsson. – Jednak największą zagadkę stanowi dla mnie Sven-Arne Persson. Dlaczego przyznał się do morderstwa, skoro w liście sugeruje, że popełnił je stryj?

– Tylko sugeruje? – spytała Beatrice.

– Więcej niż sugeruje, ale nie stwierdza tego dosłownie – wyjaśnił Allan Fredriksson. – Uważam, że jeden i drugi maczali w tym palce. Obaj, Sven-Arne i Ante, byli w tamtym domu, kiedy Dufva zginął. Sven-Arne powiedział coś, co zdaje się potwierdzać jego wersję. Podobno nie przypomina sobie dokładnie, jak wyglądał salon Dufvy ani co się stało, zapamiętał jedynie, że jednocześnie grały i radio, i telewizor. Skonsultowałem to z Berglundem. Tamtego wieczoru był na służbie i jako pierwszy zjawił się na miejscu zbrodni. Został włączone i radio, i telewizor. Na pełny regulator. Dokładnie tak, jak zeznał Sven-Arne.

– A co mówią listy? – chciał wiedzieć Riis.

Fredriksson wyciągnął notatnik i przeczytał kilka fragmentów.

– „Niby rozumiem, a jednak nie. Co Dufva ci takiego zrobił?” Tak pisze w liście z końca 1999 roku. A w innym, wysłanym kilka tygodni później, stwierdza: „Tak czy inaczej, ilu jest takich Dufvów? On był pionkiem, a co z innymi? Wszyscy mają zginąć?” I dalej w tym samym liście: „Do czego jesteśmy zdolni? Sporo o tym myślę. Tutaj, w Indiach, ludzie umierają z głodu albo odbierają sobie życie z rozpacz. Co byśmy powiedzieli, gdyby porzucili slumsy czy wioski i zaszlachtowali swoich ciemieńców i lichwiarzy jak nierozumne zwierzęta. Czy przyklasnąłbym takiemu czynowi? Prawdę mówiąc, nie wiem. Kim jestem, żeby osądzać? Nigdy nie byłem zwolennikiem przemocy, wiesz o tym. Twoja walka nigdy nie była moją, nawet jeśli staliśmy po tej samej stronie. W pewnym sensie zazdroszczę ci twego zaangażowania, ale drzę na myśl o tym, co przydarzyło się Dufvie”. – Fredriksson umilkł i podniósł wzrok. Wszyscy zebrani w ciszy przetrawiali słowa Perssona.

– Wątpię, żebyśmy wiele wydobyli z tego staruszka – odezwała się w końcu Beatrice. – Zdaje się, że ma dość ograniczoną sprawność umysłową. Kiedy...

– Mylisz się – przerwała jej Lindell. – Jest bystrzejszy niż ty i ja razem wzięte.

– Mów za siebie – odpowiedziała z uśmiechem Beatrice.

Suka, pomyślała Lindell, ale nie ciągnęła wymiany złości. Skupiona wpatrywała się w swoje notatki. Nie powiedziała nikomu, że planuje znowu jechać na wybrzeże. Gdy koledzy dyskutowali o Perssonach, ona myślami była na Bultudden. Od samego rana zastanawiała się, czy ma rację. Migawka z szopy Lassego Malma, niemal automatyczny gest schylenia się po kolorowy ciuszek, żeby wepchnąć go do worka. Czy mogła wymyślić to po fakcie? Czy to naprawdę był różowy top?

Zastanawiała się tak intensywnie, że wątpliwości zaczęły powoli zmieniać jej wspomnienia. Wiedziała, że musi tam pojechać, ale zważywszy na śnieżycę, wątpiła, czy zdoła. Podróż w taką pogodę byłaby nierozsądna. Może powinna zadzwonić do Markssona i poprosić, żeby sam zajrzał na cypel? Tylko że śnieżycy atakowały wybrzeże zazwyczaj silniej niż obszary w głębi lądu. Biorąc pod uwagę, jak nieliczny był personel posterunku w Östhammar, musiała założyć, że Bosse miał pełne ręce roboty. Postanowiła wstrzymać się z ostateczną decyzją do lunchu. Miała nadzieję, że śnieg przestanie padać.

Nagle dotarło do niej, że znów słyszy nazwisko Berglunda. Podniosła wzrok. Allan Fredriksson streszczał właśnie przebieg śledztwa z 1993 roku. Poczuli się wyczerpani. Westchnęła. Uderzyło ją, jak bardzo się nudzi. Dlaczego tu siedzę? Przypomniała sobie radość synka, kiedy rano brnęli do samochodu. Erik wpadł w zachwyt, że jest tak biało. Była pewna, że teraz z innymi dziećmi tarzał się w śniegu na przedszkolnym placu zabaw.

– Też chcę się tarzać w śniegu – mruknęła. Ola Haver rzucił jej zaciekawione spojrzenie. Chcę się tarzać, pokazała na migi. Pokręcił głową i uśmiechnął się.

Chcę się pieprzyć, pomyślała. Czy to to samo co tarzanie się? Brak bliskości – mężczyzny, z którym mogłaby się tarzać – bolał. Rozejrzała się dookoła i poczuła narastającą wrogość. Widziała, jak poruszają się usta Fredrikssona, ale nie rejestrowała niczego, co mówił. Przyglądała się Sammy’emu Nilssonowi, Riisowi, Beatrice i pozostałym kolegom, zgromadzonym wokół stołu. Wszystko takie uporządkowane, takie metodyczne i takie piekielnie nudne. Ile kubków kawy tu wypili? Ile słów zmarnowali w tym pokoju?

Jej następną myślą były wakacje. Długie wakacje. Słońce. Żadnego śniegu. Słońce. Dotyk

ciepła na ciele. Fredriksson nadal bił pianę. Ottosson uśmiechał się zachęcająco. Fredriksson kontynuował swoją przemowę.

I o czym tu mówić, pomyślała gorzko, a kiedy Allan wreszcie skończył, powiedziała to na głos.

– Postawcie staruszkowi zarzuty i tyle – dodała, nie mogąc ukryć rozdrażnienia.

Ottosson popatrzył na nią zdziwiony, po czym zaczął spekulować na temat tego, co musiało się wydarzyć. Jakby z jakichś nieznanych przyczyn chciał przedłużyć naradę. Ale zebrani stracili już zainteresowanie. Sammy Nilsson odsunął krzesło od stołu, wyciągnął nogi i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w sufit. Ola Haver bazgrał coś na kartce, uśmiechając się głupio, jak gdyby nawet on był w stanie myśleć o rzeczach przyjemniejszych niż morderstwo.

Po następnych dziesięciu minutach zakończyli nasiadówkę. Wszyscy wyszli w pośpiechu, tylko Lindell tradycyjnie się ociągała. Mieli z Ottossonem taki zwyczaj, że zamieniali jeszcze kilka słów na osobności.

– Myślałam o Östhammar – zagadnęła. – Coś mi się przypomniało. W każdym razie tak mi się wydaje.

Zbierając notatki, Ottosson z roztargnieniem skinął głową.

– Jeśli pogoda się poprawi, wyskoczę tam po południu. Dobrze?

– Oczywiście – odparł. – Nawet powinnaś. To coś konkretnego?

– Tylko taka myśl.

Ottosson podniósł wzrok.

– Nie wierzysz w tę historię o piekarzu, co? – zauważył.

– Sama nie wiem.

– Jak się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną.

– Po prostu mam ochotę się trochę potarzać – odpowiedziała i wyszła z pokoju.

Śnieg przestał padać późnym rankiem i około jedenastej nad Uppsalą zaświeciło blade słońce. Ann Lindell zadzwoniła do Bossego Markssona. Pogoda ustabilizowała się nawet na wybrzeżu. W ciągu nocy i z ranka spadło około pół metra śniegu, ale nie było zgłoszeń o żadnych znacznych problemach z ruchem czy wypadkach. Lindell postanowiła jechać.

Ustalili, że spotkają się o drugiej na posterunku w Östhammar. Jeśli nadal będzie panował spokój, Marksson uda się z nią na Bultudden.

Allan Fredriksson i Sammy Nilsson przesiedzieli cały ranek przy stole naprzeciwko posępnego Antego Perssona. Staruszek nie protestował, kiedy po niego przyjechali, wręcz był chętny do współpracy. Ze szczególną dbałością wybierał odpowiedni strój, w końcu zdecydował się na szare spodnie, zrobiony na drutach kardigan i sportową marynarkę. Jedna z pielęgniarek, które patrzyły na Fredrikssona i Nilssona ze źle skrywaną pogardą, pomogła swemu podopiecznemu ubrać się, gdy tymczasem policjanci czekali na zewnątrz.

Wreszcie Ante pojawił się w korytarzu. Z uśmiechem na ustach pchał przed sobą balkonik i odrzucał wszelkie propozycje pomocy.

Później, gdy przewieźli go już do komisariatu i we trójkę zainstalowali się w pokoju przesłuchań, nastrój starszego pana uległ całkowitej zmianie. Ante popadł w przygnębienie i pytania śledczych zbywał krótko.

Listy Svena-Arnego, które odnosiły się do wydarzeń w Kungsgärdet w 1993 roku, skomentował określeniem „sprawy rodzinne”. Za to przez cały czas nalegał na rozmowę z bratankiem.

Po przerwie – Ante narzekał, że jest głodny i zażyczył sobie owsianki oraz kanapek z jajkiem i pastą kawiorową – przesłuchanie zostało wznowione i Allan Fredriksson powrócił do wątku politycznego.

– Wielokrotnie słyszeliśmy tutaj, że Nils Dufva był zbrodniarzem wojennym. Czy mógłby pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

– To proste – odparł Ante Persson. – Oficjalnie deklarował się jako nazista. I wyście mu na to pozwalali! Nawet daliście mu ciepłą posadkę.

– Nie omawiamy teraz kwestii jego zatrudnienia. Zbrodniarz wojenny – co pan miał na myśli?

– Jakbym musiał przechodzić wszystko od nowa. – Persson wymownie machnął ręką. – Mam to już za sobą, nie boję się.

Sammy Nilsson zauważył, że owsianka kapnęła staruszkowi na klapę marynarki.

– Bo też nie ma czego się bać – powiedział. – Po prostu próbujemy ustalić, co się wydarzyło. Mówi pan, że walczył o sprawiedliwość. Potrafię to uszanować, ale my też pracujemy dla sprawiedliwości.

– A co wy wiecie o marzeniach? – ciągnął Ante Persson, jakby nie słyszał słów Nilssona. – Ja niedługo pójdę do grobu i wiem, że po drugiej stronie nic nie ma. Po prostu koniec. Teraz trzeba dokonać ostatecznej analizy i z pewnością mój głos powinien liczyć się tak samo jak głosy innych. Zbyt wiele pamiętam. Niekiedy żałuję, że nie dostałem miążdżycy i nie zeskleročiau, Wtedy miałbym spokój. Dlaczego miałbym wam ufać? Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Zawsze prześladowaliście mnie i moich towarzyszy. Tak, zabiłem faszystę, ale to była sprawa pomiędzy nim a mną i moimi przyjaciółmi. Zasłużył na to. Mówicie o sprawiedliwości, a co jest sprawiedliwszego niż strącić w ciemność kogoś takiego jak on? Dufva był ciemnością, a ja go dopadłem. Myślał, że wszyscy zapomnieli, ale ja nie zapomniałem. Dopadłem go.

– Co on zrobił? – zapytał Allan Fredriksson po chwili ciszy.

– To pozostanie między nim i mną – powiedział Ante zmęczonym głosem.

– Jak pan go zabił?

– Nieważne – odparł starzec. – Kompletnie bez znaczenia. Nie żyje i tylko to się liczy.

A teraz ja też niedługo umrę. Sven-Arne nie miał z tym nic wspólnego. Jest tchórzem, ma mętlik w głowie.

– Trudno nazwać tchórzem kogoś, kto przyznaje się do morderstwa, którego nie popełnił – zaoponował Fredriksson.

Ante uśmiechnął się.

– Może właśnie na tym polega tchórzostwo – powiedział.

– Pomagał panu?

Stary człowiek pokręcił głową.

– Sven-Arne nigdy nie był tam w środku. Ile razy mam to powtarzać? Zmęczyłem się. Chcę wrócić do domu. W przeciwnym razie będziecie musieli mnie aresztować, zamknąć celę i wyrzucić klucz.

Po naradzie z prokuratorem Ottosson zezwolił Antemu Perssonowi na powrót do Ramund. Była to niezwykła decyzja, ale uznali, że ryzyko ucieczki jest minimalne, jako że starzec z trudem się porusza, a poza tym mieli nadzieję, że w znajomym otoczeniu będzie lepiej funkcjonował.

Ante Persson został oficjalnie oskarżony o zamordowanie Nilsa Dufvy, a następnie odwieziony do domu opieki w Ramund.

Chociaż zagadka dawnej zbrodni wydawała się rozwiązana, Ottosson nie czuł się w pełni usatysfakcjonowany. Chciał zrozumieć. Chciał faktów: jak, kiedy, dlaczego. A jedyne pytanie, na które otrzymał odpowiedź to „kiedy”.

– Nie pojmuję tego – powtórzył po raz drugi, kiedy Sammy Nilsson, który właśnie wrócił z Ramund, zameldował, że Ante Persson został odwieziony i natychmiast położył się, żeby odpocząć. Na nocnym stoliku koło łóżka oczekiwała go świąteczna kompozycja z hiacyntów i czerwonych tulipanów na powitanie od jednej z pracownic domu opieki.

– Morderca, który dostaje kwiaty – powiedziała Beatrice, która właśnie do nich dołączyła.

– Chcę, żebyście oboje pojechali do Kungsgärdet pogadać z krewnymi Dufvy. Ta kobieta nadal tam mieszka. Zawiadomcie ją, co się wydarzyło. Lepiej, żeby nie dowiedziała się o tym z mediów. Beatrice, dodzwoniłaś się do niej?

– Nie, ale rozmawiałam z jej mężem. Podobno jest chora. Prosił, żebyśmy zostawili ją w spokoju.

– Grypa?

– Nie, zdaje się, że... Mówił coś, że jest przepracowana, wypalona, no wiecie.

Sammy Nilsson pokręcił głową.

– Jedźmy tam – powiedział. – Jestem ciekaw, jak to wygląda. Mam na myśli miejsce zbrodni.

Małe uliczki Kungsgärdet zostały niezwykle dokładnie odśnieżone, ale najwidoczniej ekipy sprzątające nie bardzo wiedziały, co zrobić z odgarniętym śniegiem, bo na każdym rogu piętrzyła się gigantyczna hałda. Wszystkie zaparkowane pod gołym niebem samochody były pokryte białymi czapami i uziemione przez śniegowe zapory. Na Arosgatan jakiś starszy mężczyzna desperacko próbował odkopać swoje volvo.

Kiedy Sammy Nilsson i Beatrice mijali go, bezradnie wzruszył ramionami. Nilsson zwolnił, rozważając, czy się nie zatrzymać i mu nie pomóc, ale w końcu pojechał dalej.

– Mam nadzieję, że śnieg utrzyma się do Bożego Narodzenia – powiedziała Beatrice.

Mam nadzieję, że zima skończy się jutro, pomyślał Sammy.

– Śnieg wszystko rozjaśnia. I dzieciaki mają frajdę.

– Jeszcze jeden frazes i wracasz – oznajmił ponuro Sammy.

Beatrice odwróciła głowę i przyjrzała się koledze.

– Dookoła sami cholerni ponuracy.

– Sami?

– Tak, sami. Jakby cały komisariat...

– To przez tę zimę – przerwał jej Sammy już bardziej pojednawczym tonem. – Człowiek nie jest do tego przystosowany.

– Bzdura – odparła Bea.

Siedzieli w milczeniu, dopóki nie podjechali pod dom, w którym dawniej mieszkał Nils Dufva, a potem przejeździła go Jenny Holgersson i jej mąż.

– Wyluzuj – odezwała się Beatrice. – Pomyśl o tym, że ta kobieta jest wypalona.

Sammy Nilsson nie był pewien, czy to aby nie ironia, więc nic nie powiedział.

Niklas Öhman otworzył drzwi, zanim zdążyli dotrzeć do schodków.

– Zauważyłem samochód. Nie chciałem, żeby państwo dzwonili. Jenny śpi.

Pierwszą rzeczą, którą odnotował Nilsson, było wyczerpanie. Öhman wyglądał jakby niedosypiał przez kilka nocy z rzędu, co zresztą natychmiast potwierdził.

– Będą mi musieli państwo wybaczyć, ostatnio źle sypiam. Ale proszę wejść. Możemy usiąść w kuchni.

W holu było duszno. Słaba woń rozcieńczalnika albo może płynu do mycia podłogi nie była w stanie zamaskować wrażenia nieświeżości. Sammy Nilsson wyciągnął szyję i zerknął do salonu. A więc to tutaj wszystko się odbyło.

W milczeniu zdjęli kurtki i udali się za gospodarzem.

– Usiądźcie państwo, proszę. Może kawy?

– Nie, nie trzeba, dziękujemy – odparła Beatrice.

Niklas Öhman opadł ciężko na krzesło.

– Nie rozumiem – stwierdził. – Zupełnie jakby wrócił tamten zły czas, a ja tego nie ogarniam.

– Jaki zły czas?

– Po morderstwie. Jenny bardzo ciężko to przeżyła. Czuli się winni, bo tamtego wieczoru nie zajrzała do Dufvy. Gdyby tu była, może nic by się nie stało.

– Byli sobie bliscy?

– Bliscy to trochę za dużo powiedziane. Ale to przecież ona go znalazła.

– A teraz dawne zmory wróciły – zauważył Sammy Nilsson. – To nie wyczerpanie pracą ani wypalenie, prawda?

Öhman milczał, na jego twarzy pojawił się grymas, po chwili skinął głową. Odpowiedź równie dobra jak każda inna.

– Mam nowe przyznanie się do winy – powiedziała Beatrice.

– Nowe? Jak mam to rozumieć?

– Stryj Svena-Arnego Perssona twierdzi, że zamordował Nilsa Dufwę.

Niklas Öhman wpatrywał się skonfundowany w Beatrice, po czym przeniósł wzrok na Nilssona, jak gdyby próbował się upewnić, że policjantka nie mówiła tego poważnie.

– Chcieliśmy poinformować państwa, zanim sprawa dotrze do mediów. Jak pan rozumie, to dla nich gratka. Najprawdopodobniej będą mieli państwo gości.

– Jakich znowu gości?

– Reporterów – wyjaśnił Sammy Nilsson.

Niklas Öhman głęboko zaczerpnął powietrza i przez otwarte drzwi zerknął do holu.

– My już mieliśmy gości – mruknął.

– Kto to był?

Öhman opowiedział im o nieoczekiwanej wizycie Svena-Arnego Perssona.

– Wydawał się lekko pomyłony. Miał na nogach sandały i wyglądał na kompletnie padniętego. Zaatakował Jenny, kiedy wróciła do domu, ale wyrzuciłem go za drzwi.

– Zaatakował? Co pan przez to rozumie?

– Zaczął do niej mówić.

– Dość łagodny atak – uśmiechnęła się Beatrice.

– Jenny nie czuje się dobrze! – oznajmił dobitnie Niklas Öhman. – Ona cierpi z powodu tego wszystkiego.

– Dlaczego tak mówisz?

Cała trójka przy stole wzdrygnęła się. W mrocznym holu majaczyła jakaś sylwetka. Niklas Öhman zerwał się z krzesła i wyszedł. Policjanci słyszeli, jak coś szepcze, a potem kobieta zaprotestowała.

– Czy pani jest Jenny? – spytała Beatrice.

Kobieta uwolniła się od Öhmana i ostrożnie weszła do kuchni. Mrugając, oślepią jasnym światłem, wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się framugi.

– Powiedziałam wam już wszystko, co wiem – oznajmiła beznamyślnie.

Beatrice wyjaśniła cel ich wizyty. Jenny słuchała, nieruchoma. Jej twarz, pokryta plamami i bliznami po trądziku, wyglądała jak wykuta z kamienia. Tylko język przesuwiał się nerwowo po wargach. Niezbyt czyste włosy miała zaczesane do tyłu i ściągnięte w kucyk, a stopy bose. Ubrana była w za duży sweter i zmięte spodnie od dresu. Pachniała potem.

W starych aktach sprawy Beatrice widziała zdjęcie Jenny Holgersson sprzed dwunastu lat: młoda, ładna kobieta o poważnych oczach, patrząca w obiektyw niemal wyzywającym wzrokiem. Teraz zmieniała się we wrak człowieka.

Mąż położył jej dłoń na ramieniu, ale Jenny natychmiast strząsnęła ją z rozdrażnieniem.

– Oni kłamią – powiedziała schrypniętym głosem i rozkaszała się. Posłała Beatrice spojrzenie, które sprawiło, że policjantka miała ochotę wyciągnąć do niej rękę.

– Uspokój się – powiedział niemal błagalnym tonem Niklas Öhman. – Już po wszystkim.

– Nigdy nie będzie po wszystkim! – krzyknęła Jenny.

– Kto kłamie? – spytał Sammy Nilsson.

– Wszyscy – wymamrotała.

– Usiądzie pani?

– Jenny musi odpocząć – wtrącił się Öhman.

– Czy pani Holgersson nie potrafi mówić we własnym imieniu? – zaprotestowała Beatrice

rozdrażniona.

– Będzie tylko gorzej – odparł mężczyzna.

– Gorzej już nie może być – szepnęła Jenny, prawie niesłyszalnie.

Niklas Öhman ujął ją pod ramię, pozwoliła mu wyprowadzić się z kuchni. Zanim zniknęli w głębi domu, mężczyzna zerknął jeszcze przez ramię na policjantów.

Beatrice i Sammy wymienili spojrzenia. Nilsson pokręcił głową.

– I co o tym myślisz? – spytała cicho Beatrice.

– Ona potrzebuje pomocy – odparł.

– Wszyscy kłamią – powtórzyła Beatrice. – Dobrze ujęte.

– Kto to są ci „wszyscy”?

Beatrice wzruszyła ramionami, jakby dając do zrozumienia, że „wszyscy” oznacza po prostu wszystkich zamieszanych w sprawę.

Po drodze do Östhammar naliczyła osiem samochodów, które wypadły z szosy i leżały w okolicznych rowach, parę przeleciało nawet kawałek dalej. Śnieżycy zbierała swoje żniwo.

Lindell prowadziła wyjątkowo ostrożnie. Warunki jazdy były już przyzwoite, ale chciała mieć czas, żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć. Jechała tak powoli, że utworzył się za nią długi sznur samochodów. Tuż przed Alundą kilkanaście z nich zdołało ją wyprzedzić, kolejne zrobiły to na prostym odcinku przed Gimo.

Telefon komórkowy zadzwonił, kiedy mijała kościół w Börstil. Nieznany numer. Zastanawiała się, czy go nie zignorować, ale po piątym sygnale ciekawość zwyciężyła.

- Witam, mówi Thomas Sunesson. Może mnie pani pamięta...
- Witam, oczywiście, że wiem, kim pan jest – odparła Lindell, czując przyływ podniecenia.
- Co pana trapi?
- Myślałem o... o czymś.
- Tak?
- Chodzi o Friska. Czy raczej o jego piłę.

Lindell skręciła na przystanek autobusowy i zatrzymała się. Za ogrodzeniem sąsiedniej posesji natychmiast pojawił się owczarek niemiecki. Wspiął się na tylne łapy, przednie oparł o płot i szczekał jak szalony. Jego ostre zęby i czerwona paszcza przypomniały Lindell o tym, co wydarzyło się na cyplu Bultudden.

- Co pan ma na myśli? Niezbyt wyraźnie pana słyszę.
- Kiedy pani... moją piłę... jedna... w pani... Lassego ... ale ... zawsze miał jonsereda.
- Jonsereda – powtórzyła Lindell.

Pies przestał szczekać.

- Halo! Co pan powiedział?
- ... ja... też kupił... ale to byłaby... A potem, kiedy... coś tutaj... – ciągnął Sunesson.
- Mamy kiepskie połączenie, ciągle przerywa – odpowiedziała Lindell. – Prawie nie słyszę, co pan mówi. Właśnie tam do was jadę. Jest pan w domu?
- Tak... ale...

Głos Sunessa znikł. Lindell przyglądała się owczarkowi. Od strony budynku zbliżał się starszy mężczyzna. Widziała, że coś wołał. Pies natychmiast zostawił płot i podbiegł do swego pana, a ten schylił się i poklepał pupila po łbie. Zobaczyła, jak ogon psa zamerdzał. Mężczyzna wyprostował się, zwrócił się ponownie do psa i razem zniknęli za rogiem domu.

Co Sunesson mówił? Że Frisk zwykle używał jonsereda? Ale przecież w szopie Friska znaleźli piłę marki Stihl z resztkami skóry i krwi. To niekoniecznie musiało coś oznaczać, jednak w głosie Sunessa było coś, co zwróciło uwagę Lindell. Thomas najwyraźniej dużo o tym myślał. Teraz przypominała sobie jego lekkie oszołomienie i zakłopotanie, kiedy przyjechała z Markssonem na Bultudden, żeby zwrócić narzędzia. Wtedy nie potrafiła poprawnie zinterpretować jego zachowania, uznała je raczej za ogólny wyraz konsternacji, typowej dla ludzi, którzy otarli się o poważną zbrodnię. Obserwowała to niezliczoną ilość razy u członków rodzin, sąsiadów i świadków: zaskoczenie przemieszane z niedowierzaniem, czasem też gniewem. To, co z perspektywy czasu okazywało się oczywiste i istotne, nie zawsze

tak wyglądało na początku. Dopiero teraz młyn w głowie Sunessona dokończył dzieła.

Wyjechała z przystanku, na którym się zatrzymała. Po drugiej stronie drogi kościół w Börstil jaśniał wśród śniegu, niczym zadowolony z siebie, dostojny wieśniak, gotowy na Boże Narodzenie. Przed kościelnymi wrotami stała choinka. Gwiazda na jej czubku przekrzywiła się i groził jej upadek.

Stwierdziwszy, że dochodzi za kwadrans druga, Lindell wcisnęła pedał gazu, by punktualnie dotrzeć na posterunek w Östhammar.

Bosse Marksson siedział w pokoju socjalnym nad filiżanką kawy. Sprawiał wrażenie kompletnie wykończonego.

– Nie ma sprawiedliwości – powiedział. – Śnieg po prostu rozkłada ten cholerny kraj na łopatki. A ludzie nigdy się nie nauczą! Piekłą się, kiedy służby miejskie nie są w stanie wystarczająco szybko uporać się z opadami, a sami łażą po tej szklance w letnich butach i jeżdżą jak idioci.

Lindell miała już serdecznie dosyć tematów meteorologicznych, więc postanowiła nie komentować jego wybuchu. Zamiast tego opowiedziała o rozmowie z Sunessonem.

– Rozumiem – mruknął Marksson bez wielkiego entuzjazmu. – Chciał z tobą pogadać na temat pił łańcuchowych.

– Coś jest nie tak z jonseredem.

– Mamy tam jechać?

– Jeśli masz siłę – odpowiedziała. – W przeciwnym razie załatwię to sama.

– Pojadę. – Marksson dźwignął się z krzesła. – Przy okazji sprawdzę stan dróg.

– Pracowałeś ostatniej nocy?

Pokiwał głową.

– Ściągnęli mnie o czwartej nad ranem.

– Może lepiej trochę się zdrzemnij.

– Zdążę się wyspać po śmierci.

Jechali w milczeniu. Marksson zamknął oczy i wyglądał, jakby przysypiał, tym samym pozbawiając się szans na kontrolę stanu lokalnych dróg.

– Zapomniałem ci powiedzieć – odezwał się nagle i uniósł powieki. – W centrum powiadomienia ratunkowego odebrali dziwny telefon. Zadzwonila jakaś kobieta i utrzymywała, że się pomyliła, wybierając numer. Oni tam rutynowo sprawdzają takie połączenia. Okazało się, że akurat to zostało wykonane z komórki Lisen Morell.

– Co?! Kiedy to było?

– Zeszłej nocy.

– I mówisz mi o tym dopiero teraz?!

– Wyleciało mi z głowy.

Odwrócił się i spojrział na nią.

– Zadzwoń do Lisen. Na wszelki wypadek. Powiedziała, że w nocy coś ją przestraszyło.

Czuła się głupio z powodu tego telefonu, nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Lindell milczała, dopóki nie dotarli do zjazdu na Bultudden.

– Pojedźmy najpierw do niej – odezwała się wreszcie.

Krajobraz ze świerkami w białych czapach i wąską, krętą drogą, która została skrupulatnie odśnieżona, przypominał pocztówkę. Lindell pamiętała, że to Torsten Andersson dba tutaj

o porządek. Z kilku kominów unosiły się welony dymu, ale dookoła nie było widać żywej duszy. Tylko na jarzębinie przed domem Doris Utman siedziało stadko gilów.

Lindell skręciła w drogę prowadzącą do chaty Lisen Morell, jednak kiedy dotarła na miejsce, nie wyłączyła silnika.

– Może wolisz, żebym ja sprawdził? – spytał Marksson. – O ile chcesz tylko zajrzeć i upewnić się, czy wszystko gra.

– Pójdę sama – odparła.

Przenikliwie zimne morskie powietrze przyprawiało ją o dreszcze. Od strony lądu świeciło blade słońce. Po kilku krokach obejrzała się. Marksson zdążył już wyciągnąć komórkę i właśnie wybierał numer.

Lisen Morell siedziała przy stole z kubkiem parującej herbaty. Na widok Lindell uśmiechnęła się smętnie. Obok leżały dwa kartonowe pudła i walizka.

– Wyjeżdżam – powiedziała. – Bultudden mi nie służy.

– Na dobre?

– Nie wiem. Nie mam już siły. Herbaty?

Lindell pokręciła głową odmownie.

– Poddaje się pani.

Lisen wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że zamierza pani malować tu przez całą zimę – ciągnęła Lindell.

Poczuła się dziwnie dotknięta kapitulacją malarki.

– Żeby móc malować, muszę mieć spokój.

– Coś panią przeraziło? Słyszałam o tym telefonie na 112.

– Skąd?

– Marksson mi powiedział. Czasami kobiety dzwonią po pomoc, a potem ktoś zmusza je do rozłączenia się.

– Mężczyźni – powiedziała Lisen.

– Mężczyźni – potwierdziła Ann.

– Tak, to prawda, spanikowałam. Nawet zsiusiałam się w majtki.

– Kiedy pani wyjeżdża?

– Jak tylko dopiję herbatę. Spakowałam się w nocy, bo chciałam wyjechać od razu rano, ale spadł śnieg.

– Mogę zadzwonić do pani w Uppsali?

Lisen skinęła głową twierdząco.

– A co pani tutaj robi?

– Postanowiliśmy jeszcze coś sprawdzić.

– Na Bultudden dzieją się różne rzeczy, o których nie wiecie – powiedziała Lisen.

– Miała pani jakichś nowych gości?

Malarka opowiedziała jej o nocnej wizycie Sunessona i o tym, że potem słyszała, jak ktoś skrada się wokół domu.

– Myśli pani, że ta historia z dymem była tylko wymówką, żeby tu wpaść? Że to on później tu wrócił? – spytała Ann.

Lisen przytaknęła i podeszła do okna z widokiem na morze.

– Widziałam ją – oznajmiła nagle, odwracając się twarzą do policjantki.

– Tę kobietę z Tajlandii? – upewniła się Lindell, chociaż z góry знаła odpowiedź.

– Tak. W lesie.

– I dopiero teraz mi pani o tym mówi?

Nie mogąc pohamować wściekłości, Ann Lindell uderzyła pięścią w stół.

– Najpierw wyleciało mi to z głowy. Byłam wtedy trochę smutna, przygnębiona, sama w tym lesie. To był zły okres, to było...

– Przygnębiona! – krzyknęła Lindell. – Ta kobieta została zamordowana i pokrojona na kawałki piłą, a pani była przygnębiona. Nie do wiary!

– To nie ...

– Była sama?

Lisen znów odwróciła się do okna.

– Tak – powiedziała w końcu, ale Lindell już jej nie ufała.

– Kto z nią był? Najwyższa pora, żeby zaczęła pani mówić!

– Torsten – szepnęła Lisen Morell.

– Torsten Andersson?

– Tak, ale nie zbierał z nią jagód. On jakby ją śledził.

Lindell usiłowała skłonić Lisen, by sprecyzowała, gdzie i kiedy dostrzegła tych dwoje w lesie, ale malarka zaklinała się, że nie może sobie przypomnieć. Tamten okres rozmazywał się jej w pamięci.

Ann Lindell opuściła chatę w bezsilnej furii, po części z powodu rewelacji, które przed chwilą usłyszała, a po części dlatego, że wydarzenia na Bultudden coraz bardziej przypominały jej sceny ze sztuki teatralnej o jakimś odludnym zakątku Szwecji, zamieszkanym przez oryginałów, pojawiających się na scenie w źle dobranych rolach. Może małżeństwa starszusków stanowiły wyjątek, ale na pewno nie Torsten Andersson czy samotni młodzi mężczyźni, czy Lisen Morell.

Marksson rozmawiał przez telefon, ale szybko skończył, kiedy Lindell wsiadła.

Wycofała samochód na Ulicę i ruszyła powoli z powrotem w kierunku północnym, relacjonując jednocześnie wyznania malarki.

– Niech to szlag – jęknął Marksson. – Torsten...

– To miejsce jest chore.

– Dlaczego nic nam nie powiedziała?

– Wynajmuje od Anderssona chatę, pewnie dlatego. Bała się, że straci lokum. A co wcześniej wygadywała... – prychnęła Lindell.

– Aż tak źle?

– Tutaj wszystko jest kompletnie pokręcone!

– Chyba za bardzo to przeżywasz – powiedział Marksson.

– Myślałam o tym, co mówiłeś. Co mi czytałeś z tej twojej książki. Że ktoś, kto nas nie lubi, zmienia tę ziemię. To jest prawda. Z każdym dniem tracę złudzenia. Czujesz, jak coraz bardziej oddalamy się od tego, co uważamy za wartościowe i oczywiste? Powoli, ale systematycznie wszystko się rozrzedza. W końcu zostanie tylko skorupa. Powłoka, ale bez zawartości. Wkrótce nie będziemy mogli już na nikim polegać.

– My akurat stykamy się głównie z tym, co najgorsze – odparł Marksson. – Ale na świecie na pewno są jeszcze szczęśliwi, normalni ludzie.

Lindell czuła narastającą irytację. Też wiedziała, że praca policjanta rzadko dotyczy radosnej strony życia, ale mimo to nie potrafiła zrozumieć, skąd brały się u niej ten narastający smutek i poczucie bezsilności.

– Teraz jedziemy do Sunessona – powiedziała. – A potem do tego cholernego faceta od ryb – dodała. Wcisnęła pedał gazu. Czuła, jak opony ślizgają się na zakrętach, ale nie zwolniła.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie – powiedział Thomas B. Sunesson.

Tyle razy słyszała te słowa, że nie potrafiła się zdobyć na swoją zwykłą odpowiedź, że najmniej istotne szczegóły mogą okazać się ważne. Skwitowała jego wypowiedź machnięciem ręki.

Ona i Marksson siedzieli przy stole, podczas gdy Sunesson cały czas krążył po kuchni. Zapewnił ich, iż to nie on zakradał się pod chatę Lisen Morell. I Lindell mu uwierzyła. Poprosiła natomiast, żeby raz jeszcze opowiedział o piłach łańcuchowych.

– Jest pani pewna, że ta, którą miała pani w bagażniku, to była piła Malma? – spytał.

– Tak, jestem całkowicie pewna – powiedziała Lindell.

Sunesson pokręcił głową.

– Lasse zawsze miał stihla – stwierdził. – Zawsze, odkąd pamiętam.

– Może się zamienił? – podpowiedział Marksson.

– Na starego jonsereda? Trudno mi w to uwierzyć. Dlaczego miałby to zrobić?

Kilka godzin później Lindell i Marksson poznali odpowiedź.

Pod koniec września 1938 roku pokój w Europie został zagwarantowany. Neville Chamberlain triumfalnie wymachiwał układem monachijskim. Wszak Adolf Hitler twierdził, że jest nastawiony pokojowo. Wprawdzie wziął sobie kawałek Czechosłowacji, ale nie miał dalszych imperialnych zapędów.

Wieści o „pokoju dla naszych czasów”^{*****} dotarły do Perssona za pośrednictwem polskiego dentysty, który właśnie wyrwał Antemu ząb. Był chłodny październikowy wieczór. Ante do tej pory pamiętał, jak dygotał z zimna, wypływał krew i słuchał całkowicie pozbawionego złudzeń Polaka, który opowiadał, że rządy Wielkiej Brytanii i Francji po raz kolejny sprzedały inny naród.

Ani Ante, ani dentysta nie byli tym szczególnie zdziwieni. Walczyli w Hiszpanii już od jakiegoś czasu. Należeli do weteranów. Teraz siedzieli w więzieniu i czekali na pewną śmierć.

Urodzony w Krakowie Polak był komunistą i astronomem-amatorem. Zabawiał wszystkich historiami o Koperniku i Giordanie Bruno. W 1935 roku na gabinet dentysty napadli polscy antysemita i od tamtej pory przyjaciel Perssona był zbiegiem. Przybył do Barcelony latem 1937 roku i natychmiast zaciągnął się w szeregi obrońców Republiki.

Znów wykonywał swój zawód, teraz jednak w warunkach polowych. Nie robił różnic między komunistami, socjalistami, katalońskimi nacjonalistami i anarchistami. Usuwał nawet bolące zęby mądrości uwięzionym falangistom.

A teraz opowiadał o Europie i o własnym kraju. Wieczór robił się coraz zimniejszy. Spadające gwiazdy, jedna po drugiej, mknęły po niebie. W pewnym sensie Ante czuł się szczęśliwy. Był wśród przyjaciół.

Polak mówił nieco dziwnym niemieckim i Ante nie wszystko rozumiał, ale wychwytał, że Monachium to początek pożaru. Hiszpania miała wkrótce wpaść w ręce faszystów, wszyscy o tym wiedzieli. Wojna była przegrana. Coraz liczniejszym krajom i ludziom groziło, że staną się ofiarami terroru.

Antego bolała lewa ręka. Bał się, że zakażenie obejmie całą dłoń. Zabrudzone bandaże na kikutach palców nie stanowiły żadnej osłony. Wielokrotne tortury pozbawiły go sił. Poniekąd nie miało to już znaczenia. I tak wszystkich czekała śmierć.

Całe ciało miał obite do żywego. Tamtego wieczoru tydzień wcześniej, kiedy stracił palce, kilka razy zemdlał. Oprawcy oddawali na niego mocz. Nadal czuł, że cuchnie. Ciągłe padały nowe pytania. I nowe razy. Mimo półmroku i bólu, niczym czerwona gaza przesłaniającemu mu wzrok, dostrzegł mężczyznę, który podszedł bardzo blisko, pochylił się nad nim i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wyczerpany więzień próbował splunąć, dosięgnąć tej twarzy plwociną, ale był zbyt słaby, zbyt odwodniony, by mu się to udało.

Cios trafił go pod okiem. Jak przez mgłę ujrzał, że mężczyzna unosi obcęgi i macha mu nimi przed nosem.

– Teraz stracisz wszystko, co wystaje – wyszeptał oprawca po szwedzku. – Zaczniemy od palców lewej ręki.

Obudził się z krzykiem. W drzwiach pokoju stała nowa dziewczyna, Tanya.

– Coś się panu przyśniło? – spytała.

Ante podciągnął się do pozycji półsiedzącej. Był zlany potem. Tanya podeszła do łóżka i przyłożyła dłoń do piersi starego człowieka. Po omacku poszukał tej ręki, chwycił ją kurczowo i zamknął oczy.

– Mój przyjaciel – wymamrotał.

– Jest tu policja – oznajmiła dziewczyna.

Ponownie obraz obcęgów przepłynął mu przed oczami. Starzec skrzywił się z bólu i mocniej ścisnął dłoń Tanyi.

– Już dobrze – powiedział. – Nic nie trwa wiecznie.

Drzwi otworzyły się i weszli policjanci, którzy przesłuchiwali go poprzedniego dnia. Sammy Nilsson zbliżył się do łóżka.

– Uciał pan sobie poranną drzemkę?

Ante Persson milczał.

– Mieli panowie poczekać przed drzwiami – wtrąciła się opiekunka.

– Oni właśnie tacy są – powiedział Ante. – Po prostu wchodzi.

Odwrócił głowę i zapatrzył się w certyfikat mianujący go honorowym obywatelem Hiszpanii.

– Czego chcecie?

– Może nas pani zostawić na chwilę samych? – Policjant odwrócił się do Tanyi.

– Muszę pomóc Antemu przy ubieraniu – odparła wyzywająco. – Panowie zaczekają na korytarzu.

– Pan Persson może zostać w łóżku, jeśli chce. – Sammy Nilsson uśmiechnął się. – Nie będzie musiał z nami jechać.

– Idź – powiedział staruszek. – Zamienię parę słów z tymi gestapowcami.

Obrzuciwszy nieproszonych gości gniewnym spojrzeniem, dziewczyna opuściła pokój. Nilsson przysunął krzesło do łóżka i usiadł. Drugi policjant stał przy oknie i wyglądał na ulicę.

– W jaki sposób poznał pan Nilsa Dufvę?

Persson nie odpowiedział.

– Sądzimy, że spotkaliście się w Hiszpanii.

Starzec tylko potrząsnął głową.

– Dlaczego pan kłamie?

– Powiedziałem już wszystko, co musicie wiedzieć.

– Kilka godzin temu skontaktował się z nami ktoś z krewnych Dufvy. Do komisariatu przyszła pewna kobieta. Nazywa się Jenny Holgersson i mieszka w domu, który odziedziczyła po Dufvie.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Otóż Jenny Holgersson opowiedziała nam całkiem inną historię. W której ani Sven-Arne, ani pan nie zabili Nilsa Dufvy. I ja jej wierzę.

Ante na moment zacisnął powieki.

– To mąż Jenny go zabił – oznajmił Nilsson.

Ante Persson podniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

– Według Jenny zgruchotał Dufvie czaszkę podstawą lampy. Miał motyw. Stary zamierzał zmienić swoją ostatnią wolę. Jenny Holgersson nie dostałaby ani grosza. Ona była przy tym, ale to Niklas Öhman...

- **Milcz – wykrztusił Persson.**
- **Pan zjawił się tam za późno.**

Wczorajsze ognisko nadal dymiło. Z popiołu wystawały nadgryzione przez płomień kawałki drewna. Jakiś pokryty sadzą strzęp materiału odfrunął na bok.

Bosse Marksson wziął widły i grzebał nimi w zwęglonej stercie. Znalazł parę poczerniałych puszek. Ann Lindell przyglądała się domowi. Jeszcze raz zdumiał ją stopień zniszczenia. Nie było w tym uroku, tylko upadek.

Zauważyli, że nie ma samochodu. Lasse musiał wyjechać w czasie, kiedy składali wizytę Lisen Morell. Dom Malma zastali zamknięty. Plastikowe worki, które widzieli poprzednio w szopie, zniknęły. Na próżno też szukali piły.

– Trochę się spóźniliśmy – stwierdziła Lindell.

Bosse Marksson odwrócił głowę i popatrzył na swoją współpracowniczkę.

– Kiedy byłem mały, mieszkał tu facet, na którego mówili Metalowy Nicholas. Dostał przywisko po postaci z telewizyjnego programu dla dzieciaków. Był lekko opóźniony, ale zupełnie nieszkodliwy. Jeździł na motorowerze, pukał do ludzi i pytał, czy nie mają złomu na sprzedaż. Nigdy niczego nie kupował i wszyscy o tym wiedzieli, ale każdy zapraszał go na kawę i chwilę rozmowy. Roznosił po okolicy ploteczki, czasem załatwiał dla sąsiadów jakieś drobne sprawy, kupował któremuś staruszkowi tabakę czy coś w tym rodzaju. Skrupulatnie oddawał resztę i nigdy nie chciał grosza za fatygę.

Umilkł. Lindell czekała na dalszy ciąg opowieści. Czowała się spokojna. Ostatnie kawałki łamigłówek miały wkrótce trafić na swoje miejsca, była o tym przekonana.

– A potem umarł – powiedział Marksson. – Było to we wczesnych latach siedemdziesiątych. Nie miał właściwie żadnej rodziny, ale na jego pogrzeb przyszło chyba kilkaset ludzi.

– Dlaczego akurat teraz o nim pomyślałaś?

– Mój tata był na pogrzebie i opowiadał, że uroczystość była niezwykle starannie przygotowana. Później, podczas poczęstunku, parę osób wygłosiło mowy. Dziwne. Za wszystko zapłacił ojciec Torstena Anderssona, za nagrobek, księdza, za te różne ciasta. Nikt do końca nie rozumiał dlaczego, ale też najwyraźniej nikt się temu specjalnie nie dziwił.

Marksson rzucił widły na ziemię, przez chwilę wpatrywał się w skraj lasu, po czym ruszył z powrotem do samochodu.

Lindell podążyła za nim.

– To nie był Frisk, prawda?

Bosse Marksson przystanął i odwrócił się. Pokręcił głową.

– Jedźmy do Torstena – powiedział.

W kuchennym oknie wisiała adwentowa gwiazda. Kiedy Marksson zastukał do drzwi, Torsten Andersson krzyknął: „Proszę wejść!” Siedział w kuchni, ręce oparł na stole.

– Napaliłem – powiedział i zerknął na Lindell, która skinęła głową, próbując zdobyć się na uśmiech.

Podeszła do żelaznego piecyka i zaczęła grzać dłonie. Usmolony piecyk przypominał jej dziadków i ich domek w pobliżu góry Omberg, w którym mieszkali aż do śmierci. Umarli w odstępie jednego tygodnia, kiedy Lindell miała czternaście lat. Teraz zrozumiała, skąd ta jej słabość do żelaznych piecyków i trzaskającego ognia.

– Co słyhać, Torsten? – spytał Marksson.

Lindell odwróciła się. Torsten Andersson z ponurą miną wpatrywał się w stół, jakby nie był pewien odpowiedzi.

– Jadąc tu, zajrzeliśmy do Lassego Malma, ale nie zastaliśmy go w domu.

– Pewnie jest w Östhammar – oznajmił Torsten obojętnym tonem.

– Macie tu porządnie odśnieżone.

– Zawsze mamy.

– Pamiętasz Metalowego Nicholasa?

Andersson zachichotał.

– Jasne, że pamiętam.

– Miał czerwony motorower marki Puch – powiedział Marksson. – Taki sam stary puch był w szopie u Malma. Pewnie dlatego przypomniał mi się Nicholas.

– Ojciec Lassego miał pucha – wyjaśnił Torsten.

– Pamiętasz to, prawda?

Andersson rzucił policjantowi szybkie spojrzenie i uśmiechnął się bez cienia życzliwości, po czym wstał i podszedł do kuchennego blatu, żeby nalać sobie szklankę wody.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o sztucerze?

Gospodarz wypił chciwie wodę, z impetem odstawił szklankę i wrócił na swoje miejsce przy stole.

– Bo o czym tu gadać – odparł.

Ogień trzaskał.

– Wiesz o wszystkim, co dzieje się na Bultudden – nie ustępował Marksson. – Kiedy z sosny spada szyszka, wiesz o tym, zanim wyląduje na ziemi.

– Nie wierzymy, że to Frisk zabił Patimę – odezwała się Ann Lindell.

– Więc kto?

– Może pan nam powie? – zachęciła go.

Torsten otarł czoło.

– Chyba nie jestem zdrów – oznajmił.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, mówił pan o mordercach. Że traktuje się ich zbyt łagodnie – ciągnęła Lindell. – I o tym, co się robi z psami, kiedy się wściekną albo są złośliwe.

Pamięta pan?

Torsten Andersson przyglądał się jej bacznie, ale nie odpowiedział.

– Wiemy, że widział pan Patimę. Dlaczego pan o tym nie wspomniał? Zabił ją pan? Może zdarzył się wypadek? Wpadł pan w panikę i postanowił pozbyć się zwłok.

– To nie tak – wykrztusił Andersson ochryplym głosem.

– Więc co się stało? Był pan pobudzony? Ostatniej nocy znów się pan podniecił i zakradł pod chatę Lisen Morell? Patima sprawiła, że czuł pan niedosyt?

Marksson zakaszłał. Lindell rzuciła mu szybkie spojrzenie, ale mówiła dalej.

– Narzucal się pan jej, a ona zaczęła krzyczeć, prawda?

Bosse Marksson podniósł rękę.

– Musiał ją pan uciszyć – ciągnęła Lindell. – Krzyczała, prawda? Opierała się. Wystraszył się pan, może nawet wściekł.

– To nie tak – powtórzył Torsten Andersson. – Widziałem ją, owszem, ale nigdy jej nie

dotknąłem. Taka szczuplutka drobinka. Szedłem za nią tylko przez chwilę. Nawet mnie nie zauważyła.

– Chciałeś wiedzieć, gdzie mieszka? – spytał Marksson.

– Wiedziałem, gdzie mieszka – odpowiedział Torsten. – Mieszkała u Friska przez długi czas.

Ale nie tam poszła.

Lindell pochyliła się nad stołem i utkwiała wzrok w Anderssonie.

– A więc dokąd? Zaprosił ją pan do siebie, żeby nacieszyć się potulną owieczką?

– Poszła do domu Lassego Malma – powiedział Torsten Andersson tak cicho, że Lindell

ledwie mogła go dosłyszeć.

– Widział pan, jak wchodziła?

Skinął głową.

– To był sztucer Lassego, prawda? – spytał Marksson.

Kolejne skinienie.

– Gunnara, jego ojca.

– Myślisz, że Malm ...

– Myślę, że pojechał na nabrzeże – powiedział w końcu Torsten. – Znasz stary dom Axela

Johanssona. Obok nadal jest szopa. Lasse czasem tam zagląda, trzyma w niej łódkę.

Marksson przytaknął.

– Lasse wpadł do mnie jakiś czas temu – ciągnął Torsten. – Dokądś się wybierał, ale zmienił

zdanie. „Zamiast tego pojedę na nabrzeże”, mówił. Chciałem, żeby chwilę posiedział, ale uparł się i...

– Czy droga została odśnieżona?

– Nie, właściwie nie. Odgarnąłem tylko kawałek, może pięćdziesiąt metrów.

– Dlaczego?

– Tata zawsze tyle odśnieżał – odparł Torsten. – Był spokrewniony z Axelem.

– Ale Axel od lat nie żyje.

– I tak to robię. Stare przyzwyczajenie. Miło jest trochę poudawać, wyrwać się z naszej

Ulicy. Mam wtedy uczucie jakby... Zresztą sam wiesz.

Marksson uśmiechnął się.

– Wiem. Jedna myśl rodzi następną. Wszystko jest stare i znajome, a jednak za każdym

razem nowe. Axel był nietuzinkowym człowiekiem.

– Chadzał własnymi ścieżkami – przyznał Torsten. – Wiesz, że kiedyś popłynął do Australii?

– W jednej książce znalazłem jego fotografię – powiedział Marksson. – O alandzkim

frachcie zboża.

– Wtedy nie był jeszcze stary.

– To prawda. Jego ojciec ...

– Jego ojciec to był ktoś!

Lindell chciała jechać dalej, ale nie potrafiła im przerwać. Słuchała rozmowy z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony wstydziała się własnej napastliwości, z drugiej była poruszona ich oszczędnym językiem. W rozmowie wiele zostało powiedziane bez słów. Doświadczała już podobnych sytuacji, tego wyjątkowego sposobu komunikowania się dwojga ludzi, będących w symbiozie ze sobą i swoim otoczeniem. Wiedziała, że nawet z takiej na pozór trywialnej wymiany zdań można niekiedy wyłuskać istotne informacje.

– No dobrze, rzeczywiście musimy już jechać – powiedział Marksson. – Zobaczymy się później.

– Malm był nieszczęśliwy. Naprawdę nieszczęśliwy – stwierdził Torsten. – W głębi duszy to nie jest zły człowiek.

– Pewnie masz rację – powiedział Marksson.

Westchnął ciężko. Chwilę jeszcze siedział w milczeniu, po czym podniósł się, skinął na Lindell, którą dotąd omijał wzrokiem, i wyszedł z kuchni.

– Dziękuję za ryby – powiedziała Ann, spiesząc za swoim kolegą.

Torsten Andersson skwitował jej słowa machnięciem ręki.

Jak zwykle Marksson popędził przodem i teraz stał, i czekał na nią koło samochodu.

– To Malm, prawda? – powiedziała Lindell. – Wpadł w panikę na wieść, że zamierzamy rozmawiać z Friskiem, więc zaaranżował jego śmierć tak, żeby przypominała samobójstwo. I podmienił piły. Zostawił swojego stihla w szopie Friska, a zabrał jonsereda.

– Na to wygląda – przyznał Marksson. – Chociaż nie byłem pewien.

– Ale teraz jesteś?

– Torsten wie o czymś, o czym my nie wiemy. Coś zobaczył albo usłyszał. Może nigdy się dowiemy, co to było, a może w końcu i to wypłynie. Wiem jednak, że dużo o tym myślał, aż w końcu zdobył pewność. To było po nim widać.

Wsiedli do samochodu, wyjechali z podjazdu Anderssona i ruszyli dalej na południe. Lindell uświadomiła sobie, że prawdopodobnie za chwilę spotkają mordercę.

– Nie powinniśmy zameldować, co robimy? A jeśli on jest uzbrojony?

– Myślę, że nie ma powodu do niepokoju – odparł Marksson. – Ale możemy dać im znać, co się dzieje.

Sięgnął po telefon komórkowy i zadzwonił na posterunek w Östhammar. Poinformował o ostatnich wydarzeniach i że właśnie jadą z Lindell zabrać Larsa Malma na przesłuchanie.

– Nie, nie potrzebujemy wsparcia. Odezwę się później.

Rozłączył się i niemal jednocześnie machnął ręką w kierunku odśnieżonej bocznej drogi z wysokimi sosnami po obu stronach. Lindell o mało jej nie przegapiła. Skręciła i po jakichś dwudziestu metrach wykonała gwałtowny zwrot. Pick-up Malma stał zaparkowany koło przyzmy śniegu po prawej stronie.

Wysiedli. Marksson podszedł do wozu i dotknął maski.

– Jeszcze ciepła – powiedział.

Lindell zajrzała pod plandekę nad skrzynią ładunkową. W środku leżała piła. Jonsered.

Ślady stóp prowadziły w stronę morza, które połyskiwało pomiędzy drzewami. Z kabury pod pachą Marksson wyciągnął pistolet.

Do szopy mieli mniej więcej pięćdziesiąt metrów. Ann brnęła przez śnieg, idąc po śladach Markssona. Nagle jej towarzysz przystanął. Znad wody powiał wiatr i poruszył żółto-brązowe nabrzeżne trzciny. Marksson obrócił się i rzucił Lindell badawcze spojrzenie.

Zbyt dobrze nas widać, pomyślała. Wyobraźnia podsunęła jej obraz zakrwawionej głowy Friska.

Ale Marksson szedł dalej. Nagle niespodziewanie skręcił w lewo. Lindell domyśliła się, że chciał sprawdzić drzwi szopy.

Stały otworem.

– Lasse – zawołał. – To ja, Bosse. Możemy porozmawiać? Jadę od Torstena.

Jedyną odpowiedzią był lekki szelest trzciny.

– Zostań tu – rzucił jej.

Powoli ruszył przed siebie. Lindell zastanawiała się, czy jednak nie powinna pójść za nim. Dotarł do drzwi. Przez chwilę się wahał, po czym przyłgnął do ściany i dopiero wtedy zajrzał do środka. Lindell zrobiła kilka kroków. Widziała, jak Marksson prostuje się i zastyga. Parę razy głęboko odetchnął, po czym dał jej znak ręką, żeby podeszła.

Lasse Malm wisiał na stryczku, który przywiązał do haka w suficie. Pod stopami zmarłego stała drewniana skrzynka. Lina werżnęła mu się głęboko w szyję. Usta były otwarte, jak gdyby umierając, krzyknął. Siny język, zaciśnięte powieki.

Marksson ustawił prosto skrzynkę, wszedł na nią i stwierdził, że ma do czynienia z trzecim przypadkiem gwałtownej śmierci na Bultudden w czasie ostatnich miesięcy.

Lindell zmusiła się, żeby spojrzeć na ręce martwego mężczyzny. Paznokcie były brudne, skóra czarna od sadzy. Pamiętała moment, kiedy ujrzała te dłonie po raz pierwszy. Wtedy wydały jej się potężne. Teraz Malm jakby zmalał. Uderzyło ją, że po śmierci wydawał się bardziej ludzki.

– Chciał się pozbyć piły, ale zmienił zdanie i pozbył się samego siebie – stwierdziła.

– Ciekaw jestem, co Torsten mu powiedział – zadumał się Marksson.

Opuścił szopę, przeszedł kawałek, przystanął na granitowej skale i popatrzył w dal. Lindell przyglądała się jego szerokim plecóm. Zauważyła, jak jego klatka piersiowa unosi się, gdy bierze głęboki oddech. Po chwili odwrócił się.

Lindell nadal stała w drzwiach.

– Patima zostawiła Friska i trafiła z deszczu pod rynnę – westchnął. – Biedna dziewczyna.

Nie postawią żadnych zarzutów – powiedział Sven-Arne Persson.

Ante leżał wyciągnięty na łóżku i wpatrywał się w sufit. Sven-Arne nie był pewien, czy stryj usłyszał jego słowa, ale mówił dalej.

– Mają tylko wersję tej kobiety. Facet wszystkiemu zaprzecza.

Staruszek odwrócił głowę, popatrzył na bratanka, ale się nie odezwał.

– Byłoby dziwne, gdyby postąpił inaczej – ciągnął Sven-Arne. – Przez dwanaście lat trzymał głębę na kłódkę, więc dlaczego teraz miałyby się przyznawać? A poza tym, kto wie, co się naprawdę wydarzyło? Ona wygląda na nieco niezrównoważoną, delikatnie mówiąc.

– Poznałeś ją?

– Poszedłem tam – odparł Sven-Arne.

– Po co?

– Chciałem zobaczyć dom.

Ante Persson zachnął się.

– Zobaczyć dom – powtórzył. – Do licha, po co? A potem poleciałeś się przyznać?

Podparty obiema rękami, zdołał się podciągnąć do pozycji siedzącej.

– Policja twierdzi, że nic nie mają. Dziś rano rozmawiałem z prokuratorem. Znam go z dawnych lat. Powiedział to samo.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego się przyznałeś?

– Żeby zaoszczędzić ci kłopotów – odpowiedział Sven-Arne.

– Nawet to mi się nie udało – powiedział Ante. – Dufva był świnią i jako urzędnik państwowy żył z naszych pieniędzy.

– Ale czemu chciałeś jego śmierci? Nie lepiej było ujawnić jego przeszłość i publicznie go upokorzyć?

Sven-Arne utkwiał wzrok w twarzy starca. Ante milczał. Zawsze tak było: robił się nieprzystępny, zostawiając pytania bez odpowiedzi. Sven-Arne miał ochotę zaatakować go. Ante przymykał oczy na ucisk, dopóki stosowano go w imię klasy robotniczej; lekcewał przyłamanie praw człowieka, dopóki naruszano je w słusznej sprawie. Ale po co wracać do dawnych sporów? Znał staruszka aż za dobrze, przechodzili przez to już tyle razy. Stryj wierzył w sprawiedliwość, a on tę wiarę w dużej mierze podzielał. Sam wybrał drogę małych kroków, drogę reformatora, a potem odkrył, że działalność polityczna to bagno bez dna. Brał udział w grze. Po krętaćku, niefrasobliwie traktował prawdę. Widział, jak jego partia traci swą świeżość i sprzeniewierza się swojej pierwotnej misji. Jako polityk przełykał to wszystko, aż wreszcie niesmak stał się nie do wytrzymania. Porzucił wszystko. Uciekł. A teraz siedział naprzeciwko starego człowieka, który nigdy nie zaprzestał walki i gotów był nawet poświęcić życie, by zwalczać nazizm.

– Dajmy temu spokój – powiedział.

Ante otworzył oczy. Był wyraźnie poruszony. Sven-Arne uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział, żeby stryj płakał.

– Jest jedna sprawa – odezwał się Ante. – Niedługo umrę. Jeszcze się trzymam, chociaż, jak to się mówi, przekroczyłem limit czasu. Miałem burzliwe, obfitujące w wydarzenia życie, ale jest jedna sprawa, która boli mnie od siedemdziesięciu lat.

– A mianowicie? – spytał Sven-Arne po dłuższej chwili.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Szczotce?

– O tym Bułgarze, który wysadził się w powietrze?

– Był wielki.

Sven-Arne przytaknął. Tyle rozumiał. Szczotka zawsze pojawiał się w opowieściach stryja. Bułgarski górnik był uosobieniem odwagi i praworządności.

– Zginął nędną śmiercią – stwierdził Ante.

Teraz staruszek już otwarcie płakał. Łzy ciekły po jego pomarszczonych policzkach i szorstkiej szczecinie na podbródku. Sven-Arne ponownie skinął głową, ale nie zdołał wykrztusić słowa.

– Zdradziłem go – szlochał Ante.

– Co takiego? Nie mogłeś nic poradzić...

– Doniosłem na niego! Opowieść o tym, że sam wysadził się w powietrze, to bzdura.

Wymyśliłem ją, żeby móc dalej żyć. A potem uczyniłem z niej prawdę.

Sven-Arne pochylił się i położył dłoń na kolanie stryja.

– Co się wydarzyło?

Ante podniósł lewą rękę.

– To dzieło Nilsa Dufvy! Sprawił, że zacząłem się panicznie bać. Nie chciałem umierać. Jeszcze nie wtedy. On odebrał mi wszystko: honor, spokój. Nie umiałem mu się przeciwstawić. Byli tacy, którzy to potrafili, ale ja się ugiąłem. Za każdym razem, kiedy brałem do ręki łopatę, za każdym razem, kiedy harowałem na placu budowy, za każdym razem, kiedy zakładałem koszulę, w każdej minucie wszystko przypominało mi o tej zdradzie. Rękę nosisz ze sobą wszędzie. Nie wepchniesz jej na dno szuflady. Popatrz, dwa palce. Tyle wart był Szczotka.

Ante wpatrywał się w swoją dłoń, jakby nagle zobaczył jakiś obcy, przerażający kształt.

– Przypadkiem odkryłem, że Dufva mieszka w Uppsali. To było wiele lat temu. Powinienem być natychmiast pójść do niego i zatopić nóż w jego faszystowskim sercu. Ale zabrakło mi odwagi, a potem było już za późno. Nawet tego nie zdołałem zrobić, a teraz niedługo umrę.

Cypel Bultudden był zasypany śniegiem. Zatoka między stałym lądem i cypem zaczynała pokrywać się lodem.

Thomas B. Sunesson pomógł Doris rozwiesić lampki na jarzębinie przed domem.

– Ślicznie to wygląda – zachwyciła się Lindell. – Jak w baśniowej zimowej krainie.

– Och, nie wiem – odpowiedziała Doris, ale widać było, że pochwała sprawiła jej przyjemność.

Kiedy w drodze do Lisen Morell Lindell mijala dom Utmanów, Doris pomachała do niej i policjantka zjechała na bok. Omówiły ostatnie wydarzenia. Ze wszystkich mieszkańców cypla Ann najlepiej rozmawiało się właśnie z Doris. Czuła, że starsza pani nie ma nic do ukrycia, a więc nie musi się bronić ani z niczego tłumaczyć.

– Proszę nie osądzać Torstena zbyt surowo – powiedziała Doris. – Był bardzo przywiązany do obu chłopaków, a już zwłaszcza do Lassego. Lubił ich, bo zdecydowali się tu zostać.

Lindell wstąpiła do Torstena Anderssona, żeby opowiedzieć mu o wynikach czynności dochodzeniowych w domu Malma. Śledczy wykryli tam liczne ślady pobytu Patimy. W szafie na piętrze znaleziono poplamioną smarem szmatę, w którą, jak ustalili technicy, był zawinięty stary sztucer.

Anderssona przepełniał żal. Lindell zdawała sobie sprawę, że obwinia się o to, iż nie zareagował na czas. Wiedział o istnieniu Patimy od dnia, kiedy zamieszkała z Tobiasem Friskiem, wiedział też o jej wyprawie. Według Torstena Frisk próbował namówić dziewczynę, żeby została, ale któregoś majowego wieczoru Tajka po wielkiej kłótni opuściła jego dom i całą noc błąkała się po lesie. Następnego ranka spotkała Lassego Malma, który był w drodze do pracy. Malm przygarnął ją po swój dach i obiecał, że pomoże jej kupić bilet powrotny do Tajlandii.

„A potem od razu się zakochał, więc nie chciał pozwolić, żeby wyjechała. Wszystko poszło nie tak jak powinno, ale na pewno nie zamierzał jej zabić”. W ten sposób Torsten streścił przebieg wypadków.

Dla Lindell nie miało znaczenia, jakie były intencje Malma. Zamordował dziewczynę i zbezczeszczył jej ciało.

Torsten Andersson nie przyjmował do wiadomości faktu, że Malm potem zastrzelił Tobiasa Friska i upozorował jego samobójstwo. Lindell nie miała jednak co do tego żadnych wątpliwości.

– Powinam już jechać.

Doris Utman wyciągnęła rękę.

– Niech pani pozdrowi ode mnie Lisen – poprosiła. – Zostanie tu przez zimę?

– Na to wygląda – odparła Ann. – Ma zamiar malować.

– To dobrze – stwierdziła Doris. – Teraz, kiedy dwa domy na Bultudden stoją puste, potrzebujemy tu ludzi.

Lindell pożegnała się z panią Utman i wróciła do samochodu. Pomyślała, że to pewnie jej ostatnia podróż Ulicą. Zastanawiała się, co się stanie z Bultudden w ciągu najbliższych lat.

Dla niej ten zakątek nie krył już w sobie nic romantycznego. Nie pomogło rozwieszenie

świętecznych lampek. Cypel Bultudden na zawsze miał się jej kojarzyć z tragicznym losem Pranee Kaew Patimy.

– Samotność – szepnęła Lindell i wycofała samochód z podjazdu Utmanów.

* rik (szwed.) – bogaty (przyp. tłum.).

** stolt (szw.) – dumny (przyp. tłum.).

*** znamię – zwykle górna część słupka kwiatu, przyjmująca pyłek w trakcie zapylecia (przyp. tłum.).

**** Dalitowie – (j. hindi) uciśnieni; popularnie: pariasi (przyp. tłum.).

***** Folkpartiet liberalerna – Szwedzka Partia Liberalów (przyp. tłum.).

***** Tzw. „afery IB” miała miejsce w 1973 r. (przyp. tłum.).

***** dufva (szw.) – gołębica (przyp. tłum.).

***** „peace for our time” – znana fraza z przemówienia Neville’a Chamberlaina, dotyczącego układu, który Niemcy, Włochy, Wielka Brytania i Francja podpisały we wrześniu 1938 r. w Monachium, sankcjonując terytorialne roszczenia Niemiec wobec Czechosłowacji (przyp. tłum.).